



MARCIN WRONSKI

WAŻ MARLO

TOM I



fabryka słów

Marcin Wroński

Waż Marlo

TOM I

Część pierwsza.

...Przed wojną o miasto Omm byli [oni] co głępszymi uczniami magów, ci jednak - zarazem dogadzając królom i pozbywając się kłopotu — uczynili z nich nową kastę wojowników. Łącząc dar wpływania na ludzkie myśli, zwinność szpiega i sprawność nożownika, wychowali nową broń dla władców, a jedyna trudność polegała tylko na tym, że nikt tego przed nimi nie robił.

Choć nie! Okłamałem Was - to sekret znany wszystkim psiarczykom. Weźcie szczenię i bijcie je za każdym razem, gdy warknie. Weźcie drugie i tłuczcie za każde pomerdanie ogonem. Będziecie mieli dwa psy, nawet od jednej suki, a jakże odmiennej natury! Podobnie dziecko o poślednim talencie myślenia, zwanego przez niektórych „ssaniem” albo też „plątaniem myśli”, wychowacie na mazgaja lub węża - wybór należy tylko do was...

z „Mojej gry w omm” mistrza Caspa

Rozdział 1

Kim jestem, panie? Marlo, wąż Marlo, który opanował Cztery Żywioły, przeżył śmierć bogów i widział, jak wszystko się odradza. Czasem przedstawiałem się też „Marlo, kapitan Marlo” albo „Marlo, kupiec Marlo”. Ale najczęściej nic nie musiałem mówić, bo ludzie i tak przyjmowali mnie jak swojego. To wielki zaszczyt i wielkie przekleństwo wzbudzać ufność tak jak ja to potrafię. Zapraszali mnie do stołu nawet ci, których przybyłem zabić.

Dzięki! Chętnie napiję się wody. Nieważne, czy z kubka czy z bukłaka. Piłem już wodę ze

wszystkich naczyń, jakie wymyślił człowiek. Chleptałem ją z kałuży jak zwierzę, z własnej garści jak wędrowny myśliwy i z pęcherza jak rybak. Przekonałem się, że naczynie nie ma znaczenia, byle sama woda nie była zatruta. Tak, naczynie bez znaczenia, byle woda nie zatruta...

Jeden człowiek poszedł raz do domu schadzek i kazał sobie przyprorowadzić najpiękniejszą dziewczkę. Zaraziła go chorobą, od której stał się bezpłodny. Jego kompan chciał być mądrzejszy, więc minął dom schadzek i poszedł do karczmy, aby wywiedzieć się o najpiękniejszą dziewczynę w mieście. Pojął ją za żonę, a ona tak zatrula mu życie, że umarł niespełna rozumu. Trzeci kompan poszedł do lupanaru i wziął sobie najbrzydszą ladacznicę. Ukradła mu sakiewkę z trzema miedziakami. Czwarty pojął za żonę najszeptniejszą pannę w mieście i dożył późnego wieku, cha, cha! Ja rozporządziłem swoim życiem bardzo podobnie jak ów ostatni, a raczej, panie, to życie - owa szpetna dziewczka, tak mną rozporządziło. Wyszkołem się w fachu węża, który co dzień pelza w najgorszym błocie ludzkich myśli i uczynków. Lecz nie bierz, panie, przypowieści zbyt dosłownie - kobieta, która niekiedy była moją, zaćmiewała urodą pałacę Miasta Trzech Słońc, stolicy świata.

Cieszę się, że tak wielu spraw nie muszę już taić. A że mamy wiele czasu, pozwól, panie, że posilę się jeszcze pieczystym i wreszcie zacznę od początku. Tak, jak go zapamiętałem...

*

Matka-Księżyc nie paliła ognia, gwiazdy przygasaly, a rosłe buki rozczapierały gałęzie nad niewielką polaną, jakby chciały ukryć przed ciemniejącym światem, że właśnie tam został jeszcze jeden świetlisty punkt - małe i także wątlejące ognisko. Siedzieli przy nim dwaj chłopcy. Młodszy mógł mieć jakieś siedem lat, starszy ze dwanaście. Workowate szare opończe upodabniały ich do dzikusów, uciekinierów, których po wojnie ommskiej ponoć wielu żyło w kniejach. Tam - jak mówi opowieść - rodzili się zdiczali, umierali zarośnięci i truchleli niby zwierzęta na daleki dźwięk ludzkiej mowy. Ale czarne włosy chłopców były podstrzyżone, wprawdzie krótko i nierówno, jednak najwidoczniej ktoś o nich dbał choć trochę.

Siedzieli tak bez ruchu, bez słowa, a w krąg dogasającego ogniska wpelzało coraz więcej mroku. Młodszy zakołysał się, jakby miał upaść, ale starszy sięgnął po kij i szturchnął go w pierś.

- Nie umieraj, Marlo - powiedział, po czym spokojnie nakarmił płomienie wiązką chrustu.
- Nie umieram, bracie - zmęczony głos mniejszego chłopca ledwo wygramolił się z

gardła, ale odpędził sen.

Nie umieram. Marlo czasem wyobrażał sobie, że kiedy tak siedzą, śmierć naprawdę przechadza się poza kręgiem światła. Że poza nim nie ma już nic, nie ma lasu, za lasem wsi i tylko od nich, od czuwania i dorzucania chrustu zależy, czy i ta ostatnia resztką świata nie zniknie na zawsze. To pomagało nie zasnąć. A drugą rzeczą dręczącą chłopca był pewien sen, który przychodził do niego, odkąd tylko pamiętał, mimo że bardzo pragnął o nim zapomnieć.

Śnił o Czterech Żywiołach i strachu. Był mały i drżał w ciemnej jamie, w łonie ziemi. Patrzył, jak przesiąka do niej wilgoć, wpadają gasnące iskry, i słuchał wycia wiatru. Wtem wylot schronienia zakrywała ludzka głowa, a chwilę potem mocna męska ręka chwyciła go za nogę i wyciągała z kryjówki, tak jak to się robi z cielakiem, co nie chce przyjść na świat.

- Czulem - mówił mężczyzna. - Zabieramy go.

- Po co, mistrzu? - pytał jakiś siedmio- czy ośmiolatek, który Marlowi wydawał się prawie dorosły.

- Bo czulem.

Mężczyzna okręcał wyciągniętego z jamy chłopca w swój płaszcz i sadzał na koniu. Za chwilę sam wskakiwał na siodło i gnali, mijając spalone domy.

Patataj, patataj przez spaloną wieś, spopieleny kraj. Równy stukot kopyt zaczarowywał zmysły, więził je we śnie, zarazem uspokajał i przerażał. *Patataj, patataj, pojedziemy w cudny kraj* - umysł przywoływał piosenkę jakby z poprzedniego życia, a razem z nią twarz staruszka, który kołysał Marla na kolanie. - *Do Aabo, do Kesy, do Miasta Trzech Słońc. Tam król nas zapyta: „A cóż to za brzdąc?”*. *Patataj, patataj...*

Ale ten mężczyzna, który wioził chłopca na czarnym rumaku, nie był ani siwy, ani jeszcze taki stary. I nie śpiewał. Marlo czuł jednak jakiś głos, który omijał uszy, wpadał prosto do głowy i grzebał paznokciami w pamięci. Wszystkie wesole piosenki, kołysanki, wyliczanki bały się go, więc posłusznie tańczyły wkoło, udając wesołość. A koń w tym czasie patataj, patataj...

Pędził, jakby chciał doścignąć wichur. A może tylko uciec przed rodzącą się burzą? Nagle stało się coś, czego Marlo nie pamiętał ze swoich snów. Tuż obok drogi uderzył grom, rozłupując wielkie, może stuletnie drzewo. Koń zarżał, stanął dęba i chłopiec spadł na ziemię.

- Nie umieraj, Marlo! - usłyszał.

- Nie umieram, Lomar - odpowiedział.

Teraz już pilnował się ze wszystkich sił, aby słabość nie zamknęła mu oczu, nie odebrała

woli. Ojciec nieraz mówił o woli. Czym była? Marlo jeszcze tego nie rozumiał, ale wyobrażał sobie, że wola musi być jak jego brat. On zawsze wiedział, co robić. Nie sposób było go nie słuchać ani nie podziwiać, obojętnie, czy kiedy bawili się w lesie, biegając pośród drzew, kryjąc się i wspinając, czy też gdy łowili ryby w strumieniu. Zupełnie jakby bogowie związali ich obu niewidocznym sznurem i gdzie poszedł Lomar, tam zaraz musiał biec Marlo. Próbując dorównać bratu, stał się silniejszy i poważniejszy niż jego rówieśnicy. Ale ich nie znał i nie mógł wiedzieć, że bawiąc się z nimi, zawsze byłby wodzem. Miał tylko ojca i brata. Stale byli razem i żaden obcy przybysz nigdy nie zakłócał ich myśli, przez co związały się one w supły i chłopiec sam z siebie, nie patrząc ani nie słuchając, wiedział: *Lomar jest nad strumieniem, ojciec przy ognisku* albo: *Lomar śpi, ojciec się budzi*. Dlatego gdy naraz poczuł, że niewidoczny sznur łączący go z bratem traci napięcie i omal nie opada niczym martwy wąż, chłopiec przestraszył się, jakby naprawdę poczuł bliską śmierć.

- Nie umieraj, Lomar! - krzyknął.

- Nie umieram, Marlo - usłyszał. - Czego się drzesz?

To była najgorsza pora dla wszystkich czuwających. Zbliżał się świt. Milkły odgłosy nocnego lasu, aienne stworzenia jeszcze milczały. Ojciec-Słońce już wstawał z posłania, jednak jeszcze nie wziął łuku ani nie napił się wody z dalekich mórz. Mistrz opowiadał im nieraz, że w dawnych czasach razem ze Słońcem polowali też czterej Panowie Żywiołów. To właśnie jeden z nich był też ludzką wolą. Ale który? Wstyd powiedzieć, Marlo nie pamiętał. Z wysiłkiem próbował przypomnieć sobie zapomniane nauki, kiedy zza drzew pokazało się światło i trzasnęła nadepnięta gałązka. To Ojciec-Słońce nadchodził.

Nie, to nie był Stary Łowca, tylko ich własny mistrz i ojciec - Omar. Chudy, z grzywą czarnych włosów z rzadka przetykanych białymi nitkami niczym babim latem. Z długimi dłońmi i palcami, które potrafiły być twarde jak kamień lub tak zręczne, że złapałyby ptaka w locie. Starszy brat wstał, aby go powitać. Jak najstarszy syn Boga-Łowcy, Agni - Pan Ognia. Marlo przypomniał sobie, że ten bóg był też duchem człowieka, ale kto wola?

- I jak czuwaliście?

- Dobrze, mistrzu - powiedział Lomar.

- Umierałem tylko dwa razy, ojciec, a on aż jeden raz! - wyrwało się Marlowi.

- Dobrze. Więc idźcie nad strumień. Ty, Lomarze, wróć, jak złapiesz jedną rybę. Ty, Marlo, masz złapać dwie.

*

Zimna woda otrzeźwiła chłopców w jednej chwili, jakby sam bóg Chlu dotknął ich oczu. Ale choć zmysły się wyostrzyły, ciała nie chciały być posłuszne. Zimny strumień wychładzał zmęczoną skórę, a niewidzialne lodowate igły wbijały się w mięśnie. Choć nieraz łapali ryby gołymi rękami, teraz były dla nich o wiele za szybkie. Pojawiały się i znikwały jak cienie albo odbłyски słonecznego światła na wodzie. Albo to oczy zaczęły ich oszukiwać...

Ojciec uprzedzał, że Próba Żywiołów nie będzie łatwa, ale gdy Lomar powiedział *tak*, Marlo jak zwykle ochoczo stanął przy nim. Mistrz miał zadowolony uśmiech, co nie zdarzało mu się często, ale chłopca ucieszyła jeszcze bardziej nagła radość starszego brata. Widocznie długo czekał na tę chwilę, gdy przestaną tylko biegać po lesie i pojedynkować się na kije, ale spróbują zostać tacy, jaki był Omar. Czy Marlo też tego pragnął? Sam już nie pamiętał, ale na pewno wiedział wtedy jedno - warto było radować się radością Lomara.

Pierwszego dnia po nieprzespanej nocy obaj próbowali zwykłych zabaw, pilnując się tylko i budząc nawzajem, tak jak kazał ojciec. Potem było coraz gorzej. Czas się cofnął. Marlo nie miał już siedmiu lat, ale najwyżej trzy i marudził jak małe dziecko. Lomar musiał co chwilę wołać: *Nie umieraj!*, ale młodszego brata po kolei opuszczali wszyscy bogowie prócz Erha, Pana Ziemi, opiekuna człowieczego brzucha, tyłka i kości. Ciało chciało spać, spać, spać i chłopiec poddawał się jego pragnieniu. W końcu Lomar odłamał gałązkę wierzby i zaczął go nią okładać. Puf, Pan Powietrza, gwizdał, kiedy gałązka spadała na plecy Marla. Chłopiec przypomniał sobie zapomniane imię boga! Jak ziemia smagana wiatrem próbuje poderwać się w górę, tak w jego ciele Puf obudził wolę.

- Auu, nie umieram! Nie umieram!

Brat trzepnął go jeszcze raz i odrzucił witkę. Drżał, ale nie ze złości. Po dwóch dniach bez chwili snu zaczął opuszczać go Agni, Pan Ognia. Dlatego marzył nawet w południe, chociaż mimo lata miał na sobie ciepły kaftan i wełniane spodnie. Chodził zimny i blady, duch coraz słabiej podgrzewał mu ciało, wolę i umysł, więc zaczęły zastygać jak lód, jak gruda, jak trup. Przez to Lomar pomimo swych dwunastu lat, siły i długich ramion radził sobie w wodzie jeszcze gorzej niż mały Marlo.

Strumień jeszcze nigdy nie był tak zimny, jakby dopiero co wypłynął spod ziemi, nigdy

tak nie bronił swoich ryb. Tylko jedno było w nim dobre - nie pozwalał zasnąć. W końcu Lomar nie wytrzymał i na sztywnych nogach wyszedł na brzeg, by stamtąd na klęczkach próbować zagarniać ryby. Marlo okazał się lepszy - najpierw lipień, a chwilę potem mały kleń trzepotały rzucone na trawę. Wreszcie młodszy brat, ślizgając się na kamieniach, też wyszedł z wody.

- Masz - powiedział, podając Lomarowi trzecią rybę. Jak na letnią mieszkanke strumienia była całkiem spora i ledwie mieściła się w dziecinnych dłoniach, ale złapana za skrzela nie miała jak uciec. - Troćka.

- Prosiłem cię o coś, gnojku?! - Starszy brat cisnął ją z powrotem do wody. Rybę porwał prąd, a może zaszyła się pod jakimś kamieniem, bo zaraz znikła Marlowi z oczu. Kiedy znów spojrzał na Lomara, ten odchodził już ku obozowisku, gdzie czekał na nich ojciec.

- Czekaj! - zawołał mniejszy chłopiec. Ale brat nie odwrócił się, nie spojrzał, nic nie powiedział. Po raz pierwszy lina z ich splecionych myśli stęknęła z wysiłkiem, jakby z obu stron ciągnęła ją para koni. Marlo poczuł, że coś łapie go za gardło i próbuje wycisnąć lzy z oczu. Przełknął je, zabrał obie ryby i poszedł za Lomarem. Musiał go pilnować, bo gdyby ten przysnął gdzieś po drodze, Próba Żywiołów pokonałaby ich i obaj zawiedliby mistrza.

*

Omar siedział przy ogniu, udając, że nie słucha słów ani myśli swoich uczniów. Warzył gorzki quetlijski napar, który odganiał senność, i zdawał się mówić bardziej do kociołka niż do powracających z połowu braci:

- Była sobie raz ryba, która chciała być wężem. Tak przeciskała się między kamieniami, aż stała się długa i cienka. Tak o nie tarła, aż pozbyła się rybich łusek. Nauczyła się nawet wychodzić z wody i pętać po łąkach. Ale robiła to nocą, bo bała się, że w dzień, przy świetle, wszyscy poznają, kim jest naprawdę. Aż raz spotkała samotną żmiję. *Pokaż mi swoje kły* - powiedziała żmija - *to może wezmę cię za męża*. Jednak ryba nie miała przecież kłów, więc zawstydzona uciekła do rzeki, a rzeką do morza, a morzem do oceanu i nikt jej odtąd nie widział. Co roku wiele takich ryb, węgorzy, myśli, że zostaną wężami, ale czeka je tylko wstyd. A wy? - odwrócił się do chłopców. - Chcecie być wężami czy węgorzami?

- Wężami, ojcze! - zawołał Marlo, pokazując swoje ryby. Z radości przez chwilę nie czuł zmęczenia.

- Dobrze. A twoja ryba, starszy synu?

- Nie jestem już dzieckiem, ojcze! - Im więcej dumy zziębnięty Lomar próbował włożyć w swój głos, tym bardziej brzmiał on płaczliwie. - Po co mi te zabawy z łapaniem ryb? Chcę się szkolić, a ty nie pozwalałeś mi na to tyle lat, bo musieliśmy czekać, aż ten smark dorośnie!

- On potrzebował brata.

- Ale ja nie! Przez niego straciłem kilka lat. Gdybyś mnie szkolił, byłbym już całkiem dobry. Może nawet nie byłoby mnie już tutaj.

- To bardzo możliwe, Lomarze, że już by cię tu nie było. Bardzo możliwe, że byłbyś już martwy. Ale ja szkole w was, ty szkolisz Marla, a Marlo ciebie.

- On mnie? Niby w czym?

- A choćby w tym, jak łapać ryby.

*

Wieczorem Ojciec-Słońce rozciął żyły upolowanym zwierzętom i ich krew oblała niebo na zachodzie, a Marlo dalej kraśniał z dumy, że on też może być mistrzem dla Lomara. A ten siedział na wyciągnięcie ręki i nawet gdyby nie czuł radości młodszego brata myślą, musiałyby ją widzieć jego mętne, niewyspane oczy. Ale one jak na złość krążyły po całej polanie, zatrzymując się co chwilę na mistrzu, który przykucnięty na wprost chłopców rozniecał ogień. Tylko Marla mijały.

- Kiedy Panowie Żywiołów zabili już wszystkie dziwostwory - opowiadał ojciec - gdy stworzyli ludzi i wszystkie zwierzęta, jakie żyją do dziś, usiedli jak my teraz, aby naradzić się, co udało im się najlepiej. Początkowo długo nie mogli dojść do zgody. Erh mówił, że najwspanialszym stworzeniem jest kret, Agni, że lew, Chlu, że ryba, a Puf, że ptak. I długo nie mogli się pogodzić, choć bardzo tego pragnęli. W końcu Erh tak powiedział:

Żadne z tych stworzeń nie jest doskonałe. Lew ma w sobie zbyt wiele Ognia, ryba za dużo Wody, ptak Powietrza, a nawet mój kret kocha tylko Ziemię. Znajdźmy stworzenie, które ma wszystkie po trochu. Tylko ono będzie doskonałe, tak jak my wszyscy razem. Bo powiedzcie sami, czy któryś z nas stworzyłby świat sam, bez pomocy braci?

Bogom spodobały się mądre słowa Pana Ziemi, dlatego przywołali wszystkie stworzenia, jakie tylko żyły. A gdy gnąc karki przed Żywiołami, zgromadziły się na polanie, czterej zdumieni

bracia zrozumieli, że żadne z nich nie jest doskonałe. Już mieli je zniszczyć i stwarzać życie na nowo, gdy Chlu zobaczył małą trójkątną głowę węża wystającą zza kamienia...

Ojciec coraz częściej opowiadał chłopcom historie o wężach, a one wpadały w ich zmęczone umysły i tonęły. Gdy Marlo - tylko po to, by nie zasnąć - próbował przypominać je sobie od początku do końca, nigdy tego nie potrafił. A jednak zapytany szybko znajdował właściwą odpowiedź, zupełnie jakby tkwiła w nim zawsze i wystarczyło ją przywołać.

- Czym są pragnienia? - pytał na przykład mistrz.

- Kamieniami na drodze - mówił chłopiec. - Węże nie mają pragnień, tylko instynkt. Tak samo my nie myślimy o sobie, tylko o naszej powinności.

- Czym jest skromność?

- Cnotą węża - odpowiadał uczeń. - Wąż poluje rzadko, a najedzony wolno, w ukryciu zbiera siły przed kolejnymi łowami. Tak samo my przez całe lata będziemy kryć się w królewskich lochach, zanim powinność nie każe nam szukać żeru.

- Czym są zaszczyty?

- Dymem na wietrze. Wąż nie pragnie, by nazywano go królem zwierząt, choć nikt na to bardziej nie zasługuje. Tak samo my nie będziemy szlachetni ani czcigodni, a jednak bez nas nie obędzie się żaden władca.

- Czym jest ostrożność?

- Mądrością węża. Nie chce, by go widziano i zapamiętano. Odkrywa się tylko po to, aby zabić i znów zniknąć. Tak samo my nigdy nie będziemy służyć więcej niż raz w jednym kraju dla jednego władcy.

Słuchając opowieści mistrza, Marlo wiele razy myślał ze zgrozą o własnej bezradności. Węże umieją przecież zabijać, jak tylko wyklują się z jaj, a gdyby nie ojciec, on dalej byłby bezradny, nieszczęśliwy i całkiem pozbawiony instynktu. Znów zobaczył siebie skulonego w ciemnej jamie, nad którą szalał ogień, na plecach czuł pot, a w nos wciskała się woń dymu. Był niczym wąż w jajku albo człowiek w grobie...

- Nie umieraj, Marlo! - usłyszał raptem krzyk Lomara. Potrząsnął głową, znów usiadł prosto.

- ...Bo czym jest doskonałość? - ojciec kończył opowieść. - Jest zgodą Żywiołów. Gdy Woda zgasi w kimś Ogień, będzie nieśmiały i zapadnięty w sobie, z bystrym umysłem, ale bez ducha. Gdy Ziemia uwięzi w kimś Wodę, ogłuchnie na przecucia i będzie tylko zmysłami

szukał pociechy dla ciała, a o umyśle zapomni. Gdy Wiatr wysmaga w kimś Ziemię, będzie rozsądny, ale zagubi mądrość, jego wola stanie się nie przewodnikiem, ale katem ciała. Gdy Ogień rozgrzeje w kimś Powietrze, nie będzie on widział tego, co jest, a tylko to, co chce zobaczyć, bo jego duch zapanuje nad wolą.

Każde słowo mistrza wbijało się w pamięć, choć głowa nie potrafiła ich ogarnąć niczym przepełniony kociołek, do którego ktoś ciągle dolewa wody.

- Co widziałeś w oczach śmierci, Marlo? - zapytał nagle ojciec.

- Siebie, ciebie i Lomara. Wyciągnęliście mnie z jakiegoś dołu, a wokół paliły się domy i leżeli martwi ludzie. Nie wiem, co tam robiłem.

- Tak myślałem, że kiedyś o to zapytasz. Dawniej miałeś innego ojca i braci, Marlo. Miałeś też matkę i siostrę. Zabili ich zbójcy, a ciebie jednego Lomar znalazł przy życiu.

- Ojciec, ale to nie był on. To ty mówiłeś wtedy *czulem*. Ty mnie wyciągnąłeś z... - chłopiec urwał i spojrzał na brata. - Nie umieraj! - krzyknął, uderzając go lekko dłonią w policzek. Nagle cofnął się przestraszony. Starszy chłopiec był coraz zimniejszy. Stygł jak trup.

- Nie umieram - syknął Lomar. - Zostanę wężem, choćbym miał cię zabić, smarku.

*

Przez całą noc Lomar drżał, ale nie umierał ani razu. Nieraz gubił jednak myśl brata i musiał patrzeć, czy w jego oczach odbija się blask ogniska, czy przesłaniają go coraz cięższe powieki. Utrzymywanie myśli Marla męczyło go i wystarczała chwila nieuwagi, a zrywały się jak ryba ze zbyt poluzowanej wędki. *Mistrz nie wzięłby mnie na naukę bez powodu. Nie dałby mi imienia* - powtarzał sobie i mocno w to wierzył. Aż spotkał Marla, któremu przychodziło to jak innym plucie i sranie! Lomar musiał udawać, kryć się przed małym smarkiem ze swoją słabością. To bolało. No ale trudno konkurować z takim boskim wypierdkiem, skoro nawet ojciec oszalał na jego punkcie, zanim go jeszcze zobaczył.

- Czujesz? Czujesz? - pytał niby pies, co wywęszył sukę, biegnąc przed laty między płonącymi chatami i ciągnąc Lomara za sobą.

- Tylko smród - prychnął wtedy chłopiec i to była właśnie ta zła odpowiedź.

- Tak, ty nie czujesz - westchnął mistrz. - Trudno, jesteś dopiero moim pierwszym uczniem.

Ale kiedy już wyciągnęli tego gnojka z ciemnej dziury pod podłogą, obaj cofnęli się przed lękiem malca, który niczym ręka topielca na oślep próbował chwycić się umysłu swego przyszłego ojca.

- Poczekamy z Próba, aż on będzie gotowy - rozkazał Omar, niechętnie odrywając wzrok od zasmarkanego dzieciaka, w którym czuł węża, a jego pierwszy uczeń przede wszystkim odór strachu i gówna.

Chłopak długo dusił w sobie niecierpliwość, aż w końcu doczekał się swojej Próby, początku prawdziwej nauki węzowego fachu. A jednak doczekał się za późno, bo zazdrość zaczęła go łamać. Może jeszcze rok wcześniej ścierpiałby wszystko, teraz już nie potrafił. Coś w nim pękło...

I znowu, ale już nie we wspomnieniach, tylko teraz, tuż obok! To myśl Marla wysmyknęła się z umysłu Lomara. Tfu, pluje Chlu, nie czuł jej, kiedy była, a jednak poczuł, gdy uciekła! Już podnosił rękę, żeby zdzielić młodszego brata, gdy naraz jeszcze większy chłód ogarnął jego ciało.

- Nie umieram - usłyszał.

Widać smarkowi dobrze zrobił gorzki napar z quetlijskich ziół, który ojciec kazał im wypić po południu. Starszy uczeń chętnie napiłby się go znowu. Wzmacniał i oszukiwał ciało. Ale duch, umysł i wola naprężone do ostatnich granic i tak gięły się, prawie łamały. Szaleństwo było blisko, śmierć tylko o krok dalej, a oni musieli wytrzymać tę ostatnią noc.

Lomar zamarzyłby pewnie, gdyby nie grzał go gniew. Patrzył wściekle na młodszego brata pocącego się z żaru, jakby na złość w ciele Marla było gorące południe, choć dla niego tej letniej nocy niespodziewanie nadeszła zima.

- Lomar? - odezwał się naraz gnojek.

- Cz-czego chc-cesz? - zęby szczękały nieposłuszne.

- Dlaczego już mnie nie lubisz?

Jak śmiał jeszcze o to pytać?! Na rozkaz mistrza trzy... nie, prawie cztery lata Lomar opiekował się nim, bawił, uczył, prawie że tyłek podcierał. Teraz cierpi, marznie, duch w nim gaśnie, krew zamienia się w lód. Nie ma siły, by uderzyć, nie ma mocy, by kłamać, no i nie jest jeszcze wężem, by wysliznąć się i ukąsić, a potem bezszelestnie zniknąć w trawie.

- Przypałętałeś się - powiedział. - Powinieneś zdechnąć, a żyjesz. Ja sam wybrałem mistrza. Byłem małym złodziejem w Ozdze, miałem tyle lat, co ty teraz. Kiedy go zobaczyłem,

od razu odgadłem, że jest wężem. Nie wiem dlaczego. Podszedłem i zapytałem: *Wyszkolisz mnie, panie?* A on powiedział, że tak, i wziął mnie ze sobą. Dla niego za... - urwał i zadrżał od jeszcze większego gniewu. - Dla niego robiłem wszystko, byle też zostać wężem. Wtedy pojawiłeś się ty i mistrz kazał mi zaczekać, aż podrośniesz i też będziesz gotowy. I co? Teraz mówi, że jesteś lepszy ode mnie! - Ze złością splunął w ogień.

- Ojciec nie powiedział, że jestem lepszy. - Ton głosu Marla był ciepły i spokojny. Jak sen, na który obaj nie mogli sobie pozwolić.

- Nie jesteś lepszy! Jesteś jeszcze smarkiem, ale nie będę już na to zważał. Będę najlepszym wężem, czy to się wam podoba czy nie!

- Będziesz, Lomar.

- A żebyś wiedział!

Starszy brat dorzucił drew do ogniska i żywszy płomień oświetlił mu twarz. Była zacięta i wściekła, jeszcze bardziej niż jego słowa.

- I ja chcę być wężem - powiedział poważnie Marlo. - Razem będziemy wężami.

- Wężę też się pożerają. Nie pamiętasz, jak ojciec to mówił? Jeśli tak będzie trzeba, to cię zabiję. I ty zrobiłbyś to samo, gdybyś nie był takim gnojkiem.

Lomar czekał, aż chłopiec się rozplacze. Ale on powstrzymał łzy i...

...I w tym momencie Marlo ujrzał samego siebie stojącego w jakiejś górskiej jaskini z odciętą głową brata w dłoni. Chciał ją rzucić na ziemię, jednak nie potrafił, bo powietrze wokół zgęstniało jak bagno, a mięśnie zmieniły się w skałę. Zaczął mrugać i potrząsać głową, żeby sen - skoro już ma go dopaść - to przynajmniej nie z tą wizją przed oczami. Ale kark był sztywny jak pień. Chłopiec uniósł rękę - szła do góry dwa razy wolniej, niż jej nakazał.

Wizja zniknęła tak nagle, jak się pojawiła. Zobaczył Lomara, który próbował wstać, ale jego stawy też zgrzytały przy każdym ruchu jak kra na rzece, jak nóż ostrzony na kamieniu. Chłopiec poczuł się niczym w swoim śnie, gdy siedział w jamie osaczony przez Żywioły i brakowało mu odwagi, nawet by marzyć o wyjściu. Siedział, ze strachu posikując pod siebie, a jeśli czegoś pragnął, to tylko by nic się nie zmieniło, żeby nie było straszniej i gorzej. I jak w swym śnie ujrzał naraz twarz mistrza oświetloną ogniem.

Ojciec polał ognisko wodą z bukłaka i wszystko, cały świat zniknął w ciemności.

- Chodźcie. Już czas umierać - powiedział Omar.

II

Mistrz długo prowadził nas przez nocny las pełen głosów i cieni. Nasze zmysły i myśli były jak obite plecy, którym nawet lekki dotyk zdaje się torturą. Uciekająca mysz kołysała ziemią jak tabun galopujących koni, lot sowy huczał niczym nadchodząca burza, słyszałem nawet pelzającego węża i pająka - jego młodszego brata, wolno kroczącego po liściu.

Wreszcie przybyliśmy na miejsce, na rozległą polanę otuloną wstającą właśnie mgłą, gdzie po obu stronach samotnego grabu czekały dwie świeżo wykopane jamy. Ojciec wskazał je nam.

- Odpocznijcie - powiedział.

Wystarczyło, że się położyłem, a sen dopadł mnie jak długo czatujący drapieżca. Ledwie słyszałem, jak mistrz kładzie nade mną gałęzie i przysypuje je ziemią. Ocknąłem się na moment, gdy kilka grudek spadło mi na twarz. Ale potem już nic nie słyszałem, nic nie czułem.

Duch opuścił moje ciało. Uciekł na całą noc, dzień i jeszcze noc. A może nawet na dłużej. Nie wróciłby pewnie, choćby mną potrząsano. Zapadłem w sen, tak jak z ulgą umiera ktoś długo męczony, tyle że ja w końcu wstałem. Jak zwykle o świcie... Ale to nie był zwykły świt!

Patrzył na mnie nie jasny Ojciec-Słońce, ale czarna, okrągła tarcza tylko na brzegach połyskująca wątlym światłem. Wyglądała jak puste, martwe oko ślepcy.

- Nie bój się, Marlo. Będę cię prowadził - usłyszałem. Myślałem, że to homar, ale nie, koło mnie stał pająk.

I nie bałem się, choć był wielki jak pies. Miał białe oczy i czarne futro. Chciałem go pogłaskać, ale czułem, że on sobie tego nie życzy. Nie był moim pająkiem. To ja byłem jego człowiekiem.

Poszliśmy razem przez dziwną łąkę porośniętą niską trawą, z której raz po raz błyskały małe oczka ni to myszy, ni to gnomów. Biegały na dwóch łapach zupełnie jak ludzie, ale całe były obrośnięte futrem.

- Złap jednego! - rozkazał pająk, a kiedy to zrobiłem, mój przewodnik wydarł mi to puszyste, drżące stworzenie z rąk, ukąsił i zaraz wyssał. Została tylko miękka skóra, w sam raz na jedną rękawicę. Zrobiło mi się żal zwierzęcia, bo było bardziej do mnie podobne niż pająk.

- Pożarłem twoją dumę - wyjaśnił. - Teraz złap tamto - wskazał włochatym odnożem.

- Nie chcę - powiedziałem.

- To nie pójdziemy dalej.

Jego oczy nie były już białe. Poszarzały, w końcu znikły w czerni reszty jego ciała.

Pająk pożerał kolejne stworzenia, które mu przynosiłem, a im bardziej ich żałowałem, kiedy piszczały i wyrzywały mi się z rąk, tym czułem się lżejszy, gdy już umarły.

Potem mój przewodnik zaprowadził mnie do skał, na których wygrzewały się cztery węże. Ich głowy uniosły się i spojrzały na mnie. Jeden miał oczy czerwone, drugi niebieskie, trzeci białe, czwarty czarne jak ziemia.

- Twój duch jest Ogniem, ciepło grzeje wolę.

- Wola jest Powietrzem, wiatr porusza myśli.

- Myśli są Wodą, co ożywia ciało.

- Ciało jest Ziemią: skalą albo błotem.

Kiedy każdy powiedział mi swoją naukę, podpełzły do mnie i złapały się pyskami za ogony. Pająk zniknął i stałem sam w środku żywego, obracającego się koła, aż Ślepiec zamknął oko...

*

Witaj, wężu Marlo! Witaj, wężu Lomarze!

- Witaj, ojcie - powiedział Lomar.

Dlaczego tak krzyczysz? Powitaj mnie jak wąż - dopiero w tym momencie pojęli, że mistrz nie zwraca się do nich głosem, ale myślą. Marlo już nieraz słyszał myśli ojca albo brata, ale dotąd tylko budziły fragment pamięci lub przynosiły jakieś uczucie. Nigdy nie przemawiały.

Spróbował odpowiedzieć i udało się.

Kogo spotkałeś? - zapytała myśl mistrza.

Pajęka - tak samo odrzekł chłopiec.

A ja węża! - poczuł radość Lomara.

Pająk to młodszy brat węża. Prowadził więc młodszego brata.

Wracali do obozowiska. Był wczesny poranek, rosa przyjemnie zwilżała ich bose stopy. Las tętnił swymi zwykłymi głosami. Choć słyszeli je równie wyraźnie jak podczas ostatniej nieprzespanej nocy, to już nie grzmiały nieprzyjemnie w uszach. Marlo czuł się lekko jak ktoś, komu zdjęto z pleców przygniatający go ciężar i każdy krok wydaje mu się teraz podskokiem. A

te wszystkie zapachy wokół! Obaj chłopcy czuli je mocno niczym wilki po zimie.

Przy wygasłym ognisku czekały na nich jęczmienne placki zawinięte w liście, ale ojciec nie pozwolił ruszyć jedzenia, póki nie zmyją z siebie brudu.

- Wykluliście się, młode węże - odezwał się w końcu na głos, kiedy nasycili pierwszy głód. - Opanowaliście Żywioty, wyostrzyliście myśli i zmysły. Dopiero teraz naprawdę zacznę was szkolić.

- Dlaczego on pierwszy? - zapytał naraz Lomar.

- Co on pierwszy? - zdziwił się mistrz.

- Dlaczego on wykluł się pierwszy? Czemu jego najpierw powitałeś?

- Cóż za głupie pytanie, mój synu? Gdy samica węża złoży jaja, gdy da je w opiekę Erhowi i Ojcu-Słońcu, też któryś młody wąż wykluwa się pierwszy. Dlaczego? Może dlatego, że Erh zaskrobał w jego skorupę: *Drap, drap, wykluj się, młody wężu*. A może dlatego, że Ojciec-Słońce mocno przygrzał mu koniec ogona? Pytaj się Ziemi i Słońca, jak jesteś ciekaw, wężu Lomarze!

- Pytam ciebie, ojcze. To ty decydowałeś, nie bogowie.

- Takiś pewny? Hmm, niech sobie przypomnę... Może pomyślałem sobie, że on nie chce już być młodszym bratem?

- Ale ja i tak jestem młodszy - wtrącił przestraszony Marlo. Czy ojciec nie widzi, że zamiast pogodzić, tylko jeszcze bardziej skłóca go z Lomarem?

- Nikt cię nie pyta! - warknął ten.

- Strasznie jesteś dziś rozgniewany, synu. Nic ci już nie powiem. Idź na polanę i pytaj bogów. Jak ci odpowiedzą, możesz do nas wrócić.

Chłopak zrozumiał, że nie warto się kłócić. W końcu jest już wężem, słyszy myśli - ojciec dotrzymał obietnicy. Ale mistrz Omar nie pozwolił przygasnąć jego zazdrości.

- Ja nie żartuję, starszy uczniu! - powiedział. - Idź na polanę i pytaj bogów. Już!

Marlo nie odezwał się już nawet jednym słowem, ale to właśnie jego dosięgło złe spojrzenie Lomara.

Dlaczego mnie nie lubisz? - zapytał myślą młodszy brat.

Bo jestem wężem, smarku!

Leżeli w trawie przyczajeni, niewiele nawet myśląc do siebie. Leśna mysz szarpała się na uwięzi z króliczego jelita, mało nie urwała sobie ogona. Wąż był blisko, jego rozdwojony język czuł już smak uczty, którą przyszykowali mu ludzcy bracia spragnieni nauk.

Milczeli. Choć wąż nie ma uszu, jednak wszystko słyszy, więc nawet nierozważne słowo czy najmniejszy hałas mogły obrzydzić mu wieczerzę. Ojciec wytłumaczył chłopcom, że wąż jest głuchy na słowa i dźwięki, ale czuje każdą myśl - boga, człowieka, zwierzęcia, wiatru czy nawet rośliny. Dlatego jest mądrzejszy od innych istot, bo głosem łatwo okłamać, a myślą prawie nie sposób. Na to trzeba być innym wężem.

Przybądź, nauczycielu.

Przybądź, nauczycielu! - powtórzyły umysły chłopców.

Mała głowa i oczy ciemne niczym nocne niebo wyjrzały z trawy, dostrzegły zdobycz. Podpełzł wolno, jakby wcale nie czuł głodu, a tylko był ciekaw, co to za stworzenie tak podskakuje przy wbitym w ziemię patyku. Marlo bał się, że za chwilę mysz wpadnie na pomysł, że może przegryźć swoje więzy, a nauczyciel odejdzie urażony. Jednak na jego widok skuliła się i zamarła. A wąż patrzył, co chwilę wysuwając język. Oglądał jej uszy, nos, wąsy... Uderzył nagle. Chłopiec mógłby przysiąc, że mysz nie żyła już, zanim nauczyciel ją dotknął.

Ojciec odciął jej więzy dotąd przywiązane do patyka, aby wąż mógł połknąć królicze jelito razem z ogonem ofiary. Czekali długo, aż przyjmie cały podarek i odejdzie.

- Widzieliście, jak zabija? - zapytał mistrz, kiedy wracali do obozowiska.

- Ma jad w zębach - powiedział Lomar.

- Nie mów tego, co wydaje ci się, że wiesz, tylko to, co widziałeś. Jad węża wcale nie jest w jego zębach. Patrzyliście dobrze, jak uderza? Jad i siła jest w oku. To ono zabija, a ząb tylko sprawdza, czy oko dobrze trafiło. W spojrzeniu węża jest śmierć, jest duch Pomór, Powietrze, które zabija myślą. A widzieliście, jak nauczyciel szedł do nas? Płynął jak woda wylana na trawę. Bo skórę ma z Wody, Powietrze w oku, a język z Ognia.

- A co wąż ma z Ziemi?

- Dobre pytanie, Marlo. Ziemią staje się to, co wąż pożre.

*

Marlo rósł, ćwiczył i uczył się naśladować węża. Myślał jak on i tak też walczył. Tylko jego przeciwnikiem nie była mysz przywiązana za ogon do patyka, ale Lomar, który słuchał tych samych nauk, wciąż był większy, silniejszy i szybko odkrył, jak jego brata drażni zgrzyt metalu i kamienia, jak łatwo odbiera mu spokój i koncentrację. Pod okiem mistrza stawali do walki na długie kije udające włócznie, krótsze naśladowujące miecze i te najkrótsze - sztylety. To w przyszłości miała być ich najgroźniejsza broń, najbardziej podobna do węzowych kłów, którą łatwo obrócić nagle w dłoni i zadać cios najmniej oczekiwany. Marlo na początku odruchowo cofał się albo zamykał oczy, potem przywykł już patrzeć nie na broń, ale w źrenice brata, jednak nie potrafił w jednej chwili zajrzeć mu także w umysł. Dlatego ciągle to on obrywał kijem.

- Ucz się od węża - powtarzał mistrz. - Nie od wojowników spod Omm, o których wam opowiadałem. U nich mniej chodzi o to, który celniej uderzy, a bardziej, kto się pierwszy zmęczy. Ci, co przeżyją, opowiadają potem niestworzone bzdury o swoich mieczach, jakie one ostre i ile śmierci zadały. Żaden z nas nie uderza, żeby bić, tylko aby zabić. I oczy, Marlo, oczy! W twoim oku jest jad, jest śmierć. To ono uderza, a broń tylko sprawdza, czy trafiło. Patrz też w oczy wroga. W nich jest jego myśl - miękka jak brzuch jeża. Oczy go zdradzą. Musisz tylko szybko patrzeć.

Z kolei Lomar złościł się nieraz, że nie ma przeciwnika, który mógłby go czegoś nauczyć.

- Masz mnie - mówił mistrz i chłopiec w jeden oddech leżał posiniaczony na ziemi. - Nie, już lepiej ćwicz z Marlem.

Od Święta Pufa prawie do Święta Chlu chłopcy co rano łowili ryby, potem walczyli, słuchali nauk ojca i przed nocą rozpalali ogień. Kiedy szła już zima, mniej było walki, a więcej opowieści, chodzenia po lesie i sprawdzania króliczych pułapek. Wtedy też gniew nieco stygł w sercu Lomara i zasypiał do wiosny jak wszystkie węże. Ale budził się, gdy tylko Ojciec-Słońce zaczynał chodzić na dłuższe łowy, a Chlu oddawał Pufowi władzę.

Wstał właśnie jeden z tych pachnących jeszcze zimą poranków. Mistrz był na polowaniu, a chłopcy mieli zająć się drewnem. Przygotowali jednak już cały stos, a ojciec ciągle nie wracał.

- Rozgrzejemy się! - rozkazał naraz Lomar, biorąc długi kij.

Stanęli naprzeciw siebie o pół długości broni. Marlo pomyślał wtedy, że pierwszy raz walczą sami i nikt ich nie widzi. Tak, kiedyś nieraz tłukli się w lesie czy nad strumieniem, ale to były jeszcze wesole bójki chłopców, nie prawdziwa walka. *Lomar, nikt nie zobaczy twojego zwycięstwa* - pomyślał młodszy brat, czekając na cios. Dobrze, jeśli zdąży odbić choć jeden...

Ale Lomar nie uderzał. Unosił kij, jednak dziwnie wolno - niczym mistrz pokazujący chłopcom, jak atakować i się bronić. Marlo zajrzał w oczy brata i zobaczył w nich swoją lewą dłoń. Uchylił się, uderzył od dołu w lewo. Kij Lomara wystrzelił w powietrze i upadł na ziemię dobre pół oddechu później niż on sam.

- Nikt nie zobaczy mojego zwycięstwa?! - zawołał naraz starszy chłopak.

Dopiero teraz poczuł myśl młodszego i tym bardziej był nią rozszokowany. Poderwał się i złapał wpół chłopca, który stał przestraszony własną wygraną, nie pamiętał nawet, że dalej ma w ręku pałkę. Silniejszy brat zresztą szybko mu ją wyrwał i zaniósł niedawnego zwycięzcę nad ognisko ćmiące wilgotnym dymem.

- Nic nie powiem ojcu! - krzyczał Marlo. Kopał, lecz nie trafiał, a dym gryzł w oczy i tamował oddech.

- Gnojek! Mistrz wziął cię, bo własna matka wsadziła cię do nory, żebyś w niej zdechł.

- Nieprawda!

- A prawda! - odparł rozwścieczony Lomar.

I wędził brata tak długo, aż ten przyznał mu rację i powtórnie obiecał milczeć. Zanim wrócił mistrz, chłopiec zdążył umyć odymioną twarz, ale czerwone oczy i osmalone włosy zostały. Ojciec nie mógł ich nie dostrzec. Nie mógł też nie poczuć myśli, o czym Lomar zapomniał wcześniej w złości, a Marlo w strachu. Jednak nic nie powiedział.

III

Usłyszysz jeszcze, panie, takie rzeczy, że zapragniesz płakać nade mną, jednak ja sam nigdy nie cierpiałem bardziej niż w tych młodych latach, kiedy mój ukochany brat stał się moim najbliższym wrogiem. Nie mogłem nic poradzić, że obwinia mnie za to, za co nie śmiał winić mistrza i samego siebie. Niczego tak nie pragnąłem, jak przewrócić go na plecy, natrzeć mu głowę piachem i wykrzyknąć:

- Obudź się, głupcze! Jesteś moim starszym bratem. Nigdy ci nie dorównam. Czy to jasne? Po czymś takim mogłoby być między nami jak dawniej. Ale nie było. Miało już nigdy nie być.

Mijały lata - długie lata chłopca pełne krótkich dni wypełnionych ćwiczeniami albo opowieściami naszego ojca i mistrza. Moje ciało zapamiętywało zwroty i upadki, a umysł uczył

się, czym jest harmonia. Dowiadywałem się coraz więcej o ludziach, których nigdy nie widziałem, i o sobie, boleśnie stykając się ze słabością moich myśli i wątlnością ciała. Miałem już ze dwanaście lat - jak homar w dniach Próby, ale on nie czekał, rósł i nadal był ode mnie lepszy we wszystkim. Myślałem wtedy, że jestem najbardziej nieudanym wężem, jaki pelza po świecie, i nikt temu nie chciał zaprzeczyć. Nie mogę powiedzieć, aby mój ojciec był złym, niesprawiedliwym mistrzem. Nie, on cały był harmonią Żywiołów, którą podziwiałem i bardzo pragnąłem naśladować.

Jednak zmieniło się coś. W nas wszystkich. W niebie, na ziemi, w ludziach i bogach. Mój ojciec Omar stał się surowym nadzorcą, a mój towarzysz, mój brat homar - rywalem. A ja byłem Marlo - mały Marlo, smark Marlo, gnojek Marlo, głupi Marlo...

Choć istniało coś, co karmiło mnie przewrotną nadzieją. W tym czasie mistrz zaczął zabierać nas na jarmarki do pobliskich wiosek w Addli oraz Maud. Początkowo jak zwierzę, które obwożą w klatce, z lękiem patrzyłem na te - jak mi się wówczas zdawało - niewiarygodne tłumy ludzi. Ale podobnie jak uwięziona bestia poczułem wkrótce, że to raczej oni powinni się bać. Chodzili przede mną jak nadzy, z wszystkimi myślami na wierzchu. Mogłem je łapać i plątać, a oni nawet nie byli tego świadomi. Mogłem je przedrzeźniać jak kos kruka, mogłem wśliznąć się i być jednym z nich, codziennie innym.

Najbardziej śmieszyły mnie dzieciaki w moim wieku radośnie biegające od kramu do kramu i pożerające oczami to wszystko, czego nie mogli kupić ich rodzice albo czego same bały się ukraść. Widziałem w nich ciekawość świata i nowych ludzi, choć co dzień spotykały ich więcej niż ja dotąd przez całe życie. A jednak nie było w tym człowieczym mrowisku niczego ciekawego, każdy był podobny do każdego i wystarczyło spojrzeć, by odgadnąć, czym jest i czego pożąda.

O, na przykład przy kramie z tkaninami zatrzymuje się kobieta w taniej, ale kolorowej tunice i widać, że nie odejdzie, póki czegoś nie kupi. Jest czystym Ogniem gotowym spełnić każdą swoją zachciankę, nie pamiętając zupełnie, że każda nowa szmatka zawsze cieszy ją tylko przez chwilę, po czym staje się równie nędzna jak wszystkie, które już ma.

Podchodzi druga, lecz ta jest Wodą - będzie długo myśleć, zanim cokolwiek kupi, na tyle długo, że mały, chudy złodziej prędko jak wiatr dokładnie opróżni jej sakiewkę... My jesteśmy już daleko, a ona dopiero teraz orientuje się, co zaszło, i krzyczy:

- Złodziej! Złodziej!

Pamiętam też dobrze kram z nożami, którymi handlował gruby kupiec o wielkich, mięsistych wargach bezwstydnie odsłaniających popsute zęby, gdy tylko coś mówił. Był Wodą uwięzioną w Ziemi, myślą skrytą w ciele, tęnym zwierzęciem gotowym cały dzień uganiać się za zapachem samicy. Lomar złowił na chwilę jego spojrzenie i wepchnął mu w głowę obraz przechodzącej akurat wieśniaczki, tyle tylko, że nagle pozbawionej spódnicy. Widziałem, jak mężczyźnie zaczerwieniła się gęba i jak zaczął przetykać ślinę niby pies na widok nieogryzionej kości.

A mistrz szedł przed nami, niczym wprawny przewoźnik przeprowadzając nas przez tę ludzką rzekę. Nic nie mówił, niczego nie objaśniał. Pozwalał, abyśmy sami się przekonali, jaki to słaby i niegroźny jest ten piąty, ludzki Żywioł. I jaki łatwy do pokonania, zarazem wystarczająco obrzydliwy, abyśmy nie żalowali, że nie jesteśmy już jego częścią.

*

Dochodziło południe. Las nasłuchiwał, czekając w ciszy, aż Ojciec-Słońce odpocznie chwilę i ruszy na dalsze łowy. Ale Marlo słuchał tylko, czy gdzieś w pobliżu nie przemknie myśl brata. Ojciec dał im nowe ćwiczenie - rankiem rozdzielili się i każdy miał iść w inną stronę, a potem wytropić drugiego.

- Kto ma być łowcą, a kto zdobyczą? - zapytał Lomar, jakby nie było to i tak oczywiste.

- Nie wiem, synu. Nigdy nie wiesz do końca, czy to ty gonisz, czy gonią ciebie.

Więc ruszyli. Prawdziwy wąż słyszałby w lesie kłębowisko myśli wszystkich stworzeń, ale Marlo nie był tak dobry jak nauczyciel. Mógł wyłowić tylko te, które wołały najgłośniejszym głosem. Sam starał się uspokoić umysł, nie zostawiać snujących się niewidocznych śladów własnego lęku. Kluczył dobrze, skoro aż do południa wkoło była cisza. Przerwał ją bezgłośny płacz. Chłopiec przypadł do ziemi, zamarł. Czyżby brat uciekł się do podstępów, aby go przywabić? Jednak cierpiący umysł wołał go coraz silniej, coraz prawdziwiej. Może Lomarowi coś się stało? Marlo ruszył śladem myśli.

- Lomar! - zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Ale natarczywy obcy ból nie zmienił się ani trochę. Chłopiec nie musiał nawet bardzo wyęzgać umysłu, żeby znaleźć jego źródło. Ale patrząc na nie, długo nie mógł uwierzyć.

Na ziemi pod młodą buczyną leżał na grzbiecie czarny pająk wielkości połowy kciuka. Choć był przecież młodszym bratem węża, teraz ani trochę nie wyglądał jak zabójca. Marlo przypomniał sobie przewodnika ze swojej wizji i zapragnął jakoś pomóc zwierzęciu. Nie wiedział jednak, co mu jest, a bał się niechcący je skrzywdzić. Nagle oprócz bólu poczuł w głowie słabą nitkę innej myśli. Po chwili zaczęła rozsnuwać się w dziwaczną modlitwę.

Chlu, Woda, krew - słyszał Marlo. - Niech się wzburzy, niech napelni, uuuuu! Niech przygasi Ogień! Niech napelni, niech napelni, niech rozedmie, niech pęknie ciało!

Chłopiec wytrzymał wzrok. Skurcze pajęczych odnóży rzeczywiście falowały jak rozpierane przez Wodę, która przygaszała w nim Ogień. Życie ledwie się tliło. Wtem na boku pajęczego pancerzyka dostrzegł ryse. Zwierzę z wysiłkiem poruszyło nogami, żeby ją rozszerzyć. Marlowi przypomniało to tamę na strumieniu, którą dawno temu zbudował z Lomarem, gdy byli jeszcze braćmi, nie przeciwnikami. Kamienie i ubita ziemia na prawie cały dzień zatrzymały strumień. Kiedy jednak wrócili tam następnego ranka, trafili akurat na ten moment, gdy nurt zaczął rozrywać ich budowlę. Tak samo rosło pęknięcie na pancerzu pająka, jednak ten wkrótce znów zamarł. Ale Marlo już teraz wiedział, że tylko zbiera siły.

Agni, Ogień, życie, grzej! Niech grzeje, niech zbiera siłę, uuuch! O Chlu, Wodo, krwi, wzbieraj, wzbieraj! - Zwierzę powoli wysuwało nogi ze starego pancerza jak jednoręki, który samymi tylko ruchami palców próbuje zdjąć rękawicę. Zginało stawy, po czym rozprostowywało je po kolei. Pająk wyglądał przy tym niczym kwiat, którego płatki poruszają się na wietrze. Tu jednak wiatru nie było, tylko wola życia.

O Agni, daj siłę! O Chlu, tocz krew!

W końcu wyswobodziły się przednie nogi. Były biało-żółte jak chrząstka, jak smarki. Tak przynajmniej pomyślał o nich Marlo, widząc małego drapieżnika obnażonego i bezbronnego niczym on sam niedawno, gdy Lomar pokonał go w walce na kije i kazał bez ubrania przebiec trzy razy wokół obozowiska. Pająk dłuższy czas odpoczywał bez ruchu, aż w końcu zebrał się na kolejny wysiłek (*O Agni, daj moc, daj Ogień!*) i odepchnął pancerz.

Teraz jedynie końce tylnych odnóży były uwięzione, a pozostałe zaczęły wachlować brzuch.

O Pufie, osusz Wodę! O Erhu, niech stwardnieję! O Agni, jeszcze, jeszcze!

Wreszcie ostatnie pajęczce nogi były wolne i przyłączyły się do tańca. Cały czas leżąc na grzbiecie, zwierzę prostowało nogi ku niebu (*O Chlu, napelnij! O Agni, daj siłę!*), a potem

kurczyło je, tak że przypominały nabrzmiały na wiosnę pęk wierzby (*O Pufie, susz! O Erhu, niech stwardnieją!*). Wreszcie nagłym ruchem stanęło na miękkich jeszcze nogach i strząsnęło z siebie resztki ciasnego pancerzyka. Rosło - nadal miękkie i galaretowate jak ciasto na biały chleb. Marlo widział takie tylko raz, przed ostatnim Świętem Agniego, ale dobrze pamiętał, bo mistrz właśnie jemu kazał je ugniatać przez cały ranek.

Brat węża z wolna nabierał czerni. Był czysty i lśniący, lecz kulił się jakby zawstydzony i nieprzyzwyczajony do nowych, większych rozmiarów. Gdy wreszcie rozprostował nogi, Marlo zobaczył zdziwiony, że choć jest duży, to bardzo chudy i spragniony żeru.

O Pufie, owiej, osusz! O Erhu, niech stwardnieją szczęki... - Nitki pajęczej modlitwy powoli wysnuwały się z głowy chłopca, nastąpiła w niej cisza, a potem las znów przemówił.

Marlo potrząsnął głową i rozejrzał się. Ojciec-Słońce nie skończył jeszcze polowania, ale schodził już z góry ku zachodniemu obozowisku. Zamiast kryć się przed bratem, chłopiec zmarnował tyle czasu na przyglądanie się ośmionogiemu robakowi! Ale przecież gdyby Lomar miał go znaleźć, to już by tu był, już targał go za włosy albo tłukł kijem. Jednak nie! Bogowie, las i pajak ukryli go, otoczyli pajęczyną, stłumili głosy. Inaczej nie potrafił tego wtedy wyjaśnić. Czuł tylko, że zwierzę umierało, nie tylko by urosnąć, ale też by przekazać chłopcu jakąś naukę.

- Dzięki i chwała Panom Żywiołów - wyszeptał Marlo, choć nie całkiem rozumiał, co pragnęli mu powiedzieć. Chciał podziękować jeszcze słudze bogów, pajakowi, ale ten zniknął już gdzieś wśród trawy.

*

Chłopiec pospiesznie wracał do obozowiska, pragnąc podzielić się z ojcem swoją niezwykłą wizją. Nie czuł się taki lekki i radosny od dnia, gdy przeszedł Próbę Żywiołów i mistrz pierwszy raz nazwał go wężem. Nie bał się Lomara ani nikogo innego. Bo to nie innym, lecz właśnie jemu bogowie już drugi raz odsłoniли część swoich tajemnic.

Kiedy doszedł do spalonego buka, którego zeszłej wiosny dotknął ognistym palcem sam Agni, nagle tak samo jak odrodzony pajak Marlo poczuł, że i w jego ciele wzbiera coraz żywszy ogień, domaga się jada, które będzie mógł spalić. I jak zwykły wiejski dzieciak wracający do domu wyobrażał sobie królika w tłustym sosie, polewkę, pieczoną rybę... Głód upiekł mu nawet placki i przełamał je, aby chłopiec lepiej poczuł ich zapach. O bogowie, to było zupełnie nowe

uczucie i Marlo zachłysnął się nim jak spragniony podróżny, który nagle napotyka strumień. Wie, że źródło nie zniknie, jednak pije łapczywie i radośnie. Nieważne, że krztusi się i zalewa ubranie.

Myśląc o placku, naraz ujrzał w swojej głowie, że wraca do domu - takiego prawdziwego, z ojcem i matką, braćmi i siostrami, gdzie na jego widok wszyscy wybiegają i wołają: *Witaj, chłopcze!*

Chłopcze? Dlaczego nie Marlo?!

Instykt wrócił. Młody wąż zatrzymał się zdziwiony, że las milczy, wietrzy wroga. *Królik, ryba, polewka, placek, dom... Nie boję się brata?... To nie moje myśli!* - zrozumiał chłopiec, ale było za późno. Czyjś płaszcz spadł mu na głowę, zasłonił oczy i zdusił oddech.

Lomar?!

- Wiąż smarka! - usłyszał głos dorosłego mężczyzny.

- Sam nie dasz rady? - zapytał niepewnie inny.

- Wiąż, jak mówię!

Chrupnęły niemal wyłamywane stawy i twarde, raniący skórę rzemień zacisnął się na rękach Marla. Napastnik wiedział, co robi - skrępował mu nie tylko ręce, ale i łokcie. Nawet ojciec nie potrafiłby wydostać się z takich więzów. Wprawna ręka sięgnęła małemu wężowi za pas, za kubrak, namacała nóż.

- Umiesz kasać, co? - Mężczyzna przewrócił chłopca na plecy, aby ciężar ciała zadał wykręconym ręką większy ból. Zdarł płaszcz z jego głowy. - Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Zobaczył nad sobą zarośniętą twarz i świdrujące oczy, z których jedno było brązowe jak u wilka, a drugie zielone jak u kota. Nie było w nich złości jak zwykle u ludzi, tylko drapieżność jak u... węża. Marlo zacisnął powieki i zaczął myśleć o swojej głowie jak o jeżu, którego żadna obca myśl nie zdoła ugryźć. Na czole poczuł krople potu. Tamten zauważył to i zaśmiał się chrapliwie.

- Za późno, wężyku! Za późno, glizdku! Trzeba było pilnować się wcześniej. Zwiąż mu giczoły! - zawołał do kamrata.

Chłopiec spojrzął kątem oka na drugiego z napastników i zaczął do niego myśleć: *Puść mnie, nic ci nie zrobię. Widzisz? Jestem tylko małym dzieckiem...*

Zbój zawahał się, zastygł z rzemieniem w ręce, jakby zapomniał na chwilę, jak się płacze

węży. Obcy wąż dostrzegł to natychmiast. Przyskoczył i uderzył Marla w twarz. Potem wstał i zaczął kopać.

- Nie myśl do niego, gnojku, bo zdechniesz przed swoim mistrzem!

Ciężki but do konnej jazdy trafił w brzuch i chłopiec stracił oddech. Mężczyzna znów narzucił mu swój płaszcz na głowę i zaczął krępować nogi.

- Weź go i zanieś do tamtych - powiedział swojemu kompanowi.

*

Było ich pięciu - czterech zbirów chowających oczy pod kapturami brunatnych myśliwskich płaszczy i wąż o różnobarwnych ślepiach. Gdyby nie on, na pewno nie pokonaliby ojca! Mistrz Omar nawet zaskoczony dałby radę nie pięciu, lecz nawet stu takim zbójcom - tego Marlo był pewien. Ale wąż, który znał ścieżki i myśli innych węży, to inna rzecz. Kim był? Zdrajcą czy może prawym wężem, który po prostu dostał rozkaz, żeby ich zgładzić? Chłopiec zbyt długo żył w lesie, aby nie wiedzieć, że i węże czasem pożerają się nawzajem... No i miał przecież brata, który nieraz go tym straszyl!

Lomar i mistrz siedzieli związani przy węglach dopalonego ogniska. Marla rzucono tuż obok.

- Nie stójcie przed nimi - rozkazał swoim ludziom obcy wąż. - Naciągnijcie mocniej kaptury.

Tak, wiedział dobrze, że przez oczy najłatwiej dostać się do cudzego umysłu, a tamci zbóje nie umieli się przed tym bronić.

- Może oślepmy ich, panie? - zapytał jeden suchym, drewnianym głosem. - Albo choć zawiążmy patrzyły?

- Milczeć! Każde twoje słowo śmierdzi strachem, Ochlej. Zupełnie jakbyś się zesrał. No co? Nie ma co kryć, oni już to wiedzą tak samo dobrze jak ja. Bośmy z jednej gliny, z jednego jajca, czyż nie, Omarze? Chcę widzieć ich oczy. To niezmiernie rzadka rzecz ujrzeć strach w oczach węża, a ja jestem wielkim miłośnikiem osobliwości.

Znali się! Skąd? Tego żaden z chłopców nie mógł wiedzieć.

- Jesteś padalcem, nie wężem, Asso. Co tam padalcem?! Jesteś węgorzem albo i glizdą - odezwał się mistrz cichym, ale wibrującym głosem, jak wtedy, gdy opowiadał chłopcom historie

o bogach i wężach, gdy chciał, aby jego słowa dobrze zapadły im w pamięć. - Sam jesteś osobliwością, skoro przywlokłeś ze sobą cztery trupy. Tak, ludzie, dziś po raz ostatni widzicie Ojca-Słońce.

Poruszyli się niespokojnie. Z chęcią zabiliby mistrza nawet nie z nienawiści, ale z lęku, że to może być prawda. Spojrzeli pytająco na herszta, jednak ten zaraził ich tylko śmiechem. Więc rechotali, mając nadzieję, że udawana wesołość przegna strach. W końcu wąż Asso splunął Omarowi w twarz.

Marlo drgnął. Przymknął oczy, bo nagle poczuł się tak, jakby lepkie bryzgi śliny spadły też na jego policzki. *Tfu, pluje Chlu!* - przeklinają prostacy, wierząc, że jeśli Pan Wody splunie do oceanu, może powstać fala, która zatapia całe porty. Cóż takiego jest w ślinie? Mistrz uczył, że to zwykła wilgoć ciała, która pomaga roztopić pokarm i czuć smaki. W niczym nie jest gorsza ani lepsza od potu, krwi czy żółci. Jednak w tamtej chwili chłopiec miał wrażenie, jakby rzeczywiście splunięcie było zdolne zrodzić wielką falę. Właśnie pędziła zatopić jego świat.

- Cóż, wkrótce będziesz gadał inaczej - powiedział do mistrza obcy wąż. - A wy, malcy, co? Długo jesteście jego uczniami?

Milczeli. Asso podszedł do Lomara i kopnął go w goleń.

- Ty! Jak się nazywasz?

- Skoro taki z ciebie wąż, to wśliźnij mi się do głowy i sam sprawdź - syknął chłopak.

Marlo wiedział, że jego brat nie podda się łatwo. Rzeczywiście, choć kopany w brzuch i bity po twarzy, nie wyrzekł słowa ani nie jęknął. Może nawet w ogóle się nie podda... Tylko czy to w czymś pomoże?

Obcy podniósł Lomara bez wysiłku i rzucił na ziemię tuż koło ojca.

- Chcesz żyć, chłopcze, to napluj mu w gębę. No! - Podniósł go wyżej. Wtedy Lomar szybko podkulił związane nogi, ale kopnął w powietrze, bo Asso zdążył się uchylić.

- Jednak nie chcesz żyć - syknął obcy wąż. Zmrużył lewe ślepię - to wilcze, wdeptując twarz chłopca w popiół wygasłego ogniska. - Ale może drugi smark będzie rozumniejszy. Jak się nazywasz, mały?

Młodszy uczeń leżał bezbronny, nie mogąc walczyć ani uciekać, zupełnie jak tamten pająk zmieniający skórę. A może to nie był prawdziwy pająk, tylko jego przewodnik z wizji? *Niech Woda przygasi Ogień...* - poprosił.

- Marlo, panie - odpowiedział płacząco. - Nie bij już mojego brata.

Lomar spojrział wściekle. Gdyby mógł, toby przyskoczył i zbił go jeszcze gorzej, niż sam oberwał przed chwilą. Ale rzemienie trzymały mocno, więc tylko pluł myślami. Marlo czuł też okrutną radość obcego węża i wyczekiwanie zbirów. Tylko ojciec nic do niego nie myślał. Zupełnie nic. Czekał i obserwował.

Chłopiec spróbował sięgnąć do umysłu Assa, ale zanim tamten to zauważył, wycofał się szybko. Zdążył jednak wyczuć, że herszt skupia się na nim i nie chroni już myśli swoich ludzi. Chciał dać o tym znać Lomarowi, jednak ten cały pogrążył się we wściekłości i niczego nie słuchał.

- Widzę, że ty jeden chcesz żyć, mały. - Kolorowe ślepia wbiły się w Marla. - Bardzo dobrze. Otwórz głowę. Popatrzymy, co tam chowasz.

Myśli małego węża drgnęły przerażone. Nie zdążą...!

Nie myślał już o Lomarze, ze wszystkich sił starał się okryć płachtą strachu tak szczerego i rozpaczliwego, aby Asso przestał uważać go za przeciwnika. Jak żmija, która udaje martwą...

- Otwórz głowę. Już!

...jak pająk, który jest najbardziej bezbronny, kiedy rośnie w nim siła...

- Kiedy się boję, panie... - chlipnął Marlo, na co wszystkie zbiry zarechotały donośnie.

Pamięć przyniosła mu woń dymu palonej wioski i wilgoć podziemnej kryjówki, do której schowali go jego pierwsi rodzice. Przypomniawszy sobie tupot nóg nad głową i rozpaczliwy krzyk kobiety. Rozpłakał się i choćby nawet chciał, nie potrafił już nic powiedzieć. Siedział w śmierzdzącej norze mokry od potu, własnych sików, a może i krwi skapującej przez dziury w podłodze. Drgnął, widząc w szparze oko Assa - najpierw brązowe, a potem zielone.

- To dopiero węża Omar wyszkolił! - usłyszał. - Aż się zeszczął ze strachu!!!

*

Teraz rośnij, duchu, podgrzej moje myśli!

Ciepło gotowe zmienić się w litość, gniew czy każde inne uczucie wzbierało w młodym wężu, a on mógł nim podgrzać, co zechce. Gdyby nie gniotły go więzy, nie wierzyłby, że są prawdziwe. Jego duch był wolny, płonął!

Grzej się w Ogniu, Wodo! Paruj, leć w Powietrze!

Myśli Marla stały się ostre, gotowe zabijać. Wszystkie go słuchały, choć żadna nie była

już jego własna.

Tylko je czuł, jak dobry łucznik czuje swoją strzałę. Wie, czy trafi w cel, zanim zwolni cięciwę.

Stań się wiatrem, wolo! Napelnij mi ciało!

Chłopiec złapał oddech jak nurek, który za długo kusił głębię, ale teraz zbiera siły i jeszcze chwila, a znów będzie mógł rzucić jej wyzwanie.

Stań się skalą, Ziemi! Wypal w Ogniu błoto!

Mięśnie drgały napięte, czekały...

*

Eke Ochlej nie był tchórzem, jednak gdy dowiedział się, że przyjdzie mu polować na węże, chciał machnąć ręką na zapłatę i czym prędzej odjechać. Kompani też nie byli tym ucieszeni, ale złoto bardziej błyszczało im w ślepiach. W ogóle nie podobał mu się ten Pstrooki, choć płacił lepiej niż inni. Napaść kupca, spalić jakąś wiochę czy inaczej dopomóc szlachetnemu słabeuszowi dopełnić rodowej zemsty - to były rzeczy, do których zwykł się najmować. Zajęcia nie brakło i nigdy by nie zbrakło, póki w kraju Addli żyją ludzie honoru. Z węzami nigdy nie miał do czynienia i wołał tego nie zmieniać.

- Jest nas za mało - klarował Eke. - Mówią, że na jednego węża trzeba ze dwudziestu. Z łukami i pikami, a nie tylko z mieczami i toporami jak my.

- Tchórzliwie gadasz, ale mądrze - zaśmiał się tylko Pstrooki. - Trzeba dwudziestu ludzi albo lepszego węża. - I odsłonił tatuaż z gadem wokół królewskiego Lwa. - Damy radę.

Więc pojechali i poszło nader sprawnie. Herszt zaczął od starego, potem wytropili smarkaczy. Lekko poszło. Tylko trza było pilnować, żeby oczami nie zaczarowali.

Gdy już było po wszystkim, Pstrooki wziął tego Omara ze sobą i poszli na polankę oddzieloną od obozowiska tylko małym zagajnikiem. Słysząc było, jak gniewnie o coś pyta, a tamten niespiesznie mu odpowiada. Ale sprawa skończona i pewna. Do rana wyciśnie z niego wszystko, co chciał. Rozpalając ogień, Eke liczył już w głowie pieniądze, które zarobi.

- Panie - odezwał się naraz mniejszy chłopak - daj mi, proszę, wody.

Biedny dzieciak! Pstrooki mówił, że go wypuści, jak będzie po wszystkim, ale Ochlej za długo już żył, aby wierzyć w takie gadanie. Nie zostawia się świadków. Jednak małemu po co to

wiedzieć?

- Pij! - Eke podetknął mu bukłak, ale stanął z tyłu, pamiętając, by ich oczy się nie spotkały. Choć taki smark, jednak waż...

- Niech bogowie ci odpłacą, panie. - Gnojek odsunął głowę i woda poląła mu się na kubrak. - Jesteś dobry. Nie zabijesz mnie, prawda?

- Ja tu nie rządzę. Powiedział, że cię nie zabije, to nie zabije. Słowo to słowo - rzucił opryskliwie zbrojny, ale poczuł, jak coś miękkiego i ciepłego usiadło mu na sercu. - Wiele masz lat? - zapytał po chwili, nie rozumiejąc, po co właściwie przedłuża tę nic niewartą gadkę.

- Może dwanaście, może jedenaście, panie... Skąd mam wiedzieć, ile mam lat, skoro jestem sierotą?

- Niby tak... Ale jedenaście? Mały jesteś. Dałbym góra dziesięć.

- Nie nadaję się na węża. Wstyd mi.

- Eee tam! - Ręka Ekego sama znalazła czuprynę malca i potargała ją wesoło. - Żaden wstyd ratować życie. Też bym tak zrobił.

- Jesteś dobry, panie. Szepnę ci coś, przybliżysz ucho?

- Mały, ja znam się na waszych czarach! - Ochleję ocknął się, miękki ptak puścił serce i uleciał.

- To nieprawda, węże nie znają czarów, tylko chcą, żeby inni w to wierzyli. Ale, panie, chcę cię ostrzec.

- No mów! - Dalej unikając spojrzenia chłopca, usiadł na piętach koło niego.

- Tamten wąż zabije wszystkich. Wiem, bo też mnie tak szkolili. I nas, i ciebie. Ma zaufanego wśród twoich towarzyszy. Powiedział mu pewnie, że jeśli z wami skończy, to dostanie całą zapłatę. Przekonał go, a ten uwierzył. A kiedy to zrobi, wąż zabije i jego. Nie zostanie ślad. Nie zostawia się świadków, tak nas uczą.

- Eee, co ty gadasz? Myśmy już nieraz byli razem w opałach! - Eke chciał wstać rozdrażniony mową tego smarka, ale coś go przy nim trzymało. Spojrzał tylko, czy żaden z kompanów nie podsłuchuje. Nie, Falk i Jovin mówili o czymś cicho, zerkając na większego chłopca, a Gordo szczał odwrócony głową do drzew.

- To umyślnie, żeby rozbudzić ufność. Pamiętasz, jak mój mistrz powiedział, że nie dożyjecie świtu? To prawda, panie. Ja nie chcę umierać! Uratuj się, to może i mnie pomożesz.

- Gówno prawda! - Eke zatkał bukłak i cisnął go na ziemię obok ogniska. Dorzucił drew,

bo ogień zaczął już przygasać. Ale gdy w jego błysku zbior ujrzał przez moment oczy małego, myśli naraz połączyły mu się w głowie w jeden sznurek i zrozumiał, że istotnie nie może być inaczej.

Tylko który? - Ochlej po kolei przyjrzał się swoim kompanom, jakby widział ich pierwszy raz w życiu. Gordo? To on właśnie poznał ich wszystkich z Pstrookim. Może Jovin Quetlijczyk? Ponoć zabił i okradł własnego wuja, więc co mu tam towarzysze! Falk Morda? On jeden nie wyklócał się, żeby podbić zapłatę. Eke musiał to zrobić, żeby mieć pewność. Wyjął sztylet i schował go w rękawie.

- Falk, Jovin, weźcie tego starszego! Zabawimy się z nim w lesie.

- Coś ty, Ochlej?! Herszt zabronił.

- Jakoś go tu nie widzę.

- He, dobra! A Gordo?

- Zawołamy go, jak młodzik już zadek rozewrze. Ktoś musi baczyć, czy Pstrooki nie lezie.

*

Lomar nie spodziewał się po tym gnojku niczego dobrego, ale że Marlo wykorzysta zbiorów, by się na nim zemścić, nie mieściło mu się w głowie. Tak, nienawidził smarka i ten dobrze o tym wiedział, jednak najwidoczniej nienawidził go za mało. Zamiast zabić, nauczył go tylko zawziętości. I teraz dwaj, Falk Morda i Jovin Quetlijczyk, wlekli go w zarośla, a trzeci, Eke Ochlej, szedł za nimi i wesoło przygadywał. - Tu będzie dobrze.

Gdyby choć nie gadali, nie patrzyli. Przez te ich ślepie ogląda hańbę młodego węża cały świat. Falk przygiął go do ziemi i usiadł na karku, a Jovin zadarł ubranie kłęczącego. Ten Marlo, przez niego...

Pomoc przyszła nieoczekiwanie - nagle poczuł, że rozrechetane myśli zbójów przebija inna, równie okrutna, lecz bardzo spokojna. Jovin osuwał się teraz na niego, jęcząc i brocząc krwią z rozbitej głowy. Chłopak kątem oka zobaczył, że sztylet Ekego przebija kark ospowatego Mordy. Uścisk ud na szyi zelżał i drugi zbój też upadł mu na plecy.

- Co ty, Ochlej?! - Lomar usłyszał jego charczący głos. Prawie stracił oddech przygnieciony ciałem Falka.

- Nie przechytrzyłeś mnie, Morda - padło w odpowiedzi. - Ile miałeś dostać?

- Co thyyy...

Eke wytarł sztylet o płaszcz umierającego kamrata i odszedł bez słowa, a chłopiec został z rękami związanymi wzdłuż ciała i przygnieciony przez dwa trupy. Próbował odepchnąć się kolanem od ziemi i przetoczyć na bok, ale daremnie. Wtem część ciężaru sama spadła z niego, jęcząc. To ten grubszy, Jovin, przekręcił się na plecy. Żył jeszcze, a Lomar pochłonięty własną hańbą nawet nie poczuł jego myśli! To przeraziło go jeszcze bardziej - nie tylko został pokonany i upokorzony, ale w dodatku stracił instynkt węża. Był teraz jedynie ofiarą. Nie różnił się od tych kmiotków w wiosce małego Marla, których takie same zbiry jak ci tutaj zarzynali bez większego wysiłku niczym bydło.

Ranny zajęczał przeciągle. Chłopak zdołał się wreszcie obrócić, uniósł głowę, by spotkać oczy zbója.

- To ten smark, tfu, pluje Chlu! - przeklął głośno Lomar, ale jego umysł słał co innego: *Rozwiż! We dwóch damy radę...*

- Uh, ty... - Myśl nie dotarła. Jovin zamierzył się na niego pięścią. Nie trafił, upadł obok. Choć krew zalewała mu oczy, ręce miał wolne i nadal silne. Młody wąż nie czekał na drugi cios. Uniósł luźno związane nogi i splótł tamtemu na szyi...

Trwało to może dziesięć oddechów, nie liczył. Kiedy wreszcie, dysząc ciężko, usiadł między dwoma trupami, usłyszał kroki. Wracał Ochlej i jeszcze jeden.

- Tu, Gordo, zara...

- Abo warto iść? Żadna radość, jak on pewnie ledwo dycha.

- Tu, dawaj przodem!

Padające ciało złamało jakiś krzak, kroki ucichły, a potem znów zaczęły się oddalać. Tylko dwie nogi. Sowa zawołała z podziwem *ho, ho*, a jakiś inny ptak zachichotał. Lomar opadł na ziemię. Nie był wężem i nie umiał wyswobodzić się z krępujących go pętli.

*

Eke nie był głupi, o nie! Całe lata uczył się wymykać strażnikom i w Addli, i w Maud. Ale z wężami już rzecz nie taka prosta. Dlatego gdy tylko pozbył się tych łotrów, którzy udawali jego kompanów, chciał wskoczyć na konia, a potem gnać co rychlej i dalej, najlepiej w góry albo i do

Byrd. Wybrał najlepszego wierzchowca, pozostałym rozsypał pęta. Rozpędzi je na cztery wiatry. Zanim Pstrooki któregoś złapie, Ochlej już będzie daleko!

Wtem jednak powstrzymała go chytra myśl. Jak wszystkie dobre i chytne rady bogów przyszła sama, wpadła do głowy jak kamyk do buta i już nie dawała o sobie zapomnieć. *Weź smarka* - mówiła. - *Zna ścieżki węży. Doradzi, ostrzeże...* Zawrócił więc i rozciął małemu więzy.

- Uciekamy, chłopcze!

Dzieciak ruszył za nim na sztywnych, zdrętwiałych nogach. Bezradnie podskoczył do końskiej grzywy i zsunął się po końskim boku.

- Podsadź mnie, panie.

- Jak będziesz taka dupa, wyrzucę po drodze - zagroził Eke, ale chwycił chłopca za tyłek i podniósł do kulbaki. Że malec wyciągnął mu nóż zza pasa, zauważył dopiero, gdy zapiekła go szyja. To nawet nie był ból, tylko fala gorąca spływająca na pierś. Cofnął się, dotknął rany i spojrzał na rękę oblepioną własną krwią. A ten gnojek już sprawnym ruchem zeskoczył z konia i kopniakiem podciął Ochlejowi nogi. Zbir upadł na plecy.

- Ciiicho, panie - mówił Marlo, zatykając mu usta. - Nie próbuj mnie łapać albo dusić. I tak nie zdążysz. Masz może dwadzieścia oddechów, nie więcej. Nie boli, prawda? Nie chciałem, żebyś cierpiał. Więc nie miej żalu. Mówiłem prawdę, on i tak by was pozabijał. Więc cóż znaczy jedna noc? Co za różnica umrzeć przed zmrokiem czy przed świtem?

Wielu on już tak...? - przemknęło Ekemu przez głowę.

- Nie, ty jesteś pierwszy, panie.

*

Gdy Lomar znów usłyszał czyjeś kroki, próbował właśnie przetrzeć więzy o korę pobliskiego drzewa. Podarł już rękaw, ale sznur trzymał nadal. Chłopiec przysiadł na ziemi, zaczął się do skoku.

- Nic ci nie jest, Lomar?

Kroki były lekkie, niemal bezgłośnie. Że też się nie domyślił! Ale prędzej by się spodziewał samego króla Addli niż tego smarka. Spojrzał na niego wściekły, że Marlo jest wolny, podczas gdy on sam...

- Gdzie tamten? - zapytał młodszego brata.

- Zabity. Nic ci nie jest? Wołałem cię myślą...
- Nie myśl, tylko tnij więzy! Na co czekasz?

*

Mistrz leżał na ziemi, a obcy wąż siedział niedaleko, czyszcząc sztylet kawałkiem brzoźowej kory. Głaskał go, pieścił, jakby dziękował za spełnienie misji. Chłopcom nie trzeba było niczego więcej - skoczyli Assowi na plecy. Marlo złapał swój nóż lewą ręką. Gdy tamten chwyci go prawą, aby ściągnąć z karku i zabić, ostrze rozora mu gardło...

- Marlo, nie!!! - usłyszeli nagle.

Ojciec podniósł się na łokciu. Nie był martwy, nie był związany, nie był pobity... Uczeń cofnął rękę w ostatniej chwili - nie zabił, przeciął tylko policzek.

- Ty żyjesz, mistrzu! - wykrzyknął Lomar.
- Żyję. Na szczęście żyje też wąż Asso, choć mało brakowało, co?

- Mało, Omarze. Dobrze ich wyszkoliłeś - powiedział tamten, przyciskając dłonią krwawiącą ranę. - A moi ludzie?

- Nie żyją. My... - zaczął starszy chłopak.
- Nic nie mów. Pokażcie się. Żaden nie jest ranny?

Mistrz obejrzał ich z troską jak prawdziwy ojciec. Zajrzał też w oczy - pospiesznie, ale głęboko. Lomar aż się wzdrygnął.

- Sprawileś się jak wąż, synu - Omar klepnął w ramię milczącego dotąd Marla. - Choć wymagasz jeszcze szkolenia. Ale...

Starszy uczeń rozumiał już, że wszystko to było próbą. Nie spisał się idealnie i dobrze o tym wiedział, jednak to przecież on nie stracił twarzy, gdy zbiry wzięły się do nich ostro. Ojciec był zbyt łaskawy dla tego smarka, choć pewnie zaraz i tak powie mu coś o tchórzliwych gnojkach...

- ...Ale o tym potem. Co zaś do ciebie, Lomarze, będzie cię uczył Asso. - Słowa mistrza nie od razu dotarły do zaskoczonego chłopaka. Nie wierzył, nie rozumiał. Może powstały tylko w jego głowie?

- Oddalasz mnie, ojczy? - upewnił się.
- Daję cię pod opiekę komu innemu. Pojedziesz do Miasta Trzech Słońc.

Jeszcze dzień wcześniej Lomar wiele by dał, aby opuścić ten las, zapomnieć o Marlu, rozpocząć prawdziwą naukę. Tak, chciał odjechać, ale nie w takiej chwili.

- Dlaczego ja? Byłem ci wierny, mistrzu. Nie znieważylem cię jak ten smark.

- Ale i nie uratowałeś jak on.

Chłopak spuścił oczy.

- Mistrzu, czy jeśli pozwolisz... - zaczął, nie patrząc na ojca.

- Nie! - przerwał mu ostro stary wąż. - Jeśli nie chcesz szkolić się u Assa, idź, gdzie chcesz. Wiele jest w świecie różnych fachów. Kto powiedział, że musisz być wężem?

Lomar opuścił sztylet. Pstrooki Asso i jego nowy uczeń spojrzeli na siebie milczący i obcy. Pierwszy przyciskał dłoń do krwawiącego policzka, a drugi żałował, że Marlo zdążył cofnąć ostrze.

Spotkamy się jeszcze! - pomyślał do młodszego brata.

Ten stał cały czas w tym samym miejscu, gdzie ześliznął się z pleców Assa. Żywioty już go opuściły, zostawiając błoto zamiast skały. Przygasł duch, osłabły myśli i wola. Chłopiec nie czuł się już nawet Marlem, bo czyż Marlo mógłby pokonać Lomara?

- Bez niego nie dałbym rady, ojcie. Nie wyganiaj go! - poprosił.

- On już nie jest ci potrzebny, synu. Będzie dobrym zabójcą. Zada wiele śmierci, nim sam zginie. Jak ryś. Ale z was dwóch tylko ty jesteś prawdziwym wężem. Pamiętaj o tym!

*

Sam już nie wiem, co naprawdę czułem w tamtej chwili, kiedy Lomar odjeżdżał. Chciałbym myśleć, że żal za utraconym bratem, jednak znając ludzi i ich umiłowanie kłamstwa, im bardziej tego chcę, tym mocniej się upewniam, że czułem tylko ulgę. Nie ugiąłem się przed gniewem bogów, przeżyłem śmierć mojego świata i widziałem, jak on się odradza. A przy tym wszystkim pokonałem mojego brata, mojego pierwszego wroga Lomara.

Pierwszy raz zabiłem człowieka, a mimo to nie drgnęła mi ręka. Mistrz Omar i wąż Asso dobrze to obmyślili - miałem zabijać w poczuciu, że postępuję słusznie, że inaczej postąpić nie sposób. Krew litościwego zbira Eke dopiero stygła mi na rękach, ja zaś już nie pamiętałem jego twarzy. A mimo to byłem niewinny, skoro w takiej chwili kazałem swemu umysłowi kochać brata, choć powinienem nienawidzić go każdą myślą, każdym oddechem...

Im częściej to wspominam, im czujniej słucham własnych kłamstw, tym bardziej się upewniam, że wiele było jeszcze we mnie człowieka, który wierzy w to, w co chce wierzyć, a mało węża, który wierzy w to, co powinien. Jednak wkrótce zacząłem szybko dorastać...

Rozdział 2

Zimą mistrz całymi dniami opowiadał różne historie o bogach

- Kiedy Panowie Żywiołów postanowili stworzyć ludzi, długo nie mogli się zdecydować, jacy ci ludzie mają być. Dlatego wspólnie zrobili cztery ciała, a potem każdy bóg wziął jedno pod pachę i poszedł w inne miejsce, żeby dokończyć człowieka po swojemu.

Agni usiadł przy ognisku i tak pomyślał: »Nie ma na świecie nic piękniejszego niż płomień. Dlatego niech człowiek będzie do niego podobny«. I tak stworzył Aga, który miał silny i szczery zapal. Nie myślał on o jutrze ani o wczoraj i jak czegoś zapragnął, gotów był cały świat za to spalić. Raz bracia go poprosili:

- Ag, idź upoluj jelenia na wieczerzę!

Wnet pognął za zwierzęciem i zabił je dla nich. Ale gdy już to zrobił, nie chciało mu się dźwigać zdobyczy. Wolał leć wygodnie na trawie. Zanim zasnął, powiedział jeszcze do siebie:

- He, he, kazali mi go tylko upolować. O dźwiganiu do obozowiska nie było mowy.

Puf wszedł na najwyższą górę, wystawił twarz do wiatru i tak pomyślał: »Choćby się nie wiem co działo, wiatr zawsze wieje w swoją stronę. Nie ma niczego na świecie, co oparłoby się woli wiatru«. I stworzył Wila, który gdy raz co postanowił, tak być musiało. Raz ów Wilo miał chęć na pieczona rybę. Widział, jak bogowie polują oszczepem na dziki i powiedział sobie:

- Skoro oszczep zabije wielkiego dzika, to co dopiero mała rybę.

Kazał więc braciom wziąć oszczepy i iść nad rzekę. Na próżno go przekonywali, że tak się ryb nie łapie.

- Będziecie tak łapać, bo ja wam kazałem - rzekł im.

Chlu poszedł nad rzekę i tak pomyślał: »Ta woda nigdy się nie spieszy, płynie, płynie i płynie, a gdy zechce zajrzeć w głąb skały, będzie drążyć tak długo, aż wreszcie w nią zajrzy. Zawsze znajdzie na to radę, czy jutro, czy za sto lat, nieważne, ale znajdzie«. I stworzył Heda, który był cierpliwy jak nikt na świecie i który pragnął wszystko wiedzieć i rozumieć. Ale jak go któryś z braci poprosił:

- Hed, przynieś drewna! - to tak długo się namyślał, gdzie jest najlepsze drewno, aż przychodził wieczór i za ciemno było, aby szukać chrustu.

Erh poszedł do jaskini, bo wołał, żeby jego boscy bracia nie podejrzeli, jak stwarza doskonałego człowieka. I tak pomyślał: »Ziemi jest na świecie najwięcej i wszystkie skarby są w ziemi. Jeśli człowiek będzie do niej podobny, niczego mu nie zabraknie«. I stworzył Ora, który ze wszystkich braci był najspokojniejszy. Powoli mówił, powoli myślał, ale gdy któremuś zabrakło kaszy czy rozbił się garnek, Or zawsze miał zapasy. Tylko jak go poprosili:

- Bracie, masz osiem dzbanków, a żaden z nas ani jednego. Podziel się z nami! - on robił się tak pochmurny i nieszczęśliwy, jakby mu chcieli zabrać coś najdroższego.

Kiedy bogowie skończyli stwarzać swoich ludzi, zebrali się razem, aby rozstrzygnąć, który człowiek udał się najlepiej. Każdy bóg był pewny swego i dalej klócić się i przekonywać innych. A w tym czasie ludzie sobie poszli, bo sprzykrzyło im się czekać, aż Panowie Żywiołów dojdą do zgody. Ag został pierwszym wojownikiem, bo był najodważniejszy duchem, Wilo królem, bo miał najsilniejszą wolę, Hed jego doradcą, bo był najmądrzejszy, a Or kupcem, bo on umiał najlepiej zadbać o przyjemności ciała. Do dziś w każdym z nas jest trochę Aga, Wila, Heda i Ora - w jednym mniej, w drugim więcej. A ile z nich jest w tobie, Marlo?

Odpowiedziałem, że nie wiem, bo nieraz jestem taki, a drugi raz zupełnie inny.

- Bo ty jesteś jeszcze mały, synu. Nie jesteś skończonym człowiekiem tak jak ci czterej bracia. Ciebie dopiero trzeba stworzyć.

*

Ojciec-Słońce coraz wcześniej wyruszał na polowania i miasto Ozga budziło się wraz z nim, ale mimo wiosny czyniło to powoli i niechętnie. Zbudowano je w czasach, gdy królowie trzech krajów Aytlanu nie zawarli jeszcze wieczystego braterstwa - wtedy przy granicznym brodzie między Addli a Maud stanęła niewielka, lecz solidna forteca zdolna wytrzymać napór kilku

tysięcy wojowników co najmniej przez dwa święta. Bo właśnie dwudziestu dni trzeba było na zebranie pułków w stołecznym Aabo i dotarcie z nimi nad granicę. Teraz Ozga w niczym nie przypominała czujnego strażnika - raczej leniwego grubasa, który położył się na zielonym brzegu rzeki i tylko niekiedy łypał okiem na podróżnych jadących Nowym Traktem. Miasto pobudowało nad brodem most i z ulgą rozlało się po dolinie, pozostawiając stary fort na uboczu. Podobnie tutejsi kupcy - choć dalej trzymają gdzieś w skrzyniach sztylety swoich przodków: myśliwych i wojowników - zapytani: *Co twój sztylet ma na rękojeści, panie?*, nie potrafiliby już odpowiedzieć. Odwykli też od wstawania o świcie, więc gdy Ojciec-Słońce przejrzał się już w nurcie rzeki, oni nie przejrzel się jeszcze nawet w oczach swoich żon i kochanek.

Tylko dwóch ludzi jak co dzień widziało przebudzenie Starego Boga - siwiejący mężczyzna ze szczeciniastą brodą i chudy podrostek sięgający mu do ramienia, z czarnymi włosami nierówno przystrzyżonymi w połowie czoła. Wyruszyli tu na jednym koniu, jak tylko zaczęło wysychać wiosenne błoto na leśnych drogach. Wystarczyło kilka dni, a wiosna już była w pełni i leśne poszycie pokryło się zielenią.

- Czas, Marlo, abys wykazał mi, czy nie jestem głupcem większym od ciebie. Nie zawieź! - powtarzał w kółko brodacz bardziej przed siebie niż do siedzącego za nim chłopaka. - Młody wąż, gdy tylko wyjdzie z jaja, od razu rusza na łowy. Ty wyszedłeś już dawno, a nie schwytałeś nic prócz szarańczy. Ale ja ze wszech miar nie chcę wyjść na głupca. Nie chcę zobaczyć, jak całe lata twojej nauki idą na marne. Dlatego będę zaglądał do ciebie i patrzył, co robisz. Jednak nie częściej niż raz na kilka świąt.

- Pokonałem węża Assa. Co tu może mnie spotkać trudniejszego? Nie zawiodę.

Omar nie musiał zaglądać uczniowi w oczy, aby wiedzieć, że chłopak wierzył w to, co mówił. Zmienił się przez te trzy lata po odejściu Lomara. Zmężniało i zahartowało się jego ciało, ale przede wszystkim urósł duch, Agni rozgorzał w nim niczym pożar i jak u każdego podrostka gotów był spalić, cokolwiek napotka. Najgorszy czas dla ojców, którzy ku swej zgrzyocie lub rozdrażnieniu przekonują się, że ich władza nad synami nie jest dana raz na zawsze. Ale mistrz miał na to sposób - młody Ogień jest głupi i pali tylko to, co ma w zasięgu oczu. Wystarczy podsunąć mu cudzą rękę, by nie oparzyć własnej.

- Mówisz prawie jak twój brat - zaśmiał się stary wąż. - Jednak ja nie lubię głupców, którzy przypominają mi o mojej własnej głupocie. Opuszczę cię. To może być nawet gorsze niż śmierć. Rozumiesz?

Marlo zrozumiał. Nie odpowiedział, nie musiał. Do tego, aby usłyszeć takie proste myśli jak *tak* lub *nie*, nie trzeba być mistrzem węży. Tyle potrafi każdy.

- Skoro rozumiesz - mówił dalej Omar - to dasz sobie radę. Ten człowiek nie jest tak prosty ani nieuważny, żeby rozsiewać wokół swoje myśli jak ptak gówno. Ale nie jest też wężem. Tutejsi mają go za dobrego i sprawiedliwego męża, istny dzban złotych cnót. Ale ty wśliźniesz się do tego dzbana i znajdziesz fałszywą monetę.

Zanim wyruszyli do Ozgi, mistrz narysował mapę miasta i chłopiec musiał nauczyć się jej na pamięć. To nie było takie trudne, zwłaszcza że poznał już w ten sposób układ ayatlanckich stolic i znał je całkiem nieźle, choć nigdy ich nie widział. Przy nich Ozga to było tylko kilka kresek odchodzących od rynku i omijających stary fort z przyklejonym do niego placem targowym. Jednak gdy dotarli na miejsce, Marla zaskoczyło to, czego żaden plan nie mógł pokazać. Ludzie kłębili się po ulicach jak robaki na trupie - choć bez wątplenia każdy z nich miał swój cel, z samego ruchu trudno go było zrozumieć. Na rynku stały już wozy ze zbożem, warzywami i mięsem, wokół nich uwijali się służący, którzy jedyni w tym mieście wstawali równo ze świtem.

- Co to za człowiek, mistrzu? - zapytał uczeń.

- Zaraz do niego pójdziemy. To Erh-Ad, tutejszy kapłan.

*

- Niewdzięczni są ludzie i gdyby bogowie odpłacali im, jak na to zasłużyli, powiadam ci, chłopcze, że każdy umarłby, nim się narodził. Ojciec-Słońce co dzień daje nam światło i ciepło, Matka-Księżyc nie pozwala, by noc stała się czarna jak śmierć, Chlu daje nam deszcz... Bogowie pracują, a ludziom nie chce się tyłka ruszyć. Większość tyle co w święto z łaski odwiedzi przybytek. A ofiary? To jałmużna, nie ofiary. Wielkie szczęście, że są jeszcze tacy chłopcy jak ty i po mojej śmierci będzie komu służyć bogom.

Kapłan Erh-Ad gadał i gadał, a im dłużej gadał, tym bardziej się dziwił, że bogowie dali mu tak chętnego ucznia jak ten mały Marlo. Doprawdy był to szczęśliwy traf, że nieznamy, który szukał miejsca, gdzie mógłby umieścić na naukę swojego bękarta, trafił właśnie do niego.

Chłopiec tymczasem z uśmiechem potakiwał swojemu nauczycielowi, patrząc, jak ten chodzi po izbie, jak jego szata zbiera pył z podłogi, a głowa kiwa się w takt wypowiedzanych

słów, faluje siwymi włosami i odsłania całkiem niekapłańską grubą bliznę biegnącą przez pół czoła powyżej lewej brwi. Od noża, może miecza... A może od skorup garnka, który spadł mu kiedyś na głowę. Marlo nawet z ciekawością słuchał jego nauk o bogach, ale nie wierzył w nie ani trochę. O Panach Świata wiedział już wcześniej wszystko, co tylko wiedzieć powinien. Ojciec-Słońce dawał ciepło i światło tylko dlatego, że kiedy ganiał za zwierzyną, ciało rozgrzewało mu się bardziej, niż to bywa u ludzi. Ludzie zaś nie ciekawili go szczególnie, bo czyż inaczej przechodziłby nad nimi tak obojętnie? Deszcz istotnie padał za sprawą Pana Wody - Chlu, ale też nie dzięki jego dobroci, a jedynie z tej przyczyny, że również bogowie nie są doskonali i ulegają przemianom. Gdy Agni ogrzeje Chlu, Chlu zmienia się w Pufa, a gdy Puf zbliży się do Erha, znów staje się Chlu. I pada deszcz. To proste. Tak nauczał Omar, jedyny prawdziwy nauczyciel chłopca. Ale on przywiódł go tutaj i przykazał nie zdradzić się ani słowem, że jakiegokolwiek sprawy, które przyjdzie mu poznać, nie są dla niego nowiną nad nowinami.

Jednak choć nowe nauki nie przynosiły Marlowi mądrości, ciekawił go sam sposób, w jaki Erh-Ad mówił o bogach. W ustach mistrza Omara nie różnili się wiele od ludzi i zwierząt. Byli wprawdzie ważniejszą częścią świata, ale jednak częścią. Tak jak pożywna polewka nie obędzie się bez kawałka mięsa, tak świat nie obędzie się bez bogów. Ale wie to każdy - aby oszukać głód, w ostateczności wystarczy garść ziół i korzonków...

Tymczasem kapłan opowiadał o nich z lękiem i czcią, a jego myśli i słowa pełzały na kolanach. Oddzielały bogów od świata, tak jak dziecko bogaczy wyciąga z zupy najlepsze kawałki, a resztę zostawia świniom. I te modły, o które dbał tak pieczołowicie, jakby rzeczywiście coś znaczyły! Mistrz mówił, że służą tylko ludziom, pomagając uspokoić umysł i skupić myśli. Jednak chłopiec chętnie poznawał nowe inkantacje, radowało go ich brzmienie, a przede wszystkim to, że właśnie na nich ćwiczył pisanie - jedyną pożyteczną czynność, jakiej ojciec nie chciał go uczyć.

- Na to przyjdzie czas - mówił. - No i po co mam go tracić na coś, w czym godnie zastąpi mnie kiedyś ktoś głupszy?

Aż przyszedł czas i głupszy mistrz się znalazł.

- Skądś znam twojego ojca, chłopcze - mówił do znudzenia, poprawiając bazgroły Marla.
- Ale skąd? Cóż, tylu ludzi... Nie sposób wszystkich pamiętać.

*

Radosnym jest człowiek, który służy bogom. Lekkie ma serce i ręce pełne siły. Odkąd, w dzieciństwie zostałem uczniem kapłana, Panowie Żywiołów okazali mi wiele łask: Agni ciągle podgrzewa mój zapal do służby, Chlu napelnia mnie rozumem. Dzięki Tufowi powinność jest lekka jak wiatr, a dzięki Erhowi moje ciało ma siłę sprostać powinności. Stawszy się akolitą świątyni, dołączyłem do swego imienia imię Pana Wód i ono niosło mnie przez fale życia.

Marlo pisał, starając się, żeby żaden jego znak nie różnił się od tych, jakie nakreślił w swej księdze Chlu-Kempis z Ere. Było to jednak trudne, bo kapłan Erh-Ad dał chłopcu tylko trzcinkę i najtańszy papier, który miejscami nie chciał przyjmować inkaustu, a znów gdzie indziej pił go tak chciwie, że tworzyły się kleksy. Jednak te same znaki, te same myśli... Nie, nie myśli! Raczej ich odbicia, po których nawet najlepszy wąż nie wyczuje, ile jest w nich prawdy. Pisząc, Chlu-Kempis mógł przecież myśleć coś całkiem innego, skoro on sam, powielając jego słowa, bardziej niż na nich skupiał się na swoim nowym mistrzu.

Kapłan był popiołem, Ogniem zgaszonym Wodą, jego umysł dawno stłamsił ducha i choć Agni pragnął odzyskać należną mu władzę nad tym człowiekiem, Erh-Ad pozwalał sobie co najwyżej zabębnić kilka razy palcami po stole w przypływie rozdrażnienia, po czym znów spychał swój Ogień na samo dno serca. Nie pragnął uciech, władzy, mądrości ani bogactw. Marlo nie widział do tej pory wielu ludzi, ale dzięki naukom mistrza czuł się tak, jakby poznał ich wszystkich. Niby wystarczyło spędzić z kapłanem kilka chwil, żeby odkryć, jaki jest, a jednak... Chlu-Kempis pisał o bogach, myśląc być może o wieczerzy, zaś Erh-Ad poprawiał błędy Marla, w duchu pragnąc... No właśnie, czego? Mistrz dał chłopcu za przeciwnika najtrudniejszy z typów ludzkich. Marlo bardzo starał się wejść w jego myśli, ale gdy wślizgiwał się tam, zastawał zawsze ten sam widok - w obszernym, lecz pustym korytarzu stało kilka niezdarnie wyciętych w wosku figur. Nie ludzi, ale właśnie figur. Przedstawiały mężczyzn, kobiety i dzieci, nie zmieniały się ani nigdy nie poruszały. Stały tylko, nie dopuszczając młodego węża do okutych drzwi, za którymi Erh-Ad chował swą tajemnicę. Pewnie stały tak od dawna, gdyż wszystkie pokrywał kurz i pajęczyny, więc tym bardziej chłopiec bał się je poruszyć, aby nie zdradzić, że czegoś tam szukał. Ludzie, w których umysły wpełzał do tej pory, nie potrafili zachować w swych głowach tak stałych obrazów - i choć starzejących się, jednak niezmiennych. Przetawić im coś, ukryć lub zamieszać było równie łatwo, jak karczmarzowi okpić pijaka, że wychłał dziesięć dzbanków,

a nie tylko osiem. Ale umysł kapłana bronił się niczym jeź.

- Błąd, Marlo! - usłyszał nagle chłopiec. Jego myśli syknęły ostrzegawczo i cofnęły się do legowiska. Nieraz widział jeża z martwym wężem w pysku... - Tu - wskazał kapłan.

Uczeń posłusznie poprawił źle nakreślony znak.

Przeto będąc już starcem, który wiele widział, zaświadczyć mogę z całą mocą, że nie ma w świecie słuszniejszej i miłszej bogom powinności niż służba kapłańska, która i spełniającemu ją radość niesie, i bogom chwałę oddaje, i ludzi wokół uszczęśliwia.

Przepisał stronicę do końca, uśmiechając się do siebie, że tak wiele kłamstw w tak łatwy sposób właśnie znalazło się na papierze. Uczył się i zwodził - tak, to jedno sprawiało mu radość zapewne nie mniejszą niż kapłanom. Ale inaczej niż oni, węże nie udają, że spełniając swoją powinność, pragną kogoś uszczęśliwić.

*

Ojciec-Słońce chodził na coraz dłuższe polowania, dzięki czemu Marlo mógł ćwiczyć pisanie od śniadania aż do wieczery. Wreszcie dwa dni przed Świętem Bajarzy chłopiec doszedł już do połowy księgi Chlu-Kempisa i mimo marnego papieru jego litery stały się niemal identyczne jak te kreślone przez nieznanego mu kapłana. Razem z Erh-Adem jadł mięso, owoce i placki, które przynosili do świątyni mieszkańcy Ozgi, a musiał za to jedynie uczyć się i codziennie sprzątać boski przybytek. Miasto miało tylko jedną świątynię, zatem ofiary dla któregokolwiek z bóstw i tak trafiały na stół tego samego kapłana. Chłopiec słyszał już, że w Aabo czy w Trzech Słońcach jest inaczej - tam słudzy Erha bogacą się jedynie jesienią, a przez resztę roku zazdrośnie patrzą na kapłanów ze świątyń poświęconych innym Żywiołom.

Przed wieczorem zwitkiem wełny Marlo przecierał wypalony w glinie posąg Pana Ziemi i spluwał na miedzianą figurę boga Ognia, aby zetrzeć z niej ślady codziennych bluźnierstw dokonywanych przez muchy. Podobnie czynił z figurami Panów Powietrza i Wody, by następnego dnia rano rolnicy, pastuchy i kupcy znów mogli prosić Żywioły o pomyślność dla swych zbiorów, stad i interesów. Istotnie - choć przychodzili nieraz strapieni, to wychodzili weselsi, choćby nawet tyle w nich było pobożności, ile prawdy chłopiec dostrzegł w literach, które pracowicie rysował na papierze.

A potem kapłan i jego uczeń siadywali razem w największej izbie kapłańskiego domu, z

której jedne drzwi prowadziły na podwórze, a przez drugie korytarzem szło się do świątyni. Dwa okna dawały dużo światła, więc tu właśnie stał pulpit, przy którym chłopiec ćwiczył się w pisaniu. W głębi był stół, kilka zydli, ława, piec z odkrytym paleniskiem, a obok niego wąskie drewniane schody wiodły do izb na piętrze. W mniejszej, ze skrzypiącymi i niedomykającymi się drzwiami, spał Marlo. Niewiele większa, jednak zabezpieczona solidnym zamkiem należała do jego nowego mistrza. To było jedyne miejsce w domu i świątyni, gdzie chłopcu dotąd nie udało się wśliznąć. Zawsze zastawał je zamknięte na klucz niczym umysł kapłana zastawiony dziwnymi myślami w kształcie niezdarnie wyciosanych ludzi, których bogom nie chciało się stworzyć do końca.

Erh-Ad zgarnął z pulpitu zapisane stronice i uśmiechnął się z zadowoleniem. Kilka razy porównał pierwszą kartę z tą niedawno obeschniętą i dziwił się szybkim postępom, jakie zrobił Marlo. Kto wie, może wkrótce już Erh-Marlo, jeśli dalej będzie się tak starał?

- Moja córka, panie! Tam, moja córka!

Krzyk rozbrzmiał w świątyni, wbiegł do korytarza, a stamtąd do izby. O kilka oddechów wyprzedził spoconą tęgą kobietę w prostej domowej koszuli i pospiesznie zawiązanej spódnicy, która przy każdym ruchu odsłaniała nogę aż po kolano. Kapłan odłożył papiery na stół, Marlo też oderwał wzrok od pulpitu. To była Afina, żona handlarza zbożem Manego, jedna z bardziej pobożnych mieszkanek tego miasta.

- Moja córka, panie - powtórzyła.

Choć jej słowa mówiły niewiele, czerwone, rozszerzone jak w obłędzie oczy i prędkie oddech odkrywały dużo więcej. Marlo czuł też przerażone myśli, które gnały we wszystkie strony, a kilka najbardziej zrozpaczonych przyciągnęło Afinę prosto do świątyni.

- Chłopcze, przyniesiesz mi zioła! - rozkazał Erh-Ad, podając mu mały żelazny klucz. - W kufrze koło okna.

Kiedy młody wąż stanął w otwartych drzwiach izby kapłana, poczuł się niemal tak, jakby po raz kolejny próbował wchodzić między jego myśli. Na wprost, tuż obok niewielkiego prostokątnego okna przeciętego drewnianą kratą, zobaczył nad stołem półkę. A sądząc po drogiej oliwnej lampce i małej misce z kawałkami owoców - nie półkę, ale ołtarzyk. Stały tam takie same figury jak te, które widział w umyśle Erh-Ada, tylko nie większe od dłoni. Mała grupka wieśniaków zdążająca na targ. A może rodzina, która stoi właśnie w świątyni i prosi boga o kolejne woskowe dziecko, tylko ciut lepiej wyrzeźbione, bez oka na środku policzka jak to

ostatnie? Albo...

- Marlooo! - usłyszał. Porwał kuferek z ziołami i pobiegł na dół.

W świątyni pod posągami Pufa leżała na posadzce kilkunastoletnia dziewczyna. Jej szeroko otwarte oczy pokrywała siatka czerwonych żyłek, zupełnie jakby właśnie tam spłynęła cała krew z policzków białych jak wapno. Piersi poruszały się jak u topielca - chora chciała kaszleć, ale sił starczało jej tylko na cichy świst.

Kapłan niecierpliwie potrząsał kadzielnica, na której w rozpalonych węglach czerwienił się już głodny bóg Agni. Gdy tylko dostał garstkę pokruszonych liści, w powietrze wznosił się ciężki dym. Marlo poczuł w nim zapach datury. Ojciec wiele razy pokazywał mu to zioło, ostrzegając, by omijać z daleka nie tylko je samo, ale nawet nigdy nie wybierać miodu mieszkającym w pobliżu dzikim pszczołom.

- Właśnie przez daturę umarł król Potin - opowiadał wtedy mistrz Omar. - Przez daturę i własne nieumiarkowanie. Gdy zniewolił córkę swojego bartnika, ten posiał to ziele tuż obok pasieki. Kwiaty wzrosły, a bartnik czekał na suchy rok, gdy w innych roślinach zabraknie nektaru, gdy nawet mszyce umrą z pragnienia i nie będą dawać spadzi. Doczekał się i wszystkie pszczoły przyleciały do datury, bo ona jedna mogła obyć się tylko kroplą wilgoci. Król zjadł miód jak nieraz wcześniej. Niewiele świąt potem poczuł, że Agni odbiera mu Ogień z serca, Puf wysysa Powietrze z płuc, Erh usztywnia stawy, a Chlu wysusza gardło. Skonał jeszcze tego samego dnia i nawet najmędrzy z jego magów nie domyślił się, za czyją sprawą.

Kilka lat później chłopiec widział w jakiejś wiosce wróżbiarza, który odurzał się daturą paloną w długiej fajce i dobrze zapamiętał zapach jej dymu. Ten sam, który czuł teraz. Czy kapłan był nieświadomy trucicielskiej mocy zioła, czy wręcz przeciwnie - świadomy aż nadto?

- Chuch, dmucha Puf! Panie Powietrza, napełnij jej płuca! Chuch, dmucha Puf! - powtarzał Erh-Ad.

Słowa jak z ust wieśniaka przerażonego napadem nieznaną mu choroby, jakich nawet Chlu-Kempis wstydziłby się umieścić w swojej kłamliwej księdze! Marlo nie spodziewał się wiele po rozumie swego nowego mistrza, jednak to przechodziło wszelkie granice prostactwa i głupoty. A jednak kapłan wypowiadał zaklęcia z niezachwianą wiarą. Dziewczyna słuchała ich i, na ile tylko pozwalały napięte mięśnie jej twarzy, usta powoli zaczynały układać się w uśmiech ulgi. Oddech był coraz spokojniejszy. Jakże krótko to trwało! Marlo nie liczył dokładnie swych oddechów, ale nie mogło ich być więcej niż dwadzieścia lub trzydzieści, zanim córka kupca

duszająca się jak topielec zaczęła oddychać prawie zwyczajnie.

- Dzięki, czcigodny Erh-Adzie!

Minęło jeszcze trzydzieści oddechów, a dziewczyna stała już o własnych siłach i choć z wysiłkiem, jednak mogła iść do domu.

- Cośmy nie tracili grosza na uzdrowiaczy! - wyjaśniła kupcowa, widząc zdziwioną minę chłopca. - A tylko w świątyni zioła mają swoją moc. Dzięki, czcigodny Erh-Adzie!

Kapłan patrzył za odchodzącymi zmęczonym wzrokiem, jakby choroba próbowała przejść na niego. Ale nagle przypomniał sobie o kluczu.

- Zamknąłeś izbę?

- Nie, mistrzu. Wołałeś...

- Dawaj klucz, ja zamknę.

II

Jest taka opowieść z czasów wojny trzech ayatlanckich królestw, że gdy po raz pierwszy armia kraju Byrd stanęła pod Omm, jej wódz - król Potin III, miał ponoć zawołać: »Omm jest moje! Władam krainami Byrd i Maud, więc władam Aytlanem«. Ale on władał miastem jak wrona orzechem. Niby je miał, niby obracał w dziobie, ale w żaden sposób nie potrafił rozlupać.

Tak samo ja niby ów dumny władca miałem na wyciągnięcie ręki tajemnicę Erh-Ada w jakiś przewrotny sposób ukrytą za figurkami wieśniaków. Ale do jej odkrycia było jeszcze daleko. A nawet coraz dalej, bo - wierz mi lub nie, panie - jednak bycie kapłańskim uczniem coraz bardziej zaczynało mi się podobać. Gdy czytałem księgi, jakie były w świątyni, coraz bardziej urzekało mnie piękno tych bezsensownych rytuałów, które służą bogów wyprawiają przed ludźmi. Nie, nie zmieniłem o nich zdania, coraz bardziej byłem pewien, że wszystko, co o Panach Żywiołów mówił mi mistrz Omar, miało w sobie po trzykroć więcej prawdy. Prawdy tak, jednak nie słuszności. Kapłańska wiedza dawała spokój i przekonanie o porządku świata i nawet w nią nie wierząc, też napelniałem się spokojem i porządkiem. W rękach mojego nowego mistrza nawet datura leczyła, zamiast zabijać, co brałem wówczas za czystą magię. Dopiero później dowiedziałem się, że trucizny mają o wiele bardziej złożoną naturę, niż myśli większość ludzi. W małych ilościach zabijają chorobę, nie ciało. Całą sztuką jest tylko wymierzyć ową ilość. I tyczy się to nie tylko datury, ale nawet jadu węża.

Jednak wówczas po raz pierwszy w życiu przekonałem się, że mój mistrz i ojciec nie zawsze miał rację. A skoro tak, to mógł się mylić także co do kapłana. Bo cóż tak spokojny i porządny człowiek jak on mógł mieć na sumieniu?

Byłem jednak wężem - o tym nie sposób zapomnieć. Ale też byłem wtedy jeszcze chłopcem, więc skoro zacząłem udawać ucznia Erh-Ada, żał mi było przerywać tak miłą zabawę. Chciałem ją ciągnąć jak najdłużej i niepostrzeżenie, służąc bogu Ziemi, sam stawałem się coraz bardziej podobny do tego cierpliwego i leniwego Żywiołu. I tak przeszła wiosna, lato, zaczęła się jesień...

*

Wraz z pierwszymi chłodnymi nocami po Świącie Erha córka Afiny znów poczuła się gorzej. Kupcowa przysłała po kapłana swoją służącą Sebikę - wystraszoną dziewczuchę z krowimi oczami, którą Marlo kilka razy widywał na targu. Wyburczała tylko kilka słów, jakby bała się świątyni i chudego kapłańskiego ucznia sięgającego jej ledwie do ucha. Chłopca to jednak zaciekało. Czyżby przeczuwała, że nie jest on zwykłym podrostkiem, jakich w Ozdze pełno? Czy coś jej podpowiedziało, że jest się kogo bać? Dlatego Marlo znów poczuł się wężem. Gdy Erh-Ad zabrał zioła i poszedł ze służącą do domu Manego, wymknął się za nimi.

Wyjrzał zza rogu świątyni. Ojciec-Słońce dopiero szedł polować i na rynku wśród kramów nie było jeszcze nazbyt wielu ludzi. Chłopiec widział więc dobrze, jak kapłan i dziewczyna przechodzą między nimi, mijają studnię i wchodzą do domu kupca wejściem od podwórza - z uliczki sąsiadującej ze strażnicą miejską. Uśmiechnął się. To było ostatnie miejsce, gdzie jakiś strażnik mógłby go przyłapać, gdy wchodzi na mur, chyba że przypadkiem wracałby akurat z patrolu. Ruszył tą samą drogą, ale na żadne ogrodzenie nie musiał się wspinać - bramę zostawili otwartą.

Uchylił ją, lekko unosząc odrzwia, aby nie skrzypnęły, i znalazł się na niewielkim, schludnie zamiecionym dziedzińcu. Chodziło po nim kilka kur, a w jednym rogu stało jedna na drugiej parę skrzyń, które pewnie nie zmieściły się Manemu w składzie ani w sklepie od rynku. Zerknął na nie - nie przylegały dokładnie do ściany. W razie gdyby go ktoś zobaczył, mały Marlo dałby radę się tam wcisnąć.

Schylony podbiegł cicho do okna na parterze, z którego słyszał głos kapłana. Podciągnął

się na rękach i zajrzał. Za oknem była niewielka izba - za mała na kuchnię, a zbyt obszerna na sypialnię służącej. Jednak stało tam niewielkie łóżko, zydęł, kilka dzbanów i jakichś niewielkich misek. Chłopak domyślił się, że właśnie tu często musiała sypiać Afina, by być blisko córki, którą dostrzegł zza niedomkniętych drzwi sąsiedniej izby. Dziewczyna leżała, a właściwie półsiedziała podparta kilkoma wielkimi poduchami. Była blada i chuda, a jej wilgotne od potu włosy w nieładzie rozsypały się po pościeli.

- Chodźmy, dajmy jej teraz spokój - powiedział Erh-Ad.

- Wiesz, co kazał uzdrawiacz? - zaniepokoiła się Afina.

- A tam z uzdrawiaczami! Chodź, musimy pomówić.

Marlo zdziwił się, że kobieta nie nazywa kapłana pobożnym ani czcigodnym. Szybko opuścił głowę, bo przeszli właśnie do izby, do której zaglądał. Jednak nadal słyszał ich dobrze.

- Za wiele jej pozwalasz, Afino.

- A jak mam jej nie pozwalać?! Toż ona... Przymknij drzwi, może usłyszeć!

- Nie usłyszysz, dałem jej na sen - mruknął Erh-Ad nieco zniecierpliwionym tonem. Jednak klapnęła zamykana zapadka.

- Zajrzę!

- Ciii, zostań...

Zaszurała spódnica, jakby żona kupca jednak ruszyła się z miejsca, żeby pójść do córki. Ale drzwi ani skrzypnęły, choć chłopak usłyszał czy może tylko wyczuł przyspieszony oddech podobny do rżenia chorej dziewczyny.

Marlowi drętwiały już ręce, jednak podciągnął się jeszcze raz. Zobaczył Afinę opartą wyprostowanymi rękami o zydęł i obejmującego ją od tyłu kapłana. Podrygiwali jak parzące się psy.

Zeskoczył na palce, żeby nie zrobić hałasu, choć pewnie i tak by go nie usłyszeli. Potknął się, ale oparł o mur. Czuł, że Agni budzi się w nim, grzeje od środka. Nie rozumiał, dlaczego akurat teraz jego ciało pierwszy raz doświadczyło podobnego uczucia. Widok nie był ani ładny, ani pociągający. Cóż, chyba tylko ludzki instynkt, ten niezależny od wężowego...

Schylony przeciął podwórze i zniknął za bramą. Właśnie poznał przynajmniej jedną z tajemnic Erh-Ada.

Zadowolony kapłan wracał właśnie przez rynek, gdzie ludzie szykowali się już do Święta Plonów. Dziękować Panu Ziemi, ta nie poskąpiła darów. Cały rok Ozga będzie miała co jeść, czym handlować i co ofiarowywać świątyni. Erh-Ad nie był chciwy, a w każdym razie mniej, niż to zwykle bywa w jego fachu, ale miał gospodarskie oko - dbał, aby bogom i ich słudze niczego nie zabrakło, choć bez zbędnej zachłanności. Ludzie nieraz zastanawiali się, czy nie uprawiał wcześniej ziemi. Ten niemłody już, lecz nadal silny mężczyzna miał ręce stworzone do sochy, a wiedzę o leczniczych ziołach, którą przewyższał niejednego uzdrowiacza, mógł zdobyć, tylko żyjąc blisko lasu. A może był myśliwym? A może najemnym wojownikiem? Blizna na czole mogła pochodzić równie dobrze od jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, jak i źle wymierzonego ciosu miecza. Nie mówił o tym, nawet gdy z rzadka zachodził do karczmy, a rozpytywać kapłana nikt nie śmiał.

Teraz też nawet najpierwsi kupcy ustępowali mu z drogi, własnymi tłustymi ciałami robiąc Erh-Adowi miejsce w tłumie wokół kramów. Ten z uśmiechem przyjął od kogoś dorodne jabłko, ugryzł kawałek...

- Weź, panie, miarkę owsa dla Pana Ziemi - zagadnął inny wieśniak.

- Miarkę? - Kapłan odwrócił się ku niemu. - Czy wielki Erh naje się jedną miarką? Przynies dwie przed wieczorem. A jak twój wół, drogi Jore?

- Pamiętasz o moim wole, panie? Toż to już będzie dwa roki... Tak, tak, zioła pomogły, czcigodny.

- No! Dwie miarki i zajdź do mnie przed wieczorem.

Poszedł dalej, gryząc owoc. Bzyczenie zaciekawionych nim os mieszało się z gwarem ludzi.

- Czcigodny Erh-Adzie! - usłyszał naraz za plecami.

Wzdrygnął się, jakby ten głos przywołał złe wspomnienia albo nagle pajak podróżujący na nici babiego lata wpadł mu za ubranie. Nieświadomym ruchem sięgnął do pasa niczym ktoś, kto przywykł, że znajdzie tam rękojeść miecza czy sztyletu. Jednak kapłan miał jedynie sakiewkę. Ale już zaraz ręka Erh-Ada spoczęła na klamrze, podrapała brzuch zawstydzona swym poprzednim gestem.

To był tylko ojciec Marla. Wśród kolorowych kwiatów i kramów z owocami jego czarny koń i szary płaszcz wyglądały obco i dziwnie.

- Witaj, panie! Przyjechałeś zobaczyć chłopca? - zapytał kapłan.

- Nie, nie dziś. Ale dzięki, że się nim dobrze zajmujesz.

- To raczej ja ci dziękuję za takiego ucznia. Jest posłuszny, pojętny i pobożny. W całym mieście... co ja mówię?! W całym kraju Addli nie znalazłbym takiego drugiego. Więc nie chcesz się z nim widzieć?

- Nie - sucho odparł przybysz. - Mam pilne interesy w Maud. Powtórz mu tylko, aby nie zapominał, co mu zawsze przykazywałem.

*

- Nie ma litościwszego boga niż Pan Ziemi - mówił kapłan, układając w spizarni dzbany z ziarnem. Chłopiec chętnie mu pomagał, ale nie miał pojęcia, co gdzie położyć, jak zawiesić lub czym przykryć, aby do zapasów nie dobrały się szczury. Jednak uważnie słuchał nauk Erh-Ada, więc ten kontynuował:

- Gdy wieśniacy skończą radować się z plonów, a kupcy z tego, że przez cały rok będą mieli czym handlować, przychodzi Święto Złodziei, które nawet tym nędznikom przypomina o powinnościach wobec bogów. Zarządca straży uwalnia wtedy jednego winowajcę, a my, uczciwi ludzie, możemy sami się przekonać, jak źle i ciężko być złodziejem.

- Nie rozumiem, panie. - Marlo dźwignął kosz jabłek sięgający mu niemal do pasa. Kilka kroków przeniósł go bez wysiłku. Dopiero gdy napotkał wzrok kapłana, zadrżały mu ręce i kilkanaście owoców poturlało się po drewnianej podłodze, objając sobie skórki i wplątując w piwniczny zaduch nutkę soczystej, jesiennej woni.

- Uważaj! - zawołał kapłan. - Chcę ci powiedzieć, że choć Święto Złodziei to nie jest nazbyt pobożny zwyczaj, pozwalam ci je obchodzić, jak czynią to wszyscy wokół.

- Wybacz, panie, ale...

- Och, Marlo! - westchnął Erh-Ad. Wziął kosz od chłopca i postawił go na półce z surowych desek. Otrzeptał ręce. - Jesteś dobrym i pojętnym uczniem, ale chyba w lesie chowanym. W Święto Złodziei nawet uczciwi ludzie kradną sobie różne drobiazgi, a przed wieczorem je oddają. Jest przy tym dużo wesołości, bo przez cały dzień każdy pilnuje wszystkiego i patrzy podejrzliwie nawet na najbliższych. A i tak prawie się nie zdarza, by komukolwiek coś nie zginęło. Powiem wprost, chłopcze, ukradnij mi coś tego dnia, jeśli zdołasz.

A wieczorem się przekonamy, czy nadajesz się na złodzieja.

Marlo nie zdradził się ani słowem, ani rozbieganym wzrokiem, ani nawet przyspieszonym oddechem. Ale niedawna wizyta mistrza Omara i nieoczekiwana okazja zajrzenia w sekrety kapłana nie mogły być czystym przypadkiem. Jak bury grzyb zawsze rośnie pod dębem, a żółty pod sosną, tak i te dwie rzeczy łączyło to samo. Tajemnica.

- Panie, chciałem cię jeszcze o coś zapytać. Jako nauczyciela.

- No? Pytaj.

- Bo... Dlaczego nie masz żony, przecież inni kapłani mają. Chlu-Kempis na przykład...

- Marlo, czy ty czasami nie dorastasz, co? - zaśmiał się Erh-Ad. - Może tobie już jakaś dziewczyna w głowie?

- Ja? Ja nie znam żadnych dziewczyn! I mnie nie ciekawi, ja... - chłopak zachłusnął się własnym oddechem.

- A ja, widzisz - kapłan wszedł mu w słowo - też nie znam żadnych kobiet, które nie miałyby mężów. A nawet gdybym znał... Bogom ofiary odbierać, żeby babę karmić? Pewne rzeczy mam już za sobą. Ty dopiero przed sobą. Tylko uważaj, chłopcze, uważaj! Agni to groźny bóg. Wiele żąda, a co daje? Mnie zawsze dawał tylko popiół... No, idź już, ćwicz pisanie i myśl, co mi ukraść!

*

Ledwie nadszedł ranek, chłopiec zastukał do izby kapłana. Zastał go gołącego się nad miską z wodą. Pamięci Erh-Ada jak co dzień strzegły nieruchome figury wieśniaków i młody wąż nie mógł nic stamtąd wyciągnąć. Jednak czy były szczelną zasłoną, czy raczej sitem, przez które sięgnąć nie sposób, ale wlać dałoby się wiele? Dotąd Marlo nie próbował tego zbadać...

- Panie, ja wiem, że mi zezwoliłeś, ale chętnie spędzę ten dzień na modlitwach. Ja... - zaczął mówić, choć myśli słały zupełnie co innego.

Kapłan zamarł nagle ze wzniesioną brzytwą i niedogolonym lewym policzkiem.

- Słyszysz? - zapytał.

Moja córka, panie! Tam, moja córka! - myślał do niego Marlo, jednocześnie przypominając sobie ze szczegółami ton głosu przerażonej żony kupca - zarazem rozkazujący i rozpaczliwy niczym skowyt bitego psa.

- Afina? - Erh-Ad odłożył brzytwę i otarł twarz. Prawy policzek miał gładki i nieruchomy, lewy jeżył sierść, pod którą drgały mięśnie.

- Eee, nie, panie! Chyba nie...

- Pobiegnij i zobacz.

- Ale gdzie, panie? Nic nie słyszę.

- Młody, a głuchy. Czeka tu! Zaraz wracam.

Ale choć wybiegł, wydawało się, jakby jego umysł został w izbie, jakby to nawet nie była izba, ale głowa kapłana. Pilnowały jej przecież takie same figury. Marlo sięgnął po jedną - był to mężczyzna, jakiś wieśniak niezdarnie wyrżnięty w kawałku wosku. Jeden wąż zwisał mu ku brodzie, drugi zawijał się w stronę ucha. W pamięci chłopca coś drgnęło. Gdy był młodszy, takie okruchy wspomnień ożywiały inne, a jeśli tych zabrakło, wymyślały bajdy. Ale teraz nic, jakby kamień chlupnął w wodę i kręgi zaraz zaczęły się uspokajać. Wielu jest zresztą wieśniaków z nierównym zarostem. Tym bardziej że szkoda im grosza na balwierzy.

Chłopiec przezornie odstawił figurkę z powrotem w ten sam gładki i czysty owal, wokół którego zgromadziły się pyłki kurzu. Ale tylko pyłki, nie zwały, zatem kapłan musiał czasem podnosić swe dziwne zabawki, choćby po to, by wytrzeć półkę. Marlo sięgnął ręką dalej, po woskową kobietę stojącą z tyłu. Zdążył jeszcze dmuchnąć, by kurz zatarł miejsce, gdzie stała, kiedy usłyszał kroki na schodach.

- Nic, miałeś rację, chłopcze - zaśmiał się Erh-Ad.

*

Woskowa wieśniaczka o mało nie straciła kształtu, grzejąc się to w dłoni, to za pazuchą Marla. Chłopiec miał jednak wrażenie, że jest dokładnie na odwrót - to figurka paliła mu dłoń. A bał się zostawić ją w izbie, podejrzewając, że kapłan również zechce mu coś ukraść.

Gdy chłopiec sprzątał świątynię, chyłkiem wkradali się do niej prawdziwi złodzieje. Nie zapamiętał wszystkich, ale dwoje z nich obejrzał bardzo dokładnie. Był to mężczyzna ze zniekształconą prawą dłonią i dziewczyna, służąca kupcowej Afiny. Ta stała w domu bogów najdłużej, wreszcie położyła miedziaka przed Panem Ziemi i wyszła. A raczej uciekła na widok wchodzącego Erh-Ada.

- Marlo - przywołał półgłosem ucznia - twój ojciec przyjechał cię zobaczyć!

Chłopiec początkowo nie uwierzył, myśląc, że kapłan próbuje się go pozbyć. Jednak jego umysł rzeczywiście nie kłamał, a z podwórza dobiegło parskanie konia. Przyszedł więc czas, by zdać sprawę z własnej opieszałości...

Poszli razem za miasto. Pola czekały już nagie na przyjście Chlu, Pana Wody, a drzewa zaczynały gubić liście. Zatrzymali się na skraju lasu nie opodal traktu. Mistrz Omar usiadł na szerokim pniaku.

- Miałeś wśliznąć się do dzbana i znaleźć fałszywą monetę, pamiętasz?

- Eh, w jego życiu jest tylko jedna fałszywa rzecz, mistrzu. Kupcowa Afina. On biegłby pół miasta na jej skinienie. Widziałem ich razem. Myślę nawet, ojczu, że ta jej chorowita dziewczucha nie jest kupiecką, ale kapłańską córką. Rozkażesz, zbadam...

Myśl i dłoń starego węża uderzyły równocześnie. Pierwsza jak kiel wbiła się w umysł i sączyła piekący jad, druga zostawiła tylko czerwony ślad na policzku. Ale tego chłopiec prawie nie poczuł.

- Obudziłeś się już, wężu Marlo?! - syknął jego mistrz. - Zaczynam myśleć, że źle zrozumiałem twoją wizję podczas Próby Śmierci. Może pajak przyszedł wtedy do ciebie nie jako młodszy brat węża do młodszego ucznia, ale po to, żebyś i ty został pajakiem, co? Długo jeszcze zamierzasz czekać na muchę?! Gdyby każdy wąż położył się na słońcu i czekał... Musisz wiedzieć choćby trochę, gdzie szukać. Wiesz?

- Nie, ojczu.

- Łżesz!

Marlo poczuł, że jego myśli chowają się przestraszone. Jak kijanki w kałuży, do której ktoś włożył rękę.

- Domyślam się, ojczu.

- Więc jednak! Kiedy wąż nie wie, gdzie szukać ofiary, udaje, że jest sam jeden na świecie. Rozumiesz, co to znaczy być samym? Gdy nie ma nic oprócz ciebie, nikt nie złamie źdźbła trawy, nie zostawi śladu na piasku, nie zmaci wody w stawie. Wąż staje się sam, a potem patrzy, w którym miejscu świat wygląda inaczej, niż powinien. Czy gdzieś są ślady inne niż jego własne. Czy jest coś, co powinno go zdziwić. Ciebie nic nie zdziwiło, Marlo?

- Erh-Ad cały jest dziwnym człowiekiem. Jest kapłanem, a leczy ludzi ziołami. Służy bogom, a sam widziałem, jak odprawiał wsiowe zaklęcia nad tą chorą dziewczyną. I uleczył ją dymem trującego zioła, datury. Nawet w izbie, gdzie sypia, ma zabawki. Takie ludziki z wosku

jak jakiś dzieciak. To pewnie była jego zmarła rodzina i teraz składa za nią bogom ofiary.

- Rodzina, mówisz?! A powiedz mi, mój uczniu kapłański, jaki ayatlancki rytuał nakazuje składać ofiary za zmarłych, co?! Który bóg tego oczekuje?

- Żaden, ale...

- Ale co? - przerwał chłopcu mistrz. - Kapłan, nawet głupi, nieuczony kapłan ma jakieś pojęcie o rytuałach. Więc?

- Może wymyśla własne?

- Tak! Bardzo dobrze. Wymyśla własne. Po co? Cóż może skłonić człowieka do wymyślenia własnych rytuałów?

- Nie wierzy w skuteczność innych?

- A nie wierzy?

- Wierzy.

- Więc? Myśl, myśl, Marlo, aż ci łeb pęknie!!! Trzecia, niewidoczna ręka mistrza Omara zamieszała umysłem ucznia, aż zrobił się wir.

- Bo jest coś, na co tamte mu nie wystarczają! - wykrzyknął chłopiec. Był tak zmordowany pytaniami i myślami mistrza, że nie potrafił dłużej się bronić. - Gdy myślałem do niego, te same figurki zasłaniały mu umysł.

- No, wreszcie przypominasz węża, synu. Bo już się bałem, że wyszkoliłem cię na pająka. Mów!

Marlo wyjął spod ubrania woskową wieśniaczkę i podał Omarowi. Mistrz spojrział zaskoczony na ucznia.

- Święto Złodziei? - zapytał z uśmiechem. - Bardzo pożyteczny przesąd.

Sięgnął po nóż i odciął figurce głowę.

- Widzisz?

Zupełnie jak prawdziwa głowa trzymana przez strzępy ścięgien i mięśni nie odpada łatwo od ciała, ta również tylko przekrzywiła się niczym przy niskim, bardzo niskim ukłonie.

- Weź, sam zobacz, co ona ma zamiast kręgosłupa - powiedział Omar.

- Ludzki włos? Po co, ojczec? - zapytał zdziwiony chłopiec, obracając wieśniaczkę w dłoniach. Znow poczuł dziwne, bijące od niej ciepło.

- To prymitywna, wsiowa magia, synu. Włosy, obcięte paznokcie, skrawki ubrania, łajno, to wszystko, co było twoje, zostaje twoje na zawsze. Jest tobą, a przynajmniej może cię zastąpić.

Niektórzy w Quetli wierzą, że jeśli zrobiłbym figurkę z twoim włosiem i zaczął ją kaleczyć, to i ty zacząłbyś krwawić.

- Ale on ich nie kaleczy. Po prostu je ma. Co zatem?

- A to już twoja zagadka - mistrz oddał chłopcu okaleczoną wieśniaczkę. - Roztop ostrożnie i sklej. No i powiedz, co zamierzasz robić.

- Muszę jeszcze raz zbadać izbę kapłana. Tylko nie mam klucza, a boję się, że nie potrafiłbym go wykraść. Raz mi go powierzył, ale nie wiem, czy to się powtórzy i kiedy.

- Słusznie, że się boisz. Nie nauczyłem cię kraść. Ale są ludzie, którzy potrafią. Idź i naucz się od nich.

*

Wieczereż jedli w milczeniu. Marlo prawie nie czuł jej smaku, bo co chwilę dotykając głowy świeżo naprawionej figurki, myślał tylko o tym, czy wosk już dobrze trzyma. Kapłanowi kasza wysypywała się z powrotem do miski i na stół, gdy nerwowymi ruchami podnosił łyżkę do ust. Ojciec Marla, choć na długo przed wieczornymi modłami wyjechał z Ozgi, umysłu Erh-Ada nie opuścił. Siedział w nim jak cierń. Niepokoił.

Powinienem ci podziękować, panie - znów wróciły do kapłana słowa, które powiedział gościowi na pożegnanie. - O takim uczniu jak twój Marlo nawet nie marzyłem. Pojętny, zdolny, posłuszny i pobożny. Powinieneś być z niego dumny.

Tak, jestem dumny, kiedy się stara. Nie ma nic gorszego niż lenistwo - ojciec chłopca odezwał się ni to do gospodarza, ni to do syna.

Cóż to miało znaczyć? Pochwałę czy przyganę?

W końcu Erh-Ad odstawił miskę i sięgnął za ławę.

- Nie zginął ci rysik, Marlo? A teraz ty pokaż, coś ukradł. Może pohandlujemy.

Chłopiec sięgnął pod ubranie.

- Złodziej odda ci twoją własność, panie, w zamian za...

Kapłan nie czekał, aż dokończy. Podniósł pięść, krew odpłynęła mu z twarzy, a w jego umyśle woskowi strażnicy zakołysali się jakby pod naporem wichru. Już prawie upadali, odsłaniając wrota. Chłopiec posłał myśl, która niby wąż miała prześliznąć się przez powstałą lukę, ale Erh-Ad zdołał w porę opanować wzburzenie.

- Widzę, że przed tobą trzeba się pilnować - powiedział niby żartem, opuszczając rękę, ale część jego myśli zamkniętych dawno temu zdążyła wylać się na zewnątrz i Marlo dalej widział go stojącego nad sobą ze wzniesioną pięścią. Chłopiec znał ten układ palców - to nie była pięść gotowa do uderzenia, tylko zaciśnięta na rękojeści niewidocznego miecza.

III

Idąc ulicami Ozgi, czułem się jak wąż, którego schwytano w jednej części puszczy, a wypuszczono w drugiej. Wysuwałem niespokojnie myśli jak on swój rozdwojony język, a każda wracała, przynosząc ze sobą strzęp myśli kogoś innego. Ale obawiałem się, że to za mało, by stać się kimś, kim nie byłem.

Kapłan Erh-Ad - on mi uwierzył, choć był pierwszym człowiekiem poza ojcem i bratem, z którym zamieniłem więcej niż parę słów. Jednak nie zawdzięczałem tego sobie, tylko mistrzowi Omarowi, który mnie do niego wprowadził. Teraz miałem sam wśliznąć się między tutejszych młodych złodziei, między chłopaków w moim wieku, a przecież poza homarem nigdy nie znałem żadnego!

Obserwowałem ich od kilku dni zdziwiony, że tak niewiele różni bandę drobnych rzezimieszków od królestwa czy jakiegokolwiek ludzkiego stada. Zawsze Puf rządzi, Chlu myśli, a Agni bije.

Tak samo było i z nimi. Przewodził bandzie chudy, wysoki chłopak starszy ode mnie może dwa-trzy lata. Choć nawet ciut silniejsza baba mogłaby go przewrócić jak spróchniały pień, nikomu jakoś ta myśl nie mieściła się w głowie. Przy odrobinie szczęścia dałby radę go pokonać nawet jego mniejszy, sprytny pomocnik o gębie poznaczonej krostami. A już z pewnością zrobiłby to dwa razy szerszy w barach silacz o gębie przyglupa. Jednak obaj nawet w największym targowym tłumie bezustannie łowili spojrzenia tyczkowatego herszta. Wolne, leniwe przymknięcie oczu oznaczało »tak, brać«, dwa szybkie mrugnienia »nie, czekać«.

Bandę od królestwa różniła tak naprawdę tylko jedna rzecz - nie było wśród nich człowieka, którego stworzył Erh, zdolnego gromadzić i pomnażać bogactwa. Dlatego złodzieje szybko przejadali to, co ukradli, i musieli kraść znowu. I nawet nie z biedy - jak mówią jedni, ani z chciwości czy złego charakteru - jak utrzymują inni. Złodziejstwo ma tylko jedną matkę - bezmyślność. Nauczyła ona swe dzieci, co znaczy słowo »dziś«, ale co to »jutro«, sama nie

wiedziała.

*

Marlo miał już w torbie wosk, słoninę i główkę kapusty, kiedy poczuł nagle, że ciężar nie przyciska mu się już tak mocno do boku jak przed chwilą. Czyjaś dłoń uniosła go nieco, sięgając po sakiewkę. Były w niej ledwie dwa miedziaki, ale tego złodziej nie mógł przecież wiedzieć.

Chłopiec złapał obcą rękę gmerającą po jego kaftanie i odwrócił się. To był ten nieduży spryciarz, dwa kroki dalej dostrzegł siłacza, a za nim przywódcę złodziei. Obserwował ich wcześniej cały czas, odwrócił się tylko, żeby zrobić zakupy, a myślami nie chciał ich gonić. W tłumie przelewającym się po targu byłoby to trudne i męczące. Jednak odbicia całej szajki siedzące od wielu dni w głowie Marla przyciągnęły ich, jak widać.

- No co? Mam wołać strażnika? - syknął cicho uczeń kapłana.

Złodziej zawahał się. Miał w głowie wiele tłumaczeń przygotowanych już wcześniej, ale zdziwiło go, że kapłańczyk, ten ślęczek nierozgarnięty zdołał go zaskoczyć. W dodatku zamiast uciec, wykrzywił tylko złośliwie pysk i syknął:

- Pójdziemy w zaułek. We czterech.

- Czterech?

- Ja, ty i twoi dwaj kompani. Pogadamy albo już teraz wołam strażnika. Nie uciekniesz.

Zeszli z ludzkich oczu: pierwszy przyszczyty rzezimieszek, potem Marlo, a za nim dwaj pozostali. Byli pewni, że to oni go prowadzą, tylko... Tylko co, jak już staną twarzą w twarz? Pobić kapłańskiego ucznia to tak samo, jakby zwędzić strażnikowi jego świstawkę. Albo i gorzej.

- Jestem Marlo - usłyszeli, kiedy przed kupującymi i sprzedającymi zasłonił ich cień karczmy „Opodał Mostu”.

- No i co? - prychnął tyczkowaty.

- No i to, że też chcę być złodziejem jak wy.

- Ty, za rękę złapałeś?! - odezwał się siłacz, ale przywódca szturchnął go, żeby zawarł gębę.

- No to leć po psa! Na co czekasz?

- Aż się zgodzisz. I wyuczysz fachu.

Niski uderzył pierwszy. Sprytnie, nogą w goleń; podczas gdy założone na piersi ręce

usypiały czujność. Marlo uchylił się i rzucił mu w twarz torbę z zakupami. Oparł plecy o ścianę i kiedy doskoczył do niego z pięściami gruby, przetoczył się po ziemi, podcinając mu nogi. Złodziej uderzył głową w mur. Zanim jego mniejszy kompan zdążył odrzucić torbę, chłopiec już był przy tyczkowanym herszcie. Ten próbował zakleszczyć go swoimi długimi ramionami, ale dostał od dołu w podbródek.

- A to psie gówno! - Wysoki otarł krew z przygryzionej wargi i sięgnął po nóż za rozchełstaną koszulę.

Wtedy odezwała się świstawka i w cień za karczmą weszło dwóch strażników, którzy wcześniej znudzeni łazili po targowisku.

- Co tu się dzieje?

- Ten pośliznął się na końskim łajnie. - Marlo wskazał na grubego. - Chciałem pomóc mu wstać.

- Twoje? - Strażnik trącił końcem pałki leżącą na ziemi torbę z zakupami. - Otwórz!

Tylko rzucił okiem na wosk, słoninę i kapustę. Tyczkowany potrząsnął paskiem i nóż spadł mu do nogawki, zanim zbrojny zaczął wszystkich obmacywać. Poprzestał jednak na brzuchach.

- Tych znam, a ty kto jesteś? - zapytał w końcu.

- Uczeń czcigodnego kapłana Erh-Ada, panie - powiedział chłopiec.

To wystarczyło.

- No to zmykaj do świątyni! To nie kompani dla ciebie. Aha - dodał jeszcze - nie widzę tu żadnego końskiego łajna, ale uważaj, cobyś sam się nie pośliznął.

*

Sebika niespokojnie chodziła z kąta w kąt po starej szopie cieśli Farlego. Dobrze to było miejsce – pomiędzy Ozga a przylepioną do niej nędzną osadą Przylesie, kilka kroków od pierwszych zagajników puszczy. A stary Farle, odkąd ręce odmówiły mu posłuszeństwa, przeniósł się do syna, zostawiając budę własnemu losowi. *Sprzedać za psi grosz nie sprzedam. Niech ją Puf rozdmucha!* - mawiał i dotrzymywał słowa: nawet nie zaglądał do szopy, aby cokolwiek naprawić.

Dziewczyna wymykała się tu nawet kilka razy dziennie, żeby pobyc trochę z tymi, wśród

których spędziła biedne i brudne, ale wolne lata dzieciństwa. Potem wracała znosić krzyki i razy swojej pani, kupcowej Afiny. Ta chętnie by odprawiła krnąbrną służącą, ale gdzie znalazłaby drugą tak głupią, żeby za parę groszy skakała koło jej cherlawej córki? Sebika dobrze o tym wiedziała, choć po prawdzie bała się trochę baby. Był to jednak mądry strach - nie taki, od którego zaraz się beczy, tylko taki, który każe mieć oczy naokoło głowy. Zna go każde zwierzę i dzieciaki z ulicy.

Chłopaków długo nie było. Dziewczyna z nudów chodziła z kąta w kąt, a kurz wzbudzany każdym jej krokiem okrył już całe stopy. Sebika nieraz myślała, że warto by pozamiatać, jednak nie zamierzała i tu tyrać.

Wreszcie usłyszała ich głosy, ale nim zdążyła się ucieszyć, zobaczyła, że Uje Szczuj przepuszcza przez drzwi ucznia kapłana. Nagle dostała takiego boja, że nogi zmiękły jej bardziej, niż kiedy Ihe łapał ją od tyłca. Sama nie rozumiała dlaczego, ale ile razy ten kapłańczyk mignął jej na rynku, w świątyni czy w domu kupcowej, gdzie czasem przynosił zioła dla zdechlaczki, miała ochotę rzucić wszystko i uciec jak najdalej.

- To Seba, moja dziewczucha - powiedział Ihe, klepiąc ją w tyłek, by Marlo nie miał wątpliwości, co jest tu czyje. - Pojąłeś, Kapłan?

Skinął głową, przesuwając wzrok od jej stóp do twarzy. Poczula się wtedy tak, jakby ktoś wodził pochodnią o pół łokcia od jej ciała, a ciało jakby było z wosku i topiło się od gorąca.

- Pojąłeś? - upewnił się Ihe.

- Tak, rozumiem - rzekł tamten, co w miejscu nawykłym do ich ulicznej mowy zabrzmiało dziwacznie, aż śmiesznie. Ale za chwilę poprawił się, zupełnie jakby mu ktoś podpowiedział: - Dziewucha i krowa zawsze czyjaś. Co bym miał nie pojąć?

Jakby w jeden oddech odmieniła mu się skóra, jakby wszystko, co usłyszał i zobaczył, chłonał tak szybko jak piasek wodę. Po co on tu? Nie zapytała. Rzadko o coś pytała, a teraz nie otwarłaby gęby nawet za piętnaście groszaków.

- Będzie się wprawiał - wyjaśnił jej Ihe.

- I bić nas uczył po swojemu - dodał Jove Król. - Ciekawość, czy to w świątyni się tak naumiał!

Kapłańczyk szeroko otworzył gębę w uśmiechu. Sebika czekała, tak, była pewna, że zaraz spomiędzy jego zębów wyrzy ruchliwy rozdwojony język. Nie rozumiała czemu, ale takie coś by pasowało do tego Marla. Było jak wtedy... Pamiętała, choć wolałaby zapomnieć...

Miała może sześć lat, a tamten chłopak - Gail, siedem czy osiem. Rzadko kto na Przylesiu lata rachuje. Oboje rośli w sąsiednich chałupach, bawili się w tym samym błocie i kradli z tych samych kramów. I sama nie pamięta, jak to się stało, że pewnego dnia zaczęła mówić o nim *brat*. Polubiła go jak siostra i nie widziała w nim nic strasznego, aż pewnego lata...

Było ich trzech - pomocnicy straganiarza, chłopaki z Przylesia jak oni, tyle że poszli na służbę, a kupiec tak ich sobie upodobał, że nawet zaczął fachu uczyć. Więc nażarci, odziani, dwunasto-, trzynastoletni siedzieli nad rzeką z koszem owoców i plackami i popijali w ukryciu przed swym panem piwo ze wspólnego dzbanka. A Seba i Gail zaczęli kręcić się w pobliżu jak koty koło rybaków.

He, mały! - zawołał któryś. - *Chodź! Chcesz piwa?*

Chłopiec ostrożnie podszedł i upił z dzbanka, ale tylko wykrzywił gębę.

Niedobre? - zarechotali.

Dobre, ale my głodni.

Jeść tyż damy, ale coś za coś.

Wiadoma rzecz, nikt nie daje nic darmo! Seba i Gail nie byli już takimi smarkami, żeby tego nie wiedzieć. Więc gdy tamci kazali im goło wykąpać się w rzece, posłusznie wleźli do wody. Dzień nie był bardzo gorący, ale co im szkodziło? Chlapali się tak przecież nieraz. Ale gdy stanęli już przed nimi mokrzy, wyciągając ręce po zapłatę, tamci chcieli wiedzieć, czy są już na tyle duzi, że wiedzą, co robią ze sobą goło chłop i baba. Kto by nie wiedział? Gail im opowiedział, ona też coś dodała, choć było jej wstyd. Na to chłopaki powiedzieli, że dadzą im jadła, jeśli we dwoje pokażą im tutaj zaraz, jak to się robi.

Sebika nieraz namawiała swojego *brata*, żeby bawili się w żonę i męża. Czasem się zgadzał, bo inaczej ryczała. Ale nie tak! Oni bawili się, że budują izbę, robią wieczerzę, piją, krzyczą na dzieci, kłócą się i biją. Nigdy, że dupczą. Chlipnęła parę razy niepewnie, ale jadła było jej szkoda!

Zresztą co to takiego?! Głupia zabawa, ale tylko zabawa. Legła na trawie, on na niej, trochę się przytulił i tyle. Wstyd był, ale że przecież z Gailem, nie z żadnym obcym, to i mniejszy. No i kto jak kto, ale on nigdy by nie zrobił jej krzywdy. Zresztą szło o dużo jedzenia.

Jednak gdy chłopiec wstał, żeby wziąć zapłatę, usłyszał tylko:

Naprawdę żeś myślał, smarku, że co dostaniesz?

I wtedy przestraszyła się tak, że zapomniała o wstydzie. Goły, rozwścieczony Gail

wskoczył między niemal dwa razy większych podrostków i zaczął do nich krzyczeć. Nie na nich, ale właśnie do nich. Jak? Jakimi słowami? Nie pamiętała, to chyba zresztą nie były nawet słowa. Wrzask wypełnił jej uszy jak zimowy wiatr, ale tamtym wpadł w głowy jeszcze głębiej. Zapomnieli, że mają przed sobą tylko małego smarka, że mogą go przecież stłuc choćby i na śmierć. Tylko wili się na trawie. W końcu z uszu, choć je zatykali, buchnęła im krew i uciekli. Został kosz prawie pełen owoców, kilka nieruszonych placków i pół dzbanka piwa. Prawdziwa uczta, ale tylko dla Gaila, bo Seba też uciekła.

Od tej pory już go nie lubiła, już się nie bawili. Trudno jednak było co i rusz nie wpadać na niego w takim małym mieście jak Ozga, jeszcze trudniej na Przylesiu. Na szczęście ze dwa święta potem jakiś wędrowiec wziął chłopca na swego ucznia. Jaki Gail zdobył fach i gdzie zamieszkał, nie była ciekawa. Z tej nieciekawości całkiem o nim zapomniała. Czasem tylko we śnie...

Aż do teraz, gdy ten kapłański uczeń Marlo spojrzał na nią i niby zupełnie zwykłym tonem powiedział:

- Ciebie to ja już znam, Sebika.

A ona poczuła się naraz tak, jakby znów zobaczyła nad sobą wzrok Gaila i poczuła jego krzyk.

- Cho do lasu - rzuciła do Ihego. Nie żeby ją z nagłą przyparło, ale żeby uciec.

*

Ihe na początku trochę kręcił łbem, z wysoka przyglądając się nowemu. Jove Król po prawdzie też miał go w zadzie, ale był rad wyuczyć się takiej bitki.

- To dobre dla małych - narzekał wprawdzie, jednak nie odstąpił, póki Marlo nie pokazał mu powoli, jakby czas usnął, w jaki sposób tak łatwo przewrócił wtedy w zaułku większego i silniejszego przeciwnika.

Za to Uje Szczuj od razu był za nowym i miał rację. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto potrafiłby tak wszystko brać jak swoje, i to przy ludziach. Jego ówik nie tkwił w giętkich palcach, ale w oczach. Potrafił nimi tak zawrócić, że inni patrzyli w drugą stronę. I na fant nie był chciwy, zawsze wszystko szło do podziału. Tylko się cieszyć! A jednak Uje czuł, że Kapłanowi siedzi w głowie coś więcej. Chlu zna, czy nie coś za dużego na ich brzuchy. Jak komuś, kto w karczmie

nie zre kaszy, bo wie, że w domu czeka na niego pieczyste.

Jednego razu młody złodziej namówił Marla, aby zapalił z nim ziele. Szczuj liczył, że może wtedy nowy prędeż powie, co myśli, ale ten najpierw gadał w kółko o pająkach, potem zbladł, zadumał się z wysiłkiem i wybiegł z mykawy. Mało własnych flaków nie wyrzygał.

W końcu któregoś wieczoru, gdy podzielili już fanty i pili piwo w swojej szopie, Szczuj zaczął z innej strony:

- Po co ci to, Kapłan? Będiesz miał fach, za którym psy nie węszą.

- A ty nie? - prychnął Marlo, wcierając popiół w rękojeść nożyka, który przypadł mu po podziale. - Tfu, pluje Chlu, jeszcze wygląda jak nowe... Ty nie masz dobrego fachu? Jesteś pomocnikiem cieśli.

- Taaa... - Szczuj przeciągnął się leniwie. Wiedział już z doświadczenia, że wtedy człowiek wygląda na równie sprytnego co prosię. - Z nas tylko Ihe jest złodziej z dziada pradziada. Ale, pluje Chlu, Kapłan, po co ci to?

Nowy wzruszył tylko ramionami.

- Jakbym chciał, żeby cała Ozga wiedziała, tobym wrzeszczał na rynku. Muszę iść.

Ruszył prosto do domu, ale - czego Uje nie mógł widzieć - za pierwszym płotem przypadł plackiem do ziemi i ostrożnie wyjrzał. Widział, że jego kompan wahał się tylko chwilę, czy zostawić go w spokoju, czy jednak rozpytać. Teraz szybkim krokiem zdążał za nim. Wąż wstał, otrzepał ubranie z kurzu i wolno ruszył dalej.

- Hej! - Uje wyszedł zza rogu. - Czekaj.

- Hę? - Kapłańczyk odwrócił się. - A, to ty! Coś ci wzięłem, że gonisz?

Szczuj przysunął się bliżej. Stali twarzą w twarz tak blisko, że czuli nawzajem swe nieświeże oddechy.

- Ty coś masz w głowie - powiedział poważnie Uje. - Chcę, co byś znał, że ja nie całe miasto.

- A ja chcę, co byś znał, że mnie nie ochota leźć psom w zęby za dwa miedziaki - burknął Marlo. - A wy wszyscy bardzo o tym marzycie.

- No to pocol do nas przystawał? - zapytał rozdrażniony złodziej.

- Bom myślał, że się czegoś naumiem. A mnie cięcie łakomcom mieszków jakoś nie nęci.

- A czegoś ty się chciał naumiem? - Szczuj z trudem zdobył się na spokojny ton. Ten nowy coś krył i tym kryciem potrafił zezłościć!

- A tyś pies, że tak niuchasz? - syknął Kapłan.

- Nie chcesz, nie gadaj - mruknął urażony Uje i zaraz dodał twardo, przez zęby: - Ale nie tak łatwo od nas wyjść.

- Wszedłem, to i wyjdę, wielkie mi co! No chyba... *Wziął!* - pomyślał młody rzezimieszek. Wystarczyło lekko pociągnąć...

- Hę? No gadaj, co masz. To będzie między nami. Nikt się więcej tym nie nasyci, blat?

- Niech tam, Uje! - Marlo machnął ręką, ale zaraz dodał: - Nie bądź taki spluty, bo ci łapy latają. Dobra, niech będzie blat. Ale tylko ty i ja. Chcę umieć otwierać zamki.

- Łatwo wpaść. - Szczuj splunął.

- Jak kto za rękę złapie, łatwo - roześmiał się nowy. - Jak kto co wyniucha, też łatwo. A jak nie złapie i nie wyniucha?

- Co masz?

- We łbie świątynną szkatułę. A w kieszeni gównno, bo nie umiem zamków otwierać.

- Dobra, Kapłan! - Uje klepnął go w ramię. - Ty dałeś cynk, ja dam mistrza. Jak blat, to blat.

*

- A ten tu co?

- Fachu się uczyć. To swój.

Ion Palic widział już wielu *swoich*, ale żaden jeszcze nie miał kapłańskich szat jak ten chłopak przyprowadzony przez Szczuja. Więc choć otworzył im drzwi, to stanął oparty o framugę i do środka nie wpuszczał. Patrzył nieufnie, próbując wyczytać z oczu Ujego, o co chodzi tym razem. Ale młody złodziej miał ślepie takie same jak zawsze - małe, sprytnie schowane w głębi oczodołów, żywe i prędkie. Takie same jak u Palica, gdy jeszcze w młodych latach sam ściągał kupcom dobro z kramów. Złapali go ledwie dwa razy, i to prawie z niczym. Stąd dłonie miał obie, paluchy wszystkie, tylko prawa ręka źle składała się w pięść, przetrącona lata temu przez pałkę strażnika. Ale liczyć dawała radę. Jego oczu też nie szło łatwo oszukać.

- Nie wiem, o czym mówisz, chłopcze. Swój czy nie swój, mnie to za jedno.

Odsunął się od drzwi, wskazując stół, na którym leżał prawie skończony kufer.

- A stolarki - ciągnął - wyuczyć go mogę. Tylko nie darmo, no i po co? Widzi mi się, że na kapłaństwie lepiej wyjdzie.

Weszli do środka, Palic starannie zamknął drzwi. Ojciec-Słońce wycofał się z izby, zostawiając tylko cień.

- Jestem Marlo - powiedział obcy. - Wiadomo, że nic darmo, mistrzu. Wyucz, nie pożałujesz. Nie tylko ja, Uje Szczuj też za mną prosi. Błat?

- Błat mogę zrobić. I zydell, jeśli trza... - mruknął kpiąco Ion.

- Może być, mnie za jedno - powiedział chłopak, po złodziejsku mamlając każde słowo. Podszedł do stołu, odsunął na bok kufer i wysypał zawartość sakiewki. - Zabłyśnie więcej, tylko fachu wyucz, mistrzu. Zamek otworzę, to i dla ciebie co nabędę. Teraz blat?

Palic patrzył zdumiony. Wydawało mu się, że sakiewka tego smarka nie ma dna, że co mrugnięcie oka wypada z niej jeden groszak i toczy się po stole, wpada w strużyny drewna albo obija o niedokończony kufer i z wściekłym brzękiem siada na desce. Otarł oczy, ale nie pomogło. Zaczął więc liczyć, jednak czemuś nie potrafił. Gdy zaś zaczął zgarniać monety na dłoń, co chwila spadały, nie mogąc się w niej pomieścić. *Zabłyśnie więcej, więcej zabłyśnie, tylko fachu wyucz, mistrzu. A jak wyuczysz, złoto zabłyśnie* - brzęczało mu w głowie. - *Nie pożałujesz, nie znajdziesz drugiego tak chętnego ucznia. Pokaż mu połówkę sekretu, a on sam odgadnie drugą.*

- A gdzie ten zamek? - Palic oparł się o stół, z trudem łapiąc oddech. - Duszno...

Duszno jest w tej podłej Ozdze - odezwała się w jego głowie dawno zapomniana myśl. - *Rzeka nie daje chłodu, ziemia praży, ludzie patrzą na ręce... Pamiętają wszystko, a drugie tyle gotowi zmyślić. Chłopak wie, gdzie jest zamek, który trza tylko otworzyć. Ty potrafisz...*

Potrafił. A potrafiłby jeszcze lepiej, gdyby nie potrzaskali mu paluchów, kiedy był jeszcze młody i tak głupi, że narażał rękę dla paru groszy, podczas gdy prawdziwe bogactwa czekały w kupieckich skrzyniach. Zrozumiał to jednak za późno, dopiero gdy sam zaczął je robić.

Jeden pijany handlarz zgubił raz klucz od swojego kufra. Wszyscy rzemieślnicy mówili jedno - rozwalić wieko, sprawić sobie nowy. On był ostatnim, którego tamten kupiec sprowadził do swego domu, cały czas patrząc mu na ręce. Pamiętał do dziś tę skrzynię wielką jak szafa, okutą i zdobną niby jakaś księga.

Szkoda rozwalać, panie. Za samo pudło można by dać... pięćdziesiąt groszy? - powiedział sumę, jaka wydawała mu się wtedy wielkim majątkiem.

Pięćdziesiąt groszy to ty dostaniesz, jak je odemkniesz do wieczora - usłyszał w

odpowiedzi.

Otworzył, gdy Ojciec-Słońce jeszcze nie skończył polowania. A widok tego, co było w środku...

Masz tu zapłatę i się wynoś. A jak cię zobaczę bliżej niż na sto kroków od mojego domu, zabiję, złodzieju! -warknął kupiec, rzucając mu sakiewkę.

Zabłyśnie więcej, więcej zabłyśnie, tylko fachu wyucz... - powróciła uparta myśl. Miała rację.

- Błat, chłopcze. Więc jak cię wołają?

- Marlo, mistrzu. Swoi wołają też Kapłan, bo na kapłana się uczę.

Nie służba bogom była jednak jego prawdziwym powołaniem, o czym łon przekonał się w ciągu następnych dni. Do Święta Krwi chłopak umiał już otwierać każdą zapadkę, taką jak u bogatszych wieśniaków. Wielu to by wystarczyło do szczęścia, ale nie minęło kolejne Święto Wdów, a mały otwierał gwoździem kufry - po widnemu za każdym razem, a na słuch góra w trzech próbach. Palic nie mógł się nadziwić, że jego uczeń chłonie nie tylko to, co się przy nim mówi, ale nawet co się tylko pomyśli.

A Uje Szczuj nieraz pytał swego kompana: - Jak tyś mu tymi miedziakami błysnął, że rychło się zgodził? Nie wierzyłem, no nie wierzyłem. Dumalem, że trza mu będzie Sebę do wyra sprowadzić czy jak... Ile tam było? Ledwie tuzin?!

*

Sebika bardzo chciała pogadać z Ujem Szczujem, dlatego była wściekła, że musi czekać, aż ten się do woli namaca. Tyle dawała darmo wszystkim kompanom Ihego, tylko on sam dostawał więcej. Ozga to nie wielkie Aabo i tu służące muszą bardziej dbać o dobre imię!

- Seba - westchnął w końcu Szczuj - unieś tę kieckę.

- Ihe ci mordę przekręci - ostrzegła. - I mnie też. Myślałam, że jesteś ćwik. A nie jak Król tylko w łapie mocny.

- Ihe nie musi wiedzieć.

- Ale przegnajcie Kapłana.

- Dobrze, dobrze, pogwarzę o tym z Ihem. Unieś!

- Co pogwarzę?! Co pogwarzę?! - odsunęła się. - Sam go przegnaj!

- Nie mogę sam, to jego kompan - przyciągnął ją znowu. - A co ci on zawadza? Unosisz czy nie?

Odepchnęła go. Stali, ciężko dysząc, po dwóch stronach ich starej szopy.

- Suka! - wrzasnął Uje i podniósł pięść. Ale nie bała się. A w każdym razie mniej niż on Ihego. - A co ty masz do Kapłana? - Opuścił rękę.

Właściwie to sama nie wiedziała co. Może że był inny niż oni wszyscy? Pojawił się znikąd, nie wyrósł w gnoju Ozgi, nikt nie pamiętał go z tych czasów, kiedy Gail, Ihe i inni ganiali z gołymi tyłkami po przedmieściu. No ale Szczuj też mieszkał tu dopiero od kilku lat, a nic do niego nie miała nawet na początku. Kapłan był przecież niezły ćwik i bez niego chłopaki nie zrobiliby tak pięknie kramu kupca Voikego. Więc może dlatego, że mało do niej gadał? Ha, właściwie to wcale nie gadał. Ale Ihe też nie był wymowny. Przychodził tylko i brał. Nie pytał nawet, czy jej miło...

Nie wiedziała, a jednak w nowym było coś złego, oślizgłego i czuła się przy nim zupełnie tak, jakby obudziła się w nocy i poczuła, że po wyrku pełza wąż. I nawet nie to, żeby gad ją kiedyś ukąsił! Nigdy, ale mógł. I to, że w każdej chwili mógł, było właśnie najgorsze. Czuła, że ten nowy tak samo więcej w sobie kryje, niż pokazuje.

Uje dłuższą chwilę przyglądał się Sebice bez słowa, by nagle samemu udzielić sobie odpowiedzi:

- Wiem, co ty masz do Kapłana. Tylko on jeden ma cię, suko, za nic. Widać lepsze dupy już pod nim jęczały. Swoimi cyckami mu tego nie zasłonisz.

- Takiś ćwik, ty psi glizdku?! - splunęła, by po chwili zacząć okładać go pięściami. Biła po babsku, aby bić, a nie zbić, więc łatwo ją odepchnął. Wyszedł, drzwi kłapnęły, ledwo nie odrywając się od jedynego zawiasu, który jeszcze je trzymał.

- Jęczały jak u ciebie we łbie, gdyżeś se łysego ściszał! - zawołała jeszcze za nim, jednak nawet się nie odwrócił. - Idź, poskarż Kapłanowi, da ci od tylca na pociechę!

Inny by wrócił zdzielić ją po gębie. Uje tylko splunął.

Ale coś było w jego słowach. *Wiem, co ty masz do Kapłana. Lepsze dupy już pod nim jęczały* - brzmiało jej dalej w uszach, gdy wzięła odstawiony przezornie w kącie dzban z wodą. Stary Mane by jej dał, jakby rozbiła!

Swoimi cyckami mu tego nie zasłonisz - przypomniało jej się, kiedy wracała do domu. A jeszcze się zobaczy, co Sebika mu zasłoni! Jak tylko będzie miała chętkę...

Choć mieć nie będzie miała. Niedoczekanie!

Potem dała już spokój tym myślom, odtajała nieco i znów nastroszyła się w oczekiwaniu na wyrzuty Afiny: *Seba, gdzie ty się podziewasz, leniwy włóku? Lazłaś po wodę aż do Trzech Słońc?!* Szła powoli z oczami wbitymi w ziemię. Już targ bydłocy, jeszcze minie dom tkacza Gleba, skład kupca Taia i zaraz się zaczniesz...

- Gdzie ty się podziewasz, Sebika? - usłyszała naraz. Podniosła oczy i dzban wypadł jej z rąk. Pyskająca woda zmoczyła ją aż po kolana, jedna z większych skorup boleśnie uderzyła w paluch. Przed nią stał Marlo Kapłan.

- Niezły gnój, he! - zaśmiał się na widok kałuży. - Zbudziłaś wszystkie końskie łajna.

Już chciała odpowiedzieć mu czymś równie zgrywnym, kiedy nagle jego wąski uśmiezek zmienił się w podkówkę zupełnie jak u małego dziecka.

- Chodź stąd szybko, Seba, nim twoja stara najdzie. - Złapał ją za rękę i choć miał dłoń zimną jak lód, dała się prowadzić, nie patrząc nawet gdzie. Zupełnie zapomniała się bać.

Co on ze mną robi, tfu, pluje Chlu? - pomyślała.

Nic, Seba, nic. Ciii, ciii, Seba...

Kiedy wrócił jej rozum, leżała rozchełstana i z zadartą kiecką w jakimś nieznanym sobie wyrku w obcej izbie. Czowała odpływające z niej gorąco i lekki zawrót głowy jak po zbyt długim śnie. Nieczęsto zdarzało jej się spać dłużej niż do świtu, więc dobrze pamiętała to rzadkie uczucie. Gdzie jest? Co z nią było? Rozejrzała się. Obok łóżka stał odwrócony gołym tyłkiem Marlo i właśnie wkładał koszulę.

- Jak Ihe się dowie... - Chciała krzyknąć, grozić, ale słowa ledwie dobywały się jej z gardła niczym po długim, zadyszczonym biegu.

- Jak się dowie, to cię stłucze - powiedział zimnym, obcym głosem. Nigdy go u niego nie słyszała, ale bardzo by pasował do węża, gdyby tylko gadziny potrafiły mówić. - A zadbam, coby cię długo nie szukał.

Urwał, a potem mówił już zupełnie inaczej, bardziej po kapłańsku niż złodziejsku:

- Potem zapragnie zająć się mną, ale to już nie będzie takie proste, Sebiko. Więc jeśli nie chcesz, żebym to ja zajął jego miejsce, siedź cicho. I nie wchodź mi w drogę. Ja nie jestem jak Ihe, ja jestem jak ten twój Gail. Pamiętasz?

Teraz już przeraził ją naprawdę. Skąd wiedział? Wygadał mu kto? Ale kto, no bo nie tamci trzej! Ich już dawno w Ozdze nie ma, a gdyby nawet byli...

Tymczasem Marlo patrzył, jak ona ubiera się trzęsącymi rękami,omal nie rozdzierając przy tym nowej kiecki. Naraz zrobiło mu się jej żal. Łączyło ich więcej, niż mogła przypuszczać. Nie tylko ten Gail, którego zobaczył wcześniej w jej myślach i w którym od razu rozpoznał Lomara, nim ten trafił do mistrza. Ważniejsze, że choć była głupia, miała zbyt tłusty zadek i zbyt krowie oczy, to też trochę czuła myśli. Na szczęście tylko czuła, a nie słyszała.

Szybko odpędził to uczucie, zawstydził się go nawet.

- Na! - Podał jej dzban niemal taki sam jak ten, który upuściła, i wyszli razem przez świątynię. Zarumieniła się, gdy jej oczy spotkały wzrok Erh-Ada.

- Ta dziewczyna prosiła o trochę świątynnej wody, panie - wyjaśnił Marlo.

Skłoniła się przed kapłanem i uciekła.

- Chłopcze, wiesz, czym ona jest? - usłyszała jeszcze zza drzwi.

- Chyba służącą pani Afiny...

- Jesteś taki czysty, chłopcze...

IV

A jednak nie wszystko dało się ukryć. Czego Erh-Ad nie zdołał dopatrzeć się sam, donieśli mu o tym dobrzy ludzie. Wiedział już, że przestaje ze złodziejami, i choć brał to tylko za przejaw mojej młodszej naiwności i bezmyślności, parę razy porządnie przetrzepał mi skórę. Znosiłem to, próbując zaglądać w jego umysł, mając nadzieję, że gniew odłoni myśli. Na nic. Kiedy dla odmiany próbował mnie przekonywać rozsądnymi słowami, twierdziłem, że nigdy nie widziałem, aby moi nowi przyjaciele coś ukradli, a skoro ktoś to widział, to czemu nie zawołał strażnika? Albo krzychałem, że to chłopcy jak wszyscy inni, tylko nie ma im kto opowiedzieć o bogach.

Zaczęłem też zaniedbywać obowiązki w świątyni, naukę i nieraz wracałem późno w nocy. Kilka razy spilem się piwem, choć nigdzie na świecie nie robią obrzydliwszego niż w tym mieście. Stałem się dobrym chłopcem sprowadzonym na złą drogę. I kapłan w to uwierzył. Dlatego właśnie tłukł mnie, zamiast oddalić, bo miał nadzieję, że w końcu coś wytłucze. Przecież kto kupił dobrego konia, nie sprzedaje go na mięso tylko dlatego, że głupie bydlę nazarło się szaleju.

W Święto Żebraków, gdy ojciec Marla znów przyjechał do Ozgi, Erh-Ad zapomniał o wcześniejszym niepokoju, jaki budził w nim ten człowiek. Był wręcz rad z jego wizyty. Co prawda tylko dzięki łasce Erha nie drżał ze złości i... tak, z lęku, ale tym razem powodem nie były żadne niejasne przeczucia, tylko młody uczeń. Choć zapowiadał się tak dobrze, nie zdołał jednak uniknąć przyrodzonej swemu wiekowi głupoty. Dlatego jak tylko kapłan złożył z gościem ofiary, zaprosił go na posiłek i opowiedział o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło.

- Może ty, panie, przemówisz mu do rozumu - zakończył.

- Dzięki ci, pobożny, że niczego nie ukryłeś. Przemówię, a jakże! - Omar odstawił miskę.

- Przejdziemy się za miasto, synu...

Erh kończył już swe jesienne panowanie i choć ani dla jego sługi, ani dla całego świata nie mogło to być rzeczą miłą, mimo przenikliwego chłodu tego dnia kapłan wreszcie poczuł spokój, prawie radość. Nie mógł wiedzieć, że zagłębiwszy się w markotny, szeleszczący zeszlými liśćmi las za miastem, Marlo i jego ojciec nie rozmawiali tak, jak sobie to wyobrażał.

- Ozga jest mała. Takich rzeczy jak twoje szczeniackie wybryki nie sposób tu ukryć - zauważył Omar, przystając obok rosnącego buku. Mówił cicho, mimo że suche liście zdradziłyby każdego, kto zbliżyłby się, chcąc ich podsłuchiwać.

- Więc ich nie ukrywam - odpowiedział dumny z siebie młody wąż.

- Bardzo mądrze, Marlo! - Mistrz klepnął go w ramię. - A kraść już umiesz?

- Umiem, ojcze. Lepiej od moich mistrzów w tym fachu.

- Cóż, tacy to mistrzowie... A ile razy żeś chodził co nabyć? Za kupca czy tycera? - zapytał naraz przez zęby po złodziejsku.

- O, dźwigałem i za kupca z pięć razy, i z drugie tyle będzie za tycera. Bez swędu!

- I gadać umiesz! - ucieszył się Omar. - To ci się może nieraz przydać. Kiedy skończysz sprawę?

Chłopak nie odpowiedział od razu. Wcale nie palił się, aby kończyć całkiem przyjemną zabawę, jaką było udawanie najpierw kapłańczyka, potem złodziejzka. Przecież tak naprawdę pierwszy raz w życiu bawił się i odpoczywał po tych trudnych latach nauki u boku mistrza. Nie spodziewał się też, aby figurki Erh-Ada kryły tajemnicę wartą poświęcenia wygod i ciepłej, obfitej strawy, jaką co dzień jadał w domu kapłana. Jak inni chłopcy marzą, aby szybko dorosnąć, on po raz pierwszy mógł być tylko dzieckiem.

Ale to się skończyło, bo Omar stał nad nim i czekał odpowiedzi. Dziw, że sam jej nie

wyciągnął prosto z głowy swego ucznia.

- Najdalej za kilka dni wydadzą się moje złodziejstwa, a ja będę ich żałował. Potem muszę jeszcze poczekać, aż Erh-Ad uwierzy w poprawę. Sam wiesz, ojcze...

- Niby co mam wiedzieć, synu? Nie chcę słuchać twoich wykrętów, tylko widzieć, jak spełniasz powinność. Masz czas do wieczora w Dzień, Którego Nie Ma. Ani oddechu dłużej, wężu.

Dziesięć dni... Rozkaz mistrza wpłynął ze słowami do umysłu chłopca, a stamtąd przeniknął do ciała. Marlo zeszywniał jak pies czekający komendy.

- Przyjadę na dwa dni wcześniej - mówił dalej ojciec już samymi słowami, nie wwiercając się w myśli. - Może mnie nie zobaczysz, ale będę czuwał.

Chłopiec spuścił oczy i z miejsca przypomniała mu się Sebika z jej przestraszonym wzrokiem. Myślał o niej częściej, niżby chciał. Przyłapywał się nawet na tym, że chciałby ją przytulić, pocałować czy jakkolwiek przeprosić. Wziął ją wtedy i z ciekawości, jak to właściwie jest, i dlatego że kiedyś w pewnym sensie należała do Lomara. Doznając pierwszego spełnienia, przeżywał pełnię zemsty niczym wojownik gwałcący kobiety wroga i wstyd, bo przecież mógł ją nastraszyć jakoś inaczej. Być może z tego właśnie powodu wcale nie czuł rozkoszy, jakiej się spodziewał... Zrozumiał też wreszcie, co kiedyś rzekł mu Omar, opowiadając o dawnych wojnach trzech królestw: *Z radości i wstydu bierze się okrucieństwo. Tak jak smród jest z Ognia i Ziemi.* A Marlo był przecież wężem - bezwzględny, lecz nigdy okrutny.

- Nie zawiedziesz się, ojcze - przyrzekł. - Wracajmy, jeśli pozwolisz.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go Omar. - Stań prosto, synu.

Uderzył tak, że chłopiec padł na plecy i przez chwilę szumiało mu w głowie. Czuł, że pod okiem rośnie mu siniec, a kiedy spróbował wstać, krew z nosa zaczęła kapać mu na koszulę.

- To, aby kapłan wiedział, że przejąłem się twoim postępowaniem.

*

Strażnik miejski Tome drzemał sobie po posiłku, póki skrzypiące drzwi nie kazały mu otworzyć oczu.

- No czego chcesz, dziewucho? - Podniósł się niechętnie z ławy. Jego towarzysz Fren odsunął miskę z mięsem i serem, otarł brodę.

Dopiero teraz uwierzyła naprawdę, że jest w psiarni. Szła tu, szła, pchał ją strach, a nogi niosły, ale nie przyjmowała do siebie, że dojdzie. Są rzeczy, których się nie robi. Nie daje się przydupasom, nie kradnie w świątyni, nie skamle u psów. Ale u kogo miała skamleć, skoro nawet Ihe nie chciał słuchać ani słowa przeciw Marlowi?

- No?

- Chcę mówić - powiedziała. Stała nieśmiało tuż za progiem strażnicy, jakby zdziwiona, że poważyła się go przestąpić. Ha, w całej Ozdze wiadomo, że lepiej tego nie robić, a strażnicy radzi są takiej opinii.

- Ja bym tam wolał, cobyś zatańczyła! - zarechotał, oblizując się, Fren. Jednak nie pomogło, nie wyszła. Tome otarł rozespiane jeszcze oczy, przybrał groźną minę. Nic, stała i patrzyła nawet nie bardzo wystraszona, bezczelna suka!

- Chcę mówić - powtórzyła. - Przeciw uczniowi kapłana.

- Co?

- Ten Marlo zniewolił mnie, panie.

- Eee, tylko tyle?! - machnął ręką strażnik. - Trza było krzyczeć i nie dać. Powiedz ojcu, niech to załatwi.

- Nie mam ojca.

- No to bratu.

- Brata też nie mam, panie. Jestem Sebika, sierota.

- I co z tego, dziewczucho?

- Wiem, jak i ty, panie, że skoro nie ma kto z rodziny dojść sprawiedliwości, zrobi to prawo kraju Addli. Tak jest nakazane. Źle mówię?

Tome przyjrzał się Sebice. Tak, jeśli ktoś miał ją brać, to tylko teraz, bo widać było po jej ramionach i biodrach - dziewczucha tylko czekała na kęs lepszego jadła czy na urodzenie pierwszego dzieciaka, by upodobnić się bardziej do prosiaków zarządcy niż młodej jałówki. Potem przeniósł wzrok na jej duże, stworzone do płaczu oczy. Ale nie dostrzegł w nich strachu ani rozpaczy. *Kłamie* - pomyślał.

- Mnie tam nie było. Nie widziałem. Poszła precz.

- A pójdę, pójdę, tyle że prosto do zarządcy! - krzyknęła, jednak odpowiedział jej tylko śmiech strażników. Krew zaróżowiła twarz dziewczyny, pierś zaczęła łapać coraz szybsze oddechy i wtedy dostrzegła, jak wzrok Tomego próbuje zanurzyć się za jej koszulę. -Panie, obacz

choć dowody - dodała spokojniej.

- Wszystkie dowody? - Oczy strażnika ześliznęły się na jej biodra.

- Wszystkie, panie. - Szarpnęła luźno związane troczki. Puściły. - Tylko zawrzyj drzwi.

*

Nie co dzień, bracie, przychodzi się po kapłańskiego ucznia - myślał sobie strażnik Ube, idąc przez rynek. Pałkę trzymał blisko ciała, nie wymachiwał nią jak zwykle, w obawie, że wyśliznie się ze spoconych łap i wstydu narobi. - *Oj, nie co dzień, bracie, prowadzisz takiego przez miasto jak złodzieja czy innego takiego.*

Nie co dzień, a właściwie nigdy. Dlatego gdy tylko starszy ozgańskiej strażnicy Tome wydał mu ten rozkaz, Ube nie zapytał nawet: *Za co?*, ale: *Dlaczego ja?*

Tome rzekł tylko, że jemu się nie chce, więc poszedł on - najmłodszy.

Zastał chłopaka pod posągiem Pufa. Właśnie polerował bogu nos. Strażnik czekał więc dłuższy czas obok, nie bardzo wiedząc, czy skłonić się przed Panem Powietrza, jak nakazuje pobożność, czy *stać prosto niczym młody kutas*, jak uczył go Tome.

Marlo ani myślał ułatwiać mu zadania. Dopiero gdy Ube zezłoszczony własną niepewnością zaczął postukiwać pałką o posadzkę, odwrócił głowę i zapytał z uśmiechem:

- Chcesz się widzieć z pobożnym Erh-Adem, panie? Ha, nie uchodzi brać syna bez wiedzy ojca, ucznia bez rozmowy z mistrzem, wiadomo!

- No - potaknął więc Ube. I został sam z bogami. Powiódł spojrzeniem po ich twarzach, wtedy nagle Agni uśmiechnął się lekko.

- Tfu, pluje Chlu! - szepnął strażnik, licząc, że Ogień przestraszy się Wody, i nagle przyszło mu na myśl, że może Tome zwyczajnie z niego zakpił jak to starszy z młodszego. Że wraz z Frenem rechoczą teraz nad dzbankiem, gotowi w każdej chwili powiedzieć: *Ja kazałem? Hełm ci cięży, Ube! Widać za dużo słońca na rynku. Albo twój łeb za głupi do naszej roboty.* Jednak gdy chłopak wrócił, prowadząc swego mistrza, odważył się rzec, z czym przyszedł.

- Doigrałeś się, Marlo! - Erh-Ad wzruszył ramionami nieczuły na przerażoną minę ucznia.

Widno było coś na rzeczy - pomyślał ucieszony strażnik i z tej radości naraz zrobiło mu się żal małego.

- Nie bój - szepnął mu, gdy wychodzili na rynek. Ojciec-Słońce stał na niebie zadowolony

z jednego z tych ostatnich jesiennych dni, gdy szczęści mu się na polowaniu. Ube nie podzielał do końca radości starego boga, nie takie łowy marzą się przecież młodym strażnikom, lecz pewne, że chłopak musiał mieć jeszcze mniej powodów do radości. - Nie bój, widziałem na strażnicy tylko jakąś dziewczuchę. Seba czy coś tam... Nietrudno zgadnąć, z czym przyszła. Trochę wstydu będzie, ale paluchów nie utną... He, he, pewnie nawet całkiem nic nie utną - zakończył bardzo zadowolony ze swego żartu.

Kapłański uczeń niby na chwilę poweselał, ale gdy zobaczył, jak patrzą na niego handlarze z rynku, jak ta i owa kupująca zgorszona upuszcza na ziemię dopiero co wybrane jabłko i tylko gapi się z otwartą gębą, mina znów mu zrzędła.

- Ludzie już myślą sobie o mnie Puf wie co, panie - powiedział. - Dziewucha nałgała, co jęzor przyniosł. Nic nie zrobiłem.

- No, ja radziłem nie zadawać się ze złodziejami. No wspomnij dobrze, radziłem czy nie radziłem?

Marlo kiwnął głową, najwyraźniej przypomniawszy sobie, kto nakrył go nie tak dawno z ulicznikami w zaułku koło gospody.

- No to teraz trza będzie pałką wziąć, co się należy! - Ube pchnął lekko ociągającego się chłopca. - Wielu pałka pomogła, to i tobie nie zaszkodzi.

Ledwo kapłański uczeń stanął w drzwiach strażnicy, Tome złapał go za kark i rzucił na stół ze świeżymi jeszcze plamami po piwie. Najgorszy jest pierwszy i piąty raz. Pierwszy, bo nie wie się jeszcze, jak będzie, a piąty, bo ledwo człek przywykł do świeżego bólu, pałka zaczyna trafiać w te same siniejące miejsca, które przed chwilą tylko piekły, a teraz zaczynają palić. Ale Marlo rozplakał się już po trzecim uderzeniu.

- Dziesięć! No, będzie - Tome przestał wreszcie bić i znów targnął chłopaka za kark, żeby postawić go na nogi. - A na drugi raz pamiętaj, że jak dziewczka mówi *nie*, nie zawsze musi to znaczyć *tak*. Bo można źle zgadnąć i dostać po zadzie. Albo i nożem pod żebro. To dobra rada, chłopcze. Co się mówi, jak dobrze radzą? - zapytał groźnie.

Wtedy otwały się drzwi loszku, a właściwie tylko bocznej izdebki z maleńkim oknem, gdzie trafiają zwykle na noc zbyt zadziorne pijaki. Teraz wyszedł z niej podciągający spodnie strażnik Fren, a za nim czerwona na policzkach Sebika.

Marlo zwrócił ku niej twarz mokrą od łez i smarków, ale dziewczyna nie dostrzegła w niej wcale żalosego wyglądu. Widziała tylko jego oczy, które choćby chciały, nie potrafiłyby

prawdziwie, po ludzku płakać. Oczy wilka, wściekłego psa czy węża.

- Co się mówi? - Tome strzelił go w ucho, ale zamiast się ucieszyć, Sebika zamarła przerażona, że ten potwór, którego tamci biorą za zwykłego chłopca, zaraz wyrwie się i rozszarpie ich wszystkich.

- Dziękuję - powiedział jednak cicho, ocierając nos rękawem.

- Jesteś zadowolona, dziewucho? - zapytał Fren.

- Ale on też... - zaczęła, jednak spojrzenie Marla zamknęło jej usta. Nie mogła naszczekać na niego nic więcej, bo swąd by poszedł i na chłopaków.

- Coś chciała? - przygwoździł ją Tome.

- No, czy on aby przestanie...

- On? On już się zesrał!

A gdy dziewczyna wybiegła, zaś parę oddechów później uciekł chyłkiem zawstydzony uczeń kapłana, Tome dał jeszcze naukę młodemu kamratowi:

- Widzisz, w naszym fachu jesteś niby ojciec. - Po czym zapytał nagle, jakby wydawał komendę tresowanemu psu: - A kto jest ojcem strażnika?

- Ojcem strażnika jest zarządca straży. Niech ci się okpić go nawet nie marzy - wyrecytował Ube.

*

Zajął się nią Uje Szczuj. Raz, że to on pierwszy przyniósł chłopakom wieści z rynku. Wielu tam widziało tę dziwkę wybiegającą z psiarni. Gęba tak jej się radowała, jakby jej dogodził sam zarządca straży albo i jaki namiestnik. Dwa, że nie był jej fagasem jak Ihe. Nie będzie za słabo lał - każdy to wiedział. Jednego tylko nikt nie przypuszczał - że Szczuj ma wielką chęć dolać tak mocno, aby padła i już nie wstała.

Marlo nie krył, jak było, gdy go wzięli. Pytali po psiarsku - o kompanów, co nabyli, gdzie skryli i tak dalej. Za każdym pytaniem szła pałka, ale nie wydał nic, nikogo. Najlepszy dowód, że chodzili zdrowi po ulicach i żaden kundel na nich nie ujadł bardziej niż zwykle.

O trzeciej godzinie dnia Uje wziął więc ze sobą Jovego Króla i zaczęli się koło małej studni na skraju miasta. Tam gdzie ponoć najlepsza woda, najzdrowsza dla słabowitej córki Afiny. Właśnie tam kupcowa co dzień posyłała Sebę. Nie czekali długo i wszystko poszło jak

trzeba. Jove raz stuknął w łeb, a potem już dała się jak worek odciągnąć w krzaki. Że żyła, świadczyło tylko pojękiwanie, kiedy prali łodygami trzciny.

Tymczasem kapłan Erh-Ad wszedł do strażnicy, prowadząc ze sobą swego ucznia. Marlo miał spuszczoną głowę i nawet nie śmiał spojrzeć nikomu w twarz.

- Witaj, czcigodny kapłanie - Tome wstał i uklonił się z szacunkiem. - Czy chłopak znowu coś zbroił?

- Nie, to dobry dzieciak, no ale tylko dzieciak. Chce się oczyścić.

- Oczyścić? Nie rozumiem, panie.

- Chce powiedzieć wszystko do końca - powiedział Erh-Ad. - Proszę tylko, niech będzie tak, jakby jego z nimi nigdy nie było. On już wziął z tego naukę i dobrze zapamięta. Tak, chłopcze?

Marlo potaknął głową, nadal nie podnosząc oczu.

- Skoro ty za nim prosisz, panie...

- To wszystko wina tej Sebiki, służącej Afiny. Już dawno jej mówiłem, żeby wygnała dziewczuchę. To ona zwiiodła chłopca.

- Oczywiście, panie. Ale nie ma o czym mówić. Dostał nauczkę, więcej dziewczki nie ruszy na siłę. Też byłem kiedyś taki jak on i pamiętam, że łeb dałbym sobie uciąć, coby pomacać cycek - roześmiał się Tome, aż kapłan musiał go zgromić ostrym spojrzeniem. - Wybacz prostactwo, panie.

- Słowa to tylko słowa, liczą się myśli. Nic się nie stało, strażniku. Ja też nie od urodzenia byłem kapłanem. Ale nie w tym rzecz. Marlo, powiedz wszystko jak mnie.

Chłopiec zaczął dukać o kramie przekupki Radiki, o magazynie tkacza Gleba, o wszystkich złodziejskich dokonaniach młodej szajki Ihego, a z każdą nową wieścią strażnicy przyglądali mu się coraz to bardziej zadziwieni. Nawet najstarszy Tome nie przypominał sobie takiego zdarzenia, żeby ktoś sam z siebie, nieprzepytany i bez pomocy pałki wyznał tyle ciekawych rzeczy. Mówił cicho, spokojnie, ze spuszczoną głową i powoli, żeby w głowach stróżów prawa wszystko się dobrze ułożyło. Kiedy skończył, Erh-Ad rozwiązał sakiewkę i odliczył trzydzieści groszy.

- To powinno starczyć. Ufam, że oddacie komu trzeba i zapomnicie o moim uczniu. Ludzie nie muszą wiedzieć, wystarczy, że on pamięta.

Wyszli i dopiero wtedy Marlo odważył się spojrzeć na swego nauczyciela.

- Dziękuję, mistrzu, że ująłeś się za mną. *Mistrzu* - kapłan uświadomił sobie nagle, że uczeń zwrócił się tak do niego po raz pierwszy.

Erh-Ad nie był łasy na pochlebstwa, a jednak poczuł się prawie tak błogo, jak wiele lat temu, gdy został sługą Pana Ziemi.

- Mój chłopcze, ja wyrządziłem kiedyś stokroć więcej zła, zanim bogowie pokazali mi drogę - powiedział, z uśmiechem nachylając się ku Marlowi.

- Nie wiedziałem, panie.

- Bo i nie twoja rzecz to wiedzieć! - Kapłan nagle odwrócił głowę. - Biegnij przodem. Świątynia niezamieciona. Chlu aż lepi się od brudu.

W tym czasie w zaroślach nad rzeką Uje Szczuj wstał z posiniaczonej Sebiki.

- Dupa twoja, Królu - powiedział do Jovego.

V

Po Świącie Żebraków strażnicy zabrali prosto z ulicy Ihego, Szczuja i Króla. Zarządca straży i miasta nie spieszył się z sądem, licząc, że wypłyną inne sprawy i młodym złodziejom będzie można uciąć palce, a nie tylko poprzestać na wybatożeniu. A ja już tylko czekałem, aż Erh-Ad oddali się z świątyni na dłużej...

Chłopakom ze dwa razy zaniósłem kosz z jedzeniem, żeby nie przyszło im do głowy, kto wydał.

- Sebika, ta Sebika... - sęczyłem głosem i myślą, a oni opowiadali, co zrobiliby z nią jeszcze, gdyby wiedzieli, jaka z niej suka. Nawet mieliby okazję, bo teraz straż polowała i na nią, jednak dziewczyna znikła z miasta.

Ja znów stałem się układnym, skruszonym uczniem kapłana. Była właśnie najlepsza pora zbierania owoców żnichu, które wyszały już wszystkie soki ze swoich łodyg i zakrzepły podczas pierwszych nocnych mrozów jak krople krwi. Więc z polecenia Erh-Ada nieraz chodziłem na łąki i zawsze przynosiłem mu pełen koszycz przejrzałych jagód, a tych zdatnych do mikstur było może trzy na tuzin. W końcu mój nauczyciel uznał, że jeśli chodzi o rośliny, nigdy nie będzie ze mnie pożytku, bo nie umiem odróżniać kolorów. I poszedł sam, a ja, panie, potrafiłem rozpoznawać wszelkie barwy tego świata lepiej niż niejeden malarz. I więcej trudu kosztowało mnie umyślne wybieranie niezdatnych do niczego jagód niż komuś innemu tych dobrych. Ale co ważniejsze -

umiałem też otwierać zamki...

Kto wie, jeśli wierzyć zabobonom, może właśnie to spowodowało wszystkie kłopoty, jakich życie mi nie szczędziło. Do izby kapłana włamałem się bowiem w Dzień, Którego Nie Ma, w wigilię Święta Chlu, w najstraszniejszy dzień roku, gdy mówią, że Ojciec-Słońce odwraca wzrok od świata, gdy najrozsądniej byłoby spędzić cały czas we własnej izbie, nic nie jedząc, nic nie pijąc, nikogo nie widując...

Teraz miałem czas nawet policzyć figurki. Było ich piętnaście - siedmiu mężczyzn, pięć kobiet i troje dzieci. Stały tak samo jak wtedy, kiedy kapłan kazał mi iść tu po ziola. W przeciwieństwie do tych, które widziałem w umyśle Erh-Ada, były często starannie oczyszczone z kurzu i pieczołowicie odstawiane na to samo miejsce. Po co? Czy skoro nie zdradziły mi tego jego myśli, zdradzą mi martwe figurki? Nie wiedziałem, jak je do tego skłonić, ale musiałem poznać prawdę, której tak dobrze strzegły...

*

Marlo stał przed woskowymi wieśniakami bezsilny, jakby ktoś obciął mu obie ręce. Nie umiał zrobić żadnego użytku z tych ludzików, choć gdyby byli prawdziwi... Wszystkie dzieciaki bawią się podobnymi figurkami, każą im zawierać małżeństwa, walczyć, przeżywać niestworzone przygody. Marlo nie znał takich zabaw. Łowił ryby, bił się z Lomarem na kije, biegał po lesie, chował się, uciekał, sięgał w głowy ludziom... Chłonał obcą prawdę, ale nigdy nie tworzył własnej. Świat zawsze mówił do niego, ale figurki milczały.

Z wysiłkiem przypomniał sobie, jak mali chłopcy z sąsiedztwa bawili się w bitwę drewnianymi wojownikami. Ale te nie nadawały się do tego - mężczyźni o wielkich dłoniach i niekształtnych twarzach, grube kobiety - albo tak brzydkie, albo tak źle wydłubane w woskowych klockach, dzieci o dorosłych rysach, tylko bez bród i wąsów. Cóż mogą robić tacy ludzie? Marlo wziął miskę, do której kapłan włożył kilka owoców, wysypał je i odwrócił naczynie dnem do góry. Pokroił owoce na cząstki i ułożył je na misce jak na stole. Tak, każdy woskowy wieśniak ma swoją porcję na wieczerzę! Wystarczyło ustawić ich tylko wokół miski wedle starszeństwa...

Nie chcesz kaszki? Jak nie będziesz jadł, to Puf cię porwie i uniesie w obce kraje - nagle w głowie Marla odezwał się ciepły głos kobiety.

Chłopiec zadrżał. Ten sam głos rozbrzmiewał już nieraz w jego snach, ale nigdy nie był

tak cichy i spokojny. Zawsze krzyczał napięty do ostatnich granic, by po chwili urwać się, umrzeć. Słyszał go, siedząc w ciemnej norze, z której potem wyciągnęli go mistrz i Lomar.

Wszystkie woskowe figurki stały przy swoich porcjach, milczały, nie chciały zdradzić, która się odezwała. Marlo brał je po kolei do rąk, patrzył im w oczy jak sędzia. Milczały, jednak czuł, że nie są tylko martwym woskiem, że każdą z nich oplątują nitki-myśli. Jak włókna pajęczyny przegapione przy sprzątanui. To one chciały mówić, bardzo chciały, tylko nie miały zbyt wiele sił.

- Myśli są Wodą... - szepnął młody wąż. Wylał swój umysł, aby splukał niewidzialną pajęczynę...

Nie przeszkadzaj, mały, bo urwę głowę i gotowe! - tym razem usłyszał twardy, oschły głos mężczyzny. Choć wiedział, że nie mówi on tego poważnie, jednak przestraszył się, bo gdyby ojciec chciał, to każdemu by łeb urwał. Tyle miał siły co nikt! Ojciec? Czyj ojciec?

Marlo potrząsnął głową. Jego własny ojciec! Ten sam, który całym ciałem naparł na drzwi, gdy ciszę nocy przerwały krzyki. Dotąd nie pamiętał tamtej chwili, ale ujrzał ją tak nagle i wyraźnie jak w blasku błyskawicy.

Kłapa w podłodze, nora w ziemi... Matka, uspokajając synka delikatnym głosem, niesie go do niej, wkłada, zostawia, zamyka, a ojciec ryczy gotów zabić każdego, kto wedrze się do chaty. Marlo nie widział go już więcej. Więc siła nie pomogła. To nie on zabił, jego zabili.

Które z figurek wyobrażały jego rodziców? Tego myśli nie podpowiadały. Wziął więc jednego mężczyznę i jedną kobietę - tę samą, którą w Święto Złodziei ukradł kapłanowi. *A może to ona chciała być ukradziona?* - przyszło mu nagle na myśl. Urwał im woskowe głowy. Leżały teraz oddzielone od ciała na kapłańskim ołtarzyku, a pozostałe figurki otaczały je kołem, rozpaczając nad martwymi towarzyszami. Nagle znów usłyszał w głowie krzyk matki. Podniósł figurkę i rozerwał ją, żeby wydobyć włos - jej duszę. Wtedy usłyszał naraz trzy krzyki.

Nieeee! - wołała matka.

Na kolana, suko! - krzyczał ochlapany krwią pysk nachylającego się nad nią zbira.

- Złodzieju! - wydarł się tym samym głosem kapłan Erh-Ad stojący na progu swojej izby.

*

Stali naprzeciw siebie - kapłan i jego uczeń, morderca i złodziej.

- Co tu robisz?! Jak tu wszedłeś?! - Erh-Ad drżał ze złości, drżały figury zamykające jego umysł. - Wynoś się! - Złapał chłopca za ramię, chciał wypchnąć za drzwi, ale ten odwinął się i znów stanął przed nim, teraz z nożem w dłoni.

- Nie tak prędko, mistrzu! Masz krew na rękach - syknął. I ciągnął dalej, wpatrując się w zdumionego kapłana: - Jakież dziesięć lat temu, nie pamiętasz?

Marlo wszedł w jego myśli. Erh-Ad stał z zakrwawionym mieczem oparty o studnię, a wokół płonęły domy. Nieruchome ludzkie figury nie pilnowały już pamięci, teraz wszystkie były żywe i uciekały, próbując się skryć. Ale na próżno.

- Nie kłam, kapłanie. Wiem wszystko. Mężczyzna cofnął się przed chłopcem, przewracając stół. Myśli uciekały na wszystkie strony jak mieszkanki rozgrzebanego kijem mrowiska, ale ciało niemal wrosło w podłogę. Mógł robić tylko drobne kroki. W końcu oparł się plecami o ścianę. Już nie miał dokąd uciekać.

- Skąd? - wybełkotał. - Skąd wiesz? Tam wszyscy zginęli.

- Nie wszyscy. Przeżył pewien mały, może czteroletni smark.

I wtedy to się stało. W głowach węża i kapłana jednocześnie wybuchł pożar, a figurki Erh-Ada zaczęły topić się z nieprzyjemnym skwierczeniem. Marlo poczuł woń tłących się ludzkich włosów. Usłyszał krzyk:

Na kolana, suko!

Chłopiec nie był chłopcem. Był zbirzem i nachylał się nad swoją własną matką, targając ją za włosy. Widział ją oczami napastnika - obcą, wykrzywioną strachem, a jednocześnie dziwnie ponętą, zupełnie jak Sebika, gdy czerwona na twarzy pospiesznie poprawiała ubranie.

Gdzie macie tu piwniczkę, suko?!

Nie mamy nic. Jesteśmy biedni. Oszczędź, panie!

Szkoda ostrza! Jedno uderzenie jelcem i upadła, drgając jak ogłuszona świnia, nim rzeźnik nożem otworzył jej żyłę na szyi.

Naraz napastnik zdumiał się, bo zobaczył sam siebie - wielkiego, rosłego jak góra, jakby patrzył na siebie oczami żaby lub innego stworzenia trzymającego głowę nie wyżej niż palec od ziemi. Miał te same oczy co i dziś, choć włosy jeszcze czarne, nie siwe. I blizna na czole nie zmieniła się jeszcze w białą kreskę, tylko była różowa jak glizda. Czy wtedy... Tak, przypomniał sobie - wtedy też wydało mu się, że ktoś na niego patrzy, ale zlekceważył to. Wokół pełno było przecież oczu rozjaśnionych mordem lub gasnących w śmierci. Teraz jednak zobaczył tę chwilę

wyjętą z czasu niby rycina w księdze, jaką można oglądać godzinami i dostrzec każdy szczegół. Tym szczegółem, który wówczas przegapił, były przestraszone oczy dziecka - małe, lecz mroźne jak zemsta. Takie same, jakimi patrzył na Erh-Ada jego uczeń Marlo.

- To byłeś ty?!

Bełkocząc niezrozumiałe słowa, upadł na kolana przed chłopcem. Marlo nie potrafił od razu zebrać myśli. Zanim wróciły do jego głowy, zanim rozwiązał się obraz, który stworzyły razem z myślami Erh-Ada, tylko stał, patrząc na niego z obrzydzeniem. Ale nie trwało to długo. Oprzytomniał i znów był węzem.

- To byłem ja - syknął, doskakując do kapłana. Nóż już zmieniał się w ząb wypełniony jadem, gdy nagle czyjeś szybkie kroki za ścianą oderwały go od zdobyczy.

- Stój, chłopcze!

Wąż przykucnął w kącie izby gotów skoczyć i zabić tego, kto przeszkodził mu w łowach. W jego głowie gotowały się wściekłe myśli, ale za chwilę zwiędły zmrożone. W drzwiach stał Omar w kupieckim ubraniu i jakiś człowiek w podróżnym płaszczu, z wisiosem strażnika na szyi.

- Stój! - powtórzył nieznajomy. - Wszystko słyszałem. Masz prawo do zemsty, ale nie rób tego.

- Synu! - zawołał nieswoim głosem mistrz i podbiegł, by po ojcowsku wziąć chłopca w ramiona. Szybkim ruchem złapał go za nadgarstek i odebrał nóż. - Nie zostaniesz dłużej w domu tego mordercy! Wybacz, ale skąd mogłem wiedzieć?

- Ten człowiek, znany w mieście Ozga jako kapłan Erh-Ad, przyznał się w waszej przytomności do uprawiania zbójstwa... - Strażnik mówił jeszcze wiele, lecz w pamięci Marla zostało z tego tylko jedno zdanie, które później wiele dni obracał w myślach, próbując je zrozumieć: - To dobrze, że nie zdążyłeś go zabić, chłopcze.

*

Odjechaliśmy o świcie, gdy Ozga jeszcze spała, tym mocniej, że do późnej nocy ludzie gadali po karczmach o tym, jak to za parę dni strażnicy będą nawlekać na pal ich kapłana. Musiało to zmrozić wszystkie serca - oto najlepszy człek okazał się właśnie najgorszym. Zbójem i mordercą, oszustem udającym sługę bogów. Zeznał ponoć - i to jeszcze przed przypiekaniem - że ledwo dorósł w rodzinnej Quetli, uciekł przed sprawiedliwością do Aytlanu i przybywszy do kraju Addli,

z miejsca skumał się z nową bandą. Najgłośniejszymi pewnie pomstowała kupcowa Afina, aby nikomu w mieście nie przeszło nawet przez myśl, że jest mu wdzięczna z powodu tych marnych ziół, którymi leczył jej córkę. Wtedy jednak nie obchodziło mnie zupełnie, co myślą inni ludzie. Jechałem obok mojego przybranego ojca jak martwy, a moje myśli wypełniał żal, że to nie ja zadam śmierć Erh-Adowi. Czulem, że tylko to mogłoby dać mi spokój i przywrócić życie.

- Nie mogłeś go zabić - odezwał się mistrz, kiedy już most graniczny między krajami Addli a Maud został daleko za nami. - Jesteś wężem, Marlo. Pamiętaj! A węże nie zabijają w gniewie. Nie zabijają dla siebie, tylko z powinności. Tym właśnie różnisz się od takich morderców jak on.

- To była moja powinność.

- Nie, to powinność kata. Właśnie dlatego wyszukałem najuczciwszego wywiadowcę straży, prawdziwego arystokratę po Akademii w Mieście Trzech Słońc. Ha, niemal uczonego! Opowiedziałem mu historyjkę o tym, jak to dobrzy ludzie dali mi ciebie pod opiekę, gdy handlowałem niedaleko twojej nieszczęsnej wioski. Nie szczędziłem mu oczywiście ociekających krwią opowieści o tamtym napadzie. I rzekłem, iż będąc w mieście Ozga, wydało mi się, że na podstawie tych zasłyszanych słów rozpoznałem twarz jednego ze zbójów. Mówiłem: »Ten człowiek jest tam kapłanem, żaden miejscowy strażnik mi nie uwierzy. Zresztą, panie, sam wiesz, jacy ludzie są strażnikami w takich miejscach! No i nie mam pewności. Gdybyś zechciał przepytąć go jakoś...«. Im więcej kłamstw i niedorzeczności, tym mocniej ów uczciwy wywiadowca zapalał się do tej sprawy. Niemal musiałem go trzymać, żeby nie wyrwał się galopem i nie przybył, zanim dokończysz dzieła.

Nie odpowiedziałem nic nadal żył na Omara. On również już milczał. Zagłębiliśmy się w las - mistrz prowadził, a ja nie pytałem, gdzie jedziemy.

Na drugi dzień rzekł:

- Mam coś dla ciebie, chłopcze - i podał mi małe puzderko z włosami lepkiemi od wosku. - Ten człowiek bał się zemsty duchów swoich ofiar. Ich włosy musiał zbierać nader pieczołowicie, więc pewnie się nie pomylił. Jeśli i ty się nie pomyliłeś, to wszystko, co zostawiła ci matka.

Skinąłem głowę z wdzięcznością, ale nic nie odpowiedziałem. Wolalbym zrobić sobie kielich z czaszki Erh-Ada niż medalion z włosami matki. I tak jako węże nie mogłbym go nosić - ktoś mógłby to zapamiętać i łatwo mnie rozpoznać. Dlatego gdy zatrzymaliśmy się na noc, pochowałem włos obok traktu, szepcząc modlitwy, których nauczyłem się... właśnie od mordercy moich rodziców.

Na trzeci dzień Omar znów się odezwał:

- Marlo, ty jesteś węzem. Zabiłbyś go jednym cięciem. Tak cię uczyłem. A katów uczą czegoś wręcz odwrotnego. On będzie umierał dwa, może trzy dni. Jeśli chcesz się na kimś zemścić, zostaw go strażnikom. Potrafią to zrobić lepiej niż ty.

- Żeby chociaż mógł widzieć, jak zdycha... - mruknąłem, a mistrz nagle wstrzymał konia.

- Naprawdę by ci to pomogło? - spytał z wesołym błyskiem w oku.

- Tak, ojczy! - zawołałem uradowany.

- No to w galop. Jeszcze zdążymy!

Przebrani za myśliwych i zakryci kapturami wróciliśmy do Ozgi. I powiem ci, panie, że nawet Omar nie spodziewał się, że tak podła miejscina ma równie dobrego mistrza bólu. Kapłan Erh-Ad umierał równo pięć dni.

Rozdział 3

Mówiłem ci już, panie, o pierwszych słowach, jakie wyrzekłem do mistrza, gdy wjeżdżaliśmy do Ozgi: »Pokonałem węża Assa. Co tu może mnie spotkać trudniejszego?«. Z podobną myślą po raz pierwszy postawiłem stopę na brukowanych ulicach Miasta Trzech Słońc. Sądziłem, że przyjdzie mi tylko poznać je bliżej, nie wiedziałem, że mistrz szykował tu nową próbę dla mych umiejętności...

Przez pierwsze dni byłem nieco nieufny, czekałem, czym mnie zaskoczy. Aż przyszła chwila, gdy ja - szesnastoletni wówczas wyrostek - stanąłem na Moście Królewskim, by wraz z tłumem innych ludzi witać pana kraju Addli zjeżdżającego na coroczną Radę Królów, lecz szybko zapomniałem i o nim, i o moim podstępny ojcu, bo nagle po przeciwnej stronie mostu ujrzałem najpiękniejszą kobietę Aytlanu.

Zbliżało się Święto Pufa i wszędzie czuć było nadchodzącą wiosnę, nawet kraj Addli powoli zmieniał się ze śnieżnej równiny w błotniste bajoro. W takie samo bezkształtne bajoro ona zmieniła mój umysł. Stałem wpatrzony w nią jak wioskowy przyglup na widok maga i gdybym

miał przy sobie sakiewkę, pewnie zaraz by mi ją ukradli.

*

Miasto Trzech Słońc, serce Aytlanu oraz stolica świata, liczyło sobie ledwie dwieście lat - mniej niż niejedna wioska, a jednak wyglądało tak pięknie i okazałe, że nieświadomemu jego wieku przybyszowi trudno byłoby uwierzyć, że nie stoi tu od zawsze - wzniesione wspaniałomyślnym kaprysem bogów. Jego najwspanialsza część leżała na wyspie w kształcie grotu wbitego w ujście rzeki Der, nad Zatoką Trzech Słońc. Nazwali ją tak pierwsi osadnicy, którzy założyli tu wioskę i niewielki port rybacki, zachwyceni widokiem Ojca-Słońca nie tylko oświetlającego tu niebo, ale też odbijającego się w śnieżnym szczycie Białej Góry i wodzie. Po owej wiosce nie został nawet ślad, bo stała na drodze byrdyjskiej armii, która właśnie tu, nad zatoką, wysypała się z okrętów. Jednak wojna, choć najpierw zniszczyła doszczętnie krainę Maud, później pozwoliła jej też rozkwitnąć, bo odkąd zawarto pokój, całym Aytlanem wspólnie rządzą trzej władcy, a ich stolicą stało się właśnie Miasto Trzech Słońc. Na tępych końcach grotu, po zachodniej stronie wyspy, stały domy żeglarzy i rybaków. Potem wyrosła wśród nich Wieża Chlu rozświetlająca noc i pokazująca drogę do portu. Kilka lat później na mniejszej wysepce, położonej na południowej odnodze rzeki, zbudowano jeszcze Wszechnicę Magii i prowadzący do niej most. Na czubku grotu powstał w tym czasie garnizon i Mała Wieża, którą miejscowe rzezimieszki zwały częściej Głęboką Wieżą albo Studnią, bo komu zdarzyło się do niej wpaść, rzadko wychodził z powrotem. Północna część wyspy należała do biedniejszych handlarzy, choć właśnie tam wznosił się budynek Gildii Kupieckiej. Bogatsi skupili się w południowo-wschodniej części grotu, naprzeciw Pałacu Królów. Jego wieże wystrzelały tak wysoko, że nawet w deszczowy dzień można było spojrzeć z nich ponad całym miastem na morze, a przynajmniej dokładnie obejrzeć górne tarasy domów w Dzielnicy Rodów w centralnej części wyspy. Tu też wybrukowano kolorowym kamieniem Plac Świątyni i zbudowano Akademię Wiedzy. Nawet położona przy południowym brzegu wyspy Dzielnica Sług miała trzy- lub nawet czteropiętrowe domy, które choć przy gmachach wzniesionych bliżej pałacu wyglądały jak dzieci przy ich ojcach, to i tak były wyższe od niejednej rezydencji w innych miastach cywilizowanego świata.

Przez większą część roku pałac służył tylko Kwidowi - panu kraju Maud, Światłu Świata, Sercu Miasta Trzech Słońc, ale na Święto Pufa zjeżdżali tu również wraz z liczną świtą pozostali

królowie, by wspólnie decydować o sprawach całego Aytlanu. Wtedy dla licznych karczmarzy, winiarzy, kupców, żebraków, złodziei, prostytutek zaczynały się wielkie żniwa i całe miasto drżało z podniecenia, licząc, ile złota zdoła połknąć tego roku.

Właśnie trwał drugi dzień tego szaleństwa, a jego najważniejszą chwilą był wjazd króla kraju Addli. Tutejsi wiązali z tym wydarzeniem duże nadzieje, choć nikt nie liczył, że wymyśli on coś ciekawszego niż Kai, władca Byrd. Gdy dwa dni wcześniej jego trzy ogromne, trzyczędowe okręty z lwimi pyskami na dziobach wyłoniły się zza Wyspy Magów, ich katapulty wystrzeliły tysiące kwiatów, które najpierw wleciały - zdawało się - aż pod szczyt Białej Góry, a potem opadły na wodę i ludzi na Wschodnim Moście. O tej porze roku kwiaty nie rosną nawet w Quetli, zatem skąd wziął je król Byrd, i to w takiej ilości? Okrzyk zachwytu, jaki przeszedł nad tłumem, mówił aż nadto wyraźnie, że ludzie widzą w tym magię piękniejszą jeszcze i bardziej dostojną niż ta strzeżona przez magów na ich wyspie, w murach Wszechnicy, przy której królewskie okręty robiły właśnie zwrot na lewą burtę. Ale jeszcze nie wszystkie kwiaty zmieszały się z pyłem ulicy, a mieszkańcy stolicy królów już zrozumieli, że zostali oszukani. Piękno pięknem, jednak cudowne widoki mieli tu przecież na co dzień. Król sypiący kwiatami, nie groszem, zszedł więc po trapie okrętu witany tylko przez pałacowych i miejskich dostojników.

Tym bardziej od pana Addli spodziewano się może i prostackich, jednak bardziej konkretnych dowodów potęgi i bogactwa. Od rana tłum oblepił Nowy Trakt w Dzielnicy Farbiarzy i Most Królewski prowadzący w pobliże pałacu. Ledwie orszak Daviego dało się dostrzec z Dużego Przedmieścia, już wiedzieli o tym wszyscy, bo gapie stali tak gęsto jeden obok drugiego, że wystarczył jeden okrzyk: *Jadą! Jadą!*, by płomień podniecenia przeskoczył po ludzkich głowach na drugi koniec miasta.

Marlo w towarzystwie mistrza rozpychał się łokciami na Moście Królewskim, tuż przy Rzecznej Wieży - niewielkiej strażnicy wyrastającej z filaru pośrodku nurtu lewej odnogi Der. Tego dnia wieża cała była pokryta czarnymi, czerwonymi i białymi proporcami wszystkich trzech władców. Niektórzy komentowali sposób ich rozmieszczenia i to, który kolor przeważa nad pozostałymi, jakby istotnie był to znak układu sił przed rozpoczynającym się właśnie zjazdem królów. Ale uwagę Marla bardziej zaprzętało dwóch osiłków mocno rozpartych łokciami po przeciwnej stronie mostu, którzy najwyraźniej pilnowali miejsca dla kogoś trzeciego. Gdy tylko dotarła podawana z ust do ust zapowiedź zbliżającego się orszaku z Addli, jeden z

drabów wznosił rękę ponad tłumem i kilka razy zatrzepotał dłonią. Marlo próbował wyłowić wzrokiem kogoś, kto czekał na ten gest, ale był za niski, aby go dostrzec. Zaczął więc obserwować złodziejaszka, który w zamieszaniu próbował odcinać sakiewki. Nie szło mu to jednak najlepiej, bo choć w ścisku trudno upilnować swojej własności, to rzezimieszka też co i rusz ktoś potraçał. Wreszcie zdołał sięgnąć nożem do woreczka jakiegoś kupca może o dwa kroki od Marla. Ten spojrzał pytająco na Omara:

Chwycić go? Jeden ruch i będzie w rzece.

Nie twoja sakiewka i nie twoja rzecz. Patrz lepiej przed siebie - odpowiedział mu myślą mistrz.

Po drugiej stronie mostu dwóch osiłków jeszcze bardziej rozepchnęło tłum, a trzeci wpuścił między nich jakąś strojną damę, którą prowadził między ludźmi, rozdając im kuksańce i nadeptując na nogi. Kiedy stanęła tuż przy drodze, odrzuciła kaptur płaszcz i w tym momencie Marlo całkiem zapomniał o rzezimieszku. Po drugiej stronie mostu stała bowiem najpiękniejsza kobieta, jaką widział. Nie poznał ich dotąd wiele, ale wiedział już, że to, co ludzie nazywają urodą, zawiera się najczęściej tylko w jednym szczególe przyciągającym wzrok męża czy kochanka - mogą to być oczy i rzęsy niczym trzepocący skrzydłami motyl, usta, które mimochodem układają się w słowa pełne zachęty, lub szyja i włosy spływające na nią jak wodospad na marmurową skałę... Mogą to być piersi i biodra poruszające się pod szatą jak żywe stworzenia, mogą być łydki lub kolana, może to być wiele drobiazgów, które niczym sól nadają smaku całej reszcie potrawy. Ale w tej damie na moście wszystkie te szczegóły spotkały się w jednej postaci.

Zdjęła płaszcz i podała go słudze, który ją przyprowadził. Odrzuciła z twarzy włosy koloru spadziowego miodu i pozwoliła, by spłynęły na czerwoną suknię, która choć zakrywała całe jej ciało od stóp do szyi, to - niemal jakby była mokra - pokazywała je lepiej niż zupełna nagość. A oczy... Gdy Chlu stwarzał błękit morza, musiał brać wzór właśnie z nich. Bo one mówiły to samo, co mówi Woda: *Jestem uległa. Daj mi kształt, a ja go przyjmę, jak każesz.* Zarazem Marlo widział też w nich falę gotową runąć na brzeg, jeśli tak będzie trzeba. Miał przed sobą wodny żywioł tak czysty, jakiego nie spotkał dotąd w żadnym człowieku. Żywioł przyjazny wężom, choć i one mogą się w nim utopić...

Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Chłopak poczuł dreszcz, jakby nieznajoma wlała mu się w umysł, przerwała tamy myśli i niczym gwałtowny potok uderzyła w żyły i serce.

Ale to nie było możliwe, żadna kobieta nie mogła przecież przejrzeć węża! Tego był pewien jak niczego na świecie. Jednak pierwszy odwrócił oczy, a kiedy spojrzał ponownie, nie spotkał już jej wzroku, bo oto z dzielnicy Farbiarzy wchodziła na most przednia straż orszaku.

Królowie Addli jedyni na Aytlanie z bezrozumną dumą pielęgowali pamięć o wojnie, w której trzy kraje omal nie powyrzynały się do nogi. Pozostali władcy dawno zapomnieli o poległych oddziałach, co przyszło im tym łatwiej, że stolica kraju Maud przeniosła się ze zniszczonego doszczętnie Omm w zakolach rzeki Der do Miasta Trzech Słońc wyrosłego przy jej ujściu. Ale w Addli pamięć była rzeczą ważną, nawet jeśli nie szła za tym złość. Dlatego gdy tylko przeszły stępem doborowe dziesiątki z każdego skrzydła jazdy, a za nimi przemaszerowały dziesiątki pieszych, rozpoczął się pochód dziesiątek z pułków cieni. Każdą poprzedzał wojownik z proporcem, a za nim na odległość trzech koni lub trzech pieszych ziała tylko pustka. Dla obserwujących pochód ludzi było to dziwactwem południowych sąsiadów, ale Marlo już wiedział, że takie dziwactwa mogą się przemienić w znak pełen wymowy - wyrzut sumienia albo zapowiedź zemsty, zależnie jak dalej potoczą się losy świata. Nikt też nie miał wątpliwości, że jeśli pojawi się ktoś, kto znów rozrąbie Aytlan na małe, wiecznie walczące ze sobą królestwa, to spłodzi go kraj Addli. Tak mówiły nie tylko mgliste przepowiednie, ale i zwykła logika. W innych krajach rozbite pułki zostały sformowane na nowo albo po prostu pominięto ich numery i nawet nie każdy uczoney wiedział, dlaczego właściwie w Byrd jest pułk XVI, a potem dopiero XX.

Strzeżony przez ostatni oddział umarłych jechał król Davi na czarnym koniu, a jego płaszcz z wilczych skór zwisał z zadu wierzchowca i chwilami ciągnął się po ziemi - gdy władca przechylony rzucał w tłum garść monet. Na tę chwilę czekali właśnie zebrani tu ludzie, rzucali się więc w pokłonach po miedziaki, a ci, których pan Addli dopiero miał minąć, prześcigali się w pochlebnych okrzykach, by zwrócić jego uwagę.

Tylko piękna nieznajoma pozostała obojętna, nie licząc pełnego godności ukłonu, jaki złożyła Daviemu. Marlo dałby za ten gest garść czystego złota, jednak król Addli poprzestał na uśmiechu, też rozumiejąc zapewne, że liche grosze byłyby niegodnym jej upokorzeniem. Ale gdy władca już przejechał, a z Rzeczną Wieżą zrównał się jego kanclerz Larg, dumna pani nagle upadła, choć nikt jej nie popchnął, i z jakże przekonującą bezradnością uchwyciła się płaszczą przejeżdżającego dostojnika.

Koń szarpnął się, a ręka kanclerza sama złapała rękojeść sztyletu. Niepotrzebnie. Ta

kobieta patrzyła na niego z przestraczem i psim zachwytem w pięknych błękitnych oczach.

- Wybacz, panie - powiedziała zmieszana. - Wybacz moją niezdarność.

Larg wstrzymał konia i podał jej ramię, by mogła się podnieść. Skinął jej jeszcze dłonią i spiesznie pokłusował dalej, żeby nie wstrzymywać pochodu. Wszystko trwało trzy, może pięć oddechów i nikt prócz Marla i mistrza nie zauważył plamy powoli zasychającej na rękawie kanclerskiej szaty.

Truczna? - pomyślał młody wąż.

Nic nam do tego. Ale jak chcesz, to sprawdź. Tylko spiesz się, pałac już niedaleko - odpowiedział bezgłośnie Omar.

*

Gdy ktoś łąjno wie o złodziejskim fachu, wymądrza się po karczmach, że nie ma dla rzezimieszka lepszego miejsca niż Most Królewski w dniu, gdy władca Addli zmierza ku sercu miasta. Jednak prawdziwy ćwik nie rusza do roboty jak zbój na leśnej drodze, ale jak wytrawny wojownik. Musi mieć straż przednią i tylną do wypatrywania psów, musi mieć piechotę do robienia tłoku, tabory, którym przekaże łup, a sam tylko niby konnica przypuszcza ostateczny atak. Tymczasem most był zbyt długi, aby przekazać fanty kompanowi, który w mgnieniu oka zniknąłby z ludzkich oczu, zaś tłok, jaki tu panował, mógł się okazać bardzo, ooo, bardzo zdradliwy! Dlatego nikt rozważny nie pracował na moście w takie święto.

Grigo nie był rozważny, raczej łąpczywy, a jednak - tfu, pluje Chlu!, aby nieszczęścia nie przywołać - póki co wszystko szło mu dobrze. Jeszcze zanim pokazał się orszak Daviego, już miał dwie tłuste sakiewki, do których podczas największego zamieszania dołączyły trzy kolejne. Najwyższy czas było czmychnąć, jednak musiał czekać, aż tłum sam się rozejdzie. I to właśnie było najbardziej ryzykowne w łowach na moście. Samotna konnica w ciasnym wąwozie pełnym wroziej piechoty. Choć schowana we mgle, w każdej chwili może zostać odkryta. Tak przynajmniej wyobrażał to sobie Grigo, który jakiś czas przygotowywał się do fachu wojownika.

Wtem tłum zafalował, ktoś przepchnął się między ludźmi i wskoczył na balustradę mostu.

- Zabije się! - zawołała jakaś kobieta, ale tamten pobiegł szerokim może na dwie stopy murem sprawnie jak linoskoczek.

Grigo i tamten spotkali się wzrokiem.

Psy? - zapytał mrugnięciem złodziej.

Obcy w lot zrozumiał.

Cała sfora - obrócił oczami dwa razy i potwierdził ruchem kciuka koło szyi.

Rzezimieszek ruszył więc ku wyspie, ale grzął w tłumie, bo bał się też skoczyć na barierkę. Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy patrzyli na tego samobójcę na balustradzie. Ale ten widać kradł nie od wczoraj i wiedział, co trzeba robić.

- Tam! Złodziej! - krzyknął, wskazując Griga. - Pilnuj sakiewki!

Teraz już mógłby nie tylko skakać po krawędzi mostu, ale nawet machać gołym przyrodzeniem - i tak nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Zaś Grigo poczuł się jak konny wojownik otoczony tuzinem pik. Gdy tamten zeskoczył z balustrady po drugiej stronie rzeki, jego obmacywała już psiarnia.

*

Marlo znalazł się na ulicy w ostatniej chwili, gdy czoło orszaku znikało już za pałacową bramą, ale król i jego ludzie jeszcze obrzucali tłum datkami. Tu orszak króla Daviego rozciągnął się, co młodemu wężowi bardzo ułatwiło zadanie. Larg nie jechał już po przeciwnej stronie ulicy, ale niemal tuż obok, odgradzony od tłumu tylko swym sekretarzem. Chłopak wyczekał, aż ten zostanie z tyłu o długość końskiego pyska i upadł jak długi na bruk.

- Panie, ja też jestem z Addli! - zawołał rozpaczliwie, podnosząc się obok kanclerza. - Wspomóż!

- Z Addli? - warknął dostojnik. - Addlijczyk nie zebrze.

- Panie, weź na służbę.

- Precz! - Odepchnął butem młodzieńca, a ten upadł w tłum i zniknął mu z oczu.

- Rozerwał ci rękaw. - Do Larga podjechał Joab, pierwszy z generałów Daviego. - Sprawdź, czy masz sakiewkę.

- Chlewy jak góry, ludzie jak świny - odparł kanclerz, popatrując niechętnie na domy po obu stronach ulicy. Na szczęście jego mieszek wciąż był przy pasie. - Tfu, pluje Chlu, wreszcie to się kończy!

Gdy wjechali za bramę, miał już na głowie wiele ważniejszych spraw niż chciwa natura mieszkańców Miasta Trzech Słońc. Tłum również począł się rozchodzić, bo aż do zmroku, do

rozpoczęcia uczty, nie mógł liczyć na żadne szczodroblliwe królewskie gesty. Mało kto zwrócił uwagę na młodego głupka, który miętosił w rękach kolorową szmatkę, podnosił ją do nosa, a nawet próbował językiem. Tylko jedna tłusta kupcowa zatrzymała się chwilę i wcisnęła mu do ręki półgroszaka.

- Masz, chłopcze, kup sobie placka.

*

To był tylko strzęp szaty, nic więcej. Zwietrzała nuta jakichś pachnideł, potu i ciała, i kurzu wżartego w materiał - zwykła woń ubrań bogatych podróżnych, jaką nieraz zdarzało mu się czuć w karczmach i zajazdach. Teraz też nie wywąchał w niej żadnych innych składników, a już na pewno nie było śladów znanych węzowi trucizn. O tych mistrz uczył go dużo, zwłaszcza przez ostatni rok. Skoro tkanina nie mogła nic powiedzieć, Marlo postanowił przyjrzeć się jeszcze dokładniej kobiecie, którą uznał za truciicielkę. Choć czy naprawdę postanowił? Nie, raczej instynkt kazał mu ruszyć na jej poszukiwanie. Ale czy był to instynkt węża, czy ten drugi, ludzki? Nie myślał o tym, dość, że coś kazało mu iść.

Był pewien, że ją pozna, wyczuje choćby w największym tłumie. Rysy jej twarzy, figura, cały jej obraz miał już wyryty w głowie jak żywy. Jednego tylko nie potrafił zgadnąć - w jakim ona jest wieku. Równie dobrze mogła być dwudziestoletnią, rozkapryszoną panną, która długo przebiera w narzeczonych, jak i trzydziestoletnią damą, której całą pracą jest pielęgnowanie strojów i urody.

Gdy pojawiła się u wylotu ulicy w otoczeniu swych osiłków, ruszył dziesięć kroków za nimi.

Szła najpierw wzdłuż wschodniej ściany pałacu, a potem przecięła na ukos Plac Czterech Świątyń. Tu o mało co nie zgubił jej w ciżbie, gdy zapatrzył się na zdobną kolumnadę Domu Królów pełną wyobrażeń smoków, gnomów i innych legendarnych stworzeń, nad którymi górowały pilnujące dachu śnieżne lwy - godła Aytlanu. Na szczęście służący nieznajomej przewyższali wzrostem większość ludzi na placu, więc ich głowy sterczały niby wieże nad równiną. Zmierzali wprost ku pachnącej przyprawami i rybą północnej Dzielnicy Kupców, gdzie mieli swe domy i składy głównie handlarze ryb, homarców i cudzoziemskich towarów. Wyszli w końcu na szeroką ulicę z wysokimi, nawet czteropiętrowymi domami arystokratów po lewej

stronie i z teatrem po prawej. Z dachów ciągnął się zapach ziemi i słychać było ciurkanie fontann.

- Uważasz, panie Tifo, trzystopniowy dowód podzielności żywiołów wobec paradygmatu ich transmutatywnej natury... - Marlo słyszał głos z jednej strony.

- Dotąd kupowałem wszystkie obrazy tego młodego Ambra, jednak ileż można robić miejskich pejzaży z tłem Białej Góry?! - mówił ktoś z drugiej.

Marlo nie wytrzymał i sięgnął w myśli przechodniów. Te były już bardziej zrozumiałe, ale odniósł wrażenie, że większość z nich zdziera szaty ze śledzonej przez niego kobiety. Nie rozumiał, dlaczego poczuł zazdrość, przecież pchał go za nią tylko instynkt... wężowy instynkt!

W końcu nieznajoma znikła w bramie niewielkiego dwupiętrowego budynku dwie przecznice za teatrem.

*

Atone był tylko sługą Rona, jednego z najstarszych i najbardziej skąpych profesorów Akademii, jednak ile razy mijał panią Severię lub choćby jej dom, tylekroć przeliczał, ile musi jeszcze oszczędzać na noc w jej towarzystwie. Zawsze wychodziło, że ciągle ma za mało, a nawet gdyby miał więcej, to może należało raczej pomyśleć o własnym sklepie, choćby na przedmieściu? Jednak tym razem, nim doszedł do końca rachunków, misterne dodawanie zburzył jakiś prostacki głos.

- Wybacz, panie. Jestem tu obcy, a...

- Nic nie dam - odpowiedział obcesowo Atone, nawet się nie zatrzymując.

- Nie o to chodzi! - Natręt ruszył za nim. - Chcę tylko wiedzieć, kim jest ta kobieta.

Profesorski sługa zatrzymał się rozbawiony i życzliwiej spojrział na obdartego młodzieńca. Ten biedak z pewnością nie był zawodowym żebrakiem, na złodzieja też nie wyglądał. Może był jednym z tych utracjuszy, którzy sami doprowadzili się do takiego stanu, goniąc za uciechami, winem i zieleń? I na koniec, gdy nie miał już nic, ujrzał tę ladacznicę i teraz ślini się jak pies uwiązany koło kuchni. Atone czytał kilka podobnych historii, a o paru innych bąbał kiedyś stary pijak w karczmie „Pod Kogutem”.

- Cha, cha, poraziła ci oczy! Cha, cha, pewnie aż kuśka zdrętwiała?! Odejdź, przyjacielu, kundle nie jedzą przy stole.

- Powiedz mi, bo...

Tfu, pluje Chlu, ależ ta prośba zgrzytnęła w uszach! Służący już poznał po mowie - to nie był żaden tutejszy utracjusz, ale jakiś Addlijczyk-włóczęga. Atone odsunął się raptownie, bo gdzie Addlijczyk, tam sztylet. Wiadomo przecież, że ci prostacy najpierw tną, potem myślą.

- Powiedz mi, bo proszę, a ciebie to nic nie kosztuje... panie - znów odezwał się obcy.

Ha, nie obraził się! Szusnie mówią, że na takich obdartusów trzeba huknąć z góry! - Profesorski sługa uśmiechnął się promiennie do myśli, która przemknęła mu właśnie przez głowę. Zadowolony poprawił pas i uniósł piętę, zyskując całe trzy palce wzrostu. Ale zaraz znów stanął wygodnie, widząc, że Addlijczyk i tak jest sporo niższy.

- Ta kobieta to trzeci cud Miasta Trzech Słońc - zaczął Atone, bezwiednie naśladowując przemądrzały ton, którym zwykł przemawiać jego pan. - Trzeci, przyjacielu, zaraz po pałacu królów i świątyni Pufa. Nazywa się Severia i jest wielką mistrzynią w swoim fachu. Jeśli masz rozum, to sam wiesz w jakim. Urodziła się w Dzielnicy Kamieniarzy, a teraz sam widzisz, ma piękny dom w Dzielnicy Rodów. Jak wiele dziewczuch z przedmieścia zaczęła kupczyć kształtnym tyłkiem, ale w porę wyceniła go wysoko i nie sprzedawała byle komu. No i do dziś wygląda jak dziewczica, a majątek ma większy niż stara rajfurka.

Przerwał, odetchnął i odkrył przerażony, że jednak nie jest mistrzem Ronem i nie potrafi gadać całymi godzinami o jednym i tym samym. Ale widząc zachwyconą minę przybłądy, chrząknął kilkakrotnie, zbierając myśli.

- Ha, sama Gildia Kupiecka mogłaby się od niej uczyć! - kontynuował. - A to jeszcze nie koniec, bo ma wiele lat handlu przed sobą. Zapamiętaj moje słowa, przyjacielu, pewnego dnia nikt już nie będzie pamiętał, kim był król Kwido, ale Severii nikt nie zapomni.

Ponadto, khe, khe... - I po tych słowach rozkaszał się na dobre, bo już żadną miarą nic nie przychodziło mu do głowy. Na szczęście głupi Addlijczyk nie odgadł, w czym rzecz.

- Dzięki, panie - powiedział. - Zechciej mi też wybaczyć, że zaczepiłem cię i przeze mnie nadwerżyłeś głos. Musisz być kimś znacznym w tym mieście i tym bardziej dziękuję, że poświęciłeś chwilę prostakowi.

- Tak, tak - odparł pospiesznie Atone. - Czekają na mnie w Akademii. Powiedziałbym ci jeszcze, co to jest Akademia, ale... No, masz grosza i zegnaj!

Odchodząc, nie pamiętał już, że mija dom pięknej Severii. Milej było rozpamiętywać słowa obdartusa. Jednak grosza już wkrótce pożałował. Cóż, nie był przecież byle kim i nie

musiał płacić za pochlebstwa. No ale przepadło...

II

Do gospody w Dzielnicy Farbiarzy na Dużym Przedmieściu, gdzie zatrzymałem się z mistrzem, wróciłem podekscytowany i szczęśliwy. Nie odkryłem nic, a jednak coś mnie radowało. I zarazem kazało wymyślać powody, by znów ruszyć w pogoń za piękną Severią, samemu brnąć w misję, której nikt mi nie zlecił. Śmiejesz się, panie, że nic nie rozumiałem z najprostszych ludzkich spraw... Tak, były ludzkie i przez to dla węża wcale nie takie proste.

Ojciec również nie znalazł na strzępie kanclerskiego odzienia ani śladu trucizny. Zresztą sam widziałem kanclerza Larga jeszcze kilkakrotnie na placu świątynnym podczas składania ofiar i gdzieś na mieście. Był zdrow i cały, choć kiedy próbowałem z daleka chwytać ślady jego myśli, czułem w nich niepokój, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. Sądziłem, że może on również - Addlijczyk jak ja - czuł się obco w tym pięknym mieście. Z całych sił musiałem pilnować umysłu, aby nie otepiał od nadmiaru widoków, zapachów i dźwięków. Mimo to chwilami całkiem traciłem instynkt węża, mój duch nazbyt podgrzewał wolę i myśli plątały się, nie wiedząc, co mają robić - jak wojownicy pozbawieni wodza.

Kłamały też moje zmysły. Nieraz, chodząc ulicami stolicy świata, czułem naraz woń pachnidel Severii, zupełnie jakby pojawiła się gdzieś blisko. Stawałem w miejscu potrącany przez tłum świętujących ludzi, rozglądałem się, ale jej nigdzie nie było, a zapach znikał lub nagle zmieniał się w odór końskiego potu, jakby umyślnie chciał ze mnie zakpić. Nieraz już chciałem wracać do gospody, aby zamknąć się w izbie i oddzielić od tego złośliwego, magicznego miasta. Ale zaraz gdzieś między ludźmi wynurzała się postać tajemniczej nieznajomej, więc szedłem tym tropem, by zgubić go w jakimś zaułku, do którego z pewnością by nie zachodziła.

W trakcie jednej z takich pogoni za cieniem Severii znalazłem się tuż nad rzeką, na skraju Dzielnicy Sług. Podczas gdy w niedalekim pałacu trwała uczta władców, a na Placu Czterech Świątyń - godnych poddanych, tu na radosną wieczerzę przyszli wszyscy żebracy z miasta. To, czego tam nie dojeżdżono, za sprawą litościwych służących czy ich rozrzutnych panów trafiło właśnie tu. Nie, nie mogłem w takim miejscu znaleźć kobiety, której szukałem od czasu spotkania na moście. Nie mogło jej tu być, choć ją czułem.

- Co? - zwrócił się do mnie naraz jeden z obdartych biesiadników. - Kiedyś wynosili nam

jadło na skraj świątynnego placu, potem na ten koło koszar i więzienia, a teraz tu. Pewnie za rok wrzucą nam żarcie do rzeki, he, he...

Odepchnąłem go, bo nagle powiew wiatru przyniósł mi nową falę zapachu Severii. Ruszyłem za nim, ale szybko zmienił się w woń nieświeżej ryby.

Nie miałem odwagi wyznać mistrzowi, że straciłem instynkt. Pamiętam, gdy podczas szkolenia zapoznawałem się z planami wszystkich najważniejszych miast cywilizowanego świata, uprzedzał mnie, że wielkie miasto dla takiego wieśniaka jak ja może być niczym obcy las dla węża. Musi długo badać językiem ziemię i powietrze, zanim zrozumie, gdzie jest i kim jest, gdzie polować, a gdzie się ukrywać. Jednak ja już długo badałem nowe miejsca, potrafiłem bez kłopotu trafić, gdzie tylko chciałem, mimo to nos i oczy nie chciały być posłuszne. Dziś wiem, że Omar od razu poznał moją tajemnicę, choć wtedy łudziłem się, że zdołałem ją przed nim ukryć.

Trzeciego dnia po Świącie Pufa byłem już jak w gorączce - moje zmysły i myśli chodziły swoimi drogami. Wtedy właśnie mistrz oznajmił, że przed wieczorem odwiedzę Severię w jej domu.

- Oplaciłem ją aż do rana. Idź, Marlo. Ufam, że zdołasz coś wyśledzić.

- Czy masz dla mnie jakieś polecenia, ojczy? - Poczulem, jak myśli mi gęstnieją, jak znów stają się węzłem.

- Polecenia? Jesteś tu tylko, żeby poznać miasto. No i może siebie - dodał, łagodząc ostre, kłujące spojrzenie dość szczerym uśmiechem. - Tylko nie zdradź się, kim jesteś, jasne?

*

Severia wyglądała jeszcze piękniej niż na moście w dniu wjazdu króla Daviego. Marlo dziwił się, jak to możliwe, że tak doskonałą urodę zdołała jeszcze poprawić. Wdziała też długą, wąską suknię utkaną z materiału cienkiego i lekkiego niby pajęczyna, z tą jednak różnicą, że skrzyła się złotem, nie srebrem. We włosy - tym razem już nie koloru ciemnego miodu, lecz czarne jak najciemniejsza noc - wplotła złote nitki. Gdy stanęła w świetle, suknia co chwilę to znikwała, pokazując piersi, zarys bioder i łona, to znów rozbłyskała jak Słońce, drażniąc oczy, nie pozwalając im za wcześnie poznać wszystkich nagich tajemnic.

- Więc to ty jesteś Marlo! Cieszę się, że mnie odwiedziłeś. Twój ojciec mówił, że przyjdiesz, ale w tym mieście jest przecież tyle cudów, że nigdy nie wiadomo, czy któryś nie

skusi po drodze pięknego młodzieńca - powiedziała, siadając na sofie. Suknia spłynęła po jej udzie, odsłaniając nogę aż po biodro.

Marlo przełknął ślinę. Nie żeby nie widział w ruchach Severii gry nieodzownej przecież w jej fachu. Przyjemny fałsz powitania rozpoznałby pewnie każdy, nie tylko wąż. Ale chłopak chciał wierzyć, że to prawda, i o mało co nie uwierzył.

- Słyszałem wprawdzie, że jesteś trzecim cudem Miasta Trzech Słońc po Pałacu Królów i świątyni Pufa. Ale tamte już widziałem, więc nie mogły mnie zatrzymać. A teraz, gdy już zobaczyłem ciebie, będę opowiadał, że pierwszym słońcem Trzech Słońc nie jest pałac ani dom boga, ale piękna Severia - odparł, tak jak to sobie ułożył.

Uniosła rękę, zapraszając go, by usiadł. Znów uderzyło go w oczy światło - tym razem odbite od pierścieni. Każdy był zakończony łańcuszkiem i połączony z bransoletą, przez co palce Severii wydawały się dłuższe i bardziej wiotkie. Złote ogniwa zadźwięczały cicho, Marlo usiadł.

- Jestem szczęśliwa, że tak mówisz. Ale mam nadzieję, że nie odejdziesz już teraz, by opowiadać, jakie ze mnie cudo.

Wstał dość niezręcznie, udając, że chce się przyjrzeć paterze z owocami. O mało nie przydeptał przy tym skraju sukni Severii. Nie znalazł na to gotowej odpowiedzi, a co najgorsze, nie rozumiał, co jej słowa miały znaczyć - zachętę, rozczarowanie czy kpinę. Próbował sięgnąć do jej umysłu, ale myśli nie posłuchały go, tylko latały niespokojnie po rozgrzanej głowie.

- Nie, nie, wołałbym zostać. Mam dar dla ciebie. - Zaczął pospiesznie odwijać pakunek, który dotąd przekładał niepewnie z ręki do ręki.

- O, nie spiesz się z tym, Marlo! Sądzę, że masz dla mnie większy dar. - Stała przy nim, oparła się udem o jego udo i położyła mu dłoń na karku. Chłodny dotyk złota uspokajał, ale ciało Severii wzmagало chaos w głowie. Cóż, ciała było więcej niż złota...

- Nie, nie mam innych darów - powiedział zmartwiony chłopak. Nie był wężem, nie był sobą, był nikim. Jeśli mistrz się dowie...

- Ależ masz! - zawołała rozbawiona. Wyjęła mu pakunek z rąk i położyła na stole obok owoców.

- Jaki? - Odwrócił się do niej. Niepotrzebnie! Teraz czuł na szyi jej oddech. Pachniał winem, tymiankiem i odrobinę fajczanym ziele. Marlowi zakręciło się w głowie jak kiedyś wśród złodziei w Ozdze, gdy pierwszy i ostatni raz próbował palić.

- Usiądź, napij się wina. Jesteś niespokojny, niepotrzebnie. Chcę cię ugościć, żebyś nie

wspominał źle Severii i Miasta Trzech Słońc. Uspokój myśli, wtedy ci powiem.

Usiedli, ale to nie pomogło mu się uspokoić, bo dalej czuł ją blisko, zbyt blisko siebie. Podała mu kielich, który Marlo opróżnił jednym haustem. *Źle, należało spróbować, pochwalić i dopiero wypić* - pomyślał, ale za późno. Severia dołała wina.

- Doskonale - powiedział nieswoim, drewnianym głosem. - Od razu czuć, że z Miasta Trzech Słońc.

- Ależ nie, to wino z Pobrzeża, z okolic Molku. Rzadki trunek, bo tam winorośl rodzi bardzo niechętnie. Tylko jeśli przyjdzie pomyślny rok, mniej gorący i wilgotniejszy. Ale za to grona nabierają wtedy magicznej mocy i przekazują ją winu. Ci, co piją je razem, ciesząc się swym towarzystwem, nigdy tych chwil nie zapomną. Tak pisze mistrz Xanto, autor pięknych traktatów miłosnych, i całkowicie się z nim zgadzam.

- Nie wiedziałem. Cóż, mój ojciec i ja mieszkamy w Addli. Handlujemy co prawda... - Dwa kielichy wina nie pomogły Marlowi całkiem uspokoić myśli, ale przynajmniej dodały odwagi. Znow poczuł instynkt węża i wśliznął się w rolę, którą przyszło mu odegrać. - To znaczy ojciec handluje, a ja się przyuczam... Chciałem powiedzieć, że handlujemy jęczmieniem, jak to w naszych stronach. Krótko mówiąc, Addlijczyk tyle wie o winach, co Maudyjczyk o jęczmieniu.

- Znam smak jęczmiennych placków - rzekła naraz zupełnie innym tonem.

Marlo przestraszył się swego kolejnego nietaktu. Słyszał przecież, że nie od zawsze żyła w Dzielnicy Rodów. Z pewnością znała nie tylko smak jęczmiennego ciasta, ale i smak głodu.

Na szczęście kolejny kielich wina na tyle ośmielił Marla, że chłopak dotknął jej ramienia. A ona przysunęła się jeszcze.

- Teraz jesteśmy coraz bliżej daru, który masz dla mnie, i nawet nie wiesz, jak mi się on podoba! Nie byłeś jeszcze z kobietą, prawda?

Oczywiście, że byłem! - chciał już wykrzyknąć, ale sam sobie by nie uwierzył. Ręce mu drżały jak synowi rzeźnika, który pierwszy raz ma samodzielnie zaszlachtować krowę. Zresztą czy niezdarna, leniwa i przestraszona Seba przypominała w czymkolwiek Severię? Jeśli kobieta winna wyglądać jak ta, którą miał właśnie przed sobą, to nie, Marlo żadnej takiej nawet nie dotknął.

- Cóż to za dar?! - Wzruszył ramionami. - Czy jeśli chcesz kupić konia, to wybierasz przyuczonego do jazdy czy głupiego źrebaka?

- Nigdy nie kupowałam konia, ale chyba wolałabym źrebaka. *Źrebak nie mówi: Połóż się*

tak! Teraz zrób to a tamto! A na koniec chcę, żebyś mówiła mi o tym czy tamtym! Uczenie jest przyjemne, Marlo - powiedziała, kładąc rękę na jego brzuchu.

Jej palce grzały jak Ogień, pierścienie chłodziły jak Ziemia, oddech muskał skórę jak leniwe podmuchy morskiego Powietrza. Do pełni brakowało tylko czwartego, wilgotnego żywiołu...

- Jeśli żreback jest chętny i pojętny, wkrótce prześcignie najlepsze rumaki i będzie rzał z radości - mówiła dalej. - Chyba jesteś chętny i pojętny?

Przytaknął. W tamtej chwili zrobiłby tak niezależnie od pytania. Nawet gdyby trzeba było wyznać prawdę, zrobiłby to szczerzej, niż ludzie zwracają się katu. Na szczęście Severia nie chciała nic wiedzieć.

*

To, co go obudziło, z pewnością nie było świtem. Rankiem? Południem? Miasto Trzech Słońc żyło niby inny świat stworzony przez innych bogów i prawidła, do których przywykł, tu zdawały się zawodzić. Światło wpadało przez okno, prześlizgując się między dwiema zasłonami i przewędrowawszy przez pół łoża, ukłuło oczy młodego węża. Po Severii pozostał tylko świeży zapach włosów na podglówku.

Wstała, a on się nawet nie obudził! Powinien nie spać już od dawna i tylko przymykając powieki, nasłuchiwać jej oddechu i ruchów. Najwyraźniej miasto tak omamiło jego zmysły, że gdyby tylko ktoś zechciał, mógłby zarżnąć go bez walki.

Marlo wyskoczył z łoża i wciągnął nosem powietrze. Ten zapach z szaty kanclerza Larga też tu był. Dobiegał zewsząd i znikąd, wabił i oszukiwał...

Wąż zamknął oczy. Znów był sobą. Pełził przez gorzko pachnącą trawę, a poruszający się koniuszek rozdwójonego języka drgał, szukając tej jedynej woni. Była tu, unosiła się gdzieś w powietrzu, pośród kwiatów jaśminu, rozartej na proszek kory, pośród piżma, tłuszczu i wiatru niosącego zapach morza. Przez chwilę wydawało mu się, że wyszedł znajomy zapach na zgniecionym w rogu łoża szalu, ale nie - len oszukał go i przyłożony do nosa pachniał już tylko perfumami. Marlo spojrzał na drewnianą toaletkę w rogu, na prawo od okna, powiódł wzrokiem po słoiczkach z pomadami i kamiennych puzderkach na wonności. To musiało być blisko, ale nie tu. Usłyszał klaskanie bosych stóp na kamiennej posadzce. Szybko zrobił kilka kroków w stronę

łóża i odwrócił się ku wchodzącej Severii.

- Już nie śpisz? - zapytała. Pachniała tylko wodą. - Odpocznij. Zaraz podadzą nam jedzenie.

Wyszła znowu, a Marlo powrócił do przeszukiwania komnaty. Znowu spojrzał ku toalecie. Tuż za nią była jeszcze kamienna półka, a może ołtarzyk, na którym stał tylko jeden niewielki szklany flakon ozdobiony rysunkiem koła. A może nie koła, tylko Ojca-Słońca? Może Matki-Księżyc? Przy jego szyjce rozlewała się mała tłusta plama, taka jaką zostawia palec umoczony w cieczy, a potem niedokładnie wytarty. Obok leżała zgnieciona w kłęb chustka. To ona...

- Jednak śniadanie będziesz musiał zjeść w swojej gospodzie - usłyszał oschły głos Severii. Wśliznęła się cicho, zupełnie nie tak, jak ludzie zwykle chodzą po swoim domu. Chyba że są czymś więcej niż tylko ludźmi...

Nie kończ tak źle takiej nocy, kochana. Powiedz mi coś więcej o tej chustce. Taka jesteś piękna! No, powiedz... - pomyślał do niej, ściskając w rękę kawałek płótna zdjęty z ołtarzyka.

Ale Severia nie zwróciła na to uwagi. Jakby jej umysłu nie sięgnął rozkaz węża. Obroniła się? Nie, nie musiała się bronić. Marlo sam poczuł, że jego myśl wychodzi z głowy, zupełnie nie wierząc w to, że jest ostra i zabójcza. Niemal czuł, jak flaczeje i opada, zwiesza się wzdłuż jego włosów.

- Idź już! - usłyszał.

*

- A rób, co chcesz, Marlo - machnął ręką zniecierpliwiony mistrz Omar. - Larg żyje, zatem bez znaczenia, czym pachną rękawy jego szaty. Może jadłem, może łajnem... Zauważasz, jakże to podobne słowa? Więc Larg żyje, a ja nie dostałem żadnych rozkazów, zatem nie moja rzecz i nic mnie nie obchodzi.

Od kilku dni, właściwie niemal od chwili, gdy wrócił od Severii, Marlo ciągle wynajdywał nowe powody, aby udać się tam znowu.

- Powinienem to sprawdzić, ojcze. Sam mnie uczyłeś, jak podstępne mogą być jady. O, choćby grzybów! Dać trzy krowiaki do sosu, będzie lepiej smakować. Dać cztery i nakarmić tym człowieka kilkakrotnie, umrze za parę świąt.

- Jak mówiłem, chłopcze, rób sobie, co chcesz. Zresztą, węsząc, najlepiej poznasz miasto.

Tylko jedna rzecz, nikt nie może domyślić się w tobie węża. Nikt i w żadnym razie. Choćby cię bili, masz się bronić jak ciemięga. Zapamiętasz?

- Tak, ojcze.

- W Ozdze zbyt łatwo pobiełeś tych złodziejasków, sam opowiadałeś. Tu nie może się to powtórzyć.

- Wtedy dałeś mi inne rozkazy, ojcze.

- No, mówisz jak wąż - roześmiał się Omar. Marlo był rad z tej pochwały, ale po raz pierwszy czuł, że mistrz się myli. Węża pozostało w nim niewiele. Mięśnie pamiętały, jak walczyć, rozum pamiętał, jak kluczyć, ale Ogień wygasł, duch osłabł i zobojętniał na wszystko poza tą jedną rzeczą - jeszcze raz zobaczyć Severię.

- Ojcze, muszę jeszcze raz do niej pójść. Potrzebne mi pieniądze - starał się mówić rozsądnie, spokojnym tonem. - Inaczej nie dojdę, dlaczego...

- Nie przypominam sobie, abyś zarobił jakieś pieniądze, Marlo, żebyś miał czym płacić dziwkom. Z czego mam ci dać? Ze szkatuły Bractwa Węży? A może ze swojej własnej? To jeszcze bardziej pocieszne! Synu, a może stało się coś jeszcze zabawniejszego!? - wykrzyknął Omar, siadając obok ucznia na jego łóżku. - Może ty się zakochałeś?

- Ja? Dlaczego ze mnie kpisz? Nie, bo ja... jestem wężem, tfu, pluje Chlu! - Chłopak wybiegł na wąski, ciemny korytarz prowadzący do izb innych gości gospody „Wedle Traktu”. Zza jednych dochodziło pijackie chrapanie, za kolejnymi ktoś sikał do nocnika, następne z trudem tłumili czyjeś lubieżne szepty i posapywanie. Marlo przystanął zdziwiony, że sam też bezwiednie posapuje, choć bez wątplenia z gniewu, nie z rozkoszy. Zezłościł się na mistrza? Teraz, właśnie teraz, gdy Omar nic mu nie zrobił prócz wypowiedzenia kilku kąśliwych słów? Bywało przecież dużo gorzej. Spojrzał na swe zaciśnięte pięści i zdziwił się znowu, bo w prawej ręce nie wiadomo skąd znalazł się kawałek wykuintnego stroju kanclerza Byrd, który teraz przypominał raczej jedną z tych chustek, jakich tu, w Trzech Słońcach, używa się do smarkania. Chłopak przyłożył tkaninę do nosa, ale nic nie czuł, a jeśli nawet, z pewnością nie był to zapach zmiętej szmatki, tylko woń skóry pięknej ladacznicy, którą pamięć co rusz podsuwała wężowi.

*

Już od Święta Mieczy Severia chodziła rozdrażniona jak głodna kotka. Marlo widział to, bo co

dzień bywał pod jej domem, licząc... oczywiście na to, że stanie się coś, co podpowie mu rozwiązanie zagadki. Jednego dnia jakiś młody kupiec, innego oficer straży miejskiej odchodzili wściekli spod jej drzwi. Chłopak postanowił jednak spróbować.

- Pani dziś nie przyjmuje - odezwał się szorstko osiłek, który nie musiał nawet rozstawić szeroko ramion, aby swoim ciałem całkiem zastawić drzwi.

Dla pana Marła drzwi zawsze mają być otwarte, przecież pani Severia tak rozkazała. A teraz precz! - pomyślał do niego wąż. Jednak sługa tylko się skrzywił, marszcząc jeszcze bardziej nos złamany pewnie w jakiejś dawnej bójce.

- Kilka dni temu przez nieuwagę zostawiłem tu coś, co... - zaczął chłopak z innej strony.

- Poszukam - burknął tamten, splatając ramiona szersze od ud młodego węża. - W tym domu nie ma złodziei. Co to było i gdzie odesłać?

- Chcę sam pomówić o tym z twoją panią.

- Pani Severia dziś nie przyjmuje - powtórzył osiłek tym samym tonem co poprzednio, twardo, spokojnie i beznamiętnie. Nim jednak zatrzasnął drzwi, młody wąż dostrzegł jakiś ruch wewnątrz domu i usłyszał coś, co mogło być tylko kocim stąpaniem drobnych kobiecych stóp. Wyszła tylnymi drzwiami przez ogród. Nie towarzyszyły jej cięższe kroki żadnego z pozostałych drabów.

- Gdy przyjdę następnym razem, powiem co trzeba twojej pani - rzucił Marlo na pożegnanie i leniwym krokiem ruszył ulicą.

Po kilkunastu krokach przyspieszył, wszedł w zaułek, wreszcie zaczął biec wzdłuż bielonego muru, ponad którym wychylało się kilka drzew z ogrodu Severii. Wreszcie dojrzał przed sobą i ją, ale po chwili znikła za zakrętem. Szła jednak wolno, jakby zmęczona. Ale gdy wyjrzał zza rogu, to nie on ją, ale ona jego zaskoczyła. Patrząc wściekle, stała na cienistej, wąskiej uliczce, na której dwóch ludzi z trudem by się wyminęło. Marlo nie rozumiał, jak mogło się tak stać, przecież to on był wężem, to on miał instynkt, który zawsze ostrzegał, zawsze dobrze kierował...

- Czego chcesz? - W jej dłoni błysnął mały sztylecik.

- Wybacz, ja...

- Nie powiedziano ci, że dziś nikogo nie przyjmuję?

Czuł jej myśli tak gniewne, tak napięte, że jego własna ledwie by się między nimi przecisnęła. Gdyby tylko potrafił do niej myśleć równie celnie, co do innych. Choć ostatnio... nie

umiał myśleć do nikogo.

- Jednak bardzo pragnąłem cię widzieć... - rzekł wreszcie.

- Nie teraz, ukochany - powiedziała, nie kryjąc znudzenia, a jednak Marlowi tak spodobał się ten *ukochany*, że prawie uwierzył. - Przyjdź po święcie. Wtedy przyjmę cię z całą należną tęsknotą.

Po Święcie Darów - pomyślał z ulgą. Już rozumiał jej zły nastrój, bo któż ma inny przed tym dniem płacenia danin i podatków? Skoro wściekli chodzą kupcy, to czemu nie prostytutki?

Schowała sztylecik - tak, z pewnością nie on był jej najostrzejszą bronią - i bez słowa poszła dalej.

Chłopak mało przypominał węża podążającego za ofiarą, był raczej psem prowadzonym na niewidzialnej smyczy. Przez zaułki na tyłach domów, między niewielkimi ogrodami, przez podcienie budynków zrosniętych ze sobą wyższymi piętrami albo dachami Severia ciągnęła go aż do ulicy Królewskiej, a potem na zachód, ku portom. Pamiętał, miał już podobne uczucie, gdy mistrz Asso wkradł się do jego umysłu, ale tym razem było inaczej. Mógł stanąć, mógł zawrócić, ale... nie chciał. Było już popołudnie, Ojciec-Słońce popatrywał na twarz i piersi idącej ku niemu kobiety, jednocześnie przeświecał przez suknię Severii i młody wąż dobrze widział zarys jej nóg i pośladków. A widziałby jeszcze lepiej, gdyby przyspieszył kroku...

Skręciła w ulicę Targową, o tej porze już prawie pustą, jednak nadal przesiąkniętą zapachem ryb i skorupiaków z porannego połowu. Przez pierwsze dni spędzone w tym mieście wydawał się on Marlowi odpychający, teraz jednak dziwnie go nęcił. Puf, pan woni i dźwięków, zaczynał go oszukiwać, tylko patrzeć, jak odbierze wężowi też wolę... Ale nie, woli nie pozwoli sobie odebrać, idzie za Severią, bo chce. Tylko dlatego!

Gdyby komuś z nielicznych przechodniów chciało się przyjrzeć jego twarzy, uznałby go pewnie za nałogowego palacza podążającego z wytrzeszczonymi oczyma i pobielającą twarzą do któregoś ze sklepów z ziołami, licznych w Dzielnicy Żeglarzy. On jednak szedł pewien, że choć Chlu w ostatnich dniach rozrzędził mu ślinę i popsuł smak jadła, to bystrości myśli nie odebrał.

Wtem kobieta zatrzymała się przed przysadzistym budynkiem ledwie o dwie przecznice od portu handlowego.

Evaia od dziecka służyła Pani Nieba - najpierw przychodziła do jej domu z babką, potem z matką, w końcu sama. I choć jej własne córki tylko w co ważniejsze święto pokazywały się w świątyniach Panów Żywiołów, o Starych Bogach nawet już nie pamiętając, ona wiedziała swoje - bogini rada jest pobożnym niewiastom, skoro Evaia mimo skończonych pięćdziesięciu sześciu lat nadal zmieniała się wraz z Księżycem i jej ciało, choć nie tak już piękne, wciąż gotowe było dawać życie. Widziała wiele smutnych i radosnych twarzy, spotkała wiele matek i ladacznic, jej oczy śledziły niejedną miłość, lecz nigdy jeszcze tu, w przybytku Matki-Księżyc, nie zetknęły się z oczami mężczyzny.

Wszedł cicho. Wszedł? Wśliznął się jak wąż - stworzenie tyleż nieśmiałe, co okrutne - i stanął obok drewnianej skarbonki. W pierwszej chwili wzięła go za bezczelnego złodzieja, których stolica świata przyciąga jak miód osy. Jednak oparł się o skrzynię na datki, najwyraźniej wcale nie zauważając jej przeznaczenia. Skupił zdziwione spojrzenie na dwudziestu dziewięciu posągach Zmiennej Bogini. Wtedy Evaia zrozumiała, że choć ten młodzieniec sam jeszcze tego nie wie, również stał się wiernym wyznawcą Pani Nieba.

Obiegła wzrokiem półkoliste wnętrze świątyni, szukając tej, która weszła ostatnia. Severia - tak, to ona! Kładła właśnie dłoń na figurze Matki kryjącej twarz pod chustą. A młodzieniec wodził za nią oczami sam skryty w cieniu. Miał czarne włosy, jakie najczęściej widuje się u Pobrzeżan lub Quetlijczyków, ale skórę białą jak południowcy. Umysł zaś najwyraźniej zamroczony przez zmysły, które ciągnęły go tu, szarpiąc łańcuch, wreszcie rzuciły na kolana.

Kapłanka uśmiechnęła się. Gdyby była młodsza i mniej uwagi poświęcała rozważaniom o naturze bogini, a więcej ludzkim zwyczajom, pewnie widok prostytutki wśród matek spodziewających się dzieci i żon oczekujących poczęcia wydałby się jej niestosowny. Jednak Evaia wiedziała dobrze, że tak jak Matka-Księżyc ma wiele twarzy, tak i jej ziemskie córki różnie korzystają ze swej natury, różne odnosząc zwycięstwa.

Przez chwilę pragnęła zagadnąć młodzieńca, objaśnić mu obrzęd, jaki właśnie dokonuje się w nim i na jego oczach, ale stanęła w pół kroku, w pół myśli. Nie byłoby właściwe ogrzewać się w blasku cudzej miłości, wchodzić jak stara ciotka w cudzą grę natury, czy - jak mówią mężczyźni - między piwo a placek, tym bardziej że przecież mimo swych pięćdziesięciu sześciu lat Evaia wciąż czuła się płodną, zatem młodą kobietą.

Odeszła więc, by położyć dłoń na posągu bogini z odkrytą, uśmiechniętą twarzą, ale gdyby wiedziała, co stało się później, uznałaby pewnie, że młodzieniec potrzebował jej rady, zaś

obrzęd zmiennej natury córek Księżyca wyzwolił zbyt wielkie siły...

*

- Severio... - odezwał się głos z ogrodu, najpierw cichy, a gdy nie odpowiadała, coraz to bardziej natarczywy. - Severio! Severio!

- Na Chlu, głowa mi pęka - westchnęła, unosząc się z sofy i otulając głowę mokrym ręcznikiem. - Kto to krzyczy?

- Jakiś żebrak, maleńka - odezwał się jeden z jej osiłków, podszedłszy do okna. - Dam mu grosza i wykopię na ulicę.

- To nie żebrak - powiedział drugi. Właśnie przyniósł jej nowy ręcznik parujący wonią olejku różanego. - Poznaję po głosie. To ten sam smark, który dziś tak chciał cię odwiedzić.

- Wielka mi rzecz - pierwszy wzruszył ramionami. - W takim razie tylko wykopię, a grosza nie dam, skoro nie biedak.

- Dobrze - zgodziła się. - Ale to uczeń starego węża. Nie idź sam, Eno.

- Żartujesz, maleńka! - zarechotał. - Ja nie dam rady?

- Powiedziałam! - tupnęła nogą i skrzywiła się. - Dasz czy nie, chcę cię jeszcze długo mieć zdrowego. Idźcie wszyscy trzej.

- Skoro chcesz... - Zeszli po schodach, ledwo mieszcząc na stopniach swoje wielkie stopy i starając się stawiać je jak najciszej.

- Ty! - zawołał Eno, stając zgięty w ciasnych drzwiach do ogrodu.

Zdziwił się, bo chłopak czekał na nich wcale nie przestraszony.

- Wyjdź sam, jakżeś przyszedł, to nic ci nie zrobimy - dodał.

- Wróćcie do swojej pani i powiedzcie, że muszę ją zobaczyć. Wtedy i ja nic wam nie zrobię - syknął Marlo.

W chwili gdy to mówił, był zdecydowany zmusić ich, aby wyszli do ogrodu, potem jednym skokiem wysliznąć się za ich plecy, a nim znów go otoczą, oślepić, a może i zabić choćby tego największego. Trzy kroki, dwa ruchy i tamten padłby, brocząc krwią spod powiek, a myśl węża zatrułaby strachem pozostałych. Dość tego! Miał dość zwykłej dziwki, która udaje nieprzystępną, podczas gdy on...

Wtedy jednak przypomniał sobie słowa mistrza: *Choćby cię bili, masz się bronić jak*

*ciemie*ga. Trzech zbirów zacieśniało pierścien. Wszyscy byli rudzi, a w blasku ogniska Matki-Księżyc ich gęste włosy zdawały się płonąć.

- Idź stąd. Mówię po dobroci - powiedział znów ten sam, chyba najstarszy, i zaraz upadł na kolana, gdy Marlo kopnął go w krocze. Ale to był jedyny celny cios, na który mógł sobie pozwolić.

Wyglądali jak bracia i tak samo podobnie walczyli. Silni, ale sprytni tylko wyuczonym sprytem - to ciało wymierzało ciosy, nie szybsze od niego oko i myśl. Gdy jeden zamachnął się pięścią jak dzban, wąż mógł przemknąć pod nią i ugodzić samymi palcami pod pachę. Odebrałby osiłkowi władzę w ręce nawet na cały dzień, a gdyby miał sztylet... Ale pozwolił mu trafić, unikając tylko ciosu w skroń. Pięść przetoczyła się po wierzchu głowy.

Chłopak widział też, że chyba najmłodszy z trójki, z twarzą niepoznaczoną śladami ulicznych potyczek, zachodzi go od tyłu. Wystarczyłby oszczędny, kolisty ruch, który wyprowadziłby Marla na zewnątrz zaciskającego się koła, a tamtego umieściłby w środku, tak by przeszkodził na chwilę pozostałym. Jednak wąż przyjął kopnięcie wymierzone pod kolano. Zachwiał się.

Ból był niemal słodki, oczyszczał umysł, wyostrzał instynkt. Chłopak poczuł się tak, jakby po długim śnie wrócił do niego własny umysł. *Przegraj. Już! Za bardzo ich rozwścieczyłeś* - odpowiedział.

Marlo sam wystawił się pod uderzenie łokciem w kark i upadł. Kopali go, ale nie tak, by zabić. Jednak nim zasłonił głowę, któryś trafił, bardziej przypadkiem, niż celując.

- Nie taki wąż jadowity...

Więcej już nic nie usłyszał.

III

Gdy z bólem otworzyłem oczy, zobaczyłem nad sobą moją Severię, która z zatroskaną miną obmywała mi twarz wodą z octem. Chustka co i raz nasączała się krwią i brudem, a ona płukała ją w srebrnej misie. Przymknąłem oczy, zanim dostrzegła, że jestem przytomny. Było mi...

No właśnie, nie umiem już powiedzieć, jak naprawdę mi było. Dziś wiem, że to właśnie w tamtej chwili poczułem, czym jest miłość. Najpiękniejsza ladacznica stolicy świata stała mi się zarazem matką i starszą siostrą. Mały Marlo pobił się z chłopakami, a ona dotyka pachnącymi

palcami jego ran, ostrożnie, by nie przysporzyć bólu...

Jednak wówczas bardziej niż miłość widziałem w sobie wstyd, że nie stoję przed nią zwycięski, tylko leżę pokonany. To ona wygrała ledwie dwadzieścia dni po tym, jak pierwszy raz ujrzałem ją na moście. Matka-Księżyc w świątyni miała dwadzieścia dziewięć twarzy, a ta kobieta zwyciężyła, nie musząc nawet sięgać po wszystkie ze swych przewrotnych broni. Cóż mogłem więc zrobić lepszego, niż udawać, że nie wróciłem jeszcze do przytomności? Nie poruszyłem się, nawet gdy kropla kwaśnej wody wpłynęła mi do oka, dlatego jestem pewien, że choć nie w pełni rozumiałem własne uczucia, instynkt kazał mi sycić się tą jedyną chwilą i za nic jej nie przerywać. Może nawet przemknęło mi przez myśl, że jestem już prawie jej mężem, a ona jak żona wojownika opatruje moje rany? Nie pamiętam. Myśli było wiele i jedno pewne - żadna z nich nie należała do węża, a wszystkie do chłopaka, któremu życie pierwszy raz dało poznać, czym jest opiekuńczy dotyk kobiety.

Chustka cicho chlupnęła w misę i Severia wyszła, bezgłośnie zamykając drzwi. Nie miałem już matki, siostry ani żony. Zostałem sam z własnymi myślami i snami.



- Bez obawy. Będzie żył - szepnął arcymag Valto. Chłopiec oddychał równo, sennie, tylko raz po raz któraś z pulsujących ran przypominała sobie o bólu i na jego twarzy pojawiał się niespokojny grymas.

Severia stała tyłem do stołu, z którego nie usunięto w porę postawionych tam przed południem mis z owocami i teraz unosił się nad nimi lekki zapach kwaśniejącego soku, wabiąc małe muszki. Mocniej oparła ręce na blacie, zacisnęła dłonie w pięści.

- Żył, panie?! - westchnęła. - To za mało.

- W trzy święta wszystko zagoi się bez śladu. Młody. Myśli też ma zdrowe. - Arcymag wstał z zydła, a jego czarna toga omiotła podłogę, odsłaniając na chwilę chudą stopę i złożony sandał. - Nie martw się - dodał zadowolony, patrząc na zamknięte powieki Marla.

- Zatem trudziłam cię bez potrzeby, panie?

- O nie, na pewno nie bez potrzeby. - Podeszedł do niej i złożył dłonie razem, tak że obie schowały się w rękawach jego długiej szaty.

Odwróciła się gwałtownie, żeby na niego nie patrzeć lub raczej żeby on nie widział jej

oczu. Chwyliła z misy jabłko, zbliżyła do nosa i odłożyła z obrzydzeniem. Mogła się spodziewać, że Valto nie poprzestanie na długu wdzięczności. Zaczęła żałować, że posłała właśnie po niego, a nie wezwała pierwszego z brzegu uzdrowiacza. Co prawda nazajutrz pół miasta by plotkowało, że przed jej domem został pobity zakochany dzieciak, ona zaś teraz go pielęgnuje. *Tak, tak, ja też tam jutro pójdę i dam se nathuc po pysku* - zaczęto by rechotać w Dzielnicy Sług, ale to są sprawy, które choć przylepiają się do ubrania jak błoto, to odpadają, gdy przyschną. Co innego arcymag - on zostawia plamy. Może i niewidoczne dla innych, jednak nie do sprania.

- Czego chcesz, panie?

- Nie krzycz tak głośno, bo się obudzi - syknął. Objął ją sztywno za ramię i zniżając głowę do jej kształtnego ucha, zaczął szeptać: - A czego chcesz? Zawsze tego samego. Żebyś nie zapomniała, czyjej przyjaźni zawdzięczasz to, kim jesteś. Nie ludź się, Severio, wąż przypełnie i odpelźnie. Tak samo stary Omar jak i każdy inny. A ja zostanę. Podoba mi się ten chłopak.

- To go weź, tylko szybko, bo jak się zbudzi... - parsknęła, ze złością odwracając się ku niemu, ale nie zdołała dokończyć, bo złapał ją za usta i boleśnie wbił palce w policzki.

- Pamiętaj, z kim mówisz, dziwko! Tu Dzielnica Rodów, nie twoje brudne przedmieście. Chcesz może tam wrócić? Mogę mieć każdy tyłek i każde usta w tym mieście. No, prawie każde! Bez twych prostackich porad.

Pogłaskał ją po włosach. Dziwnie - ani opiekuńczo, ani pożądliwie. Głaskał, jakby chciał udusić. Poczowała, jak po uchu prześlizguje się rękaw szaty maga. Dziwny materiał, lekki, niedrapiący, ale mimo to bardzo nieprzyjemny w dotyku. Miała wrażenie, że jej włosy przylepiają się do ubrania Valta, wystarczy jeden nagły ruch jego ręki, a wyrwie wszystkie. Gdy rękaw maga znów zbłądził w pobliże ucha, maleńka błyskawica ukłuła ją jak igła. Stłumiła okrzyk - bardziej strachu niż bólu.

- Wy...acz - wykrztusiła.

Puścił ją i otarł rękę w togię.

- Wybaczam. Ty również nie chowaj urazy. Jak to między przyjaciółmi.

- Czym mogę się odwdziżyć za twoją dzisiejszą pomoc, panie?

- Teraz już lepiej. Niczym, Severio, po prostu miej go na oku. I teraz, i potem. Podoba mi się ten chłopak, ale nie z tego powodu, co myślisz. Będzie z niego wyjątkowo jadowity wąż. I jeszcze bardzo nam się przyda.

- Nam?

- A tak. Tobie, mnie, no i Aytlanowi.

Marlo poruszył się naraz niespokojnie na łożu. Arcymag Valto położył palec na ustach i wyszedł bez słowa.

*

Mag miał rację: wąż przypełźnie i odpelźnie, a Severia, której ambicje i głód złota stale rosły, potrzebowała potężnych przyjaciół. Tymczasem w Mieście Trzech Słońc tylko dwie rzeczy były pewne - rzeka Der i Wszechnica Sztuki Magicznej. Stojąc na małej wysepce niedaleko portu wojennego, dla niezorientowanego przybysza musiała wyglądać raczej na fortecę albo więzienie niż uczelnię dla wybrańców. I jedyne miejsce w cywilizowanym świecie, gdzie ludziom wolno mierzyć się z Żywiołami. Nikt prócz królów nie mógł bez zaproszenia przekroczyć mostu łączącego to dziwne miejsce z resztą miasta i dzięki temu z upływem czasu zmieniali się tam tylko ludzie, nie sama Wszechnica. Przyjaźń z nią była pewniejsza niż kredyt w Gildii Kupieckiej, choć ani radosna, ani przyjemna.

Magowie wykorzystywali Severię dla jakichś sobie tylko znanych celów? Tak, to pewne, któż jednak nie wykorzysta kobiety, zwłaszcza gdy ma władzę! Pierwsza ladacznica Trzech Słońc wiedziała o tym więcej niż którakolwiek w jej fachu, różniło ją tylko to, że zawsze starała się swoją niezależność sprzedać jak najdrożej. W tej licytacji Wszechnica zdecydowanie górowała nad wężami.

Jednak patrząc na śpiącego chłopaka, nie mogła się opędzić od smutnych myśli. Jak każdy sprytny pośrednik czy lichwiarz, dopóki nie występował konflikt interesów, starała się wszystkim dogodzić i ze wszystkimi żyć w zgodzie. Mistrz Omar pozwolił przecież kiedyś i jej liznąć nieco węzowych sztuczek, a teraz, wzywając arcymaga Valta, niechęć wystawiła Marla na jakieś przyszłe, nieznanne jeszcze niebezpieczeństwo. Ucznia jej mistrza, więc brata... Próbowała przekonać samą siebie, że nie z każdej chmury jest zaraz burza, jednak jakieś bardzo jeszcze odległe przeczucie podpowiadało co innego. Nie powinna! Obeszłoby się bez magów!

- Masz rację, przyjaciółko - usłyszała nagle. - To nie było niezbędne. Wystarczyło wezwać mnie, choć rozumiem...

- Myślałam, że jesteś przy nim, Omarze - przerwała.

- ...choć rozumiem, dlaczego tak się stało. - Zrobił kilka kroków w jej stronę, uśmiechając się i rozkładając ręce. Czy był to ten prymitywny męski gest addlijskich myśliwych: *nie mam broni*, czy może chciał ją objąć? Nie wiedziała.

- Czyżby ten mały przemówił ci do serca? - zapytał z uśmiechem wąż, przystając na wyciągnięcie ramienia od niej.

- Wiesz dobrze, mistrzu, że do mojego serca przemawiają tylko monety - spróbowała również się uśmiechnąć. - Najlepiej złote.

- Właśnie tak powinnaś myśleć, Severio. Nie da ci to dozgonnych przyjaciół, ale też i nie będziesz mieć śmiertelnych wrogów. Zatem dobra odpowiedź, choć nieszczerza. Pomyślałaś przecież, że twoi chłopcy być może przesadzili i mój obiecujący uczeń wkrótce będzie martwy. Ale nie obawiaj się, córko, nie tak łatwo zabić węża! Powiem ci coś jeszcze, on wcale nie jest nieprzytomny. Budzi się, zasypia, majaczy. Nie kontroluje w pełni swego umysłu. Ale jedno jest pewne: wie, co się wokół niego dzieje. Oszukał i ciebie, i arcymaga. Widać, że to mój uczeń, czyż nie?

- Wie, że Valto tu był?

- Tego nie powiedziałem. Z pewnością wie, że żyje i jest w twoim domu. A reszta jeszcze może mu się mieszać ze snami. Nie martw się, przyjaciółko, z tego maga może będziemy jeszcze mieli pożytek. Tylko powiedz, czego chciał. I tak się dowiem, ale lepiej prędzej niż później, prawda?

*

Marlo szybko wydobrzeał, ale wolał udawać bezsilnego. Choć Severia nie traktowała go jak mężczyzny, jednak przynajmniej była blisko niego. Siedziała obok cały dzień, nieraz pół nocy, a on czuł znacznie więcej niż wtedy, gdy pierwszy raz znalazł się w jej łóżu. Jednak któregoś razu to nie ona, tylko jeden z osiłków przyniósł mu wieczerzę, a wkrótce potem chłopak usłyszał ożywione głosy na dole. Niczym zdradzany mąż wysliznął się cicho ze swojej niewielkiej komnaty i ukląkł przy ozdobnej balustradzie u szczytu schodów. Stąd, ukryty, mógł obserwować salon pełen miękkich, leniwych mebli i panią tego domu sam na sam z jej gościem. A gdy już znikną w sypialni, wystarczyłoby przesunąć się kilka kroków i spojrzeć w drugą stronę przez małe okienko, niemal niewidoczne z wnętrza ciemnej miłosnej komnaty wypełnionej zapachami

niczym dymem. Ta galeryjka z pewnością służyła mrukliwym strażnikom, być może widzieli nawet jego, kiedy...

Przerwał tę myśl, bo do salonu wszedł ten sam człowiek, od którego rękawa zaczęła się znajomość z piękną Trzech Słońc.

- Szlachetny pan Larg! - wykrzyknęła piękna kurtyzana, krocząc tanecznie raz obok niego, to znów uprzejmie puszczając go przodem. A jednak w niewiarygodny sposób czyniła to cały czas tak, aby ani na chwilę nie tracił jej z oczu. - Cóż za zaszczyt! Gdy twój sługa przyniósł list, długo nie mogłam uwierzyć. Pałac królów ma dla swych gości przecież tyle cudów, przy których mój skromny dom wydaje się jeszcze brzydszy - powiedziała, siadając na sofie. Suknia spłynęła po jej udzie, odsłaniając nogę aż po biodro.

Marlo drgnął. Widział to już, a jakże! I teraz na jego oczach kanclerz króla Daviego zmieniał się w miękką glinę, którą był, zanim bogowie postanowili ulepić z niej człowieka.

Addlijczyk rozglądał się po komnacie. Najpierw tylko z ciekawości, gdzie przyjdzie mu spędzić noc. Potem z zazdrością, że jego dwór pod Aabo wygląda mniej dostatnio niż dom prostytutki z Trzech Słońc - to właśnie wąż wyczytał w ruchach i myślach Larga.

- Zjazd królów trwa tak krótko, że nie sposób zobaczyć wszystkich cudów - odparł ten. - A widać warto!

- Naprawdę? To szczęście, że tak mówisz. - Znów zakręciła się, falując szatą, włosami, mieniąc się złotem. - Widziałam cię w orszaku, gdy wjeżdżałeś do miasta, a nawet... Nie, wstydzę się!

- Wiem, to ty niemal wpadłaś pod mojego konia! - Zachichotał jak dziewczyna, wskazując ją palcem. Wąż zdumiał się, ile nieporadności było w tym na pozór zwyczajnym, codziennym geście ludzi przyzwyczajonych do wydawania rozkazów. Gdyby ona była żmiją, a kanclerz myszą...

- Tak - spuściła głowę, a jej policzki pokrył rumieniec. Marlo znał tę sztuczkę. - Miałam nadzieję, że tego nie pamiętasz.

- Jak mógłbym nie pamiętać?! Cały czas... Więc to ty?!

Spojrzała na Addlijczyka spod rzęs, nadal zarumieniona jak dziewica, a jednocześnie szybkim i nieuchwytnym ruchem niczym jarmarczny magik ścisnęła spinkę na ramieniu. Suknia zsunęła się, oplątując jej stopy.

Larg chwycił Severię na rękę, szukając wzrokiem najwygodniejszej sofy. Wskazała mu

ręką komnatę za zasłoną. Cały czas to ona tu rządziła.

- Opowiesz mi o swoim kraju i o królu, dobrze? - zapytała, lekko przygryzając mu ucho.

- Co cię to obchodzi, miła? Nie musisz się przecież tym zajmować.

- Ale ty się tym zajmujesz, panie! A ja chcę, żeby mój mężczyzna doznawał przy mnie prawdziwego spełnienia. Czegóż więcej niż tylko rozkoszy!

Marlo poderwał się czerwony z gniewu. Chciał ruszyć za nimi, ale ktoś położył mu rękę na ramieniu. Strząsnął ją pewien, że to któryś ze służących Severii.

- Ciii! - usłyszał jednak szept mistrza.

Co tu robisz, ojczy? - pomyślał.

Potem. Patrz, słuchaj i ucz się - poczuł w odpowiedzi.

Marlo patrzył i słuchał, i tej nocy nauczył się wiele o sztuce wydobywania sekretów. Nie topornymi narzędziami kata, nie ostrą myślą węża, ale stopniowym dozowaniem przyjemności. Widział też, że gdy tylko szlachetny Larg opuścił komnatę, Severia szybko skreśliła kilka słów na małym kawałku papieru, po czym potrząsnęła dzwonkiem. Eno pojawił się tak szybko, jakby całą noc czekał tylko na tę chwilę.

- Do Wszechnicy. Wiesz komu?

- Nie kłopotz się. Miałaś i tak ciężką noc, maleńka.

Wąż uśmiechnął się przekonany, że bezczelny sługa przynajmniej usłyszy parę słów, na jakie zasłużył. Chłopak co prawda zdążył już poznać łaskawość pani tego domu dla jej trzech zbirów, ale na takie poufałości na pewno im nie pozwala. Tymczasem tylko przeciągnęła się leniwie i gdy ten bezczelny gbur wyszedł z komnaty jednymi drzwiami, ona otworzyła drugie, prowadzące do łaźni.

Mistrz i uczeń przesunęli się na galeryjce i znów zajrzeli przez małe okienko. Severia właśnie pozbyła się szaty na oczach dwóch pozostałych, półnagich służących i powoli weszła do wody. Gdy usiadła, jeden zrobił jej oparcie z własnych ramion, a drugi zaczął masować kark.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Luko... - zamruczała.

*

- Ogień nazbyt rozpałił w tobie Ziemię, Marlo - powiedział cicho mistrz - więc nie dziwnego, że rozum ci wyparował, a wola zaczęła tworzyć miraże. Będziesz kiedyś w Quetli czy

na Pobrzeżu, to idź na pustynię. Zobaczysz na własne oczy, co teraz dzieje się w twojej głowie.

- To nie jest miraż, ojciec - syknął ze złością młody wąż. - Taki ma fach, więc rozumiem, kiedy oddaje się kanclerzom i innym podobnym. Ale to?! Ma gości w domu, powinna to uszanować.

- Uszanować, Marlo? - zaśmiał się Omar. - Piękny przykład szacunku: podglądać damę w kąpielni! Chodź, zanim powiesz coś jeszcze głupszego.

Mistrz zaciągnął ucznia do jego komnaty. Rozsiadł się na łóżku i patrzył, jak chłopak chodzi nerwowo z kąta w kąt.

- Cóż, jest wiele zabawnych historii o młodych głupcach, którzy zakochali się w prostytutce - powiedział wreszcie. - Usłyszysz je w każdym szynku.

- Nie! - Marlo zaczerwienił się. Choć minęło już ponad dwadzieścia dni, odkąd zobaczył Severię, słowo *zakochany* nawet nie przeszło mu przez myśl. - To nie może być. Jestem wężem.

- A ona żmija. Ha, pasujecie do siebie!

- Nie zakochałem się, to tylko... Jak ona śmie kąpać się z tymi dwoma...

- Czyżbyś był również zazdrosny, Marlo? - usłyszał naraz głos Severii. Prawą dłonią opierała się o drzwi komnaty, lewą trzymała na ramieniu jednego ze swoich osiłków. - To mój najstarszy brat, Miko.

- Brat?

- Dziwisz się? Niby dlaczego miałabym płacić obcemu, który i tak za dodatkowy grosz gotów sprzedać tajemnice tego domu. Każdy kupiec ci powie, że najlepiej, gdy interesy zostają w rodzinie.

- A pozostali?

- Luko i Eno? To także moi starsi bracia. Wybacz, że pobili cię tamtej nocy. I tak miałeś dużo szczęścia...

- Chyba zapomniałaś, co ci już mówiłem, przyjaciółko - przerwał Omar. Przesunął się, robiąc jej miejsce na łóżku. - To oni mieli szczęście. Potrafiłby ich nawet zabić.

- Aż taki jesteś groźny, wężu? - zachichotała. Miko przyjrzał się chłopakowi i wzruszył ramionami. Nie uwierzył.

Marlo spojrzał na Severię, potem na swego mistrza.

- Kiedy to zaplanowałaś, ojciec? - spytał z wyrzutem. - To ty kazałeś jej tam na moście...

- Już dawno niczego nie nakazywałem naszej przyjaciółce. Okazja sama się nadarzyła,

gdy ty połknąłeś haczyk, rybko! Przypomnij sobie, czy nie powtarzałem, że mnie nic do tego.

- Więc skąd ona wie? - Chłopak zacisnął pięści i potrząsnął nimi. - Po co ta kolejna próba? Chciałeś ze mnie zakpić? Pokazać mi, że jestem złym wężem?

- Opanuj się, synu! - Omar złapał go za ramię i siłą posadził obok siebie. - Nigdy nie zadałeś mi naraz tylu pytań. Po kolei. Ona wie, kim jestem, bo sam kiedyś pomogłem jej stawiać pierwsze kroki w Dzielnicy Rodów. A co do prób i kpin, powtórzę: Ogień nazbyt rozpałił w tobie Ziemię i gadasz od rzeczy. Sam poddałeś siebie próbie i przegrałeś. Sam nie spostrzegłeś, kiedy straciłeś rozum. Ale to dobrze! Następnym razem dostrzeżesz, gdy Chlu zacznie cię opuszczać. To twoja nauka. Pograżałeś się we własnych uczuciach jak w bagnie i zamiast czekać spokojnie, aż bogowie podadzą ci kij, cały czas wierzgałeś i tonąłeś coraz głębiej. Nie było tak?

Marlo skinął głową.

- Severia i ja nieraz oddawaliśmy sobie drobne przysługi, chłopcze - ciągnął mistrz. - Też jestem przecież addlijski wieśniak, choć nie aż tak durny jak ty. A to duże miasto i nawet wąż może się zgubić bez przewodniczki, która zna tu każdy kamień. I każdego człowieka, który cokolwiek znaczy. Tobie też będzie pomagać, jeśli ładnie poprosisz. Prawda, przyjaciółko?

- Taki ładny chłopak nie musi mnie długo prosić. - Postąpiła kilka kroków i położyła młodemu wężowi ręce na ramionach. - Wybacz, ten zapach nie był przeznaczony dla ciebie, ale skoro już go powąchałeś...

*

Marlo niewiele spał tej nocy. Trudno było spać, mając ją przy sobie i wiedząc, że następnego ranka przyjdzie mu opuścić Miasto Trzech Słońc na wiele świąt, może nawet lat. Myślał nawet, że nigdy nie uśnie, że nigdy się nie nasyci. A jednak... Wydawało mu się, że zamknął oczy tylko po to, by porównać ją leżącą przy nim z tymi wszystkimi Severiami, które od dwóch świąt nosił w umyśle. Ale gdy otworzył powieki, zamiast niej był przy nim Omar.

- Powąchaj szal - powiedział, szturchając swego ucznia w ramię.

Chłopak rozejrzał się nieprzytomny. Dopiero po chwili dostrzegł pas tkaniny, który przez sen miętosił w dłoniach. Jeszcze pachniał ich miłością.

- Czyż to nie ta sama woń? - Mistrz podał mu strzęp szaty Larga.

Młody wąż zerwał się na równe nogi. Sen zniknął.

- Ale przecież miałem to w rękach. Mistrzu, dlaczego nie czułem zapachu?

- Bo cały czas nim oddychałeś, Marlo. Uczyłeś się w Ozdze złodziejstwa, więc powinieneś to wiedzieć: chcesz mieć z głowy psa, znajdź goniącą się sukę. Co? Wyrażam się jak wieśniak? Bo chcę mieć pewność, że pojdziesz.

I tak ja, wąż Marlo, najlepszy uczeń najlepszego mistrza, zostałem pokonany przez żmiję. Jednak ojciec niewiele dbał o mój wstyd, złośliwie wypytując o każdy szczegół jej ciała i dzieląc się ze mną wspomnieniami z czasów, gdy jeszcze nie była pierwszą ladacznicą Miasta Trzech Słońc.

Jeśli któryś z was, przyjaciele, cierpiał na wstydliwą miłosną chorobę przyrodzenia lub kamienie w pęcherzu, pewnie obnażając się przed uzdrowiaczem, też w pierwszej chwili czuł tylko upokorzenie, a dopiero potem ulgę. Tak samo leczył mnie Omar.

- Miłość to zapach - mówił - to widok i dotyk. Czasem też słuch i smak. To wszystko. Czy mężczyzna potrzebuje kobiety? Tak, oczywiście, podobnie jak jada, wody i snu. Ale skoro nie jesteś żarłokiem, pijakiem i śpiochem, nie widzę powodu, aby właśnie nasza piękna Severia wypełniała ci umysł bardziej niż choćby kasza.

Dzisiaj myślę, że powrotna podróż z Miasta Trzech Słońc była najszczęśliwszą chwilą, jaką przeżyłem z moim nauczycielem, gdy nie jak mistrz i uczeń, nie jak ojciec i syn, ale jak dwaj kompani rozprawialiśmy o miłosnych podbojach. Wkrótce mieliśmy się rozstać i już nigdy nie spotkać w podobnej zgodzie. Może dlatego mnie wtedy kochał, a przynajmniej dobrze to udawał?

Ja jednak jak każdy młodzieniec nie myślałem o jego uczuciach do mnie, bo miałem pod dostatkiem swoich własnych. Obracałem je w głowie, przyglądałem im się z każdej strony, ale już spokojnie, ze znawstwem, jak koniom na targu. Szczególnie pragnąłem zgłębić ostatnią naukę Severii, jaką dostałem na pożegnanie, gdy zapytałem o znaczenie jej wizyty w świątyni.

- Kobieta jest jak Matka-Księżyc - powiedziała, dumnie unosząc piersi. - Nie oczekuj, że co dzień będzie czekała na ciebie z wieczerzą. Dostaniesz ją zwykle dopiero wtedy, jak stracisz już nadzieję na jado.

Jednak gdy dotarliśmy do zakola Der, gdzie Nowy Trakt rozdziela się na cztery drogi biegnące w cztery strony świata, dopędził nas Luko, średni z braci Severii. Potem wraz z moim mistrzem długo w noc śmiali się z uciesznych historii nad potężnym dzbanem piwa, a ja leżałem w izbie i raz za razem czytałem list nasączony tą samą wonią, której próżno szukałem na toalecie z pachnidłami.

»Mój Marlo - pisała - jeśli jakiś wąż miałby jeszcze kiedyś wśliznąć mi się do łóża, wolalabym, abyś był nim Ty...«

Pewnie ciekawi cię, panie, czy pytałem sam siebie, dlaczego akurat ja. Otóż nie pytałem. Bo ktoś zaproszony do partyjki omm pyta: »Dlaczego ja? Czy w karczmie nie ma już innych ludzi?«.

Część druga

...Odpowiednim używaniem kija magowie osiągnęli także rzecz niebywałą - wychowali człeka głupszego od krowy. Jakże to? Ano prosto - każda krowa wie, że w wypalaniu znamienia na skórze nie ma nic dobrego ani przyjemnego. Wąż zaś chlubi się tatuażem swego fachu niczym miłośnik miłośnicą, a kupiec liczącymi kamieniami. Nie wie zaś, że ów rysunek, choć kolorowy i miły dla oka, powstał w nader niehonorowych okolicznościach...

z „Mojej gry w omm” mistrza Caspa

Rozdział 4

Gdy po raz drugi wyruszyłem z mistrzem w drogę do stolicy świata, lato zbliżało się ku końcowi, a ziemie Addli i Maud wyglądały tak pięknie, że gdybym był bajarzem, panie, cała noc minęłaby nam na opisie podróży i może dopiero jutro doszedłbym do miąszu opowieści, jednak bajarzem nie jestem, a poza tym zapachy ziemi, lasu, dojrzałego zboża i nabierających soku owoców były dla mnie niczym w porównaniu z celem naszej podróży. Wraz z ojcem miałem stanąć przed Mistrzem Tatuazu, który obdarzy mnie znakiem mego fachu. A poza tym, mijając różne oblicza piękna Aytlanu, cały czas widziałem w nich tylko Severię, ku której dzięki losowi znowu się zbliżałem. Północny wiatr przynosił mi coraz wyraźniejszy zapach jej włosów, a im bliżej byłem miasta, tym więcej kobiet przypominało swymi rysami moją ukochaną.

Raz nawet myślałem, że to właśnie ona wyjechała mi naprzeciw na pięknym, choć nieco niesfornym siwku, ale doznałem niemiłego rozczarowania. Bo zrównała się z nami nie Severia, a tylko młodzieniec o długich, kasztanowych włosach. Dostrzegłszy, że mu się przyglądam z siodła starego muła, rzucił wyniośle, wskazując na swego wierzchowca: »No i co, że nieprzyuczone bydlę? Ciebie i tak nie stać«. Po czym oddalił się nierównym klusem, a ja słuchałem już tylko śmiechu Omara...

Niespiesznie dojechaliśmy do brzegów rzeki Der, która wraz ze swymi krewniaczkami obejmuje kraj Maud niczym bransolety dłonie Severii. Zostało już tylko kilka dni drogi, gdy nieoczekiwanie dopędził nas posłaniec z Aabo. Przywiózł rozkaz, bym co rychlej udał się do króla Daviego i wypełnił pierwszą misję.

- Czy Mistrz Tatuazu czeka tam na mnie? - zapytałem.

Posłaniec nie wiedział, był tylko posłańcem. Potrafił jedynie gnać lub odpoczywać. Mistrz i ja zostawiliśmy go więc sam na sam z miską polewki i razem wyszliśmy z karczmy, by w spokoju pomówić być może po raz ostatni.

- Nie wiem - dopiero wtedy odpowiedział mi Omar. - Ale nawet jeśli go tam nie będzie, to pamiętaj, twój umysł już jest umysłem węża, twoje ciało również. Znak na przedramieniu tego nie daje, a tylko potwierdza.

- Bez niego jest tak, jakbym nie ukończył szkolenia - odparłem. - Może dzięki temu nawet

łatwiej wśliznę się między wrogów, ale jak udowodnię, kim jestem, dobrym ludziom?

- O Marlo! - zaśmiał się ojciec. - Dam ci ostatnią radę. Nie ufaj zwłaszcza dobrym ludziom. W ogóle strzeż się dobrych ludzi!

*

Davi, władca kraju Addli, Serce Aabo, siedział na ozdobnym krześle wyrzniętym z jednego dębowego pnia jeszcze przed wojną ommską. Przykryte wileczą skórą i skryte w cieniu zdawało się tworzyć jedną całość z szarą szatą króla, jego czarno-siwymi włosami i brodą. Młody wąż stał pochylony w ukłonie dziesięć kroków dalej, w kręgu pochodni. Dzierżyciel trzeciej części Aytlanu widział go więc doskonale, sam pozostając w cieniu.

- Nie dostaniesz węzowego tatuażu, bo twoja misja pewnie potrwa jakiś czas i nie chcę, abyś czymkolwiek różnił się od innych ludzi w wieku mojego syna -mówił władca. - To pewne, że i on należy do spisku, jak i pewne jest to, że pokierowała nim czyjaś zła wola. Chcę, żeby ta wola nie pokierowała już nigdy, nigdzie i nikim. Czy rozumiesz mnie, wężu?

- Tak, Serce Aabo. Życzysz sobie, abym odkrył i zabił przywódcę spisku.

- Prostacko powiedziane, jednak bliskie sedna. - Davi skrzywił się i potarł z wysiłkiem podłokietniki swego rzeźbionego krzesła, tak jakby chciał odepchnąć je od siebie wraz z Marłem i całym tym światem, który nie dorósł do wielkości i mądrości pana Addli. - Ale to nie wszystko. Spisek jest jak królestwo. Ma władcę, ale ma też doradców i generałów, a każdy z nich gotów jest sięgnąć po władzę, gdy nadarzy się sposobność. Zatem masz zabijać tak długo, aż zmienisz tych buntowników w stado baranów. To po drugie. Dotąd wszystko pojmujesz?

- Tak, panie wielki. Mam dopilnować zgliszcz, aby pożar się nie odrodził.

- Szybko się uczysz! - rzekł król nieco przychylniejszym tonem. - Już zaczynasz mówić tak, że nie wstyd cię słuchać. I na koniec rzecz trzecia. Bo chyba nie sądziłeś, że skoro są dwie, to trzeciej nie będzie?

Marlo słuchał mniej jego słów, a bardziej myśli, jak nieraz radził mu mistrz. Umysł Daviego przypominał rzekę zbliżającą się do wodospadu, bardzo pragnącą napotkać przeszkodę, która pozwoli jej wreszcie pokazać całą moc, wyzwolić władczy krzyk dotąd leniwej wody. Wąż postanowił jej w tym pomóc.

- Nie, trzy rzeczy jak trzech królów Aytlanu - powiedział.

- Nie zapędzaj się! - warknął pan Aabo, targając pod włos wilczą skórę okrywającą tron. - Od strojenia żartów mam osobnego sługę i gdybym ich pragnął, przywołałbym go zamiast ciebie.

- Wybacz mi, panie wielki! Mój język, jak przystało na węża, ma dwie połowy i właśnie odezwała się ta głupsza. Ale przysięgam już trzymać go w paszczy.

- Liczę na to. A więc po trzecie, mojemu synowi Abselemu nie może się stać żadna krzywda. Chcę, żeby żywy i zdrowy poprosił mnie o przebaczenie i je otrzymał. Tego od ciebie żądam. Czy wszystko zrozumiałeś?

- Tak, panie wielki. Przywódcy spisku mają zginąć, bunt wygasnąć, a księżę Absele żyć i klęknąć przed tobą.

- Nie inaczej. Zważ jednak wężu, co sam powiedziałaś o zgliszczach. Kto chce mieć zgliszczka, musi spalić dom. Jeśli zostanie szkielet, nawet jedna tylko nadpalona belka, ktoś może nierozsądnie myśleć, by coś z tego jeszcze zbudować. A ja życzę sobie czarnej, twardej grudy, na której i perz nie rośnie.

Davi nie musiał tego mówić. Marlo czuł, że władca Addli bardziej myślał o swoim tronie niż kraju i może prócz syna gotów był wiele poświęcić.

- Dzięki ci, panie wielki, że właśnie mnie przeznaczyłaś to niełatwe zadanie. Czy zechcesz jednak wskazać mi tę jego część, na której zależy ci najbardziej? Przysięgam, że zrobię wszystko, abyś był zadowolony, gdyby jednak na mojej drodze stanęły nieprzewidziane przeszkody, to co mam czynić przede wszystkim?

- Jeśli umiesz liczyć do trzech, to wiesz, że jeden jest przed dwa, a dwa przed trzy. Ale chcę mieć trzy puchary na stole - odpowiedział zniecierpliwiony król.

- Gdyby jednak na przykład trzecia sprawa nie pozwoliła mi załatwić pierwszej bądź drugiej...

Davi wznosił palec, jakby chciał pokazać szczególnie piękny ornament na suficie swej komnaty.

- Jesteś wężem, mój... - zawiesił głos i spojrzał pytająco na swego węża.

- Marlo, panie wielki.

- Jesteś wężem, mój Marlo, więc kęsaj, nie pytaj.

*

Pan Aabo siedział znudzony. Płaszcz z czarnych wilków - oznaka godności najwyższego

sędziego kraju Addli, nieustannie poruszał się, jakby chciał ożyć i zaatakować oskarżycieli, obrońców, oskarżonych, rozszarpać ich na strzępy i ukontentowany napić się ich krwi. To skryta pod nim pięść króla Daviego co i raz uderzała o podłokietnik tronu, a wilcze futro przejmowało ten ruch, zniecierpliwienie i rozdrażnienie swego pana. Władca i płaszcz najwyższego sędziego najwyraźniej doskonale się rozumieli. Pan Aabo uznawał tylko krótkie procesy wsparte torturami i zakończone egzekucją, a rozsądzanie sporów o ziemię, długi i bydło do takich nie należało. Z kolei wilcza szuba też wolałaby być gdzie indziej - na przykład na płaskowyżu, gdzie wicher targałby jej sierść, gdzie była jeszcze żywą, groźną bestią, gdzie miała mięśnie i kły...

- Czekam zatem na twój sprawiedliwy sąd, który przyzna mi rację, Serce Aabo - zakończył swą mowę handlarz skórami. Szło o to, że jego wspólnik nie tylko miał czelność zataić część zysku, ale dał się zabić na polowaniu jakiemuś dzikowi, zanim ów handlarz zdążył zrobić to samo sztyletem w uczciwym pojedynku i w majestacie prawa.

- Czego zatem żądasz od tego człowieka? - warknął Davi spod wilczej szuby. - Zemsty? Pieniądzy?

- Zemsty? Tak, panie wielki! Żądam zemsty. Pieniądzy... - *Tak, pieniądze też żądam, jak nie od niego samego, to od jego spadkobierców* - chciał dokończyć handlarz, ale król miał już tak dosyć tej sprawy, że wolał uchwycić się pierwszej odpowiedzi.

- Zatem niech wykopią z grobu zewłok tego oszusta, a ty, człowieku, odejdz i dokonaj zemsty. Utnij mu głowę czy co tam chcesz. Tak rzekł Davi, pan Aabo, władca kraju Addli. Kto jeszcze czeka na sprawiedliwość?

- Malre z Sudy - oznajmił pisarz sądowy.

Król i jego wilczy płaszcz znieruchomieli na chwilę, ale władca opanował się na tyle szybko, że tylko wąż mógłby zauważyć tak krótką zmianę w jego zachowaniu.

- Zbliź się, Malre - powiedział pan Addli. - I mów, co masz do powiedzenia.

- Nie zajmę wiele czasu, Serce Aabo, panie wielki, bo moja sprawa jest jasna jak słońce nad płaskowyżem i prosta jak kij pasterza. Jestem najstarszym synem właściciela pastwisk i stada bydła z Sudy pod miastem Wil, co pokazują dokumenty, które ze sobą przyniosłem. Twój ojciec, od którego tylko ty, panie wielki, jesteś potężniejszy i sprawiedliwszy, nadał mojemu rodzicowi to bogactwo na znak swej wdzięczności dla wiernego sługi. Dzięki jego hojności mogłem odwiedzić Quetłę i Pobrżeże, aby poznać tamtejsze porty i składy i żeby tym lepiej móc potem handlować z obcymi krajami. Właśnie gdy byłem za morzem, doszła mnie wieść, że mój ojciec

umarł, pozostawiając mi cały majątek, co pokazuje testament spisany w obecności świadków i zarządcy miasta Wil. Wróciłem, aby objąć, co mi się należało, a potem zacząć naukę w Mieście Trzech Słońc. Jednak mój młodszy brat nie wpuścił mnie za bramę, twierdząc, że nie pozwoli roztrwonić majątku. Tymczasem to on go roztrwonił, bo dowiedziałem się od ludzi, że nie ma już pastwisk, nie ma bydła, został tylko dom i ostatni skrawek ziemi, na której on stoi.

- Gdzież ten twój brat? - zapytał Davi.

- Nie przybył, panie wielki. Przysłał mi tylko list, w którym pisze, że bierze sobie pozostałą część majątku jako zapłatę za ten czas, gdy ja byłem poza domem, a on strzegł go w moim imieniu. Odbierz mu i zwróć mi moją własność, Serce Aabo. Czekam na twój sprawiedliwy sąd.

Władca nie musiał długo zbierać myśli. Tak, również dla niego ta sprawa była jasna i prosta...

- Ha, widać w Sudzie kończy się Addli, jakie znam i jakim przywykłem władać! Przyszedłeś ze sprawą, którą każdy mężczyzna winien rozstrzygnąć sam swoim sztyletem, tymczasem ty, Malre, zamiast wziąć sobie sprawiedliwość, skamlesz o nią u stóp mojego tronu. Ale skoro już tu jesteś, dostaniesz, o co prosisz. Majątek ci się należy, bo tak chciał twój ojciec. Ale i twój brat nie może zostać z niczym, zatem nakazuję, aby rozebrano wasz dom, starannie odkładając belki i cegły na dwa stosy. I każdy z was dostanie połowę majątku, który pozostał. Tak rzekł Davi, pan Aabo, władca kraju Addli.

*

Aabo w niczym nie przypominało Miasta Trzech Słońc, które niby dłoń chciwca rozczapierzało się, by zająć sobie jak najwięcej miejsca, a każde przedmieście niczym łapczywy paluch sięgało w swoją stronę. Stolica kraju Addli była raczej zaciśniętą pięścią, nad którą góruje niby kciuk pałac Daviego, a wszystkie dzielnice muszą jakoś zmieścić się wewnątrz ciasnych murów. Gdy miasto powstawało setki lat wcześniej podczas wojen trzech królestw, było to nader właściwe, zwłaszcza że stojącemu na równinie Aabo tylko bagna u brzegów Podłych Jezior mogły dać jaką taką ochronę. I to też nie w zimie, bo gdy zamarzły, wschodnie mury stolicy stawały się równie dostępne jak wszystkie inne. Ale choć czasy wojen dawno odeszły, ciasna pięść pozostała, najpewniej po to, by kciuk dalej sterczał, a nikt w stolicy ani na chwilę nie zapomniał o swym

władcy i na każdym kroku widząc jego pałac, musiał poczuć miłość lub strach.

Ale młody człowiek zaglądający smętnie w garniec miejscowego piwa wołał nie pamiętać o Davim, więc usiadł w miejscu najmniej lubianym przez bywalców gospody „Pod Basiorem” - twarzą ku drzwiom do stajni, plecami w stronę okna. Co chwila ktoś potrącał go, przechodząc. Jednak smętny młodzieniec przynajmniej nie widział pałacu króla, gdzie niedawno spotkała go wielka krzywda.

A ponieważ ogłupiały już od piwa, cuchnący przetrawionym trunkiem przy każdym oddechu, chętnie opowiadał o niesprawiedliwym wyroku władcy wszystkim, co się przysiedli, przez krótkie tylko chwile cieszył się towarzystwem rozmówców, częściej przestawał jedynie z dzbankiem. Że jednak, jak to w dzień sądów, gospody w Aabo były zatłoczone ponad miarę, co i raz trafiał się nowy gość, który nie słyszał jeszcze historii młodego Malrego z Sudy.

- Zawrzyj wreszcie gębę, przyjacielu! - zażądał w końcu gospodarz, lecz wtedy nieoczekiwanie pijanego młodzieńca wziął w obronę jakiś kupiec z sąsiedniego stołu.

- A czemuż to ma nie mówić?! - zapytał, podchodząc i siadając przy nim.

Malre wybełkotał coś w podzięcie, lecz kupiec gwałtownie mu przerwał:

- A po prawdzie, to karczmarz dobrze ci radzi. Zawrzyj gębę, bo nie tylko majątek stracisz.

- Majątek? A skąd wiesz, panie?

- A bo to nie słyszę, o czym bez przerwy opowiadasz? Poza tym byłem przy twym procesie, jako że czekałem na swój. Twoja sprawa jest jasna i słuszna, ale u króla nikt takich nie słucha. Dwóm kobietom, które spierały się o opiekę nad dzieckiem, wiesz, co kazał? *Przetnijcie je na pół, to każda odejdzie zadowolona.* Nie będzie sprawiedliwości w Addli, póki rządzi tu Davi.

- To gdzie mam jej szukać?

- Wszystko, co w królewskim pałacu było dobre, jest teraz w mieście, gdzie jeszcze świeci słońce.

- W Mieście Trzech Słońc! Tam... No tak! Tam jest księżę Absele! - wykrzyknął pijany młodzieniec.

- Cyt, jak jesteś mądry, to już rozumiałeś. Jak głupi, lepiej za dużo nie myśl. Nawet o sprawiedliwości. A teraz wynoś się, póki tu żaden strażnik nie zajrzał. Przyjdź rankiem, dam ci list. Może w czymś pomoże...

Zanim cuchnący piwem Malre zdołał sklecić składne podziękowanie, kupiec złapał go za płaszcz i sam wywlókł za drzwi. Potem patrzył jeszcze, jak nieszczęśnik oddala się, niepewnie stawiając nogi.

A młody człowiek, ledwie zniknął za rogiem i upewnił się, że nikt za nim nie patrzy, sięgnął palcami do ust i wyjął spod języka skrawek jakiejś szmatki. Wyrzuciwszy ją, odszedł już równym, szybkim krokiem. Tylko stary kundel zaciekawiał się kęsem wzgardzonym przez człowieka. Ponieważ jednak pachniał on przegniłym jęczmieniem, nie mięsem, pies odszedł w swoją stronę.

II

W Aabo stało się już całkiem głośno o sprawie Malrego z Sudy, który wrócił z obcych stron do Addli, aby odzyskać majątek ojca, a wyszedł na tym tak, że stracił nie tylko ziemię, ale i pół sakiewki. Sam byłem zadziwiony, że znacznie więcej ludzi litowało się nad nim, niż wyśmiewało jego głupotę. Nie rozumiałem jeszcze wtedy, jakim wrzącym kotłem był kraj Addli i jak niewiele było potrzeba, aby bez żadnych spisków Davi musiał cisnąć koronę i ratować się ucieczką na bagna wśród Podłych Jezior. Mistrz nauczył mnie tylko rozumieć umysły pojedynczych ludzi, a myślenie ich stada, całego miasta, kraju było mi zupełnie obce. Gdy zaś ktoś nie wie, na co patrzeć, często nic nie widzi. Niby zwykły kraj jak zwykły młyn... Młynarz miele w nim ziarno, drobinki mąki co dzień unoszą się w powietrzu, jak co dzień ktoś obok krzesze płomień i nic. Przychodzi jednak ta chwila, gdy - nie wiedzieć czemu - Powietrze zmienia się w Ogień, młyn wybucha jak wulkan, a ciało młynarza i młynarczyków nawet młynarzowa już nie rozróżni. Pewnie właśnie dlatego, ledwo minęło Święto Erha, kazano mi opuścić Aabo. A ja wyjechałem nader chętnie, bo przecież w Mieście Trzech Słońc spodziewałem się spotkać nie tylko księcia Abselego...

*

- A więc teraz będziesz studentem Akademii? - zaśmiała się Severia. - A cóż takiego ciekawego pragniesz studiować? Uprzedzam cię, Marlo, pobledniesz od kurzu biblioteki, pośladki zwiotczeją od siedzenia. A szkoda by było. No chyba że bardziej chcesz być studentem,

niż studiować. W takim razie czeka cię tu wiele uciech.

Obróciła się na brzuch i zgięła nogi w kolanach. Jej łydki, uda, potem kształtne plecy i uniesiona głowa z oczami śmiejącymi się do Marla utworzyły kształt czary. Czary uciechy.

- Ty jesteś najpiękniejszą z tutejszych uciech. Będę przychodził...

- Nie będziesz, Marlo - przerwała. - Jeśli chcesz być studentem, nie możesz tu przychodzić.

- Dlaczego?

- Bo studentów na mnie nie stać. Dziś wkradłeś się przez ogród jak wtedy i pewnie zrobiłeś to dość mądrze, aby nikt cię nie zobaczył. Gdy jednak to się powtórzy, każę cię braciom wyrzucić i obić, jak zrobiłabym to z każdym innym gołodupcem z Akademii. Dla twojego własnego dobra.

Marlo poczuł się jak chłopiec besztany przez matkę, a nie jak kochanek, któremu kazano iść precz.

- Skąd tak dobrze wiesz, co jest dla mnie dobre? - powiedział jednak żartobliwym tonem.

- Stąd, że ja w ogóle bardzo dużo wiem. To w moim fachu rzecz równie ważna jak zgrabny tyłek. A ty, Marlo, gdybyś był mądry, zamiast się dąsać, skorzystałbyś z tego. Pytaj.

Więc pytał zarazem rad, że tyle wiedzy, którą śledząc ludzi i obserwując ulice, musiałby zbierać ze dwa święta, może dostać naraz i w jednej chwili. Ale przez to znów czuł się mały przy swojej kochance, a tego już najmniej pragnął. Ona zaś, rozbawiona jego zmieszaniem, leżała półnaga na sofie, opowiadała o rozrywkach stołecznych młodzieńców, o tym, gdzie kto chadza na piwo, a gdzie na dziewczki.

- Co zaś do księcia Abselego, to wszędzie chodzi wraz z kompanami, którzy sami o sobie mówią Bractwo Addli. - Przeciągnęła się leniwie.

- Cóż to za kompani? - Wąż spojrział jej w oczy. - Bywali tu?

- Z raz czy dwa. Najbliżsi są mu trzej: Spino, Anachi i Vanreke. To jego przyjaciele jeszcze z Aabo. Znają się od takiego, gdy szczytem rozpusty było dla nich zajrzeć przez dziurę do izby jakiejś służącej. Nie wejdziesz łatwo między nich.

- Więc wejść trudno. - Wzruszył ramionami. - Uczył nas przecież ten sam mistrz.

- Są ostrożni - rzekła po chwili. Marlo złowił też myśl, która rzadko gościła w jej głowie i komnacie. Troskę. - Gdybyś chciał się jednak z kimś zaprzyjaźnić, Vanreke byłby najlepszy. Awanturnik i pijak, w sam raz dla ciebie. - Znów się zaśmiała, prawie szczerze.

- A tak, wymarzony kompan - wąż podjął ten dowcip. Poczul, że jest mu za to wdzięczna, więc tym śmielej mówił dalej: - Pozwolisz jednak, że zamiast chadzać z nim na dziwki, będę przychodził do ciebie.

- O nie, Marlo! - odpowiedziała ze śmiechem. - Mówiłam ci. Od dziś dla twojego własnego dobra to kosztuje sto groszy. Moich braci już uprzedziłam, że od jutra cię nie znają.

- Jednak dopiero od jutra...

- A tak, nie traćmy więc czasu! - Wyciągnęła dłoń. Mogło to znaczyć zarówno *daj*, jak i *chodź*. - Tylko byś gadał, Marlo, i gadał. Jak stara baba, nie kochanek.

*

Eldo był starym opiekunem ksiąg, a im był starszy i bardziej doświadczony w swym fachu, tym dotkliwiej czuł się nim udręczony. Najchętniej zamknąłby cały księgozbiór Akademii, bo cóż bardziej niszczy księgi niż ich używanie? Zwłaszcza przez młodych studentów, którym trzęsą się paluchy po wczorajszym przepiciu albo z ochoty na dzisiejsze dziwki. Ale patrząc z drugiej strony - kim Eldo by był, gdyby nie ci wszyscy ludzie, którzy samodzielnie pewnie z trudem znajdują buty pod łóżkiem, a co dopiero tę jedną księgę czy zwój nakazany przez mistrza wykładowcę, a ukryty pośród setek półek i tysięcy tytułów? Gdy słudzy biblioteki gasili lampy i wszyscy wychodzili, cała wartość Elda zniknęła, nie potrzebowali go już ludzie, ukochane słowa spisane na niezliczonych kartach zapadały w drzemkę i też zapominały o swym opiekunie.

W ciągu prawie czterdziestu lat pracy wyrobił w sobie nos i oko karczmarza. Widząc człowieka, zwykle od razu wiedział, na co jego umysł stać, a czym zadławi się i będzie dziesiątki razy czytał to samo zdanie, nim wreszcie uzna, że zrozumiał sens. W przypadku większości studentów było to bardzo proste, bo nigdy nie czytali tego, czego nie musieli, a co musieli - wiedział lepiej od nich. Nieraz z bibliotekarza-karczmarza stawał się bibliotekarzem-jasnowidzem, gdy na widok podchodzącego do jego stołu młodzieńca pytał, nim tamten wyrzekł choć słowo:

- Gramatyka zaginionych języków, wyklada profesor Ron?

- Tak, ależ tak! Skąd wiesz, panie?

- Tym korytarzem, trzecia sala na prawo, piąty regał po prawej, trzecia... nie, czwarta półka od dołu. Tam wszystko! - I oddalał się bez wyjaśnienia, zostawiając ćwierćuczonego

samego, nie patrząc nawet, jak jego twarz przyjmuje minę przygłupa z przedmieścia.

Ale tego dnia bibliotekarz popełnił błąd, co nieuchronnie zdarza się wówczas, gdy rutyna zastąpi myślenie. Takie właśnie lenistwo umysłu zgubiło ponoć pewnego byrdyjskiego generała, który nakazał swoim wojownikom wmaszerować do miasta przez zdobyczny most, nie zastanawiając się wcale, że dla nadwątlonych wojną gładów może to być równie zabójcze co katapulta.

Zaczęło się od tego, że Eldo spojrział na wchodzącego młodzieńca i nie myśląc, zapytał:

- Historia Aytlanu, wykład profesora Tifa? Tym korytarzem, druga sala w prawo...

- ...trzeci regał po lewej, druga półka od góry - dokończył za niego student. - Istotnie bardzo zajmuje mnie historia naszych trzech krajów, jednak te księgi, które mi wskazujesz, panie, zdążyłem już przeczytać. Są mądre i rzetelne, lecz mówią tylko, jak było, a ja chciałbym zrozumieć dlaczego.

Bibliotekarz zdumiał się, że obcy człowiek powtórzył jego własne myśli. Przyjrzał mu się z uwagą, jaką dotąd zaszczycał jedynie księgi, nie ludzi. Młodzieniec nie był wysoki i nie niski, miał czarne włosy Addlijczyka, twarz ani ładną, ani brzydką, ani mądrą, ani głupią -student, jakich zawsze najwięcej. Być może bywał tu już sto razy, a może nie. Trudno spamiętać, zwłaszcza gdy się człowiek nie przygląda... No bo po co się przyglądać nosom, oczom i ustom? Nie tam jest mądrość.

- Masz widoki na pracę w Akademii? Chcesz być uczonym, panie... eee...? - zapytał stary.

- Malre, student Malre. Od jakiegoś czasu myślę, że chciałbym być uczonym, ale nie mam żadnych widoków i nie wiem, co jutro mi przyniesie. Po prostu jest w życiu czas na naukę, więc szkoda byłoby go marnować. Tak myślę, panie, a ty?

Bibliotekarz zdziwił się jeszcze bardziej. Na dziesiątki pytań, które codziennie mu zadawano, być może jedno brzmiało: *Jak zdrowie?*, ale żeby go ktoś pytał o zdanie na jakiś temat, tego sobie nie przypominał.

- Twój ojciec jest na pewno z ciebie dumny - wykrztusił dziwnie wzruszony. Ten młodzieniec zburzył jego obojętny spokój, tak jak ponoć król Potin zniszczył mury Jeru samym tylko rykiem dobrze zestrojonych tręb.

- Mój ojciec umarł - odpowiedział ów Malre i powrócił do rzeczy: - Szukam ksiąg mówiących nie o tej historii, którą widział każdy, kto wtedy żył. Chciałbym wiedzieć, o czym mówili królowie ze swoimi doradcami, co nakazywali najwierniejszym sługom, wreszcie jakie

były ich myśli. Pewnie rzadko ktoś pyta o takie książki?

- Istotnie rzadko, chociaż... Chociaż całkiem niedawno czytywało je kilku studentów – przypomniał sobie Eldo. - To chyba twoi krajanie, bo wyglądasz mi na Addlijczyka.

- A, pewnie to był książę Absele i jego kompani. Znam ich z wykładów.

- Pewnie oni. Dałem im „Historię upadku Omm” mistrza Caspa i „Kroniki królewskie” Abila Byrdyjczyka. Ale nie chcieli nic więcej.

- Tak to jest, panie. Liczne i trudne książki są dla niewprawnej głowy jak za mocne wino - powiedział poważnie młodzieniec.

- Też często tak mówię! - ucieszył się stary. - Pokażę ci, co czytali twoi przyjaciele. I to, na co zabrakło im cierpliwości.

*

Od Święta Kupców aż do Święta Niewolników Marlo prawie nie wychodził z biblioteki, a Eldo nie mógł się nazachwycać tak pilnym i chętnym do nauki młodym człowiekiem. Przeczytał nie tylko „O tym, jak krzepły trzy królestwa” oraz „Wojnę ommską” mistrza Iga i „Ród wielkiego Potina” Taia z Relhu. Ledwo skończył tamte, zaraz sięgnął po rzadziej czytane, późne dzieła mistrza Caspa, w których przenikliwy umysł walczył już z cieniem starości, i kroniki kapłana Chlu-Kempisa, spisane w połowie dla prawdy, w połowie dla pobożności. Zaciekawiała go nawet zniekształcona przez zawiść „Historia życia wygnańca” Neftiego z Molku, doradcy pierwszego z tamtejszych namiestników - Esaua, i zwoje Abdona Quetlijczyka, w których jeden fakt przypadał na tuzin pochlebstw. Gdy Eldo wyjaśniał niedoświadczonemu przecież młodzieńcowi, jak trudno jest czytać takie książki, w których prawda nieraz przecieka przez sito słów, ten odparł, że to dla niego żadna nowina, wszak wielu ludzi kłamie, czemuż by więc z pisarzami miało być inaczej?

Chłonał wiedzę tak jak Zatoka Trzech Słońc połyka wody rzeki Der - stale, spokojnie i beznamiętnie. Nawet wtedy, gdy brał do ręki książki, na których nie było już niewidocznych śladów Bractwa Addli. Nawet gdy przyszło mu czytać słowa, które najchętniej spaliłby ogniem... Wiele z nich zdawało się biegać wokół niego i kąsać jak rozzłoszczone psy, ale żadne nie miało odwagi rzucić mu się do grdyki. Odłożył więc książki kundli i sięgnął po dzieło mistrza Caspa, tego samego, który wymyślił grę w omm znaną w całym Aytlanie od królewskich pałaców do portowych tawern.

Cały świat jest grą, grą są miłość i przyjaźń, nienawiść i wrogość, grą jest każdy nasz krok po tej niezmiarzonej planszy, która zamiast kwadratowych pól ma drogi, miasta, góry i rzeki. Napawa mnie niezasłużoną dumą, gdy mówią: „Oto mistrz Caspo, ten, co wymyślił grę w omm”. Dziękuję Wam, nieszczerzy pochlebcy i szczerzy głupcy! Prawda jest jednak inna - niczego nie wymyśliłem, a tylko niczym malarz przyjrzałem się pewnej słynnej wojnie, a potem w jakże prostacki i niedoskonały sposób przedstawiłem ją w dziele swych rąk i umysłu.

Tak ze zwykłą sobie przekorą Caspo rozpoczął ostatnie dzieło, jakie dane mu było napisać przed śmiercią. Słabnący umysł wiekowego mistrza to przysypiał, to wyrwał do przodu jak źle ułożony ogar, ale Marlo czuł w tych gorączkowo pisanych zdaniach prawdę, której innym księgom brakowało. Autor bardzo pragnął powiedzieć światu to wszystko, czego przez całe życie mówić mu nie uchodziło. Wąż jednak nie miał wiele czasu. Przerzucił strony poświęcone samej grze, aż doszedł do tych, w których starzec przeszedł do rozważań o naturze dziejów.

...Magowie zamknięci przed światem zgłębiają tajemną naturę Żywiołów. Potrafią rozniecać ludzkie namiętności jak Agni, pilnować myśli jak Chlu, miażdżyć wolę jak Puf i panować nad ciałem jak Erh. To oni na planszy do gry zwanej Aytlan są figurami-generalami.

Po nich mamy węże, owych sekretnych morderców na usługach królów. Choć nie minęły nawet cztery pokolenia, odkąd wypelzły na świat, już narosło wokół nich wiele przesądów. Jedni, nierzadko nawet uczeni - chcąc wszędzie widzieć dowody zepsucia naszych czasów - gdzie tylko zdarzy się niewyjaśniona zbrodnia, węzom ją zaraz przypisują. Drudzy dostrzegają w nich godne najwyższego podziwu poświęcenie w służbie władcom i w doskonaleniu swego fachu. A cóż stary Caspo, który prawą dłoń stracił, broniąc murów Omm, przekaże Wam, swą jedyną, lewą dłonią skrobiąc słowa zgryźliwe? Węże w naszej grze w Aytlan odpowiadają rydwanom z ommskiej planszy. Pojawiają się nagle i znikają równie szybko, bezlitośnie rażąc swe cele.

Było to podczas pierwszych lat wojny aytlanckich krain, gdy Byrdyńczykom udało się wprowadzić swego węża pomiędzy doradców władcy Maud. Poczynał sobie ów szpieg nader skutecznie, dając swemu panu wiele powodów do radości. Aż pewnego dnia król kraju Byrd obudził się zlany zimnym potem i ogarnięty obawą: „A jeśli moi wrogowie postąpili tak samo?”. Bojąc się zasięgnąć zdania doradców, poszedł zapytać swego ogrodnika: „Co robisz, dobry człowieku, kiedy przypuszczasz, że w koszu jedno jabłko jest zgniłe?”. Ten, jak przystało na dobrego człowieka, nie węszył podstępnie, tylko zadowolony, że może przydać się swemu panu, rzekł: „Trza wywalić cały kosz”. Tego samego dnia władca nakazał wbić na pale swych dostojników,

zaś wszystkie węże odtąd naznaczał niczym bydło. Cóż, podczas gry w omm też nieraz przychodzi poświęcić pionę, by zrobić miejsce dla konnicy. Jest to...

Marlo zatrzasnął „Moją grę w omm” i odsunął księgę od siebie, tak jakby była miską, a on człowiekiem, który się najadł i niczego już do ust nie weźmie. Zastygł tak na chwilę wściekły i rozżalony, że Caspo uważany za najmędrszą głowę Aytlanu, zbyt wielki, by zostawić równie godnych następców, wśród starczego chichotu napluł na tatuaż węża. To, że Marlo go dotąd nie miał, było jeszcze gorsze. Bo ślina nie zapaskudziła mu ręki, tylko marzenia.

Otrząsnął się, nim Eldo przyszedł nękać go swoją przychylnością, tymi: *Chcesz, prześpij się w mojej izbie i: Zmęczony jesteś? Wezwę posługacza, przyniesie ci nieco wina. Wąż nie powinien nazbyt wysoko podnosić głowy, wtedy każdy wróg dojrzy go z daleka. Sięgnął więc po kolejną księgę.*

Człek winien być człowiekiem, nie patrzeć z zazdrością w dół ku bydłom ni w górę ku bogom. Dla tego nie ma plugawszego fachu niż fach węża, który gada ma za boga, a prawdziwym Panom Żywiołów kradnie ich władze nad ludzkimi umysłami. Do czego to prowadzi, świadczy najlepiej historia węża Hamra, który służył panom Addli i Quetli. Niczym zwierzę żył w lochach pod domami władców, ci dawali mu co dzień inną ladacznicę, ta zaś już nie wychodziła żywa z jego nory. Nareszcie mówili się ludzie, nie mogąc znieść potwora, i wdarli się całą chmarą do lochów. Łeb mu ukręciwszy, język wydarli, by nie mógł Ojcu-Słońcu i Matce-Księżyc swego imienia powiedzieć.

Tak właśnie pisał pobożny Chlu-Kempis, na którego słowach Marlo uczył się stawiać pierwsze znaki. I to ów kapłan, jak przystało na starego znajomego, ukąsił go najboleśniej. Hamr nie mógł powiedzieć Starym Bogom swojego imienia tylko dlatego, że nie miał języka. Miał za to umysł, o którym tamci prostytutki zapomnieli w swej głupocie. Był więc stokroć szczęśliwszy niż czytający o nim młody wąż, który nie wiedział, jak wołali go prawdziwi rodzice. Jak przekona kiedyś Ojca-Słońce, że należy mu się miejsce u jego boku? Dotąd, nawet jeśli myślał czasem o śmierci, to nigdy nie sięgał dalej - w to, co stanie się z jego duchem, gdy ciało zacznie cuchnąć.

Patrzył na strony kronik obłudnego kapłana, przewracał karty, udając, że czyta, lecz myślał tylko o tym, jaki był głupi, pragnąc zabić Erh-Ada. Zadać śmierć - zamknąć usta. Nie, te usta powinny były mu powiedzieć wszystko, co widziały oczy, wszystko, co pomyślała głowa. Może wtedy złożyłby z tych strzępów trop, który zaprowadziłby go do kogoś, kto znał jego

rodziców, kto pamiętał, czy matka wołała: *Kade, wieczerza gotowa! Laoko, już ja ci dam!* czy może jeszcze inaczej. Gdyby przeboleć ten błąd, wrócić do Ozgi, wywiedzieć się - może ów morderca zeznał coś strażnikom, zacząć tropić... Tak, ale Marlo nie był wolny. Zamiast tropić samego siebie, tropił Abselego. I to jego śladów szukał wśród ksiąg. Tych znalazł wystarczająco dużo - wiedział, że Bractwo uczyło się z nich spisków i bitew. I że na „Moją grę w omm” przyjaciółom księcia zabrakło już cierpliwości...

Eldo przechodził akurat obok, prowadząc profesora Gervina do rzadkich ksiąg o dziwostworach. *Pomówię o nim z Tifem* - postanowił, widząc zmęczone, czerwone oczy młodego Addlijczyka. - *To byłoby niegodne, aby taka miłość do nauki się zmarnowała.* Ale nie pomówił z rektorem, bo młodzieniec więcej do biblioteki nie przyszedł. Pewnie jak wielu innych, co dobrze się zapowiadali, również zszedł na złą drogę...

III

Tak skończyły się moje studia nad historię trzech królestw. Być może, gdybym prowadził je dalej, do wielu rzeczy doszedłbym prędzej, jednak myśli mistrza Omara ukryte pośród moich własnych podniosły łby i zaczęły krzyżeć: »Nie słuchajcie tego! To wszystko łgarstwa! Nie słuchajcie«. I nie słuchały ksiąg moje myśli, tylko tajemnica zapomnianego imienia utkwiała w nich niby odlamek grotu i została już na zawsze.

Porzuciwszy bibliotekę, zacząłem więcej czasu spędzać w Akademii. Dziwiłem się innym młodzieńcom, którzy wraz ze mną zasiadali na wykładach i nawet najmądrzejsi z nich połowę od razu zapominali. A ja zapamiętywałem wszystko, nawet jeśli nie wydawało mi się to przydatne, tak jakby mój umysł był wiewiórką i zaczął gromadzić zimowe zapasy.

Po wykładach nie musiałem więc niczego powtarzać, przeglądać żadnych zapisków, mogłem chodzić ulicami Trzech Słońc śladem Bractwa Addli i niby pająk rozsnuwać swoje nici. Pająk - tak właśnie widziałem się w swojej głowie, choć byłem przecież wężem. Czy to znów była wina ksiąg z biblioteki? A może zawsze byłem właśnie pająkiem, nie wężem, tak jak mój przewodnik z wizji?

Zataczając kręgi po mej niewidocznej pajęczynie, zbliżałem się do księcia i jego przyjaciół. Przyzwyczailem ich do swego widoku podczas wykładów, umyślnie kilka razy dziennie mijalem się z nimi na korytarzach Akademii, w końcu nastąpiłem skrajem buta na płaszcz

Abselego, by rzec z grzecznym ukłonem:

- *Wybacz, mój książę.*

Wybaczył. Któż nie wybacza takich drobiazgów, nawet jeśli jest Addlijczykiem? A ja gotowałem się do czynów, których nie wybaczy mi nigdy...

*

- O, uczony!

- A jaki rozumny! Znaczą się pewnie, że już czytać umie.

- Łeb mu rośnie całe dnie, kuśka w nocy Zrzędę rżnie!

Byli pijani i nawet ich obelgi brzmiały bełkotliwie. Gdyby słuchał ich ktoś z drugiego końca izby gościnnej „Pod Homarcem”, niewiele by zrozumiał. Ale młody wąż stał właśnie w wejściu i słyszał dobrze. I dobrze wiedział, o co im chodzi.

Stary profesor Fabi, znany nie tylko z powodu swego zgorzknienia, ale też skłonności do młodzieńców, tego dnia już po raz trzeci raczył pochwalić studenta Malrego Addlijczyka. I choć w stworzonych do zbytku i uciech Trzech Słońcach nikt nie traktował mężoństwa z pogardą, najwyżej z kpina, nie było dobrze widziane, gdy przybłąda w czymkolwiek górował nad rodowitymi mieszkańcami tego miasta.

- Znasz go, Morgo? - zapytał Vanreke, który ze środka izby obserwował awanturę rodzącą się przy szynkwacie.

- Słyszałem trochę. - Jego towarzysz upił łyk piwa i otarł usta. - To jeden z tych nieszczęśników, co to poszli przed sąd naszego, tfu, króla. Miał spór z bratem, który zagarnął spadek, no i dostał wyrok, jeszcze jak! Rozebrać dom i podzielić belki po równo.

- No to znasz.

- Znać nie znam, ale całe Aabo o tym słyszało. Mój brat pił z nim „Pod Basiorem”.

Tymczasem student przywołał karczmarza, siadając dwa stoły od pijanych Maudyjczyków.

- Przyjdzie łachmyta i się nie przywita - burknął jeden i począł po cichu radzić o czymś z kompanami.

- Więc mówisz, że ten nasz krajan nie ma już żadnego majątku. - Vanreke wskazał go kubkiem Morgowi. - To co ma?

- Nic nie ma. Trochę grosza, to wyuczy się czegoś w Akademii i pójdzie gdzieś na rządę.

- Ha, bywa - westchnął przyjaciel księcia. - Bacz, szykują się! - syknął naraz, odstawiając piwo na stół.

Trójka miejscowych wstała i nie pytając o nic, przysiadła się do chłopaka. Prowodyr, rosły, choć nazbyt spasiony modniś z długimi, ufryzowanymi włosami, powolnym ruchem podniósł dzban, z którego młody Addlijczyk dopiero co nalał sobie do kubka.

- Ale szczynty! - Gruby siorbnął głośno i splunął na stół. - Choć w sam raz dla dupoluba. Albo wieśniaka z Addli.

Vanreke przyglądał się tej scenie coraz uważniej. Jego krajan nie tylko był sam i w dodatku niewysoki, ale też nie należał do bywalców tanich gospód jak ta w Dzielnicy Rybaków. Jednak wytrzymał napięcie. Spokojnie dopił z kubka.

- Że nazwałeś mnie męzołożnikiem, wytrę tobą tylko tę świńską plwocinę, cożes tu wycharkał - wycodził powoli. - Ale że kpisz z Addli...

- Ty z Addli, bacz, żeby ci mieszka nie skradli! - zaryczał mu prosto w ucho chudzielec z wielkimi dłońmi, z których każda na środkowym palcu miała pierścień zakończony ostrym kamieniem. Jasne było, że nosił je nie tylko dla ozdoby.

- Wyglądasz na rozsądniejszego od swoich kamratów - młodzieniec zwrócił się do trzeciego z awanturników, najpewniej kupieckiego syna, bo odzianego nieco skromniej: w prostą, pozbawioną ozdób tunikę, choć z niezłego materiału. - Powiedz im więc, że jeśli mnie zaraz przeproszą i odstąpią, nikomu nic złego się nie stanie.

I w jednym Addlijczyk miał rację - kupczyk istotnie był najrozsądniejszy. Zamiast konkurować z kompanami w wymyślnych obelgach, uznał, że jeśli pierwszy uderzy, bez wątpienia urośnie w ich oczach. A stać nic złego faktycznie mu się nie powinno, skoro przeciwnik był niższy o głowę.

Uderzony na odlew student upadł na deski podłogi, ale poderwał się, nim dostał kopniakiem. Odchylając głowę, uniknął też trafienia ciśniętym dzbanem i walnął modnisią pięścią w brzuch.

- Za słabo - ocenił Morgo. - Tylko polechtał.

- Nie, całkiem silnie, tylko za późno - powiedział Vanreke.

Gdy pierwszy Maudyjczyk cofnął się bardziej z przestachu niż bólu, ruszył do przodu ten z pierścieniami. Był już jednak zbyt pijany, aby dobrze wymierzyć cios. Choć mógł rozorać

policzek do żywego mięsa, naznaczył drobnego studenta tylko zadrapaniem. Ten uchylił się, ale nie uderzył.

- Czemu czeka? - sapnął rozzłoszczony Vanreke. - Odważny niby jest, ale niedouczony.

Napastnicy rzucili się na niego już we trójkę i przycisnęli do ściany. Karczmarz z niepokojem spoglądał, czy nikt nie zechce wyrwać desek z ław i stołów, jednak nie robił nic, by przerwać awanturę. Nagle niski Addlijczyk wyrwał się jakoś, w jego ręku błysnął sztylet.

- Wołam strażnika! - dopiero wtedy krzyknął gospodarz.

- Ja ci, wieprzu, zawołam! - wydarł się Yanreke, strącając na podłogę prawie pełny jeszcze dzbanek. Piwo zapieniło się między skorupami niczym fale atakujące skaliste wysepki. Rozpiął pas i jednym skokiem znalazł się obok swego krajana, groźnie kołysząc błyszczącą kłamrą. Morgo niemal w tej samej chwili stanął koło nich z płaszczem w dłoni, gotowym do narzucenia komuś na głowę.

Dwóch żeglarzy, którzy dotąd tylko siedzieli w kącie, zajmując się swoją partyjką omm, odwróciło oczy od planszy.

- Nikogo nie wołaj! - jeden, pewnie szyper, zażądał ostrym, władcym tonem. - Dobrze jest. Trzech na trzech, sprawiedliwie.

- Hej, znajdują się w gospodzie jakieś Byrdyjczyki?! - zarechotał drugi. - Będziemy tu mieli nową bitwę ommską! Trzy królestwa znów przeciw sobie.

- Jestem Malre, Malre z Sudy - powiedział napadnięty młodzieniec do swej niespodziewanej odsieczki. - Dałbym radę, przyjaciele, ale dzięki, to szlachetnie z waszej strony.

- Miło poznać, przyjacielu - rzekł Vanreke, nie spuszczać z oczu przeciwników, którzy zaczęli powoli cofać się w stronę drzwi. - Ale schowaj sztylet, tu jest Maud. Mogą cię za to wziąć do wieży.

Nim Matka-Księżyc spojrzała na miasto, trzej Addlijczycy wypili razem już kilka garnców, więc gospodarz karczmy „Pod Homarcem” przestał patrzeć na nich krzywo. Ale dopiero gdy opróżnili pęcherze w ciasnym zaułku Dzielnicy Sług i przyszła pora się żegnać, Vanreke powiedział to, na co wąż czekał cały wieczór:

- Bądź jutro „U Weteranów”. Zobaczysz, jak bawi się Bractwo.

Vanreke siedział w gospodzie już od wczesnego wieczora i zdążył opróżnić co najmniej dwa garnce. On, jak i całe Bractwo Addli, mieli już gardła pozdzierane od śpiewu.

- O, Malre! - zachrypiał Morgo na widok wchodzącego. - Wspominamy dziś nasze zielone pola jęczmienia.

- Dlaczego akurat jęczmienia? - zapytał jego nowy kompan, przysiadając na skraju ławy.

- A bo pszenica rosnać u nas nie chce, tfu, pluje Chlu!

- I nie zielone, ale złote - wtrącił Vanreke. - Pełne dojrzałych kłosów.

- Wśród których chadza Agni, he, he!

Przybyły zrobił zafrasowaną minę, jakby szukał w pamięci powszechnie znanego zdarzenia, ale ono jak na złość postanowiło się ukryć.

- No to musicie powiedzieć wszystko od początku - westchnął. - Bo nie rozumiem, co ma Agni do jęczmienia.

- Siadaj, nieuku, zakało Akademii! - rozkazał Morgo, łapiąc go za ramię i przysuwając bliżej siebie. Skinął na karczmarza, pokazał pięć palców: pięć garnców. - Powodów logicznych, dla których Bóg Ognia i jęczmień mają wiele wspólnego, jest nader wiele, ale wyliczę ci tylko dwa, bo więcej byś naraz nie spamiętał.

Bractwo buchnęło śmiechem, a chłopak im zawtórował.

- Masz tabliczkę, studencie? To sobie notuj. Otóż po pierwsze, jęczmień służy do jedzenia, a bóg Agni też musi coś jeść, czyż nie? Po drugie, jęczmień jest rośliną, a rośliny, zwłaszcza suche, mają tę właściwość, że płoną pięknym płomieniem. I właśnie wspominamy pewien wesóły dzień w naszym słodkim Addli, kiedy to Pan Ognia przeszedł się po polu dojrzałego jęczmienia naszego przyjaciela Joaba. Żałuj, żeś nie widział, Malre!

- Generała Joaba?

- Tegoż samego. Książę długo był mu wdzięczny za to, że parę lat wcześniej obłaskawił króla, który miał wielką złość na niego. Użyczał nawet swoich zbrojnych, gdy generałowi przyszło szukać pomsty na ludziach, na których godność nie pozwalała osobiście dobywać miecza. Ale pewnego dnia, a traf chciał, że tuż przed żniwami, Absele potrzebował rady i mieczy i zaprosił Joaba w gościnę. Siedzieliśmy za stołem, mięso stygło, a on nie przyjeżdżał. Książę wysłał człowieka do jego domu, a nie było to daleko, bo mieszkał po sąsiedzku, o mniej niż pół dnia pieszo. Tam powiedzieli pachołkowi: generał pojechał na polowanie gdzieś w stronę Podłych Jezior. A przecież wszyscyśmy wiedzieli, że jest u siebie. Wtedy nasz książę zerwał się i

kazał nam brać pochodnie i wsiadać na koń. Kiedy dojechaliśmy do pól Joaba, Absele pierwszy rzucił ogień w zboże, a gdy dym zasłonił już nam twarz Ojca-Słońca, wróciliśmy do naszych wystygłych potraw i zasiedliśmy za stołem. Nie trzeba było długo czekać, aż wpadł Joab zgoniony, mówię ci, jak pies. A wtedy ksiązę wstaje, kłania mu się z szacunkiem, wznosi puchar i mówi: *Jakże się cieszę, przyjacielu i sąsiedzie, że gnałeś konia cwałem aż znad Podłych Jezior, aby zjeść z nami wieczerzę. Szkoda tylko, że kasza ostygła, a mięso się ciut przypaliło.*

Marlo ze śmiechu omal nie zakrztusił się piwem, ale jego oczy nadal czujnie patrzyły na Vanrekego, który siedział milczący po przeciwnej stronie stołu. Jakby rosło w nim jakieś przeczucie...

- Cóż - zaczął wąż. - Wspaniały koncept. Aż szkoda, że pewnie przyjdzie go zapomnieć, jeśli nasz ksiązę zostanie już Sercem Aabo.

- Zostanie nim prędzej, niż myślisz - burknął Vanreke i zajął się swoim piwem.

- Oby. Nie miałem zaszczytu poznać księcia, lecz jestem pewien, że pod jego władzą nie spotkałaby mnie nigdy podobna niesprawiedliwość, co przed sądem Daviego. Ale nie ma o czym gadać, przepadło! Jednak ludzie różnie w Addli mówią...

- Cóż takiego mówią ludzie w naszym Addli? - zaśmiał się Lude, nieco już zamroczony kuzyn Morga. - Co psy szczekają, a co kury gdaczą?

- Cóż, niektóre psy szczekają, że ksiązę królem zostanie albo i nie zostanie. W końcu zabił swojego brata - powiedział niepewnie Marlo.

Vanreke w jednej chwili zmienił się w rozjuszonego byka. Wstał raptownie, złapał młodzieńca za szatę i przyciągnął, tak że dyszał mu prosto w nos.

- Za łajno mnie to, co powiadają! Jęzory powyrywać! Addli to nie Byrd, tu królewicze nie mordują się dla pierścienia i diademu. Na Agni, jakby nie zabił Amna, pierwszy bym od niego odszedł. I w gębę plunął na pożegnanie. Wróżda! Sprawiedliwie!

Wróżda - cóż, każde dziecko od Kesy do Andahannu wiedziało dobrze, co znaczy to słowo. Z nim na ustach nieraz jego ojcowie podrzynali gardła wujom, sąsiedzi sąsiadom, a nawet wnuki dziadkom. Znaczyło tyle co przysięga, zemsta i honor zarazem, a w ustach Vanrekego nawet jeszcze więcej.

- A tego to już mi nikt nie rzekł. Jak wróżda, to wróżda - powiedział wąż i zaczął myśleć: *Mów dalej, przyjacielu, mów mi zaraz całą prawdę. Spełniona wróżda nie znosi milczenia. Niech ją podziwiają uszy, niech podziwia świat! Niech drży przed grozą, niech sławi honor... No, mów!*

Ciężkie łapy rozwarły się i puściły Marla. Prawa dłoń poklepała go po ramieniu, lewa wróciła na stół.

- A poza tym to był tylko jego przyrodni brat... - zaczął Vanreke i między jednym kubkiem a kolejnymi opowiedział, jak się poczęło Bractwo Addli. - Davi miał dwie żony: Neemię i Vollikę. Pierwsza urodziła mu Amna, Seybego i Griga, a Absele i Tamika byli dziećmi Volliki. Gdy nasz książę miał może szesnaście lat, a jego siostra z czternaście, Amno wezwał ją do swego majątku. Napisał, że jest chory i potrzebuje jej pomocy i towarzystwa. Absele też chciał pojechać, ale ona mu odradziła. Nigdy nie żył dobrze ze swoim najstarszym bratem, więc po co było drażnić chorego, nie?

Wróciła po kilku dniach piechotą, brudna, w podartym ubraniu, prawie goła. Ani dwóch słów nie potrafiła sklecić. Absele wsiadł na konia i pojechał zaraz do Amna. Choć leżał w łóżu, po gębie było znać, że tylko udaje chorego. Mówił, że nic nie wie, widać ją napadli. Ale nasz książę wiedział swoje, ooo, dobrze wiedział!

- No ale niby skąd? - popchnął opowieść Marlo.

- Skąd?! Starczyło powiedzieć przy niej *Amno*, a Tamika kulila się jak bity pies i zaraz w płacz. Jeden Davi chyba wydusił z syna prawdę, bo przez wiele świąt nie chciał go widzieć. Ale nic nie powiedział, tfu! Posłał tylko straż na drogi, aby szukała zbója. Wbito potem na pal jakiegoś przygłupa ze wsi. Że niby zdradził się wiecznie sterczącym przyrodzeniem.

Nasz książę wiedział jednak swoje. Wiedział i czekał przeszło dwa lata. Na Święto Plonów Absele kazał urządzić ucztę i sprosił wszystkich starszych braci. Przyjechali, a jakże, ale nie wiedzieli, he, he, jakie rozkazy dobry książę dał wszystkim swoim przyjaciółom. No, zdrowie księcia, Malre!

- Zdrowie! - zgodził się wąż. Wypił pół kubka i pospiesznie dołał Vanrekemu.

- Gdy tylko piwo wlało im już między myśli, niby to dla wesołości zaczęliśmy się siłować. Ooo, zmiarkowali co i jak, ale gdy już leżeli pod stołami, a wszyscyśmy trzymali ich ręce i nogi. Dopiero spostrzegli, że i Amno leży, tyle tylko, że nasz książę trzyma go na sztychu. *No i jak ci było z Tamiką?* - pyta. - *Dogodziła moja siostra jak trzeba?*

Ten się zapiera, więc Absele bierze lampę ze stołu i kap, kap, kap, gorącym olejem powoli polewa mu jaja. Szarpał się Amno, ale co się chce wywinąć, miecz mocniej naciska na grdykę. *Wyznaj* - mówi książę - *to cię szybko zarżnę. No, jak ci z nią było?!* I uwierzysz, Malre, głupiec wszystko wygadał?!

No, kochany Amno - mówi mu na to Absele. - Jakbyś był nie tylko suchym synem, ale i mężczyzną, tobyś wytrzymał jeszcze trochę. Przysięgłbyś się na bogów, a ja rad nierad musiałbym cię puścić. I na siebie chyba miecz obrócić za to, że tak się obszedłem ze starszym bratem. Ale ty jesteś takim pomiotem, że nigdy nie uwierzę, jakoby spłodził nas ten sam ojciec.

Pchnął, a jucha trysnęła na stoły, na ścianę, na innych braci. Co się zaczęli wydzierać, zaklinać, że nic nie wiedzą o przewinach Amna, że pierwszy raz słyszą, jakoby to on zrobił coś Tamice! Najdurniej tłumaczył się Seybe, że niby był wtedy... Gdzie on niby był, Spino? - spytał Vanreke swego towarzysza, który z rosnącym niepokojem przysłuchiwał się jego opowieści.

- Nieważne! To nie są sprawy do gadania po karczmach.

- Toż mówię to tylko Malremu! Malre jest jak nasz brat. Prawy z niego Addlijczyk! No więc Seybe coś tam zaczął gadać, a księżę jak go nie chlaśnie płazem po gębie! *Widać, żeście wszyscy jednej matki. Kto przysięgnie, że oddaje mi pierwszeństwo, może iść precz. Póki żyje, kurwi pomiot nie będzie rządził w Addli!* - mówi. Przysięgli wszyscy, a wtedy Absele i nam kazał zbierać się do drogi. Kilka dni potem już byliśmy w Byrd, a w Święto Złodziei siedzieliśmy w Pierwszym Mieście przy jednym stole z królem Jovem. Musisz wiedzieć, Malre, że nader wesoło śmiał się, słuchając tej historii.

- Chuch, dmucha Puf! - zaklął Spino. - Też jest się czym chwalić! Ale fakt, siedzieliśmy przy wieczerzy z tym mordercą z dziada pradziada, bo to było jedyne bezpieczne miejsce w całym Aytlanie. Władcom Byrd niemal od zawsze nie w smak zgoda trzech królów i radzi są każdemu, na kogo w Addli jest wyrok. I wołę nie myśleć, co by się stało, gdyby nie mój list do generała Joaba. Ale dość na tym! - Otrząsnął się, czując, że i tak powiedział za dużo. Co go skłoniło do takiego gadulstwa? Nie rozumiał.

- Cha, cha, tego samego Joaba, coście mu spalili jęczmień! - zaśmiał się Marlo, żeby jeszcze bardziej rozdrażnić Spina.

- Cha, cha, dla każdego piwa dwa! - Vanreke też zarechotał, widać bardzo go bawiła złość zwykle tak rozważnego przyjaciela.

- Nie spaliby się, gdybym był tam wtedy z wami!

- Joab bywa może nazbyt wyniosły, ale wtedy nam sprzyjał - wtrącił Anachi.

- Tak - powiedział Spino. - I sprzyjałby po dziś dzień, gdyby księżę słuchał więcej rozumu, a mniej Vanrekego. Wyjaśniłem wtedy Joabowi, że to była wróżda, że nikt, kto mieni się mężczyzną i Addlijczykiem z dobrego rodu, nie mógłby postąpić inaczej. Napisałem, że to

niedobrze dla kraju, kiedy księżę Addli przebywa jako wygnaniec w Byrd, i że lepiej by było, gdyby to nie czerwone płaszcze wyrąbały mu drogę do tronu, kiedy już Serce Aabo, król Davi, odejdzie polować z Ojcem-Słońcem. Tylko dzięki temu, że Joab wstawił się za naszym księciem, mogliśmy wrócić!

- Joab nas szpiegował! - syknął Vanreke.

- Taki fach. - Anachi wzruszył ramionami i upił łyk piwa. - Twój pies też zawsze wie, w której izbie śpią goście. Nie żeby ich zaraz gryźć! Ale od tego jest psem, żeby wiedzieć.

- Ha, no i na koniec król posłał nas tu do Akademii - westchnął Morgo, znów serdecznie waląc Marla po ramieniu. - A czyż myśmy wcześniej byli głupi i nie wiedzieli, co trzeba w życiu czynić?

- Ale widać niektórym z was to wcale nie pomogło, he, he! - Wąż również go klepnął. *(Obrazi się czy nie obrazi? Ciii... Jest dobrze, mój przyjacielu, weselimy się, weselimy..)* - Karczmarzu! Bractwo Addli jest jeszcze spragnione!

Gdy opuścili gospodę, Matka-Księżyc gasiła już swoje ognisko i było bliżej do świtu niż północy. Morgo bełkotał jeszcze o jakichś wyczynach księcia i jego kompanii, a reszta Bractwa wtrącała swoje trzy grosze. Ulica Podróżnych była pusta, więc wrzaski addlijskich studentów słychać było pewnie aż po drugiej stronie Der.

- Już znam wszystkie twoje opowieści - powiedział Marlo, łapiąc za ramię Vanrekego, gdy ten niebezpiecznie zatoczył się w stronę rynsztoka. - Zawrzyj pysk, bo spędzimy resztę nocy w strażnicy na Moście Królewskim.

- Kto spędzi, to spędzi. Wiesz ty, co ja uważam o tutejszej straży?

- No co uważasz o białych płaszczach, Vanreke? Tego jeszcze nie wiem - wąż ciągnął go za język.

- A zaraz zobaczysz!

Byli już na moście. Rzeka Der wolno płynęła gdzieś pod stopami, a przed nimi rosła wieża strażnicza. Jeden zbrojny wychylił się z pochodnią w garści, aby obejrzeć sobie hałaśliwych pijaków.

- Cicho tam! - krzyknął. Nie miał jednak szczególnej ochoty brać pałki i schodzić ku awanturnikom. Nie w tym rzecz, że się bał - pijanej zgrai dałoby radę nawet dwóch z pałkami, a przecież zawsze w wieży siedzieli co najmniej pięciu. Jednak straż miejska z Trzech Słońc zawsze bardziej niż ład i porządek ceniła sobie spokój.

- Hej, co za pies do mnie szczeka?! - wydarł się Vanreke, wygrażając pięścią. - Teraz zobaczysz - powiedział do Marla.

Wskoczył na szeroką może na półtorej stopy balustradę mostu i zaczął podwijać tunikę.

Bractwo Addli, Bractwo Addli,

jak wypije, to go zamdli.

Wtedy trochę se porzyga

i znów woła: „Dajcie piwa!”.

Bractwo Addli, Bractwo Addli...

Wąż nie słuchał jego wrzaskliwego śpiewu, bo rozumiał, że właśnie nadarzyła się okazja. Wiedział już, jak zabić pięć spisku i nie usłyszeć od jego przyjaciół nawet jednego złego słowa. Rzucił okiem na strażnicę - z ganku znikło światło pochodni, pewnie jednak wzięli pałki i zdecydowali się wyjść na most. Nie było wiele czasu. Po chwili Marlo też stał na balustradzie. Już raz po niej biegł, co prawda nie w nocy i bez kropli piwa w brzuchu, ale uznał, że da radę. W końcu więcej wylewał, niż pił.

Kto wytrąbi garnców pięć

i na szósty też ma chęć?

Komu głowa się nie kiwa,

choćby wychlał rzekę piwa?

Bractwo Addli, Bractwo Addli!

- ryknął, a potem zwrócił się do Vanrekego: - A teraz ty patrz!

Dobył sztyletu i pobiegł po poręczy w stronę strażników, którzy już szli, potrząsając pałkami.

- Ty, złaż - powiedział któryś, przystając.

- Nie zleżę, bierzcie mnie, cha, cha - zaśmiał się wąż.

Zbrojni stanęli niepewni, co czynić. Gdyby przyskoczyli i próbowali ściągnąć tego chłopaka na dół, mógł przecież spaść do rzeki i narobić im przez to jeszcze większego kłopotu niż pijackie wrzaski w środku nocy. Gdyby nic nie zrobili, jutro śmiałoby się z nich pół miasta.

Patrzyli więc na Marla i przestraszeni, i wściekli. A on czekał, czy Vanreke podejmie wyzwanie.

Podjął. Nie mogło być przecież tak, aby ktoś w Bractwie zrobił coś bardziej szalonego i odważnego. Ruszył biegiem tak jak przed chwilą jego kompan, tyle że w odróżnieniu od niego naprawdę był pijany. Po kilku krokach zaplątał się we własny płaszcz. Strażnicy przyskoczyli, aby powstrzymać go przed upadkiem, jednak on zrozumiał to po swojemu i odruchowo zrobił unik.

- Vanrekeeee!!! - Marlo wydarł się pierwszy, zeskakując z balustrady i biegnąc ku niemu. Koło miejsca, gdzie jeszcze przed mgnieniem oka stał wysoki, barczysty Addlijczyk, zderzyli się wszyscy - strażnicy, wąż i jego towarzysze biesiady. A Der chlupnęła tak cicho, jakby połykała tylko worek kociąt.

*

Spino patrzył na trzy słońca - to na niebie, to odbite w dole od wód zatoki i to dotykające ostrza jego sztyletu. Stał i zbierał myśli...

Jest tylko jeden taki moment w życiu wilczego stada, gdy kudłaci łowcy, zwykle gotowi bronić jeden drugiego przed łosiem czy człowiekiem, zaczynają na siebie warczeć - kiedy śmierć zabiera wodza lub któregoś z jego przybocznych. Nie inaczej stało się w Bractwie Addli po stracie Vanrekego. Młody Malre klękał co prawda przed księciem i przysięgał, że bierze całą winę na siebie, że gdyby nie wskoczył na balustradę mostu, być może i tamten by poniechał głupich pijackich harców. Ale wilki mają tę słabość, że jak któryś sam nadstawia gardła, przeciwnik przestaje szczerzyć kły. Nie tylko Absele, lecz i nieskłonny do litości Spino musieli uznać, że Vanreke sam był sobie winien. A skoro stado nie rozproszyło się, potrzebowało kogoś na jego miejsce, kogoś o duszy wojownika, który grzałby innych swoją odwagą. Była im jakże potrzebna, skoro za niewzbudzającym podejrzeń studenckim Bractwem Addli krył się spisek.

I nim łagodna maudyjska zima zmieniła się w niewiele różniącą się od niej wiosnę, Malre był już tak bliski księciu, że stał się nowym Vanrekiem i tak samo jak tamten zaczął drażnić Spina swą popędliwością.

- Święto Pufa w Trzech Słońcach, ale Święto Agniego już w domu - gadał z przejęciem, ledwo dni zaczęły być dłuższe od nocy. - Nie ma co czekać, mój księżę. Nawet Anachi potwierdza, że twój ojciec jeszcze się nie domyśla, co zamierzasz. A co, jak się domyśli? Święto

Agniego już w Addli, a na Święto Chlu będziesz Sercem Aabo, panie.

Wszyscy najbliżsi przyjaciele Abselego lubili słuchać takich bredni, jednak Spina drażniły one niczym swąd kawałka skóry nieostrożnie upuszczonego do ogniska. Wreszcie nie wytrzymał. Sam się zdziwił, bo zwykle był rozsądniejszy, jednak ten ich nowy towarzysz mierzył go ponad wszelkie pojęcie.

- Może więc niech idzie nasz młody przyjaciel, panie - parsknął śmiechem. - Co tam czekać do lata?! Już. Zdobędzie Aabo, to nas wezwie, a ty go, książę, nagrodzisz. Mnie wydaje się jednak, że skończy boleśniej niż Vanreke.

- Bacz, o kim mówisz! - krzyknął popędliwie Malre. - I do kogo! Do końca życia nie wybaczę sobie jego śmierci, dlatego też staram się służyć księciu za nas obu. Nie czekam na sposobność, by tylko złapać kanclerstwo jak niektórzy z nas. Którym to byłoby nawet za jedno, kto włada krajem Addli, byle oni sami...

- To ty bacz, głupi smarku, do kogo mówisz! Nie ja czyham, aż mi nowy król nada jakiś majątek. Bo swój własny zmarnowałeś jak ostatni...

- Uspokójcie się, przyjaciele - wtrącił się Absele, było już jednak na to za późno.

- Nie wszyscy tu są twoimi przyjaciółmi, książę. Ale to drobiazg. Od tego mam miecz - powiedział Spino, patrząc na Malrego.

Ten nagle przestał być nowym Vanrekiem i zaczął rozsądnie przemawiać, że nie byłoby dobrze osłabiać Bractwa teraz, gdy całe Addli czeka na ich powrót. Dlatego jeśli usłyszy przeprosiny, gotów jest odpowiedzieć tym samym. To doradcę księcia rozwścieczyło jeszcze bardziej.

- Przepraszę cię sztyletem - warknął.

- Widzisz sam, Absele, że nie chcę tej walki. Jednak co tam ja... Książę, jeśli rozkażesz, zaprę się honoru, ale gdy tego nie zrobisz, postąpię jak Addlijczyk.

- Boisz się wroźdy krewnych Spina, Malre? Jestem świadkiem, że zostałeś wyzwany.

- Nie boję się, ale proszę, byś rozstrzygnął.

Cóż mógł powiedzieć książę, który chciał być królem kraju Addli?

- Niech sztylet rozstrzyga.

I następnego poranka stanęli naprzeciw siebie na stoku Białej Góry, a Bractwo rozsiadło się na świeżej trawie, przed sobą mając obu przeciwników i widok na miasto, a po lewej ręce Zatokę Trzech Słońc. Spino patrzył na ostrą klingę i zbierał myśli.

To samo, ale patrząc na twarz i ruchy przeciwnika, robił młody wąż. *Dlaczego on jest tak pewny siebie?* - myślał. Pojął to, gdy tylko Spino wyprowadził pierwszy cios. Walczył nie ostrzem, ale oczami. Choć siłą znacznie ustępował Vanrekemu, to myślał, cały czas myślał i przez to dla wojownika byłby groźnym wrogiem. Nawet Marlo nie zdołałby go zabić w jeden oddech, choćby nie udawał Malrego z Sudy i pokazał Bractwu, co naprawdę potrafi. Jednak obserwowało go zbyt wiele oczu.

Cofał się więc przed pchnięciami, sam machał sztyletem, jakby to był miecz, nie żądło, czekał na jakiś gruby błąd, z którego nawet ślepy by skorzystał. Spino co prawda często gubił z oczu ostrze zapatrzony na bok albo szyję węża, ale na krótko, ćwierć oddechu, nie dłużej. I uderzał, a Marlo odskakiwał nieudolnie i w ostatniej chwili. Całe Bractwo było już pewne, że zaraz zginie. Niektórzy przestali nawet udawać zainteresowanie dalszą walką. Rozsiedli się na głazach, Lude wyjął garniec piwa.

Źle, wszyscy muszą widzieć, że było uczciwie - pomyślał Marlo. - *Może dać się zranić?*

Odskoczył za późno i sztylet Spina przejechał po jego lewym ramieniu. Rana nie zrobiła jednak na Bractwie należytego wrażenia. Źle! Udając, że wyteża wszystkie siły, odepchnął przeciwnika wprost na garniec z piwem. Ten zatoczył się i upadł, rozlewając napitek.

- Eee, bracie, uważaj! - zawołał Lude.

- Już z nim kończę - sapnął Spino. - Zaraz ci odkupię.

Znów wszyscy patrzyli na sztylety przeciwników. Doradca księcia był już na granicy zmęczenia. Nie spływał jeszcze potem, ale oddech miał tak szybki, że gdyby wąż przebił mu serce, krew chlusnęłaby pewnie na dziesięć kroków.

Kamień po prawej! - Marlo rzucił szybką, kłującą myśl.

Umysł Spina chwycił ją z wdzięcznością, nie zastanawiając się, skąd przyszła. Nie poznał nawet, że nie była jego własna. Prawa stopa, która już miała stanąć twardo na ziemi, zamarła w pół ruchu, a resztę zrobił ciężar ciała. Może gdyby doradca Abslego był nieco niższy i lżejszy... A tak jego krew chlusnęła, i to na więcej niż dziesięć kroków.

IV

Wybaczcie, panie, dykteryjkę w takim miejscu opowieści, ale spotkałem kiedyś w przydrożnej karczmie w Maud pijanego rolnika, który wiódł jałówkę na targ. Płakał przy tym jak baba,

tłumacząc wszystkim, jakież to cudowne bydłátko. Znalazł się wśród nas handlarz, Powietrze nagrzone Ogniem - jeden z tych, co kochają się klócić. Rzekł on, że niczego dobrego w jałówce nie znajduje, a nawet wręcz przeciwnie - jej skóra więcej warta niż cała reszta bydłęcia. Wieśniak pokiwał na to smętnie głową i odparł: »No, co racja, to racja. Ale ona została, gdy dwie inne zdechły«.

Podobnie kiedy zostałem pierwszym spośród doradców Abselego, księżę zapalał do mnie wielkim przywiązaniem, a ja udawałem wojownika dzielnego niczym Vanreke i niewzruszonego jak Spino. Jedynie Anachi patrzył na mnie nieufnie, jak na każdego zresztą, bo nie bez racji księżę przeznaczał mu godność swego pierwszego ucha. On jeden wiedział dobrze, że gdy śmiały zamysł przechodzi w zbrojny czyn, czas na pierwszą zdradę. Tyle że ja na jego liście podłych niewdzięczników byłem jednym z ostatnich...

Tymczasem zadbałem o pozyskanie szacunku zgrai zbrojnych, która przysła pod naszą komendę, jak tylko przekroczyliśmy granicę kraju Addli. Raz kazałem im na przykład przed nocną zasadzką osmalić nad ogniem hełmy i ostrza. Dziwili się niezmiernie memu dziwactwu i sarkali, że nigdy tak nie czynili. Ale gdy dzięki temu oddział wierny królowi dostrzegł nas zbyt późno, uznali mnie za niemalże maga.

No więc magicznym zaklęciem »naprzód« powiodłem ich na Aabo, a po drodze przyłączali się do nas wszyscy młodzi, aroganccy głupcy, jakich tylko Addli wydało. Żadna armia nie stanęła nam na drodze, co jednak nie przeszkodziło naszej zbieraninie świętować każdego dnia jak zwycięstwa. Gdy zaś rozproszyli jakąś zastrachaną grupkę strażników miejskich, pili jak po wyróżnieniu w pień pułku wilczarzy z Południa. Pierwszym toastem czcili zwycięskiego księcia, drugim - »Malrego, pięść króla«. No więc i przyszedł dzień, gdy swą własną pięścią załomotałem w bramy Aabo, będąc już wcześniej pewnym, że Davi wycofał się z miasta, a ono samo niczym tania dziewczka gotowe jest oddać się komukolwiek, aby tylko nie bił.

Tak nadeszła pora, by znów zacząć kasać...

*

Władca Addli uchodził widać w wielkim pośpiechu, bo na jego tronie pozostał bezładnie skłębiony królewski płaszcz z wilczych skór.

- No i co teraz, przyjaciele? - zapytał zmęczonym głosem Absele. Usiadł wygodnie i

zarzucił sobie ojcowską szubę na ramiona.

- Pokaż władzę, to najważniejsze - powiedział Anachi, zdejmując hełm.

- Nie, nie będę zaczynał od wbijania na pal.

Doradca podszedł bliżej i przysiadł na stopniach u stóp tronu.

- Nie o tym mówię. Kiedy król Khonon pokonał armię Kadego na trzy lata przed klęską Omm, nie zabijał jego stronników, tylko podwinął im tuniki i wydupczył. A potem zrobił to samo z ich żonami. To właśnie jest władza, Absele! Cokolwiek by mówiono o mądrych, starych królach, władzę ma się poty, póki są siły w lędźwiach. Nie muszę ci chyba wskazywać drogi do nałożnic ojca?

Zaśmiali się wszyscy, a syn Daviego z nimi. To były ostatnie chwile, gdy mogli z nim jeszcze rozmawiać prawie jak równi z równym. Kiedy stanie się Sercem Aabo, kiedy opadnie gorącość, kiedy rozwieje się zapach krwi...

Absele wstał dziarsko. Zmęczenie uleciało jak sen.

- Rozmówmy się jeszcze - powiedział Marlo. - Lędźwie mogą poczekać. I choć Anachi zwykle ma rację, tym razem nie wiem, czy to dobra myśl. Ale mniejsza, chcesz kobiet, to je weźmiesz, władza jest twoja i nikt w Aabo nie stanie na twojej drodze. Tyle że to pałac króla, nie burdel. I mamy wojnę, to pierwsza rzecz, o której powinniśmy myśleć.

- Ha! - wykrzyknął książę. - Anachi przemawia jak Vanreke, a Malre jak Anachi. Czy ktoś z was chciałby może przemówić jak Malre? - zapytał pozostałych spiskowców, którzy posiadali na stopniach tronu albo wprost na posadzce.

- Ja przemówię jak on! - krzyknął Lude. - Skoro mamy Aabo, skoro chcesz pohulać, nasz wodzu Absele, to nam daj choć piwa!

- Czekajcie! - Wąż wstał. - Absele, przyjacielu i panie, twój ojciec Davi nie weseli się teraz, to pewne, tylko myśli, gdzie nas uderzyć.

- Psujesz nam zabawę, Malre, ale masz rację. - Książę zrzucił z tronu wilczy płaszcz ojca.

- Co będziemy czynić? Anachi?

- Cóż, skoro pilno ci jeszcze dziś rozstrzygnąć sprawę - zaczął doradca - pozwól, że dobioreę sobie nieduży oddział i uderzę tej nocy. Nietrudno zgadnąć, że twój ojciec i jego generał Joab zbiegli do strażnicy na Podłych Jeziorach. Uderzę, póki się nie umocnią i nie nadciągną pułki z Kuźni, Wil i Andahannu. Kiedy pokonam przewodnika stada, reszta wilków się rozpierzchnie. Całe Addli się uspokoi, nawet stronnicy Daviego przyjdą do ciebie jak dziwki po

sakiewkę.

- Słusznie - zgodził się Lude i stanął koło Anachiego. - Poweselimy się jutro. Pójdę z nim, jeśli rozkażesz.

- Malre? - zapytał Absele.

- Anachi dotąd zwykle miał rację, ale widać zmęczyły go trudy wojny. Absele, czy nie znasz swojego ojca i jego ludzi? Nie ustępują nam w walce, a w tej chwili znacznie nas przewyższają. Są tacy, jak my byliśmy jeszcze wczoraj: nie mają nic do stracenia. Czy jesteście pewni, że Davi jest w straźnicy ze swymi ludźmi? Gdybyś to ty był teraz na jego miejscu, błagałbym cię i zaklinał na przyjaźń, byś schronił się gdzieś na bagnach w jakimś cichym, niewidocznym miejscu. Mało takich? Możemy rok szukać i nie znajdziemy. Nawet jeśli Anachi pobije wojowników, to gdy nie będzie między nimi króla, stanie się on dla nas groźniejszy niż kiedykolwiek. Król na tronie jest jak wilk, a król nie wiadomo gdzie jak wąż. Może być wszędzie i nigdzie. Nawet jeśli umrze, znajdzie się wielu takich, co na mękach przysięgną, że ledwie wczoraj widzieli go z kilkoma zbrojnymi w karczmie obok swojego domu. Twoje wnuki nie opędzą się od wiecznie żywego ducha Daviego. Kłopoty władców Byrd z ich księżętami przekłętymi będą przy twoich, Absele, jak śwędzący wrzód obok zarazy.

Marlo przerwał i spojrzał w oczy Anachiemu. Ten chrząknął potakująco. Cóż, jego rada była gorsza i sam to dobrze rozumiał.

- A to nie koniec, przyjaciele - mówił dalej wąż. - Podczas wycieczki, którą doradził Anachi, zginęłoby wielu naszych ludzi, jak to zwykle, gdy szturmuje się straźnicę, choćby nawet lichy bronioną. Wieść się rozniesie, z każdego zabitego w Zimnej Przystani zrobią dziesięciu, w Kuźniach dwunastu, a dalej w Andahannie okaże się, że straciliśmy więcej ludzi, niż kiedykolwiek z nami było. *Cóż - powiedzą Addlijczycy - może i dobrym królem byłby Absele, może i lepszym niż Davi, ale strach z nim iść, bo mu bogowie nie sprzyjają. Dowodzić nie umie, ludzi traci.* Radzę ci więc, przyjacielu i panie, ogłośmy, że Aabo nasze, niech na wszystkich ulicach świętuje się zwycięstwo. Zbierz wojowników i czekajmy spokojnie na wrogów. Kiedy przyjdą, ty sam staniesz na czele i ruszysz na Daviego. Bo on na pewno dowodzić będzie osobiście. Nie zaufa nikomu, nawet Joabowi. Jeśli chcesz naprawdę wygrać, Absele, nie może być żadnych skrytobójstw, tylko szlachetna bitwa, bo bogowie są z nami. Ja w to wierzę. Ufam, że wszyscy wierzymy. - Marlo znów spojrzał na Anachiego, a ten po raz drugi przyznał mu rację z rosnącą nienawiścią w oczach.

*

Świątynia Pana Powietrznego Żywiołu nie była w Aabo miejscem, gdzie poza Świętem Pufa ludzie zachodziliby zbyt często. Myśliwi i kupcy słali swe prośby do Pana Ziemi - Erha, rybacy do boga Chlu, wojownicy do Agniego. Dlatego arcykapłan Puf-Naake zdziwił się, że przyjaciel Abselego - królewskiego syna i nowego pana stolicy, chce się widzieć właśnie z nim. Ale skoro tego chciał, nierozsądnie byłoby kazać mu zbyt długo czekać. Arcykapłan zamknął komnatę i spieszenie ruszył korytarzem ku wielkiej sali. Przybysz stał na środku, przypatrując się wyrzeźbionemu w górskim kryształach posągowi boga.

- Jestem Malre, doradca i przyjaciel księcia Abselego, następcy tronu kraju Addli - powiedział wyniośle. Nie wyglądał na wojownika. Raczej na jednego z tych, co staczają walki na słowa, przedtem uzbroiwszy je dobrze w ciszy swego umysłu.

- Witam cię, panie Malre. Jestem arcykapłan Puf-Naake, sługa boga i opiekun tego przybytku.

- Niebogaty dom ma w Aabo Pan Powietrza. Kapłan podążył za jego wzrokiem po ścianach, których nawet w połowie nie pokrywały malowidła.

- Przykro patrzeć - westchnął doradca księcia. - Gdybyś widział świątynię Pufa w Mieście Trzech Słońc... Bo wiedz, że kształciłem się tam wraz ze szlachetnym księciem, następcą tronu.

Szlachetnym księciem? Następcą? Nie panem wielkim i królem? - zdziwił się Puf-Naake, ale uznał, że ta myśl nie powinna stać się dźwiękiem.

- Ty też nie wyglądasz zdrowo, czcigodny - ciągnął aroganckim głosem młodzik. Cały czas chodził i przyglądał się wnętrzu świątyni, a miecz, do którego najwyraźniej nie przywykł, co chwila boleśnie obijał mu udo. - Nie myślałeś nigdy, by wyjechać z miasta? To bardzo wyszłoby ci na zdrowie. Zwłaszcza że nic nie wskazuje na to, by świątyni twego boga przybyło darów. Król Davi był ci ponoć przyjazny?

- Mnie? - przestraszył się sługa boga. - Nasz pan Davi jest... To znaczy był zwyczajnie pobożny.

- Pobożny, jednak skąpy. Widać za mało się starałeś, by pogłębić jego pobożność, arcykapłanie. Powiem ci więc, że teraz będzie ci łatwiej. Nadal nie musisz się starać, bo na następcę tronu Abselego tym bardziej nie masz co liczyć. Ha! - Doradca księcia zbliżył się do

ściany i uderzył w nią pięścią. - Grube mury! Dobra byłaby zbrojownia.

Puf-Naake dotąd tylko obserwował wyniosłego młodzika, zastanawiając się, czego on chce, ale teraz w jego myśli zaczął wkradać się strach. Aabo w dawniejszych czasach widziało niejedną wojnę, a w mniej dawnych - niejedną krwawą zemstę, w której brat stawał przeciw bratu, syn przeciw ojcu. Jednak nigdy następca tronu nie występował tak jawnie, z mieczem i wojownikami, przeciw władcy. Może więc to prawda, że arcykapłanowi przyszło dożyć nie kolejnej zwykłej wróżdy, ale na jego oczach świat przewróci się na drugą stronę? Niby niemożliwe, by jakikolwiek król przy zdrowych zmysłach ośmielił się zabrać dom boga i zrobić z niego zbrojownię czy inny zamtuż, jednak kiedyś nikt nie odważyłby się nawet czegoś takiego powiedzieć. Zwłaszcza u stóp posągu Pufa! Mówić nie znaczy od razu czynić, ale skoro już się mówi - droga do czynu coraz krótsza. I czegoż chce ten Malre?! Z pewnością nie przyszedł tu składać ofiar, skoro ogląda świątynię jak kupiec dom wystawiony na licytację. Ale jeśli przyszedł tylko się naigrywać, czyni to nazbyt subtelnie.

- A ty na co liczysz, panie? - zapytał arcykapłan, by zaraz dodać łagodniej: - Jakie ma rozkazy nasz nowy pan dla sług Pufa?

- Tak bardzo chcesz wiedzieć? No to ci powiem, starcze! Absele nie zburzy ani nie złupi żadnej świątyni, to mogę ci przyrzec. Ale w bogów nie wierzy ani on, ani nikt z nas. Ja mogę ci tylko w pysk napluć, skoro nie masz świadków, za to mój wnuk wykopie z Aabo twego wnuka za bramę! Bogowie! Żywioły! Siły natury! Istnieją, a jakże, tak jak mój miecz i twoja łysa głowa. Czy przez to, że coś istnieje, mam padać na pysk i szeptać jakieś wsiowe rymowanki?! Jest magia i jest nauka, które powoli kradną twoim bogom ich tajemnice. Gdybyś pomieszkał w Trzech Słońcach, sam byś to dostrzegł.

Puf-Naake cofnął się, słysząc takie bluźnierstwo, a zbrojny młodzik postąpił trzy kroki naprzód i dźgnął go paluchem w pierś.

- Nic nie poradzisz. Możesz biec zaraz do Daviego i donieść, że następca wyda mu bitwę u bram miasta. I że ją wygra, a z nim będę ja, Anachi i wszyscy młodzi panowie Addli. Lud Aabo zobaczy piękny widok z murów miasta i nigdy go nie zapomni. Ha, już to widzę!

Na lewym skrzydle Pułk Ozgański, Korpus Wilczarzy na prawym i zbrojni z Aabo w centrum. Davi upozoruje zapewne atak jazdy na wilczarzy, by zwrócić ją ku centrum, bo komuż taki manewr nie przyszedłby do głowy, co? A jednak zdziwi się wielce, bo z bramy miasta wyskoczy nasza jazda i wbije się klinem w bok. Żal, że pewnie uciekniesz zginąć razem ze swym

prawowitym władcą i nie będziesz mógł tego oglądać, arcykapłanie! - Aż zapluł się, krzycząc w gniewie, więc przerwał, by otrzeć usta.

Znów następca i prawowity władca... - zastanowił się Puf-Naake. Już bez lęku, bo wszystko zrozumiał.

- Precz z domu boga! - ryknął. - Ty... ty...

- A ja! Zapamiętaj sobie dobrze: Malre, doradca szlachetnego Abselego. Własnego imienia zapomnisz, a moje masz pamiętać!

*

Puf-Naake i najbardziej zaufany z jego uczniów drżeli z zimna w ciemnej, wilgotnej studni, z niepokojem nasłuchując głosów, które niczym kamienie staczały się po cembrowinie prosto do ich uszu.

- Nie było tu dwóch kapłanów? - zadudnił wojownik.

- Byli, aaa, byli! - huczały słowa wieśniaka. - Gnali, jakby ich jakiś pies gonił, panie.

- Gdzie poszli?

- A na wschód, ku mokradłom.

- Ha, ku mokradłom, mówisz?! Aby prawda? Bo dom spale!

- Ty! Wojenniku z glutem pod nosem! - wmieszał się jakiś wiekowy męski głos. - Może masz miecz i towarzysza, ale nas tu sześcioro. Za wskazanie drogi należy się podziękować, nie pogroźki! Nie takie porządki obiecywał młody pan wielki Absele.

- Ruszamy - padł rozkaz poparty pogardliwym charknięciem. Ale nim zawrócili wierzchowce, na podwórzec wpadło jeszcze kilku konnych. W studni zadudniło, jakby miała jeszcze głębiej zapaść się pod ziemię.

- Stój! Dokąd to jeździcie po nocy?

Puf-Naake nie wiedział dokładnie, co było dalej, bo krzyki do krzyków podobne, jęki do jęków, człowiek ich niezwykajny ledwo odróżni wtedy po głosie mężczyznę od kobiety... Wreszcie kłapa studni podniosła się, a stary arcykapłan pomyślał, że już mu za jedno, kto ją otwiera, byleby wyjść. Sługa Pana Powietrza musiał przygryzać dłoń, by nie szczekać za głośno zębami, a jego młody uczeń ledwo poruszał zeszywniałymi stawami. Gramoląc się na cembrowinę, zobaczyli, że jacyś ludzie zasypują piaskiem krew na podwórcu.

- Starszy wojennik stawiał się bardziej, to usiekli - wyjaśnił wieśniak. - A młodszy miał widać więcej rozumu. Albo i nie. Różnie to potem bywa, jak kogo żywcem biorą... No, dobrze, pobożny panie, żeśmy was w porę schowali. Tera droga już wolna.

*

Tymczasem w pałacu w Aabo Marlo spokojnie pił piwo w Komnacie Wojowników. Przy długich stołach było tłoczniej niż w jakiegokolwiek karczmie - jedni siadali, by pić, inni wypili i odchodzili, ktoś jadł, ktoś inny spokojnie spał na ławie. Anachi najwyraźniej zamierzał zepsuć ten prosty, choć przyjemny wieczór na dwa dni przed bitwą, bo stanął w drzwiach z miną strażnika miejskiego, który dorwał złodzieja. Ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nawet gdyby krzyknął, mało kto by usłyszał.

Umyslnie tu - pomyślał Anachi. Przepchnął się między zbrojnymi i usiadł koło Marla.

- To koniec twojej zdrady - powiedział. - Wyjdź ze mną.

- Wyjdę, pewnie, że wyjdę, tylko piwo skończę. A o co mnie oskarżasz, przyjacielu?

- Gdzie Absele?

- Szlachetny księżę właśnie łajdaczy się z dziewczkami swego ojca zgodnie z twoją radą. Ja, widzisz, przywykłem w Trzech Słońcach do młodszych i czystszych ładacznic. I do tego, że przyjaciele byli przyjaciółmi. Dlatego lepiej mi tu niż tam, na piętrze. Teraz ja słucham, co masz mi do powiedzenia.

- Ludzie, których wysłałeś do Daviego wkrótce będą z powrotem w Aabo, mój smętny przyjacielu. W powrozach. Jeszcze przed świtem zdążą mi wyznać, z czym ich posłałeś i po co.

- O kim ty mówisz? - Marlo odstawił kubek, aż piwo chlapnęło mu na dłoń, obryzgując też rękaw szaty Anachiego.

- O arcykapłanie Pufa i jego młodym uczniu.

- Tak, ucznia chyba też widziałem, dobrze nie pamiętam. A staremu rzekłem kilka słów do słuchu. Hmm, może nie powinienem, ale sam wiesz, jak mierzą mnie kapłani. Więc mówisz, że uciekli pod skrzydła starej kwoki? Cóż, pożałuj.

- Właśnie, jeszcze tej nocy kilku ludzi będzie tego bardzo żałować.

- Chyba zaczynam cię rozumieć, przyjacielu. - Marlo pociągnął spory łyk. - Davi ma swojego Joaba, ty chciałeś być Joabem Abselego. I bardzo ci się nie podoba, że Absele będzie

miał Malrego, nie Anachiego. Wiele czytałem, jak i ty, więc wiem, że tak zawsze kończą się wszystkie przyjacielskie spiski. A niekiedy nawet jeszcze gorzej. Wypij ze mną, póki nasza nienawiść się nie przelała!

- Sam pij i idziemy! - warknął Anachi, kładąc dłoń na mieczu.

Wąż posłusznie opróżnił kubek i dał się wyprowadzić na korytarz. Tam jednak nie było ludzi, którym podejrzliwy doradca kazał pilnować drzwi. Zamiast nich stali dwaj inni. Na znak Marla złapali Anachiego za ręce i wykręcili mu je na plecach.

- Widzisz, bracie - zaczął wąż - posłałeś za mury dwóch konnych, ja posłałem jeszcze trzech, żeby twoi mieli towarzystwo. Starszy zginął, ale młodszego przywlekli. Miał przy sobie ten list.

- Daj!

- O nie! Ręce z daleka. Sam ci przeczytam: *Jeśli prawy Addlijczyk znajdzie to pismo, niech zanieś królowi Daviemu, prawemu Sercu Aabo...* Chcesz dalej?

- Podrzuciłeś, zdrajco! - Anachi szarpnął się, ale na próżno. Zbrojni mocno trzymali. - I nic nie dowiedziesz, nie moje pismo.

- Może i nie, ale ludzie twoi. Ten młodszy już się przyznał, że ty go posłałeś. Więcej na razie nie chciał nam powiedzieć. Ale jak sam słusznie rzekłeś, do świtu dowiemy się jeszcze wielu rzeczy.

*

Absele nie chciał słuchać, jak jego przyjaciel kwiczy w Komnacie Prawdy, przyszedł, dopiero gdy ten był już gotów do zwierzeń. Książę dowiedział się, że Anachi przystał do niego jako oko i ucho Daviego, jego wiecznie zamyślane spojrzenie, które dawniej następcą brał za wyraz roztropności, teraz okazało się przegapionym śladem fałszu, a wszystkie rady jadem i zdradą. Zanim przywódca Bractwa zamknął oczy, by złapać chwilę krótkiego snu przed bitwą, był przekonany, że wreszcie zna prawdę i jego szeregi są czyste. Jednak niewielu ludzi w Aabo mogło zasnąć z równym spokojem. A już na pewno nie należał do nich zarządca straży miejskiej Syt, zwłaszcza w chwili, gdy stanął na szczycie Bramy Królewskiej i zobaczył w oddali ogniska wojsk Daviego. To właśnie przed tym królem przysięgał *strzec miasta, jego snu i pracy, czuwać, gdy inni śpią, i nie lękać się, gdy inni się boją*. Nawet mniejsza z królem, nie pies wybiera pana,

tylko pan psa! Królowie się rodzą i umierają, strażnicy także, ale miasto żyć musi. Czym byłby kraj Addli bez Aabo? Tymczasem cokolwiek miało przyjść następnego dnia, stolicę czekały trudne chwile. Jeśli zwycięży młody książę, starcom przyjdzie kłaniać się do ziemi przed takimi jak on młokosami. Jeśli zaś król - co stanie się z miastem, które otwarło bramy przed buntownikiem?

- Tak czy owak, idą ciężkie czasy - Syt niespodziewanie usłyszał zza pleców.

Odwrócił się z mieczem w garści.

- Waleczny panie... - rzekł, chowając ostrze. - Straż czuwa, panie Malre, pięćdziesięciu ludzi tu i na okolicznych murach. Nikt nie śpi, dopiero co sprawdzałem.

- Idą ciężkie czasy, strażniku. - Doradca księcia zbliżył się i pochodnia oświetliła jego zasmuconą twarz. - Dziwi cię, dlaczego wraz z tobą martwię się losami Aabo, co? - mówił dalej.

- Nietrudno zgadnąć, o czym myślisz, patrząc na tamte ogniska. Sam myślę o tym samym. Siedzą przy nich tacy sami Addlijczycy jak my. I właściwie dla jakiej przyczyny my jesteśmy tu, a oni tam?

- Nie o tym myślałem, panie - wyrwało się strażnikowi. - Ja więcej...

- Tak, tak, ty więcej troszczysz się o to, co powie król Davi, jeśli bogowie pozwolą mu jutro stanąć przed tą bramą. Zapyta: *Strażniku, dlaczego nie otwierasz mojej bramy przede mną, tak jak otworzyłeś ją przed moim synem?* A ty będziesz skubał zafrasowany brodę i nie wiedział, co mu odpowiedzieć, czyż nie? Szczególnie że nie dalej jak wczoraj przyjąłeś od księcia Abselego całkiem ciężką sakiewkę.

- Król zrozumie, że... - bąknął Syt, poprawiając pas zsuwający mu się z brzucha okrągłego jak dzban na piwo.

- Mylisz się. Władcy na ogół nic nie rozumieją. A sto srebrnych wzięłeś na oczach wielu ludzi. Jeśli nawet Davi jeszcze tego nie wie, oni mu chętnie opowiedzą.

Zarządca straży spuścił wzrok. Ten chłystek Malre mógłby być jego synem. Ba, jakby Syt dobrze się postarał, nawet wnukiem! Tymczasem stał zawstydzony przed tym młokosem jak dzieciaki z dobrych domów, które kradną czasem z kramów dla fantazji, a złapane same nie wiedzą, czego bać się bardziej - ręki ojca czy pałki stróża porządku.

- Jest na to rada, panie strażniku - powiedział doradca księcia.

- Jaka?

- Dość droga. Za sto srebrnych.

Syt gniewnie zgrzytnął zębami, ale się nie targował. Tak, te dzieciaki przy kramach też zwykle zapominają języka w gębie. Wskazał Malremu schody i razem zeszli do niewielkiej izby z małym okienkiem wychodzącym na przedbramie. Strażnik podszedł do twardej pryczy i wyciągnął spod niej okutą skrzynkę.

- Nie dość ci dał sam książę? - warknął.

- Nie dość. Szczególnie że więcej nic mi już nie da. Jutro zginie, to pewne, a martwi na ogół nie są zbyt szczerzy. Więc muszę sam się o siebie zatroszczyć. Sto. Wiem, że masz.

V

A gdy tylko wstał świt, równina zalsniła od hełmów.

- Może lepiej bronić się w mieście? - co rusz pytał mnie Absele.

- To niebezpieczne, książę. Kto wie ilu jeszcze tu w Aabo sprzyja twojemu ojcu. Miasto jest ciasniejsze niż pole bitwy. Łatwiej tu wbić sztylet w plecy.

Wyprowadziliśmy więc wojowników za bramę i odetchnąłem z ulgą, widząc, jak jazda króla pozoruje atak na wilczarzy. Wiedziałem już, że kapłan dotarł na czas.

Ledwie z Bramy Królewskiej wyskoczyli nasi jezdni, by uderzyć na ich skrzydło, królewscy rozjechali się w dwie strony, a z podniesionego kopytami kurzu wypadła z krzykiem piechota. Najlepsi wojownicy księcia znaleźli się oto między naszymi oszczepnikami a ostrzami biegnących ku nam wrogów. Zaś rozdzielona na dwa skrzydła jazda Daviego pędziła z powrotem, by zewrzeć się jak kleszcze.

- Odwrót do miasta! - rozkazał Absele.

Jednak choć własną ręką tłukł w bramę i miotał groźby i przekleństwa, starszy strażników Syt odpowiedział mu z wysokości murów, że wrota odemknie tylko przed prawowitym królem kraju Byrd. Posłuchał mojej rady.

Tak więc książę, który jeszcze poprzedniego dnia władał Aabo, teraz pospiesznie zdzierał ubrania z trupów - ha, gdyby mógł, rad byłby włożyć na siebie nawet ich skóry - i z przyciśniętym do brzucha tobołkiem jak złodziej przemykał pod miejskimi murami w stronę Podłych Jezior. Aż do wieczora krył się tam wśród trzciny, a ja - jedyny jego przyjaciel, byłem przy nim.

Gdy na niebie zapaliła już ogień Matka-Księżyc, ruszyliśmy w stronę granicy z Byrd i po trzech dniach spotkaliśmy jakieś tabory. To była zwykła, leniwa kolumna wlokąca się drogą jak

glizda, wioząca mąkę, strzały i namioty, a przy okazji zbierająca powojenny ludzki pomiot. Postępujące woły noga za nogą, ciągnąc ciężkie ośmiokołowe wozy zajmujące niemal całą szerokość podrzędneho traktu. Na nich siedzieli pospółu dostawcy i ranni wojownicy, maruderzy i dziwki.

Okrzyknął nas jakiś dziesiętnik, ale gdy wszedłem w jego myśli i dałem mu posmakować śmiertelnej bitwy, a potem woni polewki w naszej niby to rodzinnej wiosce, puścił nas, a nawet prosił Pufa, by nie wiał nam w oczy. Zeszliśmy z drogi i ruszyliśmy obok wolno sunących wozów, z których spoglądały na nas obojętnie oczy za oczami. Tak jakbyśmy byli przydrożnymi kamieniami czy krzakiem głogu.

Absele cieszył się. Wierzył, że skoro dotąd nikt nas nie zatrzymał, to wymkniemy się z kraju Addli już na dobre. Ja też byłem rad jego myślom, a widząc tabory, cieszyłem się tym bardziej, bo bez wątpienia niewiele dalej musiał podjechać dwór Daviego, któremu to chciałem oddać księcia. Jednak stało się coś, przez co przekonałem się na własnej skórze, dlaczego wąż nie powinien spełniać dwóch misji w tym samym kraju, nawet gdy sprawnie kluczy i zapamiętałe się kryje...

*

Absele i Marlo mijali już ostatnie wozy kolumny pełne garnków, kolorowych szmat oraz brudnych kobiet ubranych w kuse i kolorowe szaty. Większość zwiesiła nagie nogi na zewnątrz wozu, czy to by lepiej pokazać uda, czy też jeszcze bardziej zakurzyć stopy.

- Ta już nie taka świeża, ale nie byłaby jeszcze zła, co? - zapytał wesoło księżę. Opuszczały go resztki strachu i bardzo chciał zmasać złe wspomnienie. Byli w końcu nadal Bractwem Addli, które topiło smutki w piwie i zagłuszało je piskiem dziewczek.

Marlo obojętnie podążył za jego wzrokiem: łydki jak łydki, uda jak uda, cycki jak cycki, oczy... Wtem przystanął zaskoczony, bo te szeroko otwarte chłodne, niebieskie ślepie chlasnęły go jak bat. Za późno było wchodzić w nie myślą...

Dziwka też go poznała, mimo że ostatni raz widzieli się jako jeszcze niemal dzieci. Sebika nie była wężem jak Marlo, nie była żmiją jak Severia, ale pamiętała dobrze wszystkie krzywdy niczym stara klacz. Już stała na wozie i darła się co sił:

- Zatrzymajcie ich! Ten mniejszy to przydupas zdrajcy! Łapaj! Poznaję!!!

Sam zdołałby się obronić, ale nie i księcia, i siebie. Jednak wrzeszcząca kobieta znalazła tylko Marla i tylko jego ścigał jej krzyk. Wojownicy z południa kraju również nigdy nie widzieli następcy. Postanowił to wykorzystać.

- Uchodź! - Wąż wyszarpnął miecz i odepchnął Abselego.

- Nie zostawię cię, Malre! - Ten jak ostatni głupiec też błysnął ostrzem i stanął przy jego boku. Tuż przy drodze, na równinie bez najmniejszego pagórka, tylko ze ścianą lasu, w który trakt wrzynał się o jakieś dwieście kroków na zachód.

- Do drzew! Ja za tobą! - krzyknął wąż.

Ciężkie wozy, ranni, sami piesi. To była ich jedyna szansa. O ile tylko w taborze nie znalazł się jakiś łucznik...

- Stać! - Ale bardziej niż rozkaz dziesiątnika przemówił do nich furkot lecącej strzały. Wbiła się w ziemię tuż obok Marla.

Wojownik spokojnie podszedł i kopniakiem pod kolano powalił uciekinierów na ziemię. Książę i wąż leżeli nosami w przydrożnym pyłe, a maruderzy i dziwki otaczali ich ciasnym kołem.

- Pomyliłeś się, panie dziesiątniku - powiedział Marlo. - Słuchasz bredzenia pijanej sukki?

- Może ona i suka, ale piwa tośmy wszyscy dawno nie widzieli. Więc nie może być pijana - zbrojny rozumował wolno, ale precyzyjnie. - No a skoro bredzi, to czegoście uciekali, he?

- Znam go, sukinsyna! - wąż usłyszał za plecami krzyk Sebiki. Był jak radosny śpiew armii Daviego pod Aabo, jak krzyk rozkoszy zakochanej dziewczyny, jak gdakanie kury, która zniosła jajko. Spełniło się to wszystko, o czym nawet już nie śmiała marzyć, a co pewnie opowie swoim bękartom i bękartom jej bękartów, i z pokolenia na pokolenia bękarty Sebiki będą opowiadać o dziwce, która pomściła swoją krzywdę.

- Nazywa się Marlo. Był kiedyś uczniem kapłana w Ozdze, ale bardziej się wprawiał w złodziejstwie niż w modłach, suczy syn! A potem widziałam go w Aabo, jak chodził po nim niby po własnej izbie - mówiła szybko, zwięźle, nim ktoś jej przerwie. Dokładnie tak, jak należy mówić do wojowników. - Srał w królewskich komnatach i chorągwiami się podcierał - dodała na koniec.

- Marlo? Nie Malre? - sapnął Absele.

Wąż odpowiedział mu uśmiechem, ale wiedział, że książę i tak już mu nie ufa. Jak żona, która pierwszy raz usłyszy plotki o kochance małżonka...

- A ten drugi?

- Tego nie znam. Pewnie jego pomagier... A może kochaś?

Nie wyjawisz im, kim jesteś! Zdusisz dumę! Dla dobra Addli skłamię! - pospiesznie myślał Marlo do Abselego, widząc, że ten zaczyna trząść się z gniewu.

- Jestem Emmo, Maudyjczyk - powiedział w końcu książę, udając akcent z Miasta Trzech Słońc. - Tego człowieka znam ledwie kilka dni...

*

Leżeli z dala od ognia spętani sposobem znanym wszystkim strażnikom i najemnikom - pod zgięte kolana wsadzono im kije, pod kijami przełożono ręce i dopiero wtedy mocno związano je rzemieniami. W tej pozycji można tylko siedzieć niczym zadumany podróżny przy dogasających węglach. A gdy w przypiływie szału człek zacznie się szarpać, osiąga tylko tyle, że upada na plecy i podobnie jak żuk nigdy nie wstanie o własnych siłach.

Wozy pojechały dalej ku Aabo, a oni zostali pod strażą dziesiątnika i kilku łzej rannych. Ci, opatuleni w czarne wełniane płaszcze, siedzieli przy ognisku, piekli placki i nie czuli chłodu nocy, który jeńcom już pelzał po plecach. Pierwszy nie wytrzymał większy z nich. Spróbował przerzucić ciężar ciała na stopy, ale stracił równowagę i upadł do tyłu. Kołysał się jak przewrócony kociołek. Wojownicy ryknęli śmiechem.

- Zimno sukinsynowi! Może rozgrzać giczoły? - zapytał jeden, krzywonogi brodac, podnosząc wyjęte z ognia polano. - Mnie się widzi, że on więcej wie, niż mówi.

- Łajno on tam wie - odburknął ich przysadzisty dowódca, mamlając w ustach kęs czerstwego placka. Przełknął, otarł gębę połą płaszcza, który już dawno przestał być czarny, i mówił dalej: - Co ci po nim? Davi, pan wielki, ogłosił przecież, że będzie się brać tamtym majątki i nam dawać. Co może być wart Maudyjczyk, choćby srał złotem? Nie psuj wieczerzy, Fujke, siadaj i jedz!

- Dobra, dziesiątniku, pomęczę ich, jak podjem.

- Coś się tak uparł ich męczyć? Co by nie rzekli, i tak łajno dostaniesz.

- Stracił w bitwie brata, panie Zanne - wyjaśnił młody, ospowaty drągal, poprawiając sobie opatrunek na lewej łapie. - Dlatego go tak nosi.

- Skoro tak, inna sprawa. Ale po wieczerzy ich przysmażysz, Fujke, po wieczerzy...

Wojownik znów siadł przy ognisku, jednak widać było, że mniej mu w głowie jadło, a bardziej to, co będzie potem. Lecz nie skończyli jeszcze posiłku, gdy dał się słyszeć tętent koni. Wstali, podjęli broń i pochodnie. W obręb światła wjechał rydwan i trzech konnych.

- Generał Joab! Sława walecznemu Joabowi! - zawołał dziesiętnik. - Racz, panie, do nas, do ognia. Jeśli nie pogardzisz plackiem prostych wojowników...

*

Marlo, który dotąd obawiał się o życie Abselego, słysząc imię Joaba, odetchnął z ulgą. Generał odłamał sobie kawałek placka, skosztował, klepnął po ramieniu dziesiętnika.

- Słaliście posłańca, to jesteśmy. No co tam u was? - zapytał.

- Dwóch jeńców i tyle, waleczny. Ale jeden, o, tamten, to ponoć przydupas samego Abselego. Drugi mówi, że jest z Maud.

- Ha, no to nam choć opowie o stolicy królów. Miło będzie posłuchać bajdy przy wieczerzy.

Zeskoczył z rydwanu i zbliżył się do związanych więźniów. Jeden - właśnie ten *książę przydupas*, jak wyjaśnili wojownicy z taborów - dalej siedział bez ruchu, a drugi kolebał się na plecach jak żuk. Jak ucieszny szczeniak, który chce zwrócić na siebie uwagę...

- Co ja widzę! Sam książę Absele! - wykrzyknął ucieszony generał. - No i co powiesz, szlachetny książę? Pamiętasz może jeszcze moje pole jęczmienia?

Wojownicy podeszli z rozdziawionymi gębami. Dziesiętnik posadził królewskiego syna. Nawet wyjął mu kij spod kolan.

- Wyplacę ci, jak się należy, Joabie - powiedział książę.

- To zbyt cenne, następco. Zapomnij o jęczmieniu. Lepiej zabawmy się jak przed laty, gdy wszyscy byliśmy przyjaciółmi.

- Dzięki, przyjacielu - Absele westchnął z ulgą.

- Panie Joabie lub generale Joab, jeśli łaska. Wiele mieliśmy rozrywek, pamiętasz? Niestety, wokół żadnej gospody, a w bukłakach tych wojowników jedynie woda. Zostaje nam więc jedna miła zabawa. Ciekaw jesteś jaka?

- Jaka, panie Joabie? - zapytał książę zbolałym głosem.

- Polowanie, młodzieńcze. Zaraz przetnę ci więzy i wsiądziesz na konia. A ja i moi

przyjaciele ruszymy za tobą. Abi, złaż z Gnacza! Ja go dosiędę.

- Szlachetny generale - odezwał się naraz drugi, milczący więzień - wyświadczyć łaskę i pomówmy choć przez pięć oddechów sam na sam.

- Mów tu!

- Pomówmy bez świadków, waleczny zwycięzco, obrońco Addli, mężny Joabie, który jesteś pięścią i mieczem Daviego, jedyne władcy, Serca Aabo - wyrzucił jednym tchem jeniec.

Absele splunął, ale Joab podszedł bliżej. Marlo czuł jego myśli, których nienawiść aż parzyła. Generał miał wielką ochotę zabić księcia, to pewne. Czyżby Davi nie nakazał wojskom, żeby go oszczędzić? Wraz z dwornymi słowami wąż słał równie oślizgłe, przymilne myśli. Poskutkowało, bo dowódca odsunął na bok nienawiść, więcej w nim było teraz ciekawości.

- A ty kto jesteś? - zapytał.

- Jestem Malre, mam majątek w pobliżu Sudy.

- O, teraz nie masz już żadnego majątku, Malre. Ale skoro pragniesz, to chodź. - Wyciągnął mu kij spod kolan. Więzień wstał, nie opierając się nawet o ziemię związanymi z przodu rękami. Tylko dziesiętnik to zauważył, pokiwał głową z uznaniem.

Wąż i generał odeszli od ognia. Joab zaczął szukać wzrokiem czegoś, za czym mogliby schronić się ze swoją sekretną rozmową. Ale byli na pustej równinie, więc stanęli za rydwanem generała. Tylko konie podsłuchiwały.

- He?

- Jestem Marlo, wąż Marlo, choć jeszcze bez tatuażu. Służę królowi Daviemu, panie. Miałem za zadanie rozbić spisek i dostarczyć naszemu panu jego pokonanego syna. Pokonanego, ale żywego.

W mroku nocy wąż nie widział twarzy Joaba, jednak czuł, że jego myśli wyrażają zrozumienie.

- Mam dowody, że mówię prawdę. To ja spowodowałem śmierć Vanrekego, pięści spisku, i własnym sztyletem zabiłem Spina, najlepszego z doradców następcy. Wszedłem pomiędzy jego przyjaciół i doprowadziłem ich do klęski. Także ja w przeddzień bitwy wysłałem wiadomość przez arcykapłana. Wiem, że do was dotarł, wszystko rozegrało się tak, jak sam to ułożyłem. Teraz proszę cię, waleczny Joabie, abys zabrał księcia i mnie przed oblicze króla. Wówczas moja misja będzie spełniona, a Davi, pan wielki, nacieszy się zemstą.

Generał milczał, ale Marlo wiedział, że mu wierzy. W jego myślach nie było niepewności, tylko

zaduma.

- Dzięki, wężu - powiedział w końcu. - Wiele zrobiłeś dla Addli. Ale w jednym się mylisz: nasz pan nie szykuje żadnej zemsty.

- Zależało mu bardzo, aby Absele był żywy.

- A tak, w to wierzę. Król pragnie mu wybaczyć. Chce tym gestem spłacić dług, o którym powinieneś wiedzieć, jeśli nie kłamałeś.

- Tamika - rzucił krótko Marlo.

- Nie pytasz, mówisz to jak umówione hasło, więc wierzę ci tym bardziej. Kto wie czy gdyby nie ty, byłbym dziś Joabem zwycięzcą...

- Zrób więc, o co proszę. Zabierz nas od razu. Wystarczy powiedzieć tamtym wojownikom, że przejmujeś jeńców...

- Nie ucz mnie! - warknął generał.

- Wybacz, panie - skłonił głowę Marlo.

- To ty wybacz, bo nie spełnię twojej prośby.

W myślach Joaba ani przez chwilę nie było nieszczerości, mówiły to samo, co brzmiało potem w słowach, a jednak... Wąż wpelznął głębiej w jego umysł, wtem jakaś dłoń chwyciła go za kark tuż za szczękami. Nie mógł pelznąć dalej, tylko patrzeć. Z wysiłkiem obrócił łeb. Trzymająca go ręka też była myślą. Szeptala: *Addli, Addli...*

- Zdradzasz swego pana! - syknął Marlo.

- Być może, ale nie zdradzam kraju, a właśnie jemu służę przede wszystkim. Mój pan źle postąpił, dopuszczając, by jego najstarszy syn zgwałcił swoją przyrodnią siostrę. Traf chciał, że rodzoną Abselego. Ale zrobił dobrze, starając się nie dopuścić do burd między królewskimi dziećmi. Nie udało się i oto z tej przyczyny przez Addli przeszła wojna. Dziś jest okazja zakończyć wszystko. Kształciłeś się w Trzech Słońcach, to dobrze wiesz, co jest siłą Maud. Spokój właśnie. Spokój, dzięki któremu bogacą się kupcy i do skarbcza spływa coraz więcej grosza z podatków. Spokój! To coś, czego nigdy nie było w Byrd ani też zbyt wiele u nas. Ale jest szansa. Wielka szansa! Jeśli tylko nie zostanie nikt, komu zamarzy się wróżda. Chyba rozumiesz to, wężu?

- Czyś oszalał? Davi nie zabije syna! Przecież... - zaczął ten, ale urwał, bo myśli generała dopowiedziały mu resztę.

- Davi go nie zabije. On zginie przypadkiem. Dzięki ci za dobrą służbę, Marlo! -

powiedział znów szczerze, dobywając miecza.

Wąż uchylił się, ale przez to zamiast dostać raz płazem w łeb, dostał dwa razy - w obojczyk, a w łeb potem.

- Nie zabijać! - zdołał jeszcze usłyszeć. - Niech tylko straci...

I stracił. Przytomność.

*

»Strzeż się dobrych ludzi...« - dopiero teraz zrozumiałem, co miał na myśli mistrz, mówiąc mi to na pożegnanie. Joab był właśnie takim rzadkim gatunkiem dobrego człowieka, w którym gorący duch tak ogrzewa wolę, że ani jej zgasić, ani pogrzebać. W takim piecu myśli stają się niewzruszone niczym skały. Joab tak jak ja miał swoją misję do spełnienia, a spełniał ją szczerze i z miłością. Nie skłamał mi ani jednym słowem, więc pochopnie osądziłem, że spełni rozkazy jak pies. Psem był, jednak nie głupim. Król Davi nie zasłużył na takiego charta, to pewne.

Gdy duch mi wrócił i otwarłem oczy, Absele właśnie wsiadał na konia. Szumiało mi jeszcze w głowie od ciosu, ale jakoś przywlokłem się do jego nóg.

- Klucz, zgub ich - poprosilem.

- Precz, kundlu! - odepchnął mnie kopniakiem i pognął w stronę małego, pochylonego drzewa, które jakimś cudem wyrosło na tej równinie niby zdrajca lub ktoś dotknięty przez Pomora i z tej przyczyny wyrzucony z ojczystego lasu. A do lasu było jeszcze z pięćdziesiąt kroków końskiego biegu. Tam Absele mógłby znaleźć kryjówkę. Mógłby, gdyby w tym wyścigu dano mu równe szanse.

- Pięć srebrnych, kto ubije! - zakrzyknął Joab. Zamknąłem oczy i stałem litościwie myśli.

- Zwycięzco, ale to jednak królewski syn... - bąknął dziesiętnik Zanne.

- Dziesięć srebrnych i mój pas.

Rydwannicy wskoczyli na oklep na wyprężone konie, któryś wyrwał wbity w ziemię czterolokciowy oszczep. A ja znów zamknąłem oczy, przywołując w myślach dziesiętnika płaczącego nad martwym księciem.

- Nie! - z lękiem, ale stanowczo powiedział Zanne. - Wybacz, waleczny, ale nasz pan zakazał. Nie zabiję choćby za tysiąc srebrnych.

Spojrzałem za uciekającym. Absele już równał się z samotnym drzewem. Matka-Księżyc

oświeciła go dobrze, widziałem więc, jak patrzy za siebie i prostuje się zdziwiony, że żaden jeździec nie rusza za nim w pogoń.

- Uważaj!!! - krzyknąłem.

Za późno. Stało się coś, czego nie przewidziałby pewnie nawet mój mistrz. Długie włosy Abselego zaczepiły o gałęzie, zupełnie jakby samotne drzewo chciało pokazać lasowi: »Może i wyrzuciliście mnie, ale patrzcie! Dostanę zaraz sakiewkę srebra i generalski pas«. Wierzchowiec pobiegł dalej przed siebie. Księżę kołysał się jak wisielec, krzyząc... Nie, raczej kwicząc z bólu.

Joab złapał trzy krótkie oszczepy leżące obok ogniska i skoczył na konia. Nie miałem nic do stracenia, zacząłem do niego myśleć o gniewie Daviego, o palu rozrywającym wnętrze... Na próżno! Absele spadł na ziemię przebity trzema ostrzami. Wojownicy, część biegiem, część konno, popędzili ku niemu. O mnie zupełnie zapomnieli, więc też poszedłem zobaczyć martwego księcia, co i raz potykając się w mroku i ze związanymi rękami z trudem łapiąc równowagę.

Królewski syn leżał z krwawiącą głową, rękami dotykał ran ze zdziwieniem i jakby... czułością.

- Żyje! - jęknął uradowany dziesiętnik.

- Tak sądzisz, wojowniku? - zapytał generał, napierając na niego koniem. – A z brzucha sterczą mu oszczepy twojego patrolu. Cóż powie na to pan wielki, jak uważasz?

Zadźgali go więc wszyscy, a Joab patrzył, czy żaden cios nie poszedł płazem lub bokiem, czy nikt nie będzie mógł potem powiedzieć: »Nie jestem winny królewskiej krwi. Nie mam jej na rękach«. Generał dostrzegł mnie, dopiero kiedy skończyli.

- Rozciąć mu więzy. Jest wolny. Idź do naszego pana i melduj mu, co chcesz.

- Ależ... - zaczął jeden z jego oficerów.

- Nie obawiaj się, Lutte, on nie powie nic przeciw nam.

I miał rację, nic nie powiedziałem. Po co? W końcu tak dobrym ludziom jak Joab od pierwszej chwili wierzą nawet tacy kłamcy jak król Davi. Albo jak ja.

Rozdział 5

Wróciłem do królewskiego pałacu w Aabo, by stanąć przed obliczem Daviego i wkrótce potem znaleźć się w jego lochach. Nora, w której mnie zamknęto, wyglądała jak piec hutniczy - zwężała się ku sklepieniu i przez ten komin w południe wpadało trochę światła. Wiedziałem więc przynajmniej, kiedy jest dzień.

Pomagał mi liczyć czas także ktoś z innego lochu, który codziennie, gdy strażnik wsuwał nam w szczelinę pod drzwiami miskę, wołał na cały głos: »Jestem księżę Edme! Jestem księżę Edme!«. Słyszałem go dokładnie sto siedemdziesiąt trzy razy, ale nie odpowiedziałem: »Jestem Marlo. Wąż Marlo«.

Przez ponad pięć świąt nienawidziłem miejsca, w którym - jak sądziłem - przyjdzie mi umrzeć, a wraz z nim nienawidziłem króla Daviego za to, że włożył na barki młodego węża zadanie ponad jego siły. Ba, ponad wszelkie siły, nie uniósłby go ani on sam, ani nawet mój mistrz! Mistrzowi też zresztą siałem gniewne myśli za to, że choć szkolił mnie tak długo, poddał tylu próbom, byłem bezbronny wobec kobiet. Bo przecież nie przez kogo innego, tylko przez tę głupią, tłustą Sebę księżę Absele nieżył, a ja...

Gdy po raz pięćdziesiąty szósty usłyszałem: »Jestem księżę Edme!, mój słabnący z głodu umysł przypomniał mi z całą mocą, jakże szalony jest wąż, który wpadłszy do jamy, obwinia drzewa i trawę, nie zaś własną niezdarność. Zbytньо wierzyłem w zwycięstwo nad następcą tronu, by patrzeć pod nogi.

Ale kiedy księżę Edme przypomniał mi o swoim istnieniu po raz dziewięćdziesiąty drugi, porzuciłem myśli o tym, na co nie miałem już wpływu. Zacząłem odtąd co dzień ćwiczyć moje zwiotczale mięśnie i przestałem wydłubywać robaki z więziennej kaszy, którą mi przynoszono. Mogły jeść je inne stworzenia, więc mogłem i ja.

Wreszcie mój towarzysz z sąsiedniego lochu zamilkł na zawsze. Może umarł, może zapomniał, kim jest. A ja brak tego czasomierza zastąpiłem rachowaniem własnych oddechów lub uderzeń serca. Wtedy, zostawszy sam, stopniowo pokochałem moje więzienie i zacząłem je podziwiać. Nawet jeśli zbudowali je ludzie, było dziełem Panów Żywiołów. Tak jak w świecie, który dotąd znałem, tu też było Powietrze do oddychania, niewidoczny Ogień podtrzymujący życie, Woda w wyszczerbionym kubku i Ziemia trzymająca mnie w swych ramionach. Przypomniałem sobie ofiary, które widziałem jeszcze w Ozdze jako uczeń kapłana. Nie miałem jednak zboża, owoców ani wina czy piwa. Czciłem więc bogów ofiarami z oddechu, śliny i

wyrwanych włosów. Ale wysłuchali mnie, bo wreszcie poczułem się wolny. A w każdym razie uwięziony nie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I tak to trwało, trwało, trwało...

*

- Cóż, lochy jak lochy - powiedział wyniośle Kai IV, udając, że nie wie, po co tam idzie. - Będziesz w Pierwszym Mieście, to zobaczysz moje, współdzierżco.

Davi nie wątpił, że władca krainy Byrd bardzo chętnie pokazałby mu nie tylko lochy, ale też Komnatę Prawdy i pozwolił na własnej skórze posmakować kunsztu swego mistrza bólu. Już długo, już za długo królewskie rody z Addli, Byrd i Maud wspólnie rządziły Aytlanem i namiestnictwami w całym cywilizowanym świecie. W końcu braterska zgoda zaczęła coraz bardziej przypominać skrytą wojnę. Ale każdy bał się pierwszy podnieść miecz, bo najpewniej zyskałby tylko tyle, że zaraz rzuciliby mu się do gardła dwaj pozostali współdzierżcy.

Kręcone schody wchodziły w skałę jak górniczy świder. Jednak pod zamkiem w Aabo nie było rudy złota, srebra, żelaza, nawet miedzi. Tylko kazamaty.

- Tak, lochy jak lochy... Uważaj na stopień! Ufam, Kaiu, iż nie trudzę cię nadaremnie - uśmiechnął się król Addli.

Był bardzo rad, gdy doniesiono mu tego ranka, że więzień nadal jest przy zdrowych zmysłach. Rzadkie to wypadki, aby ktoś wytrzymał tu pół roku i nie oszalał, jeszcze rzadsze, żeby siedział prawie rok i nadal składnie mówił. A to już prawie półtora... Davi rad był niezmiernie, że bogowie nie przestali mu sprzyjać. I pozbędzie się łotra, którego obiecał nie zabijać, i jeszcze odwróci od siebie złe myśli władcy Byrd. Zadziwiająco, nie udał się spisek kosztujący go sporo złota, a teraz oddali od siebie cień podejrzenia, wyrzucając z lochów śmieci, z którymi i tak nie bardzo wiedział, co począć.

- A cóż może być ciekawego w twych lochach, dobry Davi? - zapytał znudzonym tonem Kai.

- Nie cóż, ale któż. Trzymam tu niesfornego węża, który kąsał nie tak, jak mu kazałem. Jednak dość jest rozumny, aby pomóc ci w kłopotach. Ponadto pewien jestem, że zdążył spokornieć.

- Trzymasz węża w więzieniu? - udał zdziwienie władca Byrd.

- A tak. Powinienem kazać go zabić, ale... Ale ktoś bardzo prosił, aby zostawić go przy

życiu. Łaska jest zaś cnotą władcy, młody współdzierżco.

Ten zignorował ostatnią uwagę. Bardziej zaciekawiła go pierwsza. Dobre sobie - ktoś bardzo prosił! Nie *ktoś*, ale magowie z Miasta Trzech Słońc. Z byle powodu Davi nie odmówiłby sobie radości oglądania egzekucji i król Byrd wiedział to dobrze. *Jakiż więc mógł mieć powód? Co obiecała mu Wszechnica Magiczna? I czy on wie, że ja też już wiem?* - myślał. - *Ale o tym później, najpierw wąż...*

- No i dobrze się stało - ciągnął władca Addli. - Bierz go, skoro jesteś w potrzebie...

Tak, Kai też nie odmówiłby sobie przyjemności upokorzenia swą łaską innego ze współdzierżców. I pewnie wyraziłby to dość podobnie. Jeden Kwido z Maud wygłaszał równie wspańiałomyślne oferty z dobrotliwością niezmaconą żadnym fałszywym tonem.

- W tej chwili istotnie nie mam węży - odpowiedział spokojnie pan Byrd. - Cóż, jeśli ci zbywa...

- Zbywa czy nie, pomagam z serca. Kiedyś ja może będę w potrzebie...

- Zobaczymy go najpierw!

Schody kończyły się krótkim, niskim korytarzem i kratą. Słyszac kroki, strażnicy przyskoczyli z pochodniami i otwarli przejście. Jeden poświecił królom, trzech innych, zgiętych w ukłonie, czekało w środku. Kai ruszył do przodu. *Za szybko, za mało obojętnie, z nadzieją* - Davi czytał z jego ruchów jak z książki. Uknął już zbyt wiele intryg, aby nie dostrzegać takich rzeczy.

Weszli do stożkowatej, wysoko sklepionej sali, z której jak z głównego szybu kopalni prowadziły korytarze-chodniki. Tyle że zamiast wyrobisk na ich końcach znajdowały się cele. Każda była zamknięta ciężkimi drzwiami z zakratowanym okienkiem.

- Czy mam otworzyć, panie wielki? - zapytał starszy dozorców.

Władca Addli skinął głową. Szczęknęła zasuwa, skrzypnęły zawiasy, z ciasnej nory dobył się zapach fekaliiów i gnijącej słomy. Strażnik zbliżył pochodnię, wtedy siedzący w kącie cień przybrał postać człowieka. Dźwignął się na nogi, mrużąc oczy odwykłe od światła.

- A więc tak wygląda wąż w klatce? - rzekł pogardliwie Kai.

- Wąż w klatce wygląda gniewniej i szlachetniej niż niejeden król w swym pałacu, panie - odpowiedział więzień cichym, choć pewnym siebie głosem. - Jednak ja jestem tylko jego mizernym naśladowcą.

- Słyszysz, Davi? Twój wąż nadal pluje jadem, choć nie ma już kłów. A wiele byś dał,

aby wyjść znów na świat? - zapytał Marla władca Byrd.

- Dałbym ci, panie, wszystko. Niestety nic nie posiadam. Nawet ten wiecheć słomy, z którego mam posłanie, należy do szlachetnego pana Addli. Raczył mi go użyczyć, ale nie mówił, czy daje na własność.

Kai uśmiechał się w duchu, słysząc, jak niepokorny wąż kąsa Daviego. Ale nie dał tego po sobie poznać. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Dość słomy jest i u mnie w Pierwszym Mieście - powiedział oschle. -I przestań udawać, wężu! Obaj wiemy, że kto spędził choć jedną noc w tych lochach, zabiłby własnego brata, aby się wydostać.

*

Wąż Marlo siedział w dużej miedzianej wannie, a służące Daviego polewały go na zmianę gorącą i zimną wodą. Jednak zamiast rozkoszować się kąpielą, rozpamiętywał swe błędy.

...zabiłby własnego brata... - powiedział w lochu Kai IV, a on wzdrygnął się wtedy na te słowa. W niespokojnym świetle pochodni nikt nie mógł tego zauważyć, ale wężowi ten nieposłuszny odruch nie dawał spokoju. Ciemność i brak porządnego jedzenia osłabiły Marla bardziej, niż myślał. Wola, umysł, duch i ciało oddaliły się od siebie. Bez zamknięcia oczu ledwo czuł myśli krzątających się dziewczek - ich litość dla wynędzniałego więźnia, obrzydzenie i tę nutkę pogardy, że młody mężczyzna, który ponad rok nie miał kobiety, nawet nie patrzy na ich piersi pod mokrym ubraniem.

- Inny poddałby się pierwszego dnia - szepnął do siebie Marlo, ale to niewiele pomogło. Gdyby ten koronowany pyszałek nie wspomniał o bracie... To nic nie znaczyło, a jednak władca włożył swój upierścieniony paluch w ranę, której wąż nie zdołał w sobie zasklepić.

- Zimnej! - zawołał.

Służąca połała mu głowę i plecy.

- Jeszcze!

...zabiłby własnego brata... O tak, kiedyś, gdyby tylko mógł, zabiłby Lomara. Siła - słabość, miecz - rana, pięść - łajno, Lomar - Marlo... Czy mistrz nadał mu to imię dla żartu, czy tylko dlatego, że nie chciało mu się wymyślać nic nowego? Nieważne, dość, że nie tylko nazwał, ale i stworzył ich na przeciwieństwo. Jeszcze niedawno Marlo był przekonany, że jest na tyle

dobrym węzem, aby wyzbyć się uczuć. No i się wyzbył. Prawie...

Wstrzymał oddech, podkulił kolana pod brodę i opadł na dno wanny.

Mój duch jest Ogniem, ciepło grzeje wolę. Wola jest Powietrzem, wiatr porusza myśli. Myśli są Wodą, co ożywia ciało. Ciało jest Ziemią... Uuch! - Nie wytrzymał, musiał się wynurzyć. Za szybko! - ...skalą albo błotem.

Ojciec-Słońce powoli kończył polowanie, gdy zjechali z traktu i zatrzymali konie przy bagnach strzegących drogi na Podłe Jeziora. Wieże Aabo były już ledwie widoczne na zachodzie. Marlo wyczerpany więzieniem źle trzymał się w siodle, ale zeskoczył z niego i tak lżej niż Immo - kanclerz Kaia IV. Król patrzył na jezioro, na trzciny, w których ryby, węże i ptaki czatowały na siebie nawzajem. Milczał, uznając, że poprzedniego dnia zaszczycił Marla i tak nazbyt długą rozmową. Jego ustami był więc Immo.

- Wyśledzisz i zabijesz księcia przeklętego! - zaczął bez zbędnych wstępów. Nie udawał nawet szacunku, ale do tego wąż zdążył przywyknąć. Nie rozumiał tylko, dlaczego uratowano mu życie z tak błahej przyczyny. Książęta przeklęci przychodzą na świat w każdym pokoleniu władców Byrd - jedyne go rodu na Aytlanie z domieszką smoczej krwi w żyłach. Wniosła ją przed wiekami Masila - następczyni molkijskiego tronu, którą przodek Kaia - Potin, podstępnie porwał i zaślubił. Odtąd krew smoka szuka okazji do zemsty. Rośnie więc w płodzie, syci się w łonie, rodzi przeklętników. Zwykle wystarcza wygnanie z Pierwszego Miasta, bo tylko tam smok budzi się w człeku i szuka spełnienia klątwy. Niezmiernie rzadko sprawę muszą rozstrzygać miecze byrdyjskiej straży.

- Powiedziałem, że wyśledzisz i zabijesz księcia przeklętego - powtórzył zniecierpliwiony kanclerz. - Nie słyszę odpowiedzi.

- Bo nie zadałeś pytania, panie - powiedział Marlo. - Tak jest, wyśledzę i zabiję każdego, kogo wskaże mój pan Kai IV, Serce Pierwszego Miasta. Ojca, matkę, brata, ciebie, to bez różnicy. Ale muszę wiedzieć, dlaczego dajesz wężowi rozkaz, któremu podoła byle strażnik.

Immo spojrzał na swego władcę. Król skinął głową.

- Bo książę Uri postąpił inaczej niż inni. Zamiast tylko się gdzieś zaszyć, zebrał oddział zbójów. Widziano ich i w Byrd, i w Maud, i nawet tu, w Addli.

- Książę poszedł na grandę? - wyrwało się wężowi. Odwykł od rozmów z wysoko urodzonymi.

- Bez prostackich słów, sługo! Nie jesteś w szynku. Stoisz w obliczu króla. Litościwego

króla, który nie chce tracić swoich ludzi w niepotrzebnej walce. Liczy, że ty wszędzie się wciśniesz. No chyba że nie czujesz się na siłach i wolisz wracać do lochu...

*

Nie było w całym cywilizowanym świecie stolicy lepiej zaplanowanej niż Miasto Trzech Słońc. To jedyna z ludzkich siedzib, która powstała niemal w całości najpierw na papierze, a potem dopiero stanęła na ziemi. Planiści nie przewidzieli tylko jednego - gdy miasto zrobiło się tak ludne, że jako jedyne podniesiono je do rangi namiestnictwa, tuż przy portowych nabrzeżach wyrosła płatanina drewnianych pomostów, bud, kantorów i magazynów. Gdy już ich własny ciężar nie pozwolił rosnąć w górę, zaczęły schodzić w głąb, wgrzyzając się w skałę, na której stały Trzy Słońca. Przybytki półlegalnych i całkiem ciemnych interesów zajęły piwnice przeznaczone dotąd tylko na wino i ryby, pobudowano w nich dodatkowe ściany, wydrążono korytarze, w których każdy intruz niechybnie by zabłądził.

Wystarczyło opuścić dostojną Dzielnicę Rodów, minąć Targ Rybny i teatr, by nagle znaleźć się na rozległym tarasie otoczonym kramami, mając przed sobą rzekę i Małe Przedmieście na jej przeciwnym brzegu, a pod sobą tłum krzątających się kupców. Nim przybysz z prowincji zszedł na dół i wsiadł wreszcie na swój statek, mógł po drodze wydać majątek na tajemne maści, niezwykle mikstury, bezcenne talizmany, okazyjne kwity podrózne, piękne ladacznice czy niepsujące się prowianty. Miałby też dość czasu, aby zostać kilkakrotnie okradzionym lub zrezygnować z planowanej wyprawy, bo któż o zdrowych zmysłach chciałby z własnej woli porzucić tak wspaniałe miejsce jak Miasto Trzech Słońc?

Owszem, bywali tacy, ale na dziesięciu, którzy opuszczali miasto, przypadał co najmniej tuzin tych, którzy do niego przybywali. Każda ładowana na statki skrzynia towaru przynosiła dwie, które wyładowywano, a każde wydane trzy grosze rodziły cztery chowane do sakiewki. Dzięki temu Trzy Słońca zarabiały i dawały zarobić wielu ludziom, którzy w innych miastach niechybnie musieliby wymrzeć z głodu, jak choćby Jogo zwany Urwańcem. Codziennie kilka razy przemierzał portowe schody w tę i z powrotem i żył z tego nie gorzej niż niejeden rzemieślnik z przedmieścia. Tego dnia ledwie wspiął się na taras na tyłach teatru, gdy jego uwagę zwrócił młody czarnowłosy kupiec, pewnie Addlijczyk, który stał oparty o poręcz i przypatrywał się wychodzącej w morze „Syrenie”.

- Ach, panie, uważaj! Tu strasznie kradną - ostrzegł, rozpościerając ręce, jakby chciał odgrodzić nimi obcego od niegodziwości tego miejsca. - Zaprowadzę cię do portu i wszystkiego przypilnuję.

- Dzięki, przyjacielu, sam potrafię się przypilnować - odparł tamten nieufnie. - Ale skoro chcesz...

- Jestem do usług, panie. Ziela? Dziewczynę? Może chłopca?

- Zaprowadź mnie do jakiejś niedrogiej tawerny.

- Idź ze mną, panie. Dostaniesz tam dobre wino za jednego grosza, i to wcale nie dlatego, że podłe, ale że prosto z magazynu, a dziewczyny...

Urwaniec gadał cały czas, zapowiadając nieznanemu coraz przyjemniejsze rozrywki, w miarę jak zapach ryb stawał się coraz mniej znośny, a ludzkie twarze budziły coraz mniej zaufania. Minęli już magazyny wina, kantory armatorów, dotarli prawie do gniazd portowej rozpusty i Jogo był pewien, że słowa lejące się przez jego gardło nie pozostaną bez zapłaty, i to nie tylko tej, którą kupiec wypłaci mu z własnej woli. Po drodze dał znak kilku kamratom, a ci odpowiedzieli szturchnięciami, gdy mijali się w gęstym tłumie.

- ...więc oto „Dobra Ławica”, panie! - Rzeka słów dotarła wreszcie do morza i Urwaniec odwrócił się do Addlijczyka, którego jeszcze przed chwilą kątem oka widział za swoim lewym ramieniem. Teraz jednak nie było tam nikogo.

- Tfu, pluje Chlu! - zaklął Jogo i dopiero wtedy poczuł, że nie ma przy pasie sakiewki.

- No, gdzie ryba? - zapytał jeden z kompanów, którzy pomagali mu zarzucać niewidoczną sieć na młodego kupca.

- Koła mi nabył, urwisyn - powiedział Urwaniec, pokazując zwisające z pasa rzemyki, na których jeszcze przed chwilą dyndał niewielki mieszek. Zaskoczony złodziej nie myślał o tym, że kamraci bynajmniej się nad nim nie ulitują. I rzeczywiście wokół Joga wybuchnął ryk śmiechu.

- Ha, najdziemy go zaraz - rzekł życzliwie któryś z kompanów, kiedy się naweselili do woli. - Jak wygląda?

Urwaniec już otwierał usta, by odpowiedzieć, gdy uświadomił sobie nagle, że nic nie pamięta. Kupiec jak kupiec, ani długi, ani krótki, młody - to pewne, ale twarz, włosy, nawet kolor ubrania - wszystkie najważniejsze szczegóły nagle znikły z pamięci, jakby tamten ukradł je razem z sakiewką.

Tymczasem nieznanomy spokojnie szedł po drewnianych schodach kilka tarasów wyżej i

bezbłędnie skierował się ku niepozornemu kantorowi wciśniętemu między dwa magazyny. Pchnął dawno nieodnawiane drzwi z namalowanym na nich słońcem, które bez wątplenia kiedyś było żółte. W zadymionym od tanich lamp wnętrzu stały trzy stoły, ale tylko przy jednym - na wprost wejścia, siedział blady faktor.

- Czym możemy ci służyć, panie?

- Chcę ubezpieczyć mój ładunek.

- Co wiecie twój statek? - zapytał znudzonym głosem kancelista, przysuwając sobie bliżej papier i lampę.

- Wężowe skóry z Addli.

- O! A dokąd? - Faktor uważnie spojrzał na kupca.

- To zależy od warunków naszej umowy.

Blady pomocnik ubezpieczyciela wstał i odsunął kotarę zasłaniającą wejście do ciasnego korytarza.

- O tym może zdecydować tylko sam pan Tarso. Trzecie drzwi na prawo.

Kupiec pchnął je i znalazł się w kolejnym pomieszczeniu bez okien, jednak jasno i drożej oświetlonym. Lampy nie tylko nie kopciły, ale napępiały wnętrze orzeźwiający zapachem ziół. Ściany były świeżo pobielone, a za jedynym stołem siedział nad papierami siwy, brodaty Maudyjczyk w białej tunice.

- Witam cię, panie, i mam nadzieję, że przychodzę w dobrym dniu - rzekł kupiec z ukłonem.

- Dla dobrych ludzi każdy dzień jest dobry. Jaki ładunek chciałeś ubezpieczyć?

- Wężowe skóry z Addli.

- Ile?

- Wszystko jest w tym liście. - Przybysz wydobył z torby przy pasie opieczętowany rulon.

Tarso, znany kupcom Miasta Trzech Słońc jako niezrównany poręczyciel ryzykownych długów oraz przemyślny ubezpieczyciel wszelkich transakcji, szybko przejrzał pismo i przyjrzał się młodemu Addlijczykowi.

- Czy zechcesz użyczyć mi swoich liczących kamieni, panie? - zapytał brodac. - Moje się wyszczerbiły.

Kupiec zdjął wisior z szyi i podał siwowłosemu. Ten ujął trzeci kamień od lewej i rozerwał rzemień. Tuż przy otworze znalazł znak Lwa.

Wąż kąsa jadem - pomyślał.

A zabija oczami - poczuł w odpowiedzi.

- Chodźmy, panie. - Tarso zabrał list i otworzył drzwi, które miał za plecami. Znaleźli się w pomieszczeniu obitym - łącznie z podłogą i sufitem - miękkim drewnem pożerającym żarłocznie każdy szept.

- Więc to ty jesteś Marlo. Sławny wąż, a jeszcze bez naszego tatuażu - stwierdził brodac, kiedy już byli sami, a zza ścian nie dobiegał nawet najmniejszy pogłos hałasującego tłumu. - Dopiero teraz odwiedzasz swoją gildię? - zapytał z kpiącym błyskiem w oku i wskazał gościowi krzesło. Usiedli.

Niewiele brakowało, a nie odwiedziłbym jej wcale - Marlo odpowiedział mu myślą, ale ta ześliznęła się z siwej głowy Maudyjczyka jak sztylet po klindze i zginęła pochłonięta przez ścianę. Domyślił się, że ma przed sobą starszego gildii.

- Niewiele brakowało, a nie spotkalibyśmy się wcale, mistrzu Enlinie - wąż powtórzył głosem. - Byłem w lochach i tylko nagły kłopot króla Byrd...

- Dość, wężu Marlo! - przerwał mu siwowłosy. - Nie chcę słuchać o sprawach króla Byrd. To twoja rzecz, nie moja. Ale mylisz się nieco. Choć ten królewski kłopot może wygląda na drobny, to gdyby nie on, nawet gdyby pół Aytlanu zapadło się pod ziemię, nikt by cię nie wywłókł z lochu. To Kaiowi zawdzięczasz wolność, choć za życie powinieneś dziękować magom z Miasta Trzech Słońc. To oni prosili za tobą u Daviego. I rad byłbym wiedzieć dlaczego.

- Magowie? - zdziwił się wąż. - Nie rozumiem, mistrzu.

- Doprawdy? To może domyślasz się, kto jeszcze w tym mieście mógł mieć kaprys zostawienia cię przy życiu?

- Może ty, panie? - rzucił Marlo, choć w tym momencie nadzieja podsunęła mu całkiem inną odpowiedź: Severia.

- Serce zabiło ci żywiej - rzekł Enlin. - Otwórz głowę!

Młody wąż wzdrygnął się, słysząc ten rozkaz.

- Zaznałem już wiele upokorzeń, mistrzu - zaczął. - To jedno nie zrobi więc wielkiej różnicy, ale jeśli pozwolisz...

- Więc mów!

- Sądzę, że mogła to być Severia, moja...

- Twoja? - znów przerwał mu starszy gildii. - Ale to możliwe. Nie pozwól tylko, żeby

wdzięczność wzięła górę nad powinnością. A teraz do rzeczy! Wiesz, co jest w tym liście? - obrócił pismo w dłoniach.

- Ufam, mistrzu Enlinie, że dowiem się od ciebie.

- Doczekałeś się, wężu - powiedział brodac.

Odwrócił kartkę w jego stronę i Marlo zobaczył kolorowy rysunek Lwa Aytlanu i węża wspinającego się po jego grzywie. Lew jak Lew - jego wizerunki zawsze wyglądały tak samo, ale wąż był piękny. Jego groźne oczy okalały cienkie brązowe obwódki - jak oczy samego Marla, a łuski miały czarną barwę jego włosów.

II

Rodziłem się przez siedem dni, bo tylu właśnie kolorów użył mistrz tatuażu. Delikatnie, ale z uporczywością insekta kłuł moje lewe przedramię, a potem nacierał je barwnikiem. Siedem kolorów - po jednym od każdego z czterech bogów i po jednym od trzech królów Aytlanu.

- Kłuj mocniej - prosiłem. - Chcę czuć, że wreszcie się rodzę.

- Tak, tak - śmiał się - jesteś chyba najstarszy, jakiego kłulem. Nie mogę mocniej, najwyżej wolniej, he, he.

Ale dam ci najpiękniejszego węża. Przyniesie ci szczęście.

Szczęście! Siedząc i patrząc, jak mistrz tatuażu przenosi węża na moją skórę, już byłem szczęśliwy. Skoro nie wiedziałem, kim byłem, zanim Omar zaczął uczyć mnie swego fachu, cieszyłem się, że przynajmniej teraz będę wiedział, kim na pewno jestem. Nie obchodziło mnie już zupełnie, co pisał o znaku węża mistrz Caspo. Jego księgę postanowiłem na zawsze pogrzebać w pamięci.

Pod koniec pierwszego dnia, gdy dopiero najjaśniejszy, żółty kolor parzył mi skórę pod opatrunkiem, mistrz Enlin zaprowadził mnie do sekretnych komnat położonych tak głęboko, że sięgały pewnie dna ziemi. Stały tam skrzynie, jedna obok drugiej.

- Ta jest twoja - powiedział, a ja tylko dzięki swędzącej ranie zdołałem odpędzić

wrażenie, że znów przechodzę próbę snu i śmierci, kolejną wizję. - Tu będziesz gromadził pieniądze i wszystko, co chcesz. Zabierzesz je, gdy odejdiesz ze służby. Jeśli zginiesz, a nie rozporządzisz inaczej, pozostaną własnością naszej gildii. Rozumiesz, wężu Marlo?

Nie chciałem o to pytać, ale próbowałem wyczuć myśl, która ze skrzyń należy do homara. I czy wiele w niej jest. Przypomni mi się też włos matki, który oddałem Ziemi. Tu właśnie mógłby leżeć, nim nie kazałbym go zamknąć w pierścieniu lub w medalionie. Lub też nim po mojej śmierci mistrz Enlin nie uprzętnąłby kufra dla nowego węża... Ale nie! Odrzuciłem tę ostatnią myśl. Skoro żyłem do tej pory, wierzyłem, że Agni da mi zapal, a Chlu przenikliwość, bym jakoś poznał moje pierwsze imię, zanim stanę przed Ojcem-Słońcem.

Kiedy mistrz tatuażu wypełnił już swoje zadanie, moja ręką zajęli się uzdrawiacze, a ja, aż do następnego święta ukryty w podziemiach, zbierałem siły przed misją. I wtedy znów bogowie dali mi znak pod postacią pająka. Nie był to jednak duży, czarny łowca z lasu, ale jego mniejszy, szary krewniak, których wielu widzieliście w kątach swoich domostw. Trudno mi rzec, co on tam jadł, bo przez cały ten czas nie dojrzałem żadnej muchy. Pewnego dnia na skraju jego sieci pojawił się za to inny pająk, tej samej wielkości i koloru. Kiedy tylko jego łapki poruszyły pajęczynę, łowca zjawił się natychmiast i zatrzymał zdziwiony, może przestraszony, a może cały czas pewny siebie, tylko po prostu ostrożny. Nie widziałem dokładnie walki, bo oba szczepiły się, objęły ramionami i co chwila tak samo drżały konwulsyjnie, by znów znieruchomieć, jakby nawzajem zatruty się swymi jadami. W końcu jeden z nich stanął na nogi i spokojnie wbił kły w kark wroga. Który? Nie wiem, byli przecież tacy sami niczym bracia. A kiedy spojrzałem na pajęczynę następnego dnia, wydawało się, że są na niej aż trzy pająki - sucha skóra pożartego, właśnie zrzucony stary pancerzyk jego zabójcy i zwycięzca, który, pożywiwszy się pokonanym, rósł i pęczniał gotowy do kolejnej walki.

*

- Zmizerniałeś, Marlo. Mięśnie ci zwiotczały. I markotny jesteś - Miko, Luko i Eno, trzej bracia Severii, taksowali go jak zapaśnika, na którego zamierzają postawić. - Gdzieżeś ty bywał tyle czasu?

- Tam, gdzie na ogół ludzie mizernieją, słabną i markotnieją - odpowiedział, uwalniając się z ich ramion i wchodząc w głąb półokrągłego przedsionka.

- A za co? - domyślił się Miko.

- Mniej wiesz, krócej będą przesłuchiwać. Czy siostra jest w domu?

- Jest, ale zajęta. Siadaj. - Luko wskazał wężowi ławę z czarnego dębu obok niskiego stołu. Stała na nim kryształowa karafka wina i kilka szklanych kielichów. - Powiesz choć, gdzie cię trzymali?

- Gdzie? W Aabo.

- Nalej sobie - zachęcił Eno. - Aabo! Tam ponoć psy szczekają dupami. Nie ma też pewnie porządnego lochu. Ale ty też Addlijczyk, więc ci za jedno.

- Dzięki - powiedział wąż. - A nie macie glinianych kubków? Te jeszcze powalam...

- Nalej, nalej - Miko klepnął go w ramię. - Siostra zaraz będzie wolna. Spodziewaliśmy się, że przybędziesz.

Ledwie Marlo umoczył usta w winie, drzwi z prawej strony otworzyły się i pospiesznie wyszła z nich jakaś kobieta zasłaniająca twarz szalem. Wąż spojrział pytająco na trzech osiłków.

- Z Dzielnicy Rodów - wyjaśnił Luko, kiedy zamaskowana postać zniknęła za drzwiami. - Wiele takich przychodzi odkupić rodzinne klejnoty, które zawędrowały aż tu. Eno, zapowiedz gościa.

Severia przyjęła go od razu. Póżełała na sofie otulona w półprzezroczysty płaszcz z błękitnego materiału, który wydawał się spływać z niej jak woda i tak jak strumień łapał w swe fałdy promyki światła, by zaraz odbić je z powrotem. Odgarnęła włosy - nie były czarne ani miodowe, tylko czarnogranatowe jak głębokie jezioro. Marlo poczuł, że miała ochotę zerwać się i klaszcząc bosymi nogami po posadzce, podbiec do niego. Woląa jednak, aby to on podszedł do niej. Zrozumiał, nie miał pretensji. Sama jej myśl o czułym powitaniu, choćby najkrótsza, była dla niego wystarczającym darem.

- Dziękuję - powiedział, dotykając jej dłoni.

- Pokaż! - zażądała z uśmiechem.

- Co? - spytał, spoglądając po sobie.

- Nie to, co myślisz! - zaśmiała się, zatrzymując wzrok na wysokości jego lędźwi. - Pokaż, co ci wymalowali.

Ujął podaną dłoń i podwinął rękaw. Wąż na przedramieniu zadrgał poruszony mięśniami. Ożył.

- Długo czekałeś? - zapytała.

- Na tatuaż? Sama wiesz...

- Jakiś ty niedomyślny, Marlo. Pytam, jak długo czekałeś, aż ta kobieta wreszcie sobie pójdzie.

- Severio, jesteś płatną kochanką, szpiegujesz, ratujesz mi życie, handlujesz klejnotami, a do tego jeszcze twoje myśli skaczą jak pasikoniki! Jak można godzić tyle różnych zajęć? - powiedział wąż.

- Mój kochany Marlo, zrobili ci gustowny tatuaż, ale niewiele nauczyli! - Usiadła prosto i pociągnęła go ku sobie na sofę. - Myślisz jak prosty chłop. Pójdzie taki w pole, urobi ręce, wróci do domu i powie babie: *Siedzisz w izbie cały dzień i tylko się lenisz. To mi choć teraz wieczerzę dawaj!* Ale nie pomyśli, że kiedy on tylko chodził za radłem w tę i z powrotem, jego baba musiała zamieść, uprać, ugotować, dzieciaka mu urodzić i jeszcze drugiego spłodzić z sąsiadem zza płotu. My, kobiety, mamy we krwi, że trzeba robić naraz różne rzeczy.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Żeby zarobić na życie. Napij się. - Wskazała karafkę. - To rzadki trunek, panie. Z okolic Molku. Na Pobrzeżu winorośl rzadko rodzi. Tylko jeśli przyjdzie pomyślny rok, mniej gorący i wilgotniejszy. Ale za to grona nabierają wtedy magicznej mocy i przekazują ją winu. Ci, co piją je razem, ciesząc się swym towarzystwem, nigdy tych chwil nie zapomną. I mnie nalej - ciągnęła. - Mistrz Xanto, autor traktatów miłosnych i wielki praktyk w tej dziedzinie, był po grób pamiętany przez wiele kobiet, choć nigdy nie tykał trunków. Ale ty dopiero wyszedłeś z lochu, więc lepiej się napij.

Dobry nastrój Marla prysnął jak upuszczony kielich. Te same słowa, którymi już raz go zwiodła - nie żeby żałował! - jednak teraz zabrzmiały podwójnie fałszywie. Ona wiedziała, że nie pytał o handel świecidelkami. Sięgnął w nią myślą, ale jak zawsze na próżno - nie mógł się skupić.

Posłusznie nalał ciemne, niemal fioletowe wino do złotych pucharków. Dlaczego tak chciał się upewnić? Przecież wiedział, sama mu odpowiedziała. Ale nie zrobiła tego, mówiąc *tak*, a jedynie nie mówiąc *nie*. W jakim celu? *Mój duch jest Ogniem...* - zaczął w myśli. Nie, przy niej to jego ciało było Ogniem!

- Wiesz, że nie o to pytam - zaczął raz jeszcze. - Dlaczego mnie uratowałaś?

- Nie ja. Magowie. Chcą, żebyś jeszcze chodził po świecie. Doskonalił fach. Kto wie, może kiedyś spłacisz dług.

- Służę królom, nie magom. Dług mam tylko wobec ciebie. To ty poprosiłaś, aby mówili w mojej sprawie.

- Drobiazg, Marlo. Po prostu jeszcze nigdy nie byłam z prawdziwym wężem. - Znów mu się wymknęła. Niczym sprawny strateg to ona chciała wybrać pole bitwy. Dotknęła tatuażu. Przesunęła palcem po głowie węża, zjechała w dół, śledząc jego sploty aż do czubka ogona.

- A mistrz Omar? Z nim nie byłaś?

- O nie! Choć gdyby zażądał, zgodziłabym się w jednej chwili. Ale on jest dla mnie jak drugi ojciec, to chyba akurat rozumiesz.

- Rozumiem i z ochotą uzupełnię twoją edukację w fachu, pani - podjął grę. - Choć nie! Najpierw przepytam, z kim już byłaś.

- Z kupcem - dotknęła opuszkami palców jego ust - z kapłanem, uczonym, magiem, żeglarzem, wojownikiem... - Jej ręka błędziła coraz niżej. - Raz z rybakiem, wyobraź sobie!

- O, to dość pospolite zajęcia! - Marlo usiadł bokiem, żeby ją widzieć. Położyła mu głowę na kolanach, a wtedy jego dłoń rozpoczęła podobną wędrówkę po jej ciele. - Piszą w księgach, że mistrz Xanto raz kazał nawet sprowadzić sobie elfkę. Ciekawe skąd, he, he... A czy byłaś może... na przykład z... kominiarzem!?

- Nie.

- No to może choć z górnikiem? - Zanurzył rękę między jej uda.

- Nie! - Pociągnęła go ku sobie. - Pisał mistrz Xanto: *Kobiety, bierzcie przykład z wężów, oplatajcie ciało...* - szepnęła.

*

Do rana Marlo nic nie powiedział, o nic nie zapytał, pozwalając, aby noc i miłość zawładnęły jego wolą, ciałem i duchem. Nie był jednak pewien, czy Severia podziela jego upojenie, więc umysł węża nie spał, tylko czekał niby strażnik przy nigdy nieotwieranej bramie - zarazem spokojny, że nic się nie wydarzy, jak i rozdrażniony, że nie wolno mu oddać się przyjemniejszym zajęciom.

- No to już wiem, jak jest z prawdziwym wężem - powiedziała rano. - Czy może być większy smutek?

- Co masz na myśli, Severio? - zdziwił się Marlo.

- Nie możesz zajrzeć mi w myśli i sam sprawdzić?

- Nie tobie. Próbowałem raz wtedy, po naszej pierwszej nocy...

- Ty musisz mnie kochać! - wykrzyknęła. Wąż wyczuł w jej głosie radość, ale i strach.

- Ty także. Uratowałaś mnie, a to... - zaczął niepewnie.

- Nie ja - przerwała zniecierpliwiona. - Mówiłam ci przecież, że magowie. Ja byłam tylko ręką, która podała wiosło tonącemu. Nie głową, która jej kazała.

Słowa wbiły się w umysł Marla jak ciernie.

- Smutek - przypomniał, rozdrapując niewidzialną ranę. - Znasz więcej ludzi niż ja, więc pewnie wiesz, co mówisz. Ale są gorsze rzeczy, niż być wężem. Mogłem urodzić się na przykład księciem przeklętym.

- Byłam z księciem przeklętym - powiedziała. - Przy mnie zapomniał o sobie. Na małą chwilę, ale zapomniał. Tobie się to nie udało.

Strażnik w głowie Marla zbudził się, bo w nigdy nieotwieraną bramę naraz załomotała czyjaś pięść...

- Więc chyba jednak mnie nie kochasz - dokończyła Severia, ale wąż zaraz podjął grę w innym miejscu.

- Z księciem przeklętym?! Nie wierzę. Gdybym nim był, schowałbym się gdzieś na odludziu, a już na pewno nie chodził tam, gdzie ktoś może go poznać.

- Ty może tak - odpowiedziała urażonym tonem. - Ale Uri był tu przed... - urwała i, jak zalecał mistrz Xanto w rozdziale „Co czynić po uczcie miłosnej”, podała Marlowi dymiącą fajkę. Odmówił. Myśl-strażnik przywołała już kompanów. *Uri, Uri...* - szykowali się, ściskając broń.

- Nie bądź taki kapłan - parsknęła śmiechem, wodząc po równych, białych zębach końcem języka.

Dziw, nie jest rozdwojony - żart sam powstał w węzowej głowie.

- Przez niemal rok udawałem ucznia kapłańskiego - powiedział. - Może mi coś zostało. Nic dziwnego, że Uri zapomniał o ostrożności i swoim przeznaczeniu, skoro upajał się dymem. Może bardziej niż tobą! - niemal krzyknął.

Nie, to nierozważne - uznał po chwili. Jej widok i zapach nadal były groźnymi przeciwnikami. Zamiast pokochać Uriego jak wąż swoją ofiarę, on zaczął go nienawidzić jak konkurenta. - *Ale na łędźwie Agniego, cóż jest w tych księżkach przeklętych, że potrafią omamić nawet królową uciech Severię? Może ta smocza krew?*

- Jesteś zazdrosny, Marlo - zauważyła bez gniewu. - Niepotrzebnie. Płacono mi, żebym go przyjmowała, ciebie zaprosiłam za darmo.

Ale rozum, strażnik węża, był już zbyt czujny, żeby nie zauważyć fałszu w jej słowach. *Wpuść mnie* - mówił ktoś za bramą, a on bezbłędnie oceniał, czy to młody czy stary, silny czy słaby...

- Płacono ci - zaczął ostrożnie - zatem pewnie już po nim. Wiele jest możliwości schwytania i uśmiercenia kogoś, kto idzie nocą do kochanki. Rzeka Der głęboka, zatoka tak samo...

- Bez obawy. Ci, co płacili, chcieli tylko nakłonić go, by przystał na ich opiekę.

- Zapewne magowie z Wszechnicy. - Marlo położył się na wznak i mówił do sufitu. Wolał nie widzieć teraz oczu kochanki. - Uratowali mnie, choć nie wiadomo po co, bo przecież nie będę im służył. Z dobroci serca zatem? Chcieli ratować księcia przeklętego... Pewnie też zbierają do odchowania wszystkie młode wróble, które wypadły z gniazd, i właśnie z tej przyczyny w Trzech Słońcach żyje tak wiele tych ptaków.

- Są rzeczy ponad tobą i mną, Marlo. - Severia usiadła i nachyliła się nad nim. - Uratowali, więc się ciesz, i po co wiedzieć więcej? A co do Uriego, przychodził do mnie co noc, póki pięciu drabów mówiących z akcentem z Byrd nie próbowało zadźgać go nad rzeką. A służący, który wszędzie chodził za nim kilkanaście kroków jak rozciągnięty, zimowy cień, zdołał czterem z nich poderżnąć gardła, zanim jego pan zdążył uczynić to z piątym. Jest bezpieczny.

- A gdybym chciał się z nim zobaczyć? - zaryzykował.

- Ty? W jakim celu?

Przyjrzała mu się badawczo. Był węzem, a te kłają każdą rękę - i tę z nożem, i tę z jadem. Ale był też jej Marłem i gdyby tylko ich losy ułożyły się inaczej...

- Nie mówisz mi wszystkiego, ja też nie - powiedział smutno. - Ale znasz mnie. Czy zrobiłbym coś przeciw tobie?

Ileż podstępnej siły jest w takim pytaniu, na które można odpowiedzieć tylko *nie!* Marlo już sposobił następne strzały, już ostrzył kły, tymczasem - nie do wiary - zmęczona miłosną nocą Severia popełniła błąd.

- Wczoraj był jeszcze gdzieś między Eff a Fryą, a dziś... - wyznała, by jednak po chwili dodać ze słodkim uśmiechem: - Dziś nie interesuje mnie już księżę przeklęty, tylko pewien wąż.

Jednak Marlowi to wystarczyło. I musiało wystarczyć, bo wiedział, że dwóch błędów

naraz ta żmija nie popełni. Jednak gdy przed południem znalazł się na ulicy, nie myślał o księciu przeklętym, tylko o swych niedawnych słowach. *Nie zrobię nic przeciw tobie* - mówił język. *Bo to nie ciebie dotyczy, ale tych, którzy ci płacili* - dopowiadały myśli. Potem wszedł do pierwszej napotkanej tawerny w Dzielnicy Żeglarzy i do wieczora pił piwo za piwem, aż przestał pamiętać, kim jest, zupełnie jak księżę Uri w ramionach Severii.

*

Sztygar Ihu żył we Fryi wystarczająco długo, aby wiedzieć, co kieruje ludźmi, którzy stawiają mu piwo. Górnicy chcą dostać się do lepszej brygady, przyjezdne obdartusy do jakiegokolwiek roboty... Ale czego mógł chcieć od niego kupiec?

- No i jesień za pasem - stwierdził Ihu. Skoro dostał piwo, wypadało pchać rozmowę do przodu.

- Tak, jesień - powiedział hojny nieznajomy. - Ostatnia chwila, żeby przejść góry i wrócić przed zimą.

- No to trza iść, panie. Drogę każdy wskaże.

- Drogę to ja sam znam, nie potrzebuję przewodnika. Tylko mówią, że zbóje znów grasują. Nie mógłbym pójść z wami, jak po święcie będziecie wracać do kopalni?

- Zbóje napadają? Któż wam takich rzeczy naopowiadał?

- W Aabo gadają...

- Cha, cha, w Aabo! - roześmiał się sztygar. - W Aabo gadają nawet, że diamenty to gnomie łajno. Byle tylko wysrane, gdy Matka-Księżyc nie pali ognia!

- A tak nie jest?

- Ech, panie kupiec, panie kupiec! Możesz iść z nami, skoro mniej się zestrachasz. Ale prawdę powiem, te zbóje nikomu nie szkodzą. To zwykli wygnańcy, którym pał w mieście grozi, to uciekli w góry. Nie pierwsi, nie ostatni. My z dawien dawna umiemy z takimi postępować. Dać im co jeść to koszt niewielki. Podziękują, jak mają czym, to zapłacą i pójdą swoją drogą. Gdyby to były prawdziwe zbóje, posmakowaliby oskardów. Górnik ma lepszą krzepę w łapie niż jakiś tam sierota z mieczem!

- Wolałbym ich jednak ominąć, panie sztygar. Nie wiesz może, gdzie obozują?

- Ludzi w górach się o leże nie pyta. Pewnikiem niedaleko. Ale powtarzam ci, panie

kupiec, nie ma strachu, to żadni zbóje! O, za to tu, w mieście, to dobrze pilnuj sakiewki!

Następnego ranka, w Święto Rzemieślników, sztygar Ihu poszedł do świątyni Erha. Gdyby jednak został w karczmie i drzemał nad dzbankiem jak kilku mniej pobożnych górników, znów zobaczyłby swego nierozgarniętego kupca. O ile by go poznał! W łachmaniarskim stroju zszedł on cicho do izby gościnnej i zniknął za drzwiami. Bez śniadania.

*

Każden czeka na święto. Czy Kupców, czy Chlu, czy Miecza - za jedno. Święto Złodziei niby tylko razik w roczek, ale tylko niby, bo one wszystkie złodziejskie. A Rzemieślników może nawet najbardziej, bo trudno wtenczas zliczyć dziurożłobów, którym z pyska zionie piwo, a przy pasie brzęczą groszaki za ostatni urobek. Oczko zawsze wtedy świętował. Już miał się brać do roboty, gdy naraz dostrzegł obcego. Szturchnął kamratów. Tak, teraz też go widzieli! Wszedł w największy ścisk nie opodał linoskoczka. Kiedy cyrkowiec na chwilę stracił równowagę i tłum zakotysał się z jękiem, tamten odciął kupcowi dyndałkę od pasa. Linoskoczek odzyskał równowagę. Kupiec westchnął z ulgą, nie wiedząc nawet, że właśnie schudł o ładny grosik.

Ha, dobry zuch! Ale nie dość rozgarnięty, aby cało opuścić rynek. Szedł prosto w ich stronę. Oczko podniósł pusty garniec po piwie i wolnym krokiem ruszył na spotkanie. Kamratom nie trzeba było nic gadać, też znali swoją robotę. Gdy obcy się zbliżył, obścapił go, a Oczko podsunął mu pod nos garniec. Z daleka wyglądało to, jakby częstował przyjaciela. Ale w drugiej łapie czekała krajałka...

- He! Tyżeś to nabył od łakomca koła z doliny? - zagadał.

Obcy za późno zrozumiał, co się święci, ale widać też nie od wczoraj robił w tym fachu.

- A nabyłem - przyznał. - Łakomiec gruby, ja suchy. Trzy dni będzie, jakem obroku nie widział. A ty może pies, że tak mnie niuchasz? Wisior z Lewkiem pokaż, jak król nakazują.

- He, nie pies, ale i podwórko nie twoje! Grabie pchasz, to ci zaraz zmarnuję. Albo zajmę tłuczkiem po ligarach.

- Masz pusty garniec, przyjacielu - powiedział nieznajomy. - A kół będzie dla każdego.

I jak to w tym fachu bywa, choć w najpierwszych słowach gwarzyli o łamaniu rąk i nóg, wkrótce wspólnie siedzieli w małej gospodzie pod miastem. Tak, obcy był obcy, ale człek. Trza mu pomóc. Byle tylko zniknął i nie wchodził im w drogę!

- A skąd ty? - zapytał Oczko.
- Z Aabo. Silnie tam chorowałem.
- No praw, blady na liczku. Uzdrawiacze dali w drogę ruszać?
- W górach dobrze się dycha, a wielce po maudyjskiej stronie.

No i jak tu nie poratować kamrata? Stoliczny zuch, skoro się z lochów jakoś wyrwał! Może by zdradził, jakim to sposobem, gdyby weszli w komitywę? Ale mu pilno za granicę, nie dziw, że przejazdem w pięknej Fryi. Stąd do rzeki Addli tylko górę przeskoczyć, a dalej już wszędzie słonecznie! Oczko nigdy tam nie był, ale wiedział, bo opowiadali.

- A może w górach wiatr jaki hula? - zapytał nieznajomy.

- Tylko jeden.

- Zwie się jakoś?

- To nie nasi - splunął Oczko. - Nawet obrok kupują.

- A może od nich by co nabyć?

- Nie radzę. Kilku próbowało. No i odtąd Ojciec-Słońce im hersztuje, a Matka-Księżyc kaszę warzy.

- A gdybym chciał ich odwiedzić, to gdzie?

- Tamci szukali w parowach koło Dwóch Źródeł. A tera... - Oczko wytężył się i głośno puścił gazy - ...wiatr ci powie, jak wie.

Złodzieje wybuchli śmiechem, a obcy śmiał się z nimi.

III

Zaraz za Fryą zagłębiłem się w las i ruszyłem w góry. W Mieście Trzech Słońc, ledwie dostałem węzowy tatuaż - choćby tam sobie mistrz Caspo pisał, klął i urągał, co chce - ja poczułem, jakby przybyło mi sił. Teraz wśród drzew biegnących w dół strumieni jakbym odzyskał węch. Porzuciłem miejskie przebrania i w wygodnym łowieckim stroju tropiłem moją zwierzynę. Oczko i jego kamraci dobrze mi podpowiedzieli, bo kiedy minąłem Dwa Źródła, a mroźne powietrze

znad Zatoki Myśliwych wdarło mi się w nozdrza, oprócz odległej woni morza i niewidocznych drobinek śniegu z Komina Chlu dobry Puf przyniósł mi też swąd ogniska. Idąc za tym zapachem, znalazłem się na skraju urwiska. W wąwozie ścieżka zataczała łuk i prowadziła prosto do jaskini.

Dwóch ludzi siedziało przy ogniu. Piekli kozłę - tylko jedno, więc nie mogło ich być więcej niż siedmiu - ośmiu, chyba że większość bandy postanowiła tego dnia pościć! Ale wtedy mój instynkt węża ostrzegł mnie, że to nie koniec. Że za łatwo poszło. Że skoro Kai wysłał mnie, nie zbrojnych, to gdzieś jeszcze czekała pułapka.

Spojrzałem na Ojca-Słońce i znów poczułem zmęczenie - to piętno lochów, które ciągnęło się za mną od początku tej misji. Nieproszona myśl przyniosła twarz homara. Jak wtedy - dawno, w dzieciństwie, gdy mój brat, mój wróg, czaił się za każdym drzewem, w każdym wykrocie... Na darmo próbowałem znów skupić myśli. Umysł roztopiał się jak wosk zostawiony na piecu. Przyłożyłem policzek do skały, prosząc Erha, by Żywiol Ziemi przeniknął mnie twardością i spokojem...

*

Zaczął od liny. Trzymała mocno, a hak owinięty wełnianą nicią nie wydawał żadnego dźwięku. Wyjął z torby dwie małe kusze na skórzanych bransoletach. Zapiął je, przełożył spusty przez dłonie. Noc przeszła, Ojciec-Słońce ruszał już na łowy, więc i wąż zaczął swoje polowanie. Skoczył.

Wartownik wstał zaskoczony cieniem spadającym ze skały, ale zanim zdążył krzyknąć, długi na dwa palce bełt przebił mu gardło. Charkocząc, upadł na wznak. Drugi zbrojny, który siedział w cieniu u wejścia do kryjówki, był bardziej przytomny.

- Do mnie!!! - wrzasnął, nim sięgnął po miecz.

Ciiiiicho, cichutko! - pomyślał do niego wąż. Mężczyzna zastygł. Drugie ostrze świsnęło i utkwilo mu w piersi.

Marlo odpiął pas. Napięta lina bzyknęła cicho gwałtownie pozbawiona obciążenia. Wąż przetoczył się po ścieżce i zastygł przy drugiej ścianie ciasnego wąwozu. Ale nie dali mu zbyt wiele czasu. Zdążył załadować tylko jedną kuszę, gdy czterech ludzi wyskoczyło z jaskini. Pierwszy o jeden oddech za długo zapatrzył się na skórzany pas dyndający na linie. Marlo trafił go w brzuch. Źle, nieczysto! Gdyby tamten zdążył założyć zbroję, bełt nawet by go nie skaleczył.

Ale nie zdążył, więc teraz leżał i jęczał. Pozostali cofnęli się z powrotem do wnętrza.

Nie wychodźcie, czekajcie, ciiicho - pomyślał do nich wąż, sięgając prawą ręką po bełt, a lewą jednocześnie napinał kuszę. Ale zatrzymał się w pół ruchu zdziwiony obcą myślą we własnej głowie: *Tfu, pluje Chlu! Gnojek Marlo?!*

Lomar! Tylko on mógł go poznać po myśli, tylko on mógł go tak nazwać! Wąż usłyszał zgrzyt miecza o skałę. Jego brat dobrze pamiętał, jak nienawidzi tego dźwięku. Bezwiednie zacisnął pięść i zwolnił spust kuszy. Już jej nie ładował. Upuścił bełt. I tak nie zdąży...

Wierny obrońca księcia przeklętego wyszedł z jaskini z napiętym łukiem. Teraz wąż już wiedział, że w opowieści Severii nie było żadnej przesady. Tak, żył na świecie ktoś, kto potrafił zabić czterech zbrojnych szybciej, niż wojownik machnąć mieczem.

- Witaj, Marlo.

Uskoczył w ostatniej chwili. Lotka strzały boleśnie uderzyła go w ucho, ale grot chybił.

- Ma tylko sztylet. Brać go! - krzyknął Lomar. Skoczyli wszyscy trzej. Na śmierć, pewną śmierć.

Czyżby brat dawał mu szansę, posyłając tamtych? A może liczył, że Marlo jest zbyt zaskoczony, aby myśleć? Pomylił się. I pomylili się ci ludzie. Choć pewnie sądzili, że biegają ciasno jeden obok drugiego, między każdym z nich zostało miejsca na przynajmniej łokieć.

Wstając, Marlo ścisnął już w lewej ręce kamień. Rzucił nim w twarz środkowego napastnika i przeskoczył miecz tego ze swojej prawej strony. Zbrojny pchnął za późno, w powietrze. Wąż rozorał mu kark sztyletem, zastawiając się jego ciałem przed kolejnym ciosem.

Lomar znów napiął łuk i obserwował. Marlo sięgnął za pas po sakiewkę z solnym proszkiem. Ścisnął ją, celując w zbrojnych. Ten z twarzą rozbitą kamieniem upadł pierwszy, odruchowo trąc oczy i jeszcze bardziej powiększając ból. Drugiego wąż złapał i obrócił ku lecącej strzale. Potem dopadł oślepionego i zatopił mu sztylet w gardle. Ciszę przerywały tylko jęki rannego w brzuch wartownika. Lomar skrzywił się i podszedł, aby go dobić. Zostali sami...

- Nie jesteśmy sami, Marlo.

- Co ty tu robisz?

- To samo co i ty. Tyle że po lepszej stronie.

- Jakiej lepszej? Jestem w służbie Kaia IV, pana Byrd, bracie. Gdzie książę?

- Nie bądź taki oficjalny, wężu. Uśmiechnij się, nim zdechniesz.

Łuk Lomara skrzypnął lekko napięty i wycelowany, ale Marlo mierzył w brata z kuszy na

prawej ręce.

- Daj spokój - usłyszał. - Strzała pewniejsza. Poddaj się. Co najwyżej mnie skaleczysz.

- Tak. Skaleczę, ale jadę. Zdejmij strzałę. Gdzie książkę? - młodszy wąż zapytał spokojnie, choć z trudem panował nad sobą. Dłonie mu zwilgotniały, a palce ślizgały się na spuście. Ale wiedział, że jego brat też nie jest pewien swego życia. Widział Marla w walce. Widział, że nie popełnił błędu...

Popelnileś nawet dwa - pomyślał Lomar. - Duży błąd, że tu jesteś. Mniejszy to ten nieczysty strzał. Ale stało się, nie cofniesz. Będziemy tak stali do wieczora?

Zabiję cię, jak nie zejdziesz mi z drogi - odparł Marlo.

Takiś groźny, wężyku? To zabijemy się obaj i nie wykonasz zadania. Zdechniemy tu, patrząc sobie w oczy, a książkę Uri odejdzie zdrów i cały. I ja zwyciężę! Prawie zwyciężę, bo nie będę mógł go dalej chronić.

Marlo delikatnie ujął belt dwoma palcami. Jego przeciwnik nieco rozluźnił napięcie cięciwy. Powoli, bez słowa starszy brat odłożył łuk, a młodszy rozładował kuszę.

- Sztylety? - zapytał już na głos.

- A może miecze? Nie masz swojego, to weź od któregoś z trupów. O, ten tam, Kaleb, miał dobrą broń! Zaczynamy, bo zgłodniałem.

- Sztylety!

- Niech ci będzie - prychnął Lomar.

Spokojniejszy już Marlo powoli zdjął bransolety, rozpiął pas... Zwlekał. Nie, nie chciał tej walki. Lęk? Też się przez chwilę o to podejrzewał. Ale bardziej chodziło o coś innego - wreszcie ze sobą rozmawiali! Nie jak duży Lomar z gnojkiem Marlem, ale jak równi sobie, jednako silni, sprawni i jadowici. Ale był i słaby punkt! Młodszy brat zbyt dawno nie widział starszego, aby wiedzieć, jak można go najłatwiej pokonać. Wąż nie staje przecież do walki, gdy nie wie, gdzie uderzyć kłębem.

- Poczekaj, Lomar.

- Na co? Czyżbyś miał eskortę, tylko utknęła po drodze?

- Czyżbyś się bał, bracie? Pomyślałem o naszej wiedzy. Wymieńmy się tajemnicami. Niech skorzysta ten, kto zwycięży. Będzie jeszcze lepszym wężem.

- Ha, rodzinna pogawędka! - Obrońca księcia przeciągnął się i przysiadł na piętach. - Tak! W twoim fachu nigdy nie dość nauki. Zgoda, tyle że ja już nie jestem taki jak ty. Zobacz, zdarłem

swój tatuaż. - Odślonił lewe przedramię. Zamiast rysunku węża i Lwa Aytlanu miał tam wielką bliznę. - Ale słucham. Słucham z ciekawością. Komu to służyłeś?

Opowieść Marla nie zajęła dużo czasu. Mówił prosto, niczego nie ukrywając. Lomar zaśmiał się dwa razy: słysząc o kapłanie Erh-Adzie, zabójcy rodziców brata, i gdy doszedł on do tego, jak następca addlijskiego tronu zawisł za włosy na drzewie.

- A potem trafiłem do lochu - dokończył wąż. - Dlaczego cię to bawi?

- Bo kiedy ty wypoczywałeś pod ziemią, ja wykonywałem misję przyjętą od tego samego Daviego. Wysłał mnie do Byrd, abym nie dopuścił do uznania Uriego za przeklętnika. Spiskowali razem przeciw Kaiowi, księżę sam mi to wyznał. Jednak pan Pierwszego Miasta okazał się sprytniejszy, jak to już bywa z królami. Powinienem był się więc zabić, ale czy moja śmierć przysłużyłaby się księciu? Więc zdarłem swój tatuaż i porzuciłem fach. Teraz służę panu Uriemu jako straż przyboczna. Nie za pieniądze i nie dla wężowej chwały, że tak się wyrażę po twojemu.

Opowiadał, jak z węża zmieniał się w młodego uczonego, z niego w kupca, w służącego, kucharza, wojownika, jak zataczał coraz bliższe kręgi wokół byrdyjskiego tronu. Marlo słuchał. Wiele myśli kręciło się w jego głowie. Lomar - cień jego dzieciństwa, najpierw przegrał swą walkę, potem zdradził swe rzemiosło i teraz oznajmia to z dumą, jakby szło o spełnioną misję! O czymś tak haniebnym nikt dotąd nie słyszał. Wąż nie ma własnej woli, tylko rozkazy. No i była druga zagadka - władca Addli, choć knuł intrygę przeciw królowi Kaiowi, jednak podarował mu węża, aby te plany udaremnił. A może właśnie o to szło, żeby dać takiego węża, który nie podoła zadaniu? Marlo szybko przerwał tę myśl. Lomar mógł ją poczuć.

- Skoro szło o zwykłą zdradę, dlaczego Kai uraczył mnie opowieścią o przeklętej smoczej krwi? - zapytał młodszy brat, choć już czuł, jaka będzie odpowiedź.

- Bo trafił na głupiego. Tymczasem powód jest bardzo prosty! Królowie Byrd mnożą się jak szczury. Gdyby nie tępili się nawzajem, szybko zabrakłoby dla wszystkich miejsca w całym pałacu.

- Tego nauczyłeś się od mistrza Assa? - syknął Marlo.

- Ha, tego i wielu innych rzeczy! Nie łągał jak Omar. Szybko pojąłem, że w tym fachu nie ma żadnego dostojeństwa. Niczym nie różnisz się od kurwy czy innego najemnika, bracie. - Obrońca księcia przerzucił kilka razy sztylet z ręki do ręki. - No, kończmy! Pora sprawdzić, kto jest najśłodsza dziwką w tym burdelu.

- Czeka! A inne twoje misje?

- Jakie inne misje?! Byłem wężem tylko kilka lat dłużej niż ty. Wiesz już o mnie wszystko. - Lomar wstał i znowu się przeciągnął. - Nudny temat. Nie miałem zbyt ciekawego życia, jak na węża oczywiście! Może więc chcesz na koniec usłyszeć prawdę o sobie, co?

- Co możesz wiedzieć o mnie, czego ja sam nie wiem? - zapytał młodszy brat. To było niepokojące: dlaczego nie poczuł myślą choć cienia tajemnicy, jeśli wąż-zdrajca rzeczywiście coś ukrywał?

Bo za bardzo chciałeś! - ten zaśmiał się i dalej mówił już na głos:

- A wiem wiele, jak przystało na starszego brata. Brata w węzowym fachu, odkąd jako kilkuletni smark znalazłeś się pod opieką naszego mistrza, odkąd twoją prawdziwą rodzinę wymordowali nieznani zbóje, he, he, he...

- Dość! - krzyknął Marlo. - Bierz sztylet!

- Jeszcze nie! Jak prawda, to prawda! Nie zabiję cię, dopóki nie wyznam ci wszystkiego, jak sobie życzyłeś. Otóż ci zbóje wcale nie są tak nieznani, jak myślisz. Oprócz tego twojego Erh-Ada poznałeś też ich herszta. Ha, poznałeś go lepiej, niż sądzisz! Dostał ciekawą misję: wzbudzać niepokoje w pobliżu Zimnej Przystani, aby król Davi miał dobry pretekst do odwołania tamtejszego zarządcy. Podjął się jej chyba z nudów, bo prawdziwie była niegodna węża. Tak, tak, to mistrz, twój kochany drugi ojciec, zarabiał twojego pierwszego ojca. A ja sam, choć ledwie siedmiolatek, choć od nędznych paru świąt uczeń Omara, zabiłem twoją matkę i siostrę, za co pewnie obie były mi nad wyraz wdzięczne.

Wąż skoczył. Lomar zrobił krok w lewo, ustępując mu miejsca. Ale nogi nie podstawił, widać jeszcze nie miał dość wyznań.

- No co? Rozgniewałeś się, bracie? - zapytał ze śmiechem, gdy znów stali naprzeciw siebie.

Serce Marla waliło, przed oczami latały mu ogniste ptaki. Znów stracił spokój, znów umysł, wola, duch i ciało przestały być jednością. Tak podzielony wąż szybko staje się martwym wężem! Z wysiłkiem przywołał kilka wspomnień z dzieciństwa, w których jego wróg bawił się z nim albo opatrywał mu rany... Nie znalazł w Lomarze żadnej słabości, za to on dobrze wiedział, w którą ranę młodszego brata da się najgłębiej wsadzić palec.

Spokój... Mój duch jest Ogniem... - wąż pospiesznie zmywał z siebie łgarstwo, w które już prawie uwierzył. Lecz... Nie, to nie było łgarstwo! Przypomniał sobie naraz wielokrotnie

powtarzane słowa Erh-Ada: *Skądś znam twojego ojca, chłopcze. Ale skąd?* No i skąd Omar wiedział, że właśnie ów kapłan będzie wymarzoną ofiarą dla młodziutkiego węża? Czyż nie jest zwyczajem potężnych złoczyńców zrzucać winę na drobnych rzezimieszków?

Prawda uderzyła w umysł Marla jak młode wino. Starszy brat niczym zły duch z pobrzeżańskich opowieści postawił właśnie dzban wody przed zagubionym na pustyni wędrowcem: *Ta woda jest zatruta. Wypijesz, zdechniesz od trucizny. Nie wypijesz - z pragnienia...*

Nagle Chlu ochłodził mu umysł, a Puf przysłał olśnienie: znał jednak słabość Lomara... Byli więc sobie równi.

- Dzięki - powiedział Marlo. - Wiem więcej, niż marzyłem się dowiedzieć. Czego pragniesz w zamian?

- Nie masz nic, co mógłbyś mi dać. Chcę tylko, żebyś, jak na smarka przystało, rozdziawił ciekawie gębę i słuchał pilnie, co ci powiem. Żebyś rozważał te słowa, zdychając. Na świecie jest coś więcej jak rozkaz. Jest zło i dobro. Jeśli rozkazano ci cokolwiek dobrego, z serca brat ci życzy, przeżyj!

Uderzył, nim skończył mówić. *Przeżyj* zabrzmiało równo ze zgrzytem sztyletów. Marlo odskoczył. Mistrz uczył, że w walce wprawnych nożowników obaj giną najdalej w trzecim starciu. Ale Lomar wiedział to równie dobrze, więc długo nie zbliżali się do siebie mniej niż na pięć kroków. Wąż syczy. Wąż podrzuca swój groźny łeb. Ale nie uderzy, gdy nie jest pewien, że po ataku będzie mógł się cofnąć.

Zataczali koła wokół siebie, szukając błędu w ruchach i myślach przeciwnika.

- Co za nudny poranek! - Lomar doskoczył, ale nie sięgnął brata. Marlo też spróbował. I jeszcze! Na nic! Ząb węża za każdym razem okazywał się o palec - pół palca za krótki...

Marlo stał właśnie plecami do wejścia grotty. Przemknęło mu nawet przez myśl, czy nie zdołałby wskoczyć do środka i nim brat go dopędzi, posłużyć się księciem jak żywą tarczą. Ale wtedy bogowie uśmiechnęli się do zdrajcy. Ojciec-Słońce zajrzał zza ściany wąwozu prosto w oczy młodszego z przeciwników. Wąż szybko zrobił pół kroku w bok, gdzie już światło nie mogło dotrzeć jego twarzy, ale i tak przez mgnienie miał w źrenicach tylko ogień. Jego bratu to wystarczyło. Doskoczył, by ciąć Marla w bok. Ten uchylił się w ostatniej chwili. Nie zdążył jednak cofnąć nogi i Lomar kopnął go pod kolano. Wąż upadł. Znow błysnęło słońce, ale tym razem na sztylenie, który mierzył w jego gardło...

- Wygrałeś, Gail! - syknął Marlo.

Lomar nie uderzył. Powstrzymał ostrze i zastygł wpatrzony w przestraszone oczy... Węża? Nie, widział oczy Sebiki, ostatniej osoby, która mogła jeszcze pamiętać to imię. Znów leżał na niej jak wtedy...

Nim się otrząsnął, poczuł ukąszenie. To Marlo, objawszy go nogami, mógł wreszcie sięgnąć po wąski nóż ukryty w cholewie. Lomar niemal słyszał, jak ostrze zgrzyta, prześlizgując się po kości, a nerkę ogarnia płomień. Jego twarz stężała, plecy wygięły się do tyłu, ból odebrał całą władzę nad umysłem.

- Dziękuję, bracie. Ja także cię kochałem - powiedział młodszy wąż, obracając nóż w ranie.

*

Z ogniska na środku grotty sączył się dym. Nikły ogień powoli umierał. Na widok wchodzącego Uri wstał i położył dłoń na mieczu.

- Jestem Marlo. Wąż Marlo - oznajmił przybyły.

- Gdzie Lomar? - Księżę przekłęty wyszarpnął broń z pochwy.

- Lomar nie żyje. Ale nie cierpiał długo. Ty także umrzesz szybko.

- Bierz miecz i stawaj! - zażądał Uri, starając się ze wszystkich sił włożyć w słowa tyle woli, ile tylko mógł w sobie znaleźć.

- Proszę, szlachetny panie, nie utrudniaj mi zadania - powiedział łagodnie zabójca. To dało księciu wiarę, że przynajmniej zginie jak mężczyzna, nie rzeźne ciało.

- Sam nazwałeś mnie szlachetnym, a nie psem plugawym - rzekł. - Może mam jeszcze wyciąć pal i sam go sobie zastrugać, co?! Bierz miecz! - Wskazał głownią ściany swej kryjówki, gdzie na zwierzęcych skórkach wisiała broń jego drużyny.

- Jestem wężem, panie. - Marlo uśmiechnął się. - Nie potrzebuję miecza.

- Chcesz mnie obrazić?

- Wybacz, szlachetny. Nigdy bym nie śmiał...

*

Jakież było zdziwienie króla Kaia IV, samotnie spożywającego wieczerzę w swej komnacie,

kiedy zamiast sługi ujrzał węża Marla wnoszącego mu tacę osłoniętą kosztowną pokrywą! Służący w tym czasie podnosił się z posadzki na kuchennym korytarzu, nie rozumiejąc, dlaczego nagle osłabł.

- Ty?! - zawołał władca Addli. - Czyś wykonał misję, że ośmielasz się zakłócać mi posiłek?

- Nigdy nie ośmieliłbym się niczego ci zakłócić, Serce Aytlanu! - Marlo skłonił głowę. - Ale misję wykonałem. Chciałem ujrzeć cię, panie wielki, i wyręczyć twego sługę, który niósł ci główne danie. - Odkrył tacę. Srebrna pokrywa brzęknęła na posadzce, a pod nogi Kaia potoczył się czerep królewskiego brata. - Oto szlachetny Uri, przeklętnik, który na złość przepowiedni osobiście pragnie powinszować ci zwycięstwa.

- Wystarczyłoby przynieść jego pierścień, nadgorliwy węzu. - Król odsunął od siebie tacę z pięknymi czerwonymi jabłkami.

- Pierścień można ukraść, panie wielki - ciągnął niezrażony Marlo. - A oto moje podziękowanie za ocalenie od śmierci w lochach. - Wydobyta z sakwy głowa Lomara potoczyła się w ślad za księżącą. - Pamiętasz, panie wielki, mówiłeś, że kto spędzi tam choć noc, zabiłby własnego brata, aby wyjść na wolność. Zatem mój brat, wąż Lomar, także jest do twych usług.

Kai wstał i zaryczał wściekły, dobywając miecza. Straż w jednej chwili znalazła się w komnacie. Trzej zbrojni chwilę stali osłupiali, ale szybko rozeznali się w położeniu. Otoczyli węża. Marlo dobył sztyletu, jednak tylko po to, by przyłożyć go sobie do gardła.

- Nie zdołają mnie zabić. Mój ząb będzie szybszy.

- Zamknij paszczę, węzu! - warknął Kai, chowając broń. - Twoje życie nie należy jeszcze do ciebie.

- Czy życzysz sobie, abym się oddalił i czekał dalszych rozkazów, panie wielki?

- Precz! Strażnik wskaże ci kwaterę.

*

Tę noc spędziłem w zimnej, ciasnej komnacie, w której zwykle nocowali pewnie służący pałacowych gości. Było w niej tylko pokryte kurzem łóżko i skrzynia. Przez okno wlewała się noc, ale ja i tak nie zmrużyłem oka. Czekałem, aż przyjdą czerwone płaszcze. Myślałem, ile padnie trupów gwardzistów Kaia, nim i moja krew zmiesza się z ich krwią na mokrej, lepkiej posadzce...

Nie uwierzysz, panie, ale to był jedyne raz w moim węzowym życiu, kiedy naprawdę bałem się śmierci. Cóż, teraz miałem coś do stracenia. Nie pamiętam już, w jakiej to było balladzie, ale musiałem to słyszeć z ust jakiegoś poety, bo takiej niedorzeczności sam bym nie wymyślił. Dwa nadęte określenia: »grona gniewu« i »nasienie zemsty«. Tak, śmiejesz się, panie, i wcale mnie to nie dziwi. Też bym się śmiał, jednak nie znam słów, które trafniej nazwałyby to, co mój brat Lomar zasiał we mnie, nim umarł. Nadęte, lecz trafne. Pewnie dlatego, że były to uczucia człowieka, a nie węża. Nasienie padło w wilgoć mych myśli, ogrzało się duchem i napęczniało wolą. W końcu zaczęło pożywiać się moim ciałem, a to drżało ze strachu, że zdechnę, nim odnajdę mojego mistrza i dowiem się całej prawdy.

Ale nie byłem przecież wolny. Następnego ranka Kai IV wezwał mnie do sali tronowej. Nie bronilem się, nie zaslaniałem, gdy rzucił mi w twarz sakiewkę z zapłatą. Stałem tylko, czując słoną krew spływającą z rozbitego złotem nosa. Cóż, każdy ma prawo do swej chwili gniewu, nawet węże i władcy...

Rozdział 6

Zdarzyło się raz dawno temu, że Matka-Księżyc poprosiła swego syna Erha, aby zrobił jej nowy kociołek do warzenia stawy. Mały bóg z radością zapragnął pomóc Pani Nieba, postanowił jednak zrobić to w tajemnicy przed braćmi, aby to jemu przypadła cała zasługa. Ale nie pomyślał, że kociołek będzie przecież stawiany na ogniu, którym włada Agni, że o bulgoczącym wrzątku więcej wie Chlu i w końcu że z kociołka będzie lecieć para, a na parze nikt nie zna się lepiej od Pufa. I ilekroć Matka-Księżyc nastawiła stawę w nowym kociołku, tyle razy pożywienie przypalało się albo było niedogotowane. Pewnego dnia rozzłoszczona bogini wzięła to nieszczęsne naczynie, zamachnęła się nim ile siły i cisnęła przed siebie. Do dziś rozlana polewka znaczy niebo jasnym pasem, a skorupy kociołka nieraz spadają na ziemię.

Tak samo władcy Aytlanu, widząc we mnie węża, który więcej przynosi kłopotów niż pożytku, zrobili wielki zamach, by cisnąć mnie za morze jak najdalej od swych oczu. I przez to

znalazłem się w Molku, stolicy Pobrzeża. W kraju, gdzie chartom każe się pilnować obejścia, a kundle zabiera na polowanie. W mieście, o którym usłyszałem już na statku, że jest jak chuda krowa, którą doi namiestnik, Gildia Kupiecka spija śmietankę, tylko nikt nie wie, co się potem dzieje z mlekiem. Ja się domyślałem. Co prawda namiestnik Quotlin nie dałby rady wydoić żadnej krowy, ale jego doradcy byli w tym nadzwyczaj biegli.

Płynąłem tam rozżalony, że każdy hals statku, każde uderzenie wiosła o wodę oddalają mnie od mistrza i wiele lat upłynie, zanim wydrę mu z ust i myśli całą prawdę, kim byłem i kim jestem. Tylko pamięć o powinnościach węża karmiła mnie wytrwałością, a ofiary bogom poły nadzieją.

*

Dozorca Sebu już od lat dbał o komnaty w podziemiach molkijskiej Cytadeli. Nie było takiej godziny dnia ani nocy, aby nie czekały gotowe na przyjęcie węża, który - jak wiadomo - dostrzega nawet kurz i pajęczyny w ludzkich myślach, więc co dopiero w kącie, na szafie czy za szkrzynią. Nie musi przejeżdżać palcem po niewidocznym dla oka miejscu na ścianie, by potem triumfalnie wystawić go dozorczy i pokazać szary, rozmazany kłęb brudu: *Niedbały jesteś. Jak możesz strzec tajemnic podziemi, skoro nawet tego nie potrafiłeś upilnować?* Wąż jeszcze by nie wszedł do komnaty, a Sebu już poczułby wwiercającą mu się w umysł pogardliwą myśl, jak niegodnym miejscem jest Molk i jak niegodnym sługą jest on sam.

Dlatego dozorca, chcąc zadowolić przyszłego, nieznanego sobie węża, nie tylko codziennie sprzątał podziemne komnaty, ale też ściągał w głąbiny korytarzy wszystkie sprzęty, których przestano używać w pałacu namiestnika. Wartownicy przyrównywali go do małej mrówki-złodziejki, która łączy swoje korytarze z gniazdem rudych żądlańców po to tylko, by biegać między ich nóżkami i podkradać zapasy. Odpowiadał na to burknięciami albo i wcale nie odpowiadał. Choć dozorca węży jest przecież kimś nieporównywalnie ważniejszym od wartownika, on nie miał śmiałości zmieszać ich z mułem przepływającej przez Molk Efrzy ani zetrzeć słowami i pięścią na pył pustyni. Bo dozorca węża bez węża to jak łuk bez cięciwy i Sebu dobrze to rozumiał.

Więc starał się, aby gdy wąż wreszcie przybędzie, powiedział szczerze i z zadowoleniem: *Jesteś najlepszym dozorca, jakiego nie znajdziesz ani w Aytlanie, ani w Quetli, ani w żadnym*

kraju, w którym byłem lub o jakim słyszałem. Te lochy są godne królewskiego pałacu, dobry Sebu, niech ci bogowie darzą! W wygodnym i szykownym urządzeniu komnat nieświadomie pomógł mu szlachetny Jor, poprzednik namiestnika Quotlina. Wychowany w Dolnym Relhu w kraju Byrd doczekał późnego wieku, majątku i wpływów, bo szybko nauczył się bać ayatlanckich królów bardziej niż sztyletu, trucizny i zarazy. Dlatego też nakazał usunąć wszystkie wizerunki pobrzeżańskiego Smoka, aby nie kłuły w oczy, nie przypominały potęgi tego kraju, która miała już nigdy nie wrócić... Pod koniec swych rządów i to mu nawet nie wystarczało, więc Smoki powróciły, jednak zawsze pogńębione przez ayatlanckie Lwy. Lew dosiadający Smoka, Lew gwałcający Smoka, Lew przyjmujący smoczy hołd - takie sceny kazał namiestnik haftować na narzutach, okryciach, serwetach, obrusach, derkach i ryć nawet na nocnych naczyniach. A Sebu znosił do swej podziemnej nory samotne Smoki i Lwy wyobrażone na niemal nowych, wykwintnych i tak drogich sprzętach, że gdyby nie ich niewłaściwa ozdoba, mogłyby służyć molkijskim namiestnikom jeszcze dziesiątki lat. Dozorca to wszystko gromadził, odkurzał, a nawet wietrzył, gdy tylko miał pewność, że nikt z zauszników Jora nie dojrzy go i nie oskarży o podżeganie do buntu. Sam nie był świadom, ile ryzykował, trzepiąc dywan ze Smokiem - komuś innemu mogłoby się wydać, że powiewa sztandarem z godłem wolnego Pobrzeża, dając znaki innym spiskowcom. On jednak rzadko dłużej niż chwilę myślał o czymś innym niż wygoda i uznanie przyszłego węża, którego brak zajmował dozorcę bardziej niż on sam, córka Aide i żona.

Żona... Choć Sebu żył z nią prawie piętnaście lat, to nieraz zdarzało mu się zapomnieć nawet jej imię. Wcześniej służyła w pałacu - myła naczynia służby czy zamiatała Plac Wojowników, tego dozorca też już nie pamiętał. Czy odkąd wymienili ze sobą te kilka przysięg w obecności kapłana, rozmawiał z nią choć przez chwilę, gdy co kilka świąt opuszczał podziemia i odwiedzał ją w niewielkim domu w Dzielnicy Kupców? Czy w ogóle spostrzegł, kiedy zaszła w ciążę i kiedy urodziła? Nie, z pewnością nie, jednak każdy mężczyzna od czasu do czasu potrzebuje baby i lubi myśleć, że jest dla niej oddechem i pożywieniem, a nie tylko płaci za rozkosz. Sebu nie wiedział nawet, że przed kilkoma laty do jej domu wszedł Pomór i owionął kobietę złym, śmiertelnym oddechem. Ale znaleźli się dobrzy ludzie, którzy przywiedli mu Aide, aby zaopiekował się córką.

- To jest Aide? - dziwił się dozorca, obchodząc dziewczynę dokoła i dotykając to włosów, to policzków, to znów obmacując piersi i dziwiąc się, że są już całkiem duże. - Ty jesteś moja córka Aide?

Płakała i nie potrafiła wykrztusić ani słowa, więc jej ojca musieli upewniać zupiarze, mistrzowie pieczeni i inna służba pałacowej kuchni. Dziewczyna bała się poruszyć przygwożdżona ni to litością, ni rozbawieniem zupełnie obcych ludzi. Choć ciepłe wnętrza przepełnione aromatem mięsa i przypraw nawet dla dozorczy było jednym z przyjemniejszych miejsc Cytadeli, to Aide przez długi czas wzdygała się na samo wspomnienie kuchni i rondli jak złodziej na myśl o Komnacie Prawdy i narzędziach mistrza bólu.

- Musisz ją wziąć pod opiekę, Sebu - powiedział któryś z pomocników mistrza placków. - A jak nie chcesz, he, he, to daj mi za żonę!

Nawet gdyby ów kuchcik nie miał szpetnej gęby w połowie zniekształconej niewprawnym ruchem akuszerki, odpowiedź mogła być tylko jedna:

- Koń z gównem nie gada, Krzywa Mordo! Córka dozorczy węży nie będzie żoną kuchennego tłuczka, choćby srał złotem, a miodem rzygał.

Sebu złapał dziewczynę za łokieć i pociągnął ze sobą do Pierwszej Wieży. Szedł tak szybko, że ledwo mogła nadążyć, choć nie była już wiele niższa od ojca, zwłaszcza że żyjąc więcej w lochach niż na powietrzu, przywykł garbić się niby gnom. Niemal upadła, gdy naraz zatrzymał się na dziedzińcu i obwiązał jej głowę swoją koszulą podśmierdującą lekko starym chłopem.

- Nie wrywaj się, dziecko! Wolno ci ze mną mieszkać, ale nie wolno poznać drogi.

Złapał ją pod pachę jak worek i poniósł najpierw przez kręte korytarze wieży, a potem przez niezgłębiany labirynt schodów i chodników przenikniętych zimnem dna ziemi. I już tam została. Pomagała ojcu sprzątać komnatę węża, potem też inne korytarze aż do okutych drzwi, za którymi wartownicy zostawiali im jedzenie. Sebu nie dbał o lęki i nadzieje rodzące się w głowie córki, ale gdy upewnił się, że posłusznie pracuje i nie ma zwyczaju za dużo gadać, niekiedy zasłaniał jej twarz workiem i wyprowadzał na świat, by mogła pójść do miasta i odkryć, że nadziemny Molk, na który spogląda Ojciec-Słońce, staje się coraz bardziej obcy i dziewczyna coraz mniej rozpoznaje w nim miasto, w którym kiedyś mieszkała. Zaczęła garbić się jak gnomy i dozorczy węży, jej twarz zbladła, a włosy straciły blask.

- Używaj henny, dziewczyno! - powiedział ojciec któregoś dnia. Zawstydziała się. Musiała bardzo zbrzydnąć, skoro nawet on to zauważył. - Jesteś córką dozorczy węży. Nie możesz wyglądać jak zużyta dziwka.

Malowała więc włosy, choć nie widziała w tym celu. Zobaczyła go dopiero trzy dni po

Święcie Podróżnych w pierwszym roku panowania nowego namiestnika Quotlina.

*

Generał Aru był tylko dowódcą Piątej Wieży, nim Quotlin uczynił mu zaszczyt strzeżenia swej osoby, jak też skarbcza i tajemnic Cytadeli. Stary wojownik już pierwszego dnia po objęciu Pierwszej Wieży osobiście zjawił się w jej podziemiach, czego jego poprzednik nigdy nie czynił. A potem wzywał Sebu nawet co kilka dni, by zapytać a to o liczbę lamp potrzebnych do oświetlenia lochów, a to o któregoś z wartowników, to znów jak często sprawdza sekretny tunel prowadzący z lochów w góry. Dozorca spodziewał się, że nowy dowódca zapyta w końcu o córkę i każe ją oddalić. Choć przyzwyczał się do jej pomocy, był gotów uczynić to w każdej chwili. Wartownicy ciągle zagadywali, co u niej, i bez wątpienia generał też nie mógł nie wiedzieć o dziewczynie. Ale nigdy o niej nie wspomniał, widać wiedział również, że Aide wzięła sobie do serca przykazania ojca o zachowaniu tajemnicy.

Trzy dni po Święcie Podróżnych Aru znów nakazał, by Sebu zjawił się u niego. Kiedy dozorca wyszedł z podziemi, ujrzał jasne ognisko Matki-Księżyc płonące nad dziedzińcem. Stara Bogini miała więc dobry humor, co mogło oczywiście nic nie znaczyć, ale mogło też być dobrą wróżbą. Ojciec Aide należał do tych ludzi, którzy rozumieją, że kto wiele razy przegrywa, niechybnie zbliża się do wygranej. Byle tylko miał co stawiać...

Generał jak zawsze siedział na tym samym krześle na wprost drzwi, z lekko rozkraczonymi nogami, z mieczem na udach.

- Czy komnata węża czeka gotowa? - zapytał.

- Tak jest, waleczny!

- Czy w twojej służbie napotkałeś trudności?

- Nie, panie. Żadnych.

Sebu spodziewał się usłyszeć: *Zatem rozkazuję, byś pełnił służbę dalej. Odejdź, dozorco!*, ale zamiast tego Aru wstał i odchylił kotarę nad drzwiami do drugiej, ciemnej izby. Stał za nią niewysoki, ale i nie niski kupiec z liczącymi kamieniami na szyi. Włosy miał czarne jak Byrdyjczycy lub Pobrżeżanie, ale skórę jaśniejszą - jak ludzie z Addli. Jednak odkąd Aytlan panował nad cywilizowanym światem, a mieszkańcy różnych krain mieszały się jak smaki w polewce, takie rzeczy już niewiele o człowieku mówiły. Wyglądał jak każdy i mógł być każdym.

Serce dozorca zabiło mocniej, ale wytrwał, nie uczynił żadnego gestu. Dalej stał, jak przystało stać przed dowódcą - noga przy nodze, prawa dłoń na piersi i lewa trzy palce od klamry pasa.

Kupiec wyszedł z mroku i stanął za generałem.

- Jestem Marlo. Wąż Marlo - powiedział.

*

Wąż wzdrygnął się, schodząc do podziemi. To było silniejsze nawet od niego. Gdy tylko stracił z oczu ostatnie, najniższe okno, przez które wpadało światło Matki-Księżyc, zaraz przypomniał sobie kazamaty pod Aabo, kiedy zaś już miał przekroczyć próg swojej komnaty, nawet ciało przez chwilę nie chciało go słuchać. Przystanął.

- Czy coś jest nie tak, panie? - zapytał zafrasowany Sebu.

- Nie, jesteś doskonałym dozorcą - pochwalił wąż, rozglądając się po pomieszczeniu, w którym przyjdzie mu żyć bogowie wiedzą jak długo. Stół, łóżko, skrzynia, lampa - znacznie więcej, niż do tej pory dostawał. - Wierz mi, byłem już w wielu lochach, ale o żadne z nich nikt nie dbał z równą starannością.

- Pełnię tylko swoją służbę, panie Marlo. - Sebu skłonił się oszczędnie, po żołniersku, a kiedy podniósł głowę, już nie zwieszał jej jak zwykle, tylko trzymał dumnie wzniesioną do góry. Warto było czekać! - Tu w skrzyni masz, panie, narzutę na łóżko i obrus. Jeśli sobie życzysz przyozdobić ściany, znajdziesz wyszywane tkaniny godne namiestnika.

Tkaniny! - pomyślał wąż ze wzgardą. Słyszał o pewnym księciu przeklętym żywcem zamurowanym w podziemiach twierdzy Portan, któremu pozostawiono tylko mały otwór do podawania jedzenia. Gdy zmarł i na powrót rozkuto wejście, okazało się, że ów nieszczęśnik cegłą i węglem wymalował wokół otworu okno wychodzące na las i brzeg morza. Trup siedział na krześle, gapiąc się zgasłymi oczami na mały żagiel i zachód słońca. Nie, nie, Marlo nie chciał podobnie jak tamten zbudzić się pewnej nocy, którą weźmie za poranek, i w przypiływie szaleństwa odsuwać tkanin, licząc, że to tylko zasłony.

- Dzięki, dobry panie Sebu, ale nie potrzebuję tkanin - powiedział. - Kości Ziemi też są piękne.

- Tak, masz słuszność, panie, natychmiast je usunę! Racz jednak choć spojrzeć do kufra, czy coś ci się nie nada. - Dozorca podbiegł do obszernej skrzyni stojącej na wprost wejścia, tam

gdzie w komnatach ponad ziemią zwykle jest okno. Niczym kupiec bławatny zapraszającym gestem otworzył wieko. W środku były płótna i serwety, dywany i obrusy - każdy starannie złożony tak, by już na pierwszy rzut oka widać było główny motyw zdobień. Po prawej wzory Lwów, po lewej Smoków. Sebu wyjął kilka z taką delikatnością i czcią, jakby to były chorągwie pułków, w których służył.

Wąż ukrył zniecierpliwienie. Otworzył szerzej oczy i nadał głosowi ton ciekawości.

- Zawstydzasz mnie, panie, prawdziwie molkijską gościnnością. Pięknie szyty ten Smok. Czy to stara robota?

- Tak, panie. Jeszcze z czasów sprzed wojny z Aytlanem. Jeszcze gdy w Molku siedział król, nie namiestnik.

Dozorca ożywił się gotów mówić dalej, wyrzucić z siebie te wszystkie słowa, które narastały w nim przez długie lata, jednak powstrzymał je. Wąż przypląnął przecież z Aytlanu.

- Rozłóż to na stole - rzekł życzliwie Marlo. - To godło Pobrzeża, prawda? Niech mi przypomina, że teraz służę panu Molku.

- To słowa prawdziwego węża, panie. Jestem niezmiernie rad. W czym jeszcze mógłbym ci pomóc?

- Będę potrzebował ołtarza, na którym mógłbym składać ofiary. Jutro obudzisz mnie o świcie i opiszesz mi miasto. Widziałem niewiele, tyle co w drodze z portu. Przynoś jadło dwa razy na dzień, wodę... Być może będę potrzebował wyjść na zewnątrz... niekiedy...

- To zrozumiałe, panie. Dostaniesz konieczne przebrania i jest sekretny tunel, do którego tylko ja mam klucz.

- Więc omówiliśmy wszystko, panie Sebu. - Myśli Marla odetchnęły, ale głos się nie zmienił. - Teraz chciałbym wypocząć, a wcześniej zjeść lekki posiłek.

Gdy tylko wypowiedział *posiłek*, do komnaty weszła drobna, lekko przygarbiona dziewczyna. Wąż odgadł, że również ona znaczną część życia musiała spędzić w podziemiach, które zawsze nadają wyglądowi swych mieszkańców coś gnomiego - to pochylenie, tę chęć zajmowania jak najmniej miejsca, by swoją osobą nie zagracać i tak ograniczonej przestrzeni. Czarne włosy dziewczyny znaczyły nierówne czerwone pasma niedokładnie nałożonej henny. Nosila prostą szatę z niebarwionego lnu, która przy każdym kroku to marszczyła się na brzuchu, to uciekała w górę na plecach.

- Moja córka, panie...

Dziewczyna wyprostowała się, wtedy Marlo zobaczył zaciekawioną trójkątną twarz niczym u młodego tchórza. Oczy przez chwilę przypatrywały się, pytając: *Czy to tak wygląda wąż?* Szła teraz z wysoko podniesioną głową, niosąc parującą misę przykrytą pszennym plackiem. Źle skrojona szata dziewczyny wyprostowała się z przodu, uwypuklając piersi wielkości pięści mężczyzny i odsłaniając małe stopy w starych sandałach.

Moja córka, panie... - w głosie dozorczy Marlo czuł zawstydzienie i pogodzenie się z losem, jego myśli mówiły to samo. Skoro widziała na oczy, miała obie nogi i ręce, do tego nie wyglądała na ladacznicę, musiała być nierozgarnięta albo pozbawiona mowy. Gdy jednak postawiła jadło na stole, odezwała się naraz rozumnym tonem:

- Posil się, panie. Rada jestem ci służyć.

- Dzięki. - Marlo oderwał kawałek placka i zaczął żuć na stojąco. Nie chciał siadać, wolał obserwować dziewczynę. - To niecodzienne, że pozwalają ci trzymać córkę ze sobą, Sebu.

- Oddalę ją, jeśli sobie zyczysz, panie.

Wąż urwał drugi kawałek placka, przypatrując się obojgu. Dozorca czekał na rozkaz, ona raczej na wyrok. Strach pochylił jej ramiona i przyspieszył oddech.

- Nie, nie trzeba. - Marlo uśmiechnął się. - Jak mam cię nazywać, dziewczyno?

- Aide - powiedziała, łapiąc powietrze jak niedoszły topielec.

Niedługo później Sebu obudził Furda, wartownika po drugiej stronie okutych drzwi do pałacowych podziemi. Przekazał mu, czego zażądał wąż, ale nie odszedł jak zwykle, mamrocząc pod nosem ni to wyrzeczenia, ni przekleństwa. Widać było, że chce chwilę pogawędzić, jednak nie jest do tego przyzwyczajony, to i nie wie, jak zacząć.

- Tylko niech szybko się sprawią - mruknął w końcu.

- Będzie, jak trzeba, Sebu. A jak tam twój wąż?

- Oby mój syn, jeśli się go doczekam, też trafił na takiego - rzekł dumnie dozorca.

- Właśnie, syn! A co tam u twojej Aide?

Sebu spojrział na Furda rozzłoszczony, że ten nie chciał podzielić ostatniego z jego niespełnionych marzeń. Aide! Co ma być u dziewczki? Ona nigdy nie będzie przecież dozorcą węży! I odszedł w dół krętymi schodami, jak co dzień mamrocząc pod nosem ni to narzekania, ni przekleństwa.

Nie minęło kilka dni, a wartownik Furd znów zobaczył dozorcę Sebu i - co zdumiało go najbardziej - nie w korytarzach Pierwszej Wieży, ale w karczmie „U Uglika” na Podgrodziu. Właściwie zaś wydało mu się, że zobaczył, bo gdy podszedł przepić część żołdu z tak nieoczekiwanym towarzyszem, spod sfatygowanego kaptura wyjrzała szczupła twarz z niestarannie ogolonym zarostem i przenikliwe, świdrujące ślepia.

- Wybacz, pomyliłem cię z kimś, panie - bąknął wartownik i już zamierzał odejść, lecz nieznajomy złapał go za kubrak.

- Nic podobnego, panie! - odezwał się nagle życzliwie, buchając z gęby co najmniej półgarncem piwa. - Bogowie wiedzą, co robią. Ty zaś musisz być wojownikiem z Pierwszej Wieży, czyż nie?

Może i z Pierwszej, a co ci do tego? - chciał już burknąć Furd, a jednak usiadł i nie pożałował, bo za chwilę stanął przed nim kubek, a w kubku zapieniło się piwo. Tymczasem Malrin, kupiec z Quetli, jak przedstawił się nowy kompan, jał narzekać na molkijską Gildię. Głędził, że ceny zakupu wyskrobuje ona chyba z zadka, ale ceny sprzedaży to wypisane ma na powale, skoro on, Malrin, może i ułomek, ale na pewno nie nędzarz, choćby rok skakał, i tak ich nie dosięgnie.

Wartownik zaś pił. Nie wyznawał się ani trochę na handlowych sprawach, wiedział jednak, że póki darmo piwem poją, należy słuchać i potakiwać. Przysypiał już, gdy nagle szczodrego kompana zaciekawiał fach wojownika i zaczął wypytywać a to o służbę w pałacu, a to ile kochanek ma generał Aru, a to czy żołdu starcza... Furd więc, przepłukując sobie gardło kolejnymi łykami, gadał i gadał, aż nad ranem karczmarz Uglík kazał wszystkim iść do domów.

Ledwie następnego dnia wojownik otworzył oczy i obmył bolący łeb zimną wodą, wezwali go do dziesiątnika.

- Od dziś, Furd, będziesz pilnować Dziesiątej Wieży - usłyszał.

- Na rozkaz! Ale... dlaczego, panie?

- Kazali, to słucham. - Dowódca wzruszył ramionami, po czym dodał jeszcze: - Oddaj błękitny płaszcz, tam dadzą ci brązowy.

- A żold? - jęknął wartownik.

- Gówniany płaszcz nie błękitny, gówniany żold nie zaszczytny - wyszczerzył zęby

dziesiątka. - Co ci na to poradzę?

II

Poznawalem miasto, którego nigdy nie widzialem, tak jak ślepiec poznaje kolory i kształty. A jednak do dziś pamiętam, którądy najszybciej dojść ze Złotego Targu na Plac Czterech Świątyń, i potrafiłbym opowiedzieć, co widać po drodze. Jak niewidomy żebrak bezbłędnie odróżnia miedziaka od srebrnika, tak samo ja musiałem poznać Molk nie gorzej od jego mieszkańców, a temu, bym czuł rytm tutejszego dialektu, służyły moje krótkie wypadki do molkijskich karczem. Tylko wyprawy sekretnym tunelem za miasto służyły wyłącznie mnie samemu. Patrzyłem ze skalnej półki na przestwór pustyni i nie było nikogo - tylko ja i bogowie.

W swej komnacie z pomocą dozorczy wyróżnałem na stole sieć ulic i domostwa, a potem kolorowymi tuszami nanosiłem wszystko, co mi o nich opowiadał. I co dzień przez trzy lata spoglądałem na stolicę Pobrzeża z góry, jak bogowie. I wiesz, panie, co nieraz myślałem? Że gdyby Sebu miał odwagę i talent, by oszukać węża, mógł stworzyć w swojej myśli miasto, jakiego nigdy nie było, i zaludnić je nieistniejącymi mieszkańcami. Ale widać nie był bajazem, no i miał jeszcze Aide. Ale o tym za chwilę.

Moje zadanie było trudniejsze od zadania bogów. Oni stworzyli świat, a świat zaczął żyć własnym życiem. Gdy uczeni i władcy próbują odgadnąć zasady, które tym życiem rządzą, nieraz wpadają w pułapkę własnego umysłu. Szkicują, robią plany i wykresy i wszystko im się zgadza, ale gdy przymierzają myśl do prawdy, ta wycieka bokami ich mądrych ustaleń podobnie jak kipi kasza, gdy postawić ją na zbyt dużym ogniu. Ja nie mogłem popełnić błędu. Dlatego co dzień przynoszono z miasta raporty, a Sebu przekazywał je mnie. Gdy ktoś kupił kozę, ja musiałem zaraz o tym wiedzieć, gdy komuś zdechła krowa, jej smród docierał i do mnie. Wiedziałem, kto kogo kochał i kogo nienawidził, z kim się pokładał i kogo zdradzał. Trzymałem za ogony wszystkie intrygi, a że długo nie miałem rozkazu robić z tego użytku, zacząłem niczym bogowie przyglądać się ludzkim losom.

Żył na przykład w Molku pewien nekromanta imieniem Nzalan, który krótko przed objęciem namiestnictwa przez Quotlina uleczył w mieście zarazę. Pewnie gdyby to się stało na Aytlanie, przewodziłby jakiejś radzie w Akademii Wiedzy, a tu zyskał tylko tyle, że przez kilka miesięcy ludzie nienawidzili go nieco mniej.

Na krótko zaciekawiał mnie też Kannabi, który był dla prostych kupców tym, czym ja dla władców. Człowiek ów oddał swym zleceniodawcom wiele przysług i niejednemu za skromnym wynagrodzeniem pomógł pomnożyć majątek. Jednak zamiast spółkować z kobietami, on wolał młodych chłopców, przez co kupcy zarówno potrzebowali go, jak i się nim brzydzili.

Był też niejaki Zaka, wielki bogacz, tyle że z podłej dzielnicy, więc handlarze z miasta nie zapraszali go do Gildii... A nad nimi byłem ja - w swym fachu równie skuteczny i przez to ścigany nie mniejszą pogardą. Przez te kilka lat w lochu pod Molkiem poznałem więcej prawdy o ludzkim żywiole niż przez całe wcześniejsze życie. Nie potrafiłem jednak go znienawidzić, bo niewiele brakowało, a byłbym takim samym człowiekiem jak tamci i starannie przygotowywałem się na tę chwilę, gdy stanę naprzeciw mistrza i zażądam, by wyznał, co mi zabrał i dlaczego. Czekałem na dzień, gdy wykonam misję dla namiestnika, a potem będę mógł zająć się swoją własną. Nie sądziłem, że cokolwiek innego może zająć mi myśli i uczucia, a jednak nawet w życiu węża zdarzają się wypadki, których nie sposób przewidzieć...

*

Wąż stał nad stołem, przypatrując się wyrżniętej na nim płataninie ulic Molku. Obok na skrzyni leżało kilka ksiąg, a na samym wierzchu „Pobożne opowieści” Agni-Herta, arcykapłana tutejszej świątyni Boga-Ognia. Marlo liczył, że właśnie tam znajdzie klucz, który pomoże mu zrozumieć autora. Jednak nie, księga milczała, więc jeszcze raz przyglądał się planowi miasta, jakby szukając na nim jakichś ukrytych ścieżek, którymi podążały myśli tego człowieka.

Aide cicho poruszała się po komnacie. Uprzątnęła już miski z resztkami posiłku, teraz ścierała kurz z ołtarzyka. Wąż przywykł do jej milczącej obecności i nie zajmowała go ona bardziej niż kiedyś odgłosy lasu, w którym się szkolił. A przecież nie potrafił wtedy jeszcze skupić na zadaniu całej uwagi, tak że drętwiały mu zmysły i nie dostrzegały nic poza tym, co było potrzebne umysłowi. Odgłosy lasu, mistrz... Nie, jego myśl nie powinna ulatywać w tamtą stronę, nie teraz. Gdy wykona zadanie, przyjdzie jeszcze pora na dawne rachunki!

Mój duch jest Ogniem, ciepło grzeje wolę. Wola jest Powietrzem, wiatr porusza myśli... - Już pierwsze słowa wężowej modlitwy uspokoiły umysł, który znów skupił się w jednym punkcie jak ostrze sztyletu. Marlo w swej głowie przyłożył go do szyi Agni-Herta i zaczął przepytwać arcykapłana: *Czemu przewodzisz ayatlanckiej frakcji i bardziej dbasz o interesy*

trzech królów niż czterech bogów? Nie masz przecież przez to więcej bogactw ani znaczenia. Czemu więc to robisz, choć sam wywodzisz się z Molku? Prawdziwy Agni-Hert być może wyznałby mu wszystko, ale ten przywołany w myślach nie miał nic do powiedzenia. Nie, wąż nie pominął żadnej nitki jego planów ani ambicji, po prostu wywiadowcy generała Aru czegoś sami nie wiedzieli, więc i nie donieśli o tym Marlowi.

Jeszcze raz, siódmy raz od początku! Czego nie miał arcykapłan, a co mógłby mu dać ten czy ów z ayatlanckich królów? Przełożony świątyni był Ziemią smaganą Wiatrem, żelazna wola wywiała z niego uczucia i został tylko zimny, twardy rozsądek. Taki człowiek nie pragnie nic prócz tego, co mieć może, i nie sięga po to, co nie jest mu potrzebne. A co potrzebne, miał: bogaty dom, ludzki szacunek i wiedzę - wszystko, o czym kapłan może marzyć. Winien to utrwać, a nie ryzykownie wdawać się w inne sprawy. Co innego, gdyby był czystą Ziemią wezbraną Ogniem...

Jeszcze, ósmy raz od początku! Agni-Hert, trzeci syn jednego z wyższych kapłanów w Molku, podobnie jak bracia został akolitą, gdy tylko skończył szesnaście lat. Jego pobożność i zdolności przemawiania do pospólstwa szybko zostały docenione, dlatego po śmierci ojca właśnie on zajął jego miejsce w Radzie Sług Pana Ognistego Żywiołu, Syna Słońca, Agniego. W życiu arcykapłana nie było żadnych nadzwyczajnych wydarzeń, a wolę, która zdusiła przyrodzone mu uczucia, utwardziła najpewniej wpajana od dziecka pobożność.

Gdzie klucz? Czego takiego nie wiem? - po raz kolejny myśli węża pytały jedna drugą.
Służące gadają, że on nie ma dzieci.

Nie ma dzieci? A Enok, Abadon i Ema, którą jego młoda żona urodziła zaledwie przed dwoma laty? Gdyby nie miał, istotnie byłaby to wstydliva sprawa, jednak...

Enok ma ostry nos zupełnie jak u kupców z Quetli, Abadon wygląda, jakby przyплыł z dalekiego Południa, a Ema już teraz jest podobna do kupca Borha jak kropla do kropli - poczuł myśl Aide, która nawet nie przerwała sprzątania.

- Skąd wiesz, dziewczyno, że jestem tego ciekaw? - zapytał na głos.

Córka dozorczy poczuła na sobie jego ostry wzrok, więc też spojrzała na węża. Oczy Marla boleśnie przyszpiliły jej źrenice. Poczuła się, jakby szła pod wiatr niosący drobiny piasku z pustyni.

- Wybacz, panie, ale przecież od kilku dni zajmuje cię tylko arcykapłan - szepnęła przestraszona. - Pomyślałam...

- Właśnie w tym rzecz, że pomyślałaś! Kto cię szkolił?

- Nie rozumiem cię, panie.

Kto?!!

Aide upadła na kolana, obejmując rękoma głowę. Ból rósł w samym jej środku, jakby ktoś wraził tam hak i teraz szarpał nim we wszystkie strony. Pragnęła odpowiedzieć, ale myśli nie słuchały jej, a usta tylko otwierały się i zamykały jak u ryby. Naraz ból ustał, poczuła za to, że coś splątuje jej umysł z myślami Marla, i poddała im się, otwarła, zapominając już o tej chwili cierpienia, czując za to taką bliskość, jakiej nigdy sobie nawet nie wyobrażała. Chciała śmiać się i krzyczeć, ale wtedy ręka węża zatkała jej usta.

- To niewiarygodne, Aide - po raz pierwszy nazwał ją po imieniu, a nie *dziewczyno*. - Wybacz, wiem już, że nikt cię nie szkolił. Prawdziwy talent w dziewiczym umyśle. Nie chciałem sprawić ci bólu, ale zawsze gdy pierwszy raz ktoś wchodzi w ciebie myślą... Nie zrozumiesz, może kiedyś... Czy teraz już dobrze?

Skinęła głową, patrząc na niego z większym nabożeństwem, niż Agni-Hert przypatrywał się kiedykolwiek posagowi swego boga. Marlo pogładził ją po włosach, spostrzegając zaskoczony, że farbuje je dużo staranniej niż przed prawie trzema laty, gdy zwrócił na nią uwagę po raz pierwszy i jak dotąd ostatni. Naraz poczuł coś lepkiego na dłoni. To była krew, która nadal sączyła się z uszu dziewczyny.

- Wybacz. Ten pierwszy raz czasem boli. Jak w miłości.

Spojrzała na niego zaczarowana spokojnym, niemal czułym tonem głosu. Ale Marlo zostawił Aide klęczącą na podłodze i otworzył drzwi.

- Sebu! - zawołał. Na korytarzu zadudniły śpieszne kroki dozorczy.

*

Dozorca zastał Marla wpatrującego się w oczy Aide, która stała przed nim sztywna i nawet nie zwróciła uwagi na ojca.

- Czy dziewczucha zrobiła coś nie tak, panie? - spytał ten zaniepokojony. - Oddalę ją natychmiast.

Dopiero słysząc jego głos, dziewczyna spojrzała w stronę drzwi. Sebu ściągnął brwi, nie widząc w jej oczach lęku ani skruchy. A musiała coś przeszkrobać, to pewne, bo skąd niby krew

na włosach? Ktoś taki jak Marlo nie biłby bez powodu. Chyba że...

Życie w ukryciu zwykłego człowieka napęłniłoby szaleństwem, a i węże nie są na to całkiem odporni. Taki Hamr na przykład kazał ponoć sprowadzać sobie ladacznice. Ten dotąd tylko modlił się niby kapłan, ale... Aide, choć nic na świecie nie znaczy, jednak też nie zawadza. Trochę żal... Dozorca wyciągnął rękę, żeby chwycić córkę i co prędzej zabrać sprzed oczu węża, ten jednak go powstrzymał.

- Poczekaj. Usiądź i nic nie mów.

Sebu podsunął sobie stołek. Długo spoglądał na węża i dziewczynę, ale nic się nie działo. Nagle poczuł chłodne, delikatne powiewy wiatru, zupełnie jakby podziemna komnata miała okna po obu stronach i niedbały służący źle zamknął okiennice. Dozorca już odgadł, co się dzieje, w końcu szkolono go - Marlo wypuszcza z głowy myśli. Ale czym jest ten drugi, lżejszy powiew? Czyżby... Nie, to nie było możliwe!

- Czy to prawda, Sebu, że twoja żona mieszkała w Dzielnicy Kupców? Nie, nic nie mów! Tego mogłem dowiedzieć się skądinąd. Czy pamiętasz, kto chciał wziąć Aide za żonę, kiedy przyprawiono ją do ciebie po śmierci matki?

- Naprawdę ktoś ją chciał? O panie, żeby ją ktoś w ogóle zechciał! - Zdziwiony ojciec sięgnął w pamięć, ale nic tam nie znalazł. Choć może? Coś powoli zaczęło rysować mu się w głowie.

- Aide, podpowiedz - rozkazał wąż.

Sebu przypomniał sobie naraz kuchcika z prawą połową twarzy wgniecioną do środka niczym odwrócona łyżka. Pamiętał ją, ale teraz zobaczył wyraźniej niż zwykle. Ta gęba nachylała się ku niemu. Z lewej strony była obrośnięta ciemnym, gęstym zarostem, a z drugiej wysepkami rzadkich kłaków między morzem czerwonego mięsa.

Musisz ją wziąć pod opiekę. - Żółte zęby obnażyły się w uśmiechu i powiało trawioną cebulą. - A jak nie chcesz, he, he, to daj mi za żonę!

A za chwilę niemal usłyszał swój własny głos: *Koń z gównem nie gada, Krzywa Mordo! Moja córka nie będzie żoną kuchennego tłuczka.*

- Co to? Skąd to wiesz, panie? - spytał zadziwiony dozorca.

- Od Aide. Ale to nie ja o tym do ciebie pomyślałem. To ona. Jest jeszcze jedna rzecz. Czy tej nocy, kiedy pierwszy raz zszedłem z tobą do podziemi, dawałeś jej jakieś polecenia? Czy mówiłeś, kiedy dokładnie ma przynieść mi jadło?

- Nie. To... dość rozumna dziewczyna. Nie trzeba wiele gadać, żeby robiła, co się należy.

- Przyniosła je w tej samej chwili, kiedy powiedziałem: *positek*. Tak było, dozorczo, dobrze to pamiętam - stwierdził z naciskiem Marlo.

- Nie ośmieliłbym się zaprzeczać twoim słowom, panie. - Dozorca już był przekonany, jednak dalej nie mógł uwierzyć. - Ale czy to znaczy, że... Jak to możliwe?

- Jedni rodzą się na kobiety, inni na mężczyzn, jedni, by być wysocy, inni na rudych. Jeszcze inni mają dar myślenia-do. Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć. Byłeś przecież szkolony. Przypomnij sobie, ile razy ona chwyciła miotłę, zanim zdążyłeś powiedzieć: *posprzątaj*, albo miskę, nim usłyszała: *daj jeść*. Brałeś to pewnie za psie posłuszeństwo, którego nie warto dostrzegać. Wiem, Sebu, twoje myśli zaprzętało co innego - dodał wąż, widząc jego niepokój. - Często ojcowie ostatni dostrzegają prawdziwe zdolności swoich dzieci.

Jakże to? Więc gdy dozorca marzył niekiedy o zdolnym synu, tuż obok krzątała się równie zdolna córka? Ojciec niepewnie wyciągnął rękę i... pogłodził powietrze o grubość palca od głowy Aide.

- Co rozkażesz, panie? - zapytał.

- Najważniejsze, dozorczo, nikomu ani słowa. Chcę też, żeby dziewczyna częściej wychodziła do miasta i przynosiła mi wieści. I żeby nikt nam nie przeszkadzał, gdy będzie ze mną w komnacie.

- Tak będzie. Ale co ja mam zrobić?

- Ty, Sebu, po prostu daj mi swoją Aide.

Zdumiony tym prostym rozkazem dozorca nie wiedział, co odpowiedzieć. Wąż Marlo nie chciał nowych raportów, dań ani wina, nie żądał niczego, w czym Sebu byłby tylko pośrednikiem. Chciał czegoś, co było jego, a nie wydawało się cenniejsze od psa czy noża. Był więc bogaty! I jak każdy bogacz, dając, mógł liczyć na wdzięczność. Wdzięczność węża!

- Słyszałaś, dziewczyno? - ryknął jak dziesiętnik do swoich wojowników, choć tak naprawdę to, gdyby umiał, pewnie by ją przytulił. - Pan Marlo zażądał ciebie, a ja mu niczego nie śmiałybym odmówić. Masz być posłuszną i powolną, rozumiesz?

Aide skinęła głową, a wąż dał mu dłonią znak do odejścia.

Sebu nawet nie marzył, że spotka go taki honor. No, Aide nie wypadła krowie spod ogona, z powodzeniem mógłby ją wydać za mąż nawet za dziesiętnika z Pierwszej Wieży. Gdyby nie była dziewczyną, mogłaby zostać dozorcą węży. Co tam, nawet wężem! Ale tylko mężczyźni

mogą nimi zostać. Jednak i ją spotkało najlepsze, o czym mogła marzyć - sam Marlo poznał się na jej zdolnościach i chciał, aby mu ją dać. Po co? Sebu nie zapytał, ale jest tylko jedna przyczyna, dla której mężczyzna chce wziąć kobietę. Co za zaszczyt! Wąż mógłby żądać najpiękniejszych ulicznic Molku, a chce właśnie Aide!

Rozradowany dozorca wyszedł z komnaty oczadziały od bezliku szczęśliwych wydarzeń.

*

Ojciec-Słońce kończył już polowanie, kiedy niewysoka młoda dziewczyna o czerwono barwionych włosach przemknęła cicho przez most na Efrze. Widząc, że kręci się na nim jeszcze wielu ludzi, minęła schody prowadzące do Cytadeli i skręciła w cichą ulicę, która okrążała pałac namiestnika od północy. Przy drugiej, mniejszej bramie nie było już żadnych przechodniów. Zastukała i strażnicy wpuścili ją jak zwykle.

Aide codziennie zapuszczała się w miasto, by chodzić po targach i przy brzegu rzeki poniżej teatru, gdzie woda nie była jeszcze tak mulista i gdzie praczki trzepały, tarły i tłukły ubrania, i z równą zawziętością obmawiały ich właścicieli. Zatrzymywała się przy nich, i z uśmiechem słuchała plotek i narzekań - i tych wypowiedzianych na głos i tych tylko w myśli. Szła też na Podgrodzie, na przystań rybacką, targ koński i bydłocy, przemykając cicho, szybko i z uśmiechem, tak że nikt nie zwracał na nią większej uwagi, i szybko zapominał, że ją widział. Może tylko te czerwienione henną włosy zatrzymywały się w pamięci nieco dłużej, ale czy mało to było w Molku dziewczyn piękniejszych, strojniejszych, o włosach gęstych jak owcze runo, oczach błyszczących jak dobra zapłata, piersiach wysklepionych pod szatą jak wielkie krople mleka, biodrach kołyszących się jak statki w porcie... Jeśli ktoś zapamiętał Aide, to tylko tak, jak zapamiętuje się złamane drzewo nad rzeką czy obtłuczony tynk na domu przy Zachodniej Bramie.

Kiedy już przemierzyła ulice i place, wracała do pałacu, gdzie przed Pierwszą Wieżą czekał na nią ojciec. Zakładał dziewczynie worek na głowę i trochę ją prowadził, a trochę niósł w dół, do lochów. Tam - nasiąknięta wieściami jak gąbka - mogła wylać je z siebie wprost do umysłu węża.

Siadywała w jego komnacie, wiedząc, że póki ma o czym mówić i myśleć, on nie oddali jej ani ojciec nie przerwie spotkania. Przynosiła więc wszystko, co tylko mogła, coraz sprytniej

wsysając się w głowy molkiarzy. Aż przyszedł ten dzień, kiedy on - wąż Marlo, raczył rzecz jej coś brzmiącego jak pochwała.

- Znowm myślałem o tym arcykapłanie Agni-Hercie - zaczął, gdy weszła. - I o tym, że to ty go dla mnie upolowałaś. Dlaczego gdy szukałem klucza do jego uczynków, zaraz odpowiedziałaś mi te bękarty?

- Bo o tym jednym nie było nic w twoich myślach, panie - odpowiedziała. - Gdybym wiedziała, że to takie ważne, powiedziałabym wcześniej.

Pogładził ją po włosach i podał wino. Dziewczyna objęła kielich obiema dłońmi i piła, wpatrując się w Marla, który pochylony nad stołem rysował i zmazywał jakieś notatki zrozumiałe tylko dla niego.

- Wszystko jest ważne, Aide. Pewnie myślisz jak każdy, że król ma duszę królewską, kapłan kapłańską, a pastuch pastuszą. Ale prawdziwy wąż wie, że na dnie umysłu wszyscy chowają to samo. Molk spłodził Agni-Hertowi bękarty, więc ten mści się na Molku. A żony nie odprawi, bo co by mu z tego przyszło prócz jeszcze jadowitszych plotek? Jesteś bardziej rozumna, dziewczyno, niż sama sądzisz. W niejednej kobiecie mieszka żmija, ale ty możesz być najlepsza właśnie dlatego, że wyglądasz jak niegroźna żaba. Mój mistrz też wyszkolił dawno temu pewną kobietę w Trzech Słońcach, tylko że ona...

Urwał i zamyślił się. Córka dozorczy wiele by dała, aby podejrzeć chociaż cień obrazów przelatujących teraz przez jego głowę.

- Nieważne - podjął po chwili. - Myślę, że nigdy tego nie pożałował, choć ja pewnie będę miał z ciebie większą pociechę. A po mnie jakiś inny wąż. Będziesz posłuszna?

Byłaby mu powolną i posłuszną, choćby nawet ojciec tego zakazywał. Bogowie okazali się łaskawsi, niż mogła marzyć. Odkąd pokochała węża, a on odwzajemniał jej miłość, w życiu dziewczyny wszystko się zmieniło. Nawet ojciec czasem rozmawiał z nią tak jak kiedyś matka. A przynajmniej próbował. Jednak Aide nie zależało już na rozmowach z Sebu. To mogło być ważne kiedyś, gdy dopiero co zamieszkała z nim w podziemiach molkijskiej Cytadeli. Teraz cieszyła się najbardziej, gdy mogła spędzać długie godziny w komnacie węża, a z czasem także w jego łóżu.

Zaczęło się to ze dwa święta po tym, jak nazwał ją żabą. Wyszli wtedy razem sekretnym wyjściem za miasto. Ten pierwszy raz zapamiętała tak dobrze, że gdyby tylko miała cierpliwość i talent, mogłaby wyhaftować o tym piękniejszą narzutę niż te ze Smokiem Pobrzeża. W którymś z

rogów umieściłaby niewielki ornament - ciasny, ciemny tunel, którym posuwają się wolno trzy schylone postaci: Marlo, ona i ojciec prowadzący ich do wyjścia. Nitka wiłaby się wokół głównego haftu, płatała i w końcu rozszerzała w ogon węża. A wokół niego byłby owinięty drugi wąż i tylko odchylone głowy (ach, czemu głowy nigdy się nie łączą?!) patrzyłyby sobie w oczy rozkosznie i bezdusznie.

Siedzieli wtedy na skalnej półce ocienianej przez Górę Chlu. Nie było gorąco, choć przed sobą widzieli pustynię rozpaloną spojrzeniem Ojca-Słońca. Nie było tam nic, jakby Panowie Żywiołów zrezygnowali z tworzenia swego dzieła i świat zniknął.

Nie do wiary, że po drugiej stronie, za nami, jest Molk - pomyślała Aide.

Nie do wiary, że po tej stronie jesteśmy tylko my - usłyszała myśl Marla. Miał dobry humor, cieszył się z jej postępów w myśleniu-do i wieści, które mu przynosiła. Ale nie tylko! On był szczęśliwy, że choć nie zaniedbał przygotowań do nowej misji, to mógł choć na chwilę oddalić się od nich.

- Dziś jeszcze nie uczyłeś mnie walczyć - przypomniała. Nie to, żeby tak lubiła ból unieruchamianych stawów czy ciągle upadki na twardą ziemię, ale gdy dotykał jej, choćby jak przeciwnika, czuła dreszcze spływające w dół po plecach i brzuchu. Tego dnia, mimo że nabrała już przecież wprawy, też zaraz wytrącił dziewczynie sztylet i przycisnął ją do skały. A jednak ten dzień różnił się od innych, bo czuła jego dobry nastrój i własną rosnącą śmiałość.

- Jesteśmy tylko my. Razem - szepnęła, przysuwając się do Marla tak blisko, że słyszała jego serce.

- Ciii, Aide! Czemu tak krzyczysz?

Posłała mu więc myśl pełną wierności i oddania, która oplatała ich oboje i delikatnie zacisnęła węzeł:

Otworzyłeś mi umysł, panie, otwórz i ciało.

Wszystko jest w głowie...

Sięgnęła więc do głowy.

Byli wężami, parą węży na skraju pustyni. Spletli się tak ciasno, że aż straciła oddech, ciaśniej niż z pojedynczych sznurów plecie się liny okrętowe. Ciało przy ciele, splot przy splotcie, rozdwojone języki i jego rozdwojona męskość...

Westchnęła, otwierając oczy. Palce Marla przesuwają się w dół po jej karku, plecach, piersiach jak dwie łezki. Ukłękła, żeby mógł łatwiej unieść jej spódnicę. Chwilę potem nie

musiała już przywoływać żadnych wizji, nie była nawet w stanie zmusić myśli do posłuszeństwa, bo naprawdę wili się na skalnej półce jak para węży podczas godów. A gdy znów odzyskała oddech i serce przestało wyrywać się z piersi, Marlo leżał koło niej, tak samo jak Aide patrzył w głąb pustyni, tylko umysł miał zamknięty.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Nie chciałabyś tego wiedzieć, dziewczyno.

III

Było wiele powodów, które wstrzymywały mnie przed tym, by podzielić się z Aide swoimi myślami. Najmniej chodziło o dochowanie tajemnic władców - one dziewczyny nie obchodziły i pewnie zapomniały o nich już następnego dnia. Bardziej lękałem się poruszyć tę część pamięci, która powinna zostać tylko moja, w której rosły kłosa nienawiści i tylko czekały, aż spotkam mistrza i będą mogły szybko dojrzeć. Nie chciałem, aby ktoś inny chodził tam, deptając moje pole, tym bardziej że ta wiotka istota mogłaby być dla niego groźniejsza niż huragan.

Ile razy zasypiałem koło niej, obok nas niby duch zasypiała też niewidzialna Severia. Prawą ręką obejmowałem moją nową, a lewą - starszą kochankę. Nieraz, gdy już spały, patrzyłem to na jedną, to na tę drugą, utkaną ze wspomnień, i zastanawiałem się, jak to możliwe, że po tamtej kobiecie z Miasta Trzech Słońc jakakolwiek inna zwróciła moją uwagę. Severia była piękna, Aide tylko szczególna. Severia była dostojna i wyrafinowana, Aide wychowała się niby zwierzę i więcej pojmowała instynktem niż rozumem. Severia służyła mi radą, Aide sama jej potrzebowała. Severia z pewnością przeklinała mnie za to, że zrobiłem użytek z jej wiedzy o księciu Urim, że podszedłem ją i wykorzystałem. A co do Aide, trudno mi było sobie wyobrazić, że odważyłaby się mieć do mnie żal o cokolwiek. Patrzyła mi w oczy z wiernością psa i spełniała wszystko, co jej rozkazałem.

Kobieta jest zmienna jak ognisko Matki-Księżyc - tę naukę dała mi dawno temu Severia. Wysłuchałem jej i zapamiętałem, choć nigdy nie potrafiłem pojąć do końca. Mężczyźni są prostsi i dziękować bogom, że zawsze to ich przychodziło mi tropić i kąsać. A ile razy byłem bliżej kobiety, wszystko robiło się trudniejsze. Tylko nie z Aide! Ona jedna - może dzięki przebywaniu w podziemiach, gdzie Pani Nieba nigdy nie zagląda - miała w sobie stałość Ziemi.

Pewnego dnia wspomniałem jej o Severii. Twarz dziewczyny nie zmieniła się, choć

poczułem, że jej myśli zamierają tak jak drzewa w puszczy, kiedy powieje mroźny wiatr z południa.

- To było dawno. W Mieście Trzech Słońc - dodałem.

Odpowiedziała mi skinieniem głowy, ale nie uwierzyłem w tę jej zgodę.

- Tam musi być pięknie. Opowiedz, Marlo - poprosiła po chwili. W jej głosie był tylko smutek, że stolica trzech królów zawsze będzie przyćmiewać wszystko na Pobrzeżu, także ją i jej uczucia.

A Severia? Co ona powiedzialaby, gdybym jej z kolei opowiedział, co robiłem w Molku? Rzekłaby, że nie pozwoli mi się zbliżyć do siebie, nim uzdrowiacz nie sprawdzi, czy nie przywlokłem ze sobą zamorskich chorób. Jej perlące się śmiechem zęby odbijałyby światło nasączonych pachnidłami lamp, a głos pytał, czy to prawda, że na Pobrzeżu nawet w pałacu namiestnika kobiety oddają się tylko w pozycji krowy. A kiedy już pokazałbym jej, jak i co tam robiłem, przeszlibyśmy do tego, jaka misja mnie do niej przywiodła.

- Co? Przyszedłeś tylko mnie zobaczyć?! - wykrzyknęłaby zdumiona, gdyby nie było żadnej misji. - W takim razie powinieneś mi zapłacić jak inni!

Lecz choć byłby to tylko kolejny żart pięknej Severii, śmiałybym się tylko ustami, a nie sercem jak nieraz przy Aide. Byłbym dalej wężem, który oddziela to, co mówi, od tego, co myśli.

Tymczasem dla tej dziewczyny to ja byłem Sererią, a ona moim Marłem. Posyłając ją po wieści z miasta, czułem się, jakbym zdejmował z siebie skórę i okrywał nią Aide. A ona szła zadowolona, że przez to jesteśmy sobie bliscy niczym części tego samego ciała. Potem wracała, ja niczym wprawny mistrz bólu wypytywałem i po kawałku zdzierałem z niej samego siebie. Udawała, że nie cierpi. Ja także udawałem. Bo kiedy wyciągnąłem z niej wszystko, co było mi potrzebne, gdy z powrotem zakładałem swoją skórę, były pod nią drobinki Aide - jej myśli, zapachy, słowa i uczucia. Przez to i ja się zmieniałem i coraz częściej przez moją głowę przelatywała myśl, że gdyby mistrz nie obrócił w popiół mojej wsi, gdyby homar nie zabił mojej matki i siostry, to ja nie byłbym wężem i miałbym taką Aide za żonę...

Ale zanim podobne myśli zdążyły się we mnie zakorzenić, o swym wężu przypomniał sobie namiestnik Pobrzeża, Serce Molku, dostojny Quotlin...

*

Marlo z pochyloną głową czekał tego, co mu przyniosą zbliżające się kroki namiestnika.

- A więc tak wygląda mój wąż - powiedział Quotlin.

Nie przypominał władców, którym uczniowi Omara przyszło dotąd służyć. Królowie Aytlanu byli jak wilki - choć już odkryli, że nie warto zagryzać się nawzajem, każdy czujnie wypatrywał oznak słabości w pozostałych, by samemu wyrwać nieco większy ochłap ze wspólnie upolowanej zdobyczy. Quotlinowi Puf poskąpił woli, a Agni ducha. Nie był tchórzem, gdyby jednak przyszło mu rozdzierać łup z królami-wilkami, pozwoliłby im się nażreć powodowany wyniosłą odrazą. Nic dziwnego, że właśnie komuś takiemu panowie trzech królestw nakazali mieć pieczę nad Pobrzeżem. Przypominał zwykłego dworzanina, człowieka miękkiego jak błoto, którego dla zabawy ktoś odział w płaszcz władcy i kazał go udawać. A on starał się grać, jak umiał najlepiej.

A więc tak wygląda mój namiestnik... - pomyślał do niego Marlo, ale na głos powiedział coś zupełnie innego:

- Czy jesteś niezadowolony, panie?

- Nie, jednak inaczej sobie ciebie wyobrażałem. Węża zdziwiła ta prosta i szczerą odpowiedź. Choć bogowie Ognia i Powietrza poskąpili Quotlinowi ducha i woli, Chlu i Erh dali mu co mogli najlepszego. Namiestnik miał żywy umysł i ciało pełne szczerych odczuć, których nie krył, kiedy nie musiał.

- Jednak to ja jestem twym wężem, panie Molku. - Marlo pokazał swój tatuaż. Quotlin chłodno spojrział na wizerunek Lwa, ale myśli przybyłego z nim generała Aru niemal się zagotowały.

- Otrzymasz zadanie - powiedział namiestnik. - Sądzę, że chętnie wyjdiesz spod wieży.

W ustach Daviego takie słowa zadźwięczałyby złośliwie, ale jemu nawet nie drgnęła warga, by odsłonić zęby w ni to uśmiechu, ni wilczej pogroźce. Znow powiedział, co pomyślał. Wąż jednak nie dowierzał, chciał go sprowokować.

- Zrobię, co rozkażesz, panie. Ale nie tęsknię za światem aż tak bardzo, jak myślisz. Płacisz mi nie tylko za spełnianie rozkazów, ale i za oczekiwanie na nie w lochach. To odróżnia węże od twoich psów, władco Molku. Czy raczysz powiedzieć mi teraz coś więcej, czy zrobią to twoi ludzie?

- Powiem sam, mój Marlo. - Quotlin uśmiechnął się i usiadł na krześle obok stołu przykrytego płótnem z wizerunkiem Smoka Pobrzeża. - Miło widzieć ten obraz w twojej

komnacie. W innych dawno wyparły go ayatlanckie Lwy.

To były niebezpieczne słowa. Powiedziane na uczcie zrodziłyby pełną podejrzliwości ciszę, rzucone w karczmie rychło przywiodłyby tam strażników. Albo więc namiestnik prowokował Marla, tak jak on prowokował namiestnika, albo naprawdę ufał, że wąż jest jego lojalnym sługą.

Mieszkaniec podziemnej komnaty przymknął oczy, a myśli wypływające z głów przybyłych do niego ludzi stały się smużkami ledwo widocznego dymu. Nie pętyły się, nie zaciskały na innych myślach jak stryczki. Wsłuchał się w oddechy i bicie serc namiestnika i generała, wpatrzył w oczy Quotlina...

- Teraz wiem, że będę szczęśliwy, spełniając swoją powinność, panie. - Marlo odetchnął, skłonił się niżej i widząc przyzwalające skinienie głowy namiestnika, usiadł obok niego. - Nie lubię Lwów, choć to one mnie tu przysłały. Wybrałem więc Smoka, który nic złego mi nie uczynił.

Wąż nigdy nie widział u władców podobnie naiwnej radości w spojrzeniu, które trwało wprawdzie tylko chwilę, dla kogo innego pewnie nawet zbyt krótką, aby je zauważyć.

- A cóż ci złego uczyniły Lwy? - zapytał Quotlin. O, teraz skłamał! Chciał, żeby wyglądało to na żart, jednak mówiąc *Lwy*, jego głos przybrał ton, jakim zwykle mówi się *wrogowie*, a nitki myśli stały się grubsze i nierówne. - Dozorco, przynieś nam wina! Później możesz odejść.

Marlo zyskał więc czas, aby jeszcze raz upewnić się co do szczerości namiestnika. Rzeczywiście był błotem! Inni władcy kłamali choćby po to, aby przy każdej okazji ćwiczyć tę sztukę, on nie robił tego, bo po co się męczyć, gdy nie musi? To nie do wiary, że ten człowiek jeszcze żył, że nie zaszczuły go intrygi i podejrzania. Wąż wiedział, że dostał on namiestnictwo głównie dzięki staraniom ojca, który wywodził się z dawnych władców Quetli całkowicie pogodzonych z ayatlanckim panowaniem. Kwido - władca kraju Maud, sprowadził go więc do Miasta Trzech Słońc, aby mieć kogoś, kto nie należy do żadnej pałacowej frakcji, a jest wystarczająco dobrze urodzony, by nie wstyd było zasiąść z nim do stołu i rozmawiać w cztery oczy. Jednak namiestnictwo, nawet biednego Pobrzeża, to zawsze łakomy kąsek. Jak to możliwe, że chwycił go najgłupszy wilk w całej sforze? A może nie taki znów głupi, skoro dobrze krył się ze swoją niechęcią do najsilniejszych basiorów?

Sebu wrócił ze złoconym dzbanem, na którym siedziało kilka wodnych smoków i

próbowało zajrzeć do wnętrza. Największy wystawiał paszczę poza naczynie i układał jęzor w kształt rynny. Marlo przechylił dzban i po jęzorze smoka wino zaczęło płynąć do kielichów.

- Czasem trudno jest być wężem, panie. - Kiedy dozorca już wyszedł, Marlo pierwszy upił łyk wina, na znak, że nie ma w nim jadu. - Nie każdy rozumie, że gdy już ukąsi, nie da się tego odwrócić. Nie trzeba wypuszczać węża, gdy ktoś nie wie, czego naprawdę pragnie. Władca z krainy Addli tego nie rozumiał. Ostrzegalem, że ja zawsze wykonuję rozkazy. Wykonuję je do końca. Ale on, przedostojny Davi, siedział na swoim lwim tronie i mówił: *Jesteś wężem, Marlo. Kąsaj, nie pytaj.* Nie pytałem. Ukąsiłem. I na ponad rok znalazłem się za to w lochu. Nie przypadkiem, Serce Molku, węże nie są dla wszystkich, którzy mają pieniądze. Są najtajniejszą bronią prawdziwych władców pełnych mądrości i siły. Dlatego twierdzą, że pan kraju Addli nie zasłużył na swój tron. Albo też mistrzowie, którzy uczyli go rządzenia, powinni za oszustwo zgnić w lochu o chlebie i wodzie. Ale nie ja! Jednak wszystko szło już ku temu. Nie będę ci opisywał, panie, co czuje człowiek, który wymiotuje z głodu. Żyję, bowiem inny z trzech królów Aytlanu na gwałt potrzebował węża. Służbę u niego też trudno nazwać udaną, ale nie mogę jeszcze o tym mówić. Dość, że wypłacił mi zasługi i zaraz potem wygnał. I tak znalazłem się za morzem, u ciebie, panie Molku. Skoro dano ci takiego węża jak ja, może to znaczyć, że albo królowie Aytlanu uważają cię za lepszego władcę, albo też życzą ci jak najgorzej. - Marlo uśmiechnął się w duchu, bo już za chwilę szczerłość Quotlina miała być poddana ostatecznej próbie. - I jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie, panie... - zawiesił głos.

- Wyraź, wężu.

- ...sądzę, że chodzi o to drugie.

Generał Aru spurpurowiał, jednak namiestnik tylko się roześmiał.

- Mój Marlo, zdradzę ci przyczynę twoich kłopotów. Nie nauczono cię rozmawiać z trzymającymi władzę. Zwłaszcza z namiestnikami królów Aytlanu. Za to, co teraz powiedziałaś, w Quetli pewnie by cię wbili na pal.

- Dlatego w Quetli bym tego nie powiedział, panie. Ale wiem, że w Molku władzę sprawuje mędrzec, nie rzeźnik. I rozumie on, że wąż to bardziej uzdrowiacz niż dworak.

- Pięknie! Zatem przypadnie ci do gustu twoja misja, wężu. Uzdrowisz mi miasto. Generale!

- Tak jest! - Aru odstawił kielich. - Słyszałeś zapewne o zaginięciu kupca Borha, wężu?

*

Sebu nie śmiał podsłuchiwać, o czym mówiono w komnacie węża, jednak gdy namiestnik i generał wyszli, umyślnie długo otwierał rygle lochów, by dokładnie wybadać ich wzrokiem. Wtedy ogarnął go gniew - choć Quotlin opuszczał podziemia Pierwszej Wieży z miną równie nieobecną co zawsze, to Aru był wyraźnie niezadowolony. Dozorca spodziewał się ujrzeć swego dowódcę opromienionego radością, tymczasem najlepszemu z węży, któremu powierzył córkę, oto spotkała w Molku krzywdą, niewdzięcznością i niesprawiedliwością. Przywołał więc zaraz Aide i kazał zanieść Marlowi najlepszego wina.

- On teraz nie zechce - powiedziała.

- Jesteś młoda i nie rozumiesz. Są chwile, kiedy każdy mężczyzna musi wypić.

Nie spierała się z nim, nie chciała. Po raz pierwszy ojciec i córka mieli wspólny cel, szkoda byłoby to zniszczyć. Jednak tak jak się spodziewała, zastała Marla zupełnie spokojnego. Stał wpatrzony w swój plan miasta. Spojrzał na Aide i stuknął palcem w kwadrat wyobrażający dom kupca Tayna.

- Jak myślisz, dziewczyno, czego najbardziej może się lękać wasz nekromanta Nzalan? - zapytał niespodziewanie, gdy już postawiła dzban na skraju stołu.

Umysł miał zamknięty, przez co myśli nie nasączyły słów żadnym oczekiwaniem. Pytanie zabrzmiało tak głucho, że ledwie je zrozumiała.

- Nzalan? Dlaczego Nzalan? - zdziwiła się.

- A dlaczego nie? Skoro jest mord, trzeba nam będzie nekromanty.

- Jaki mord?

Marlo spojrział zdziwiony na jej pobladłą nagle twarz. Nie, nigdy nie będzie z niej tak dobra żmija jak Severia! Śmierć to tylko śmierć, zwłaszcza cudza i zwłaszcza w tym fachu.

- Tayno zabił Borha.

- Żartujesz sobie ze mnie, panie. To próba?

- Nie, bądź spokojna, Aide! - Jego uśmiech wyglądał jak każdy uśmiech, ale nie było w nim ani odrobiny uczucia. - Chcę się tylko przekonać, czy moje myśli o tym nekromancie są podobne do twoich.

- Marlo, panie, chcę pomówić z tobą o tym Borhu - zaczęła. - Pamiętasz, wysyłałeś mnie nawet do jego domu...

- Nie mam na to czasu - przerwał jej gwałtownie. - Kimkolwiek był, już go nie ma. Mów o Nzalanie.

- Proszę cię, pozwól...

- Aide! - syknął groźnie.

- Ludzie różnie gadają - zaczęła więc posłuszna i zrezygnowana. - Nienawidzą go. Każdy w takim położeniu lękałby się o życie, więc i on się lęka. Jest sam i nikomu nie ufa. Ale więcej w tym starcu woli niż ciała, mniej by go więc bolała sama śmierć niż to, że już nie dokona tego, co zamierzył.

Tylko słuchał, nawet nie zadając sobie trudu, by zajrzeć do jej głowy. Dziewczyny też nie wpuszczał nawet na próg umysłu. I wtedy Aide po raz pierwszy poczuła gniew na Marla. Nie obchodził jej już żaden Nzalan, tylko własny ból i złość. Wtedy właśnie poczuła dotknięcie węża, choć stał kilka kroków od niej.

- Nie bądź zazdrosna, dziewczyno. Przynajmniej nie o moją misję.

- Nie jestem zazdrosna. - Zaczerwieniła się.

- Nieprawda. Możesz iść spać.

- Zostanę. Będę patrzeć. Będę się szkolić. Może potem znajdziesz chwilę... - dodała po chwili wahania.

- Nie, idź spać do ojca. Ja muszę pomyśleć sam do siebie.

*

Marlo złożył bogom ofiarę, nie prosił jednak Żywiołów o wskazanie drogi, chciał tylko się uspokoić.

- Mój duch jest Ogniem... - szeptał, rozmyślając jednocześnie, jak to możliwe, że Quotlin na początku wzbudził w nim szacunek.

Wojownik tak jak pies jest szczęśliwy, służąc dobremu i godnemu panu. Wąż nie zna takich uczuć, bo wie, że dobry i godny pan rzadko zostaje władcą. Jednak Marlo przez chwile był przekonany, że ma przed sobą właśnie kogoś takiego. Spodziewał się więc trudnego i odpowiedzialnego, godnego zadania. Może Smok się budzi i Quotlin postanowił wyrwać Pobrzeże Aytlanowi?...

Wojownik spluwa na ślady stóp nieudacznego wodza, co nie potrafi utrzymać miecza.

Wąż nie może poddać się gniewowi, jednak gdy namiestnik przeszedł do szczegółów misji, szacunek Marla ustąpił miejsca pogardzie.

Rozkaz dotyczył sprawy, która już od zeszłego święta była na ustach wszystkich molkijczyków - wąż czytał o niej w raportach przynoszonych przez dozorcę, również Aide prawie nie mówiła o niczym innym. *Borh zaginął, pewnie ktoś zabił Borha...* - gadano w całym mieście.

Ów kupiec, potomek handlarzy i żeglarzy podobno jeszcze z czasów legendarnego króla Masila, był wrośnięty w Molk jak konar w drzewo. Miał tylko dwie słabości, wcale zresztą nie takie wyjątkowe - nadmierną skłonność do prostytutek i niechęć do pewnego kupca-nuworysza imieniem Tayno. Nie przeszkadzało mu to jednak pożyczać tamtemu pieniędzy, jedynie procent narzucał większy niż innym. Tym razem było podobnie. Borh właśnie odebrał dług, powierzył go swemu zbrojnemu, a sam został jeszcze, by omówić sprawy Gildii. Złoto trafiło bezpiecznie do domu, ale jego właściciel już nie. Tayno, przesłuchiwany przez psy, nader dorzecznie im prawił, że przecież oddał pieniądze, a czyżby to uczynił, gdyby istotnie chciał zabić wierzyciela? Przeszukano domy rozpusty, karczmy, zarządca straży miejskiej jak należy poradził się też wyroczni bogów...

Aru na rozkaz namiestnika przekazał to wszystko węzowi, który siedział tylko i kiwał głową. Generał pominął jedynie szczegół znany Marlowi dzięki Aide, że tej samej nocy Taynowi zdechł jeden z pięknej i niedawno nabytej pary koni. Za to zostawił na koniec rzecz, o której nawet wąż nie wiedział. Otóż ów Tayno na równi z handlem zajmował się również szpiegowaniem dla aytlanckiej Gildii Kupieckiej, która właśnie w Borhu od lat widziała największe zagrożenie dla swych interesów w Molku.

Tak, w tym miejscu Marlo zaczął rozumieć, dlaczego namiestnik zwraca się właśnie do niego. Co prawda psi instynkt podpowiadał pewnie nawet strażnikom, że nie ma co czekać, tylko wyrwać Tayna w środku nocy z łoża i nim Ojciec-Słońce dojdzie do najwyższego wzgórza na niebie, wycisnąć wszelkie dowody w Komnacie Prawdy. Ale gdyby się nie udało, byłby kłopot, zwłaszcza że aytlanckich stronników w Molku nie brakuje. Mimo wszystko nie jest to zajęcie dla kogoś, kto sam jeden udaremnił bunt następcy tronu czy wyszedł księcia przeklętego!

- Czego oczekujesz, panie? - zapytał więc Quotlina. Głos miał uprzejmy, choć myśli pełne wzgardy. - Mam ujawnić sprawcę? Zabić go po cichu? Czy tylko dojść prawdy i ci ją przynieść?

- Ty jesteś węzem, a ja nie jestem Davi, król Addli. Czyń tak, żeby było dobrze.

Gdy padły te słowa - godne wykucia w kamieniu, by czytali je współdzierżcy Aytlanu i widzieli, jak należy rozkazywać węzom - Marlo znów spojrzał przyjaźniej na namiestnika. Oto z lepkiego błota stał się on nagle gliną wypaloną w ogniu niby te wszystkie piękne naczynia z wizerunkiem Smoka Pobrzeża, które Sebu pracowicie zgromadził w jego komnacie. Jednak cóż znaczą piękne słowa, gdy wszystko wokół układa się w szyderstwo, kolejny krok zemsty ścigającej ucznia Omara z rozkazu królów Addli i Byrd? Być może tylko tyle, że nie ma już na świecie władców prawdziwie godnych swych węży? Być może nawet nigdy ich nie było...

Ktoś inny na jego miejscu zakląłby: *Tfu, pluje Chlu!* czy: *Chuch, dmucha Puf!*, jednak Marlo powrócił do pobożnego obrzędu.

- Myśli są Wodą, co ożywia ciało...

Tak jak wcześniej w lochach pod Aabo, tu również Panowie Żywiołów przywrócili mu spokój i rozsądek.

IV

Z powodu Borha i z rozkazu Quotlina poszedłem oglądać Molk - miasto, które poznałem już nie gorzej niż jego mieszkańcy, tyle że podobnie jak ślepcy - dzięki cudzym, nie swoim własnym zmysłom. Wtedy wśród moich myśli znów pojawił się mistrz Omar. Przypomniałem sobie, jak uczył mnie nazw ulic w Trzech Słońcach, a potem jak razem z nim po raz pierwszy na nie wkroczyłem. Teraz podobnie widziałem domy, które do tej pory były dla mnie tylko figurami wyciętymi na blacie stołu, a nagle zyskały ściany, drzwi i dachy. Molk - miasto chyba najstarsze i jedno ze szpetniejszych - zadziwił mnie tylko białosiwymi ścianami. »Jak włosy starca, jak włosy Omara, bo pewnie takiego go spotkam, mniejszego i słabszego niż ten w mojej pamięci« - myślałem.

Udałem się najpierw na Plac Czterech Świątyń, by odwiedzić dom Pana Ognia -jedyną budowlę w mieście, która dzięki swemu pokrytemu miedzią dachowi zdawała się świecić nie gorzej od Słońca. Nią właśnie opiekował się ów Agni-Hert, arcykapłan i arcydonosiciel. Nie ukrywałem, kim jestem, dałem mu tylko do zrozumienia, że służę przede wszystkim królom, a dopiero potem namiestnikowi. Pozwoliłem mu nieco ponaigrywać się z mej godnej pożałowania niewiedzy o molkijskich sprawach i choć po naszej rozmowie był pewnie przekonany, że to on powinien być węzem, nie ja, powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Nie miał nic

wspólnego z zaginięciem Borha.

Stamtąd, brnąc przez kurz i błoto Podgrodzia, w przebraniu kupca poszedłem na targ koński, gdzie nagle śmierci koni były sprawami równie zajmującymi, co zaginięcia kupców. Tam właśnie, pijąc piwo na koszt namiestnika, koniuch zwany Średni Ano opowiedział mi wiele o walachu Tayna i o tym, jak jego właściciel - choć sukinsyn, troskliwie go pogrzebał.

Gdy Ojciec-Słońce powracał już z łowów, jako szyper Marlo - pełen złości na Borha za niedostarczenie towaru na umówiony rejs - odwiedziłem jeszcze najbardziej obmierzłą dzielnicę miasta, gdzie wśród smrodu portowych wyziewów brzęczą odliczane monety. Tam właśnie w zatęchłym kantorze, wśród klatek ptaków pocztowych, słuchałem myśli Tayna, słowa puszczając mimo uszu. I choć nadal nie miałem dowodu, utwierdziłem się w swych podejrzeniach. Nawet wąż nie potrafi, zabijać tylko myślą, a ten kupiec był tego bliski.

*

- Czego? - Nzalan prawą ręką trzymał się dopiero co odemkniętego rygla, w lewej miał lampę olejową i wymachiwał nią przed nosem przybyłego, z wyglądu przyjezdnego kupca. Ten cofnął się, czy to z powodu lampy, czy raczej odoru zgnilizny, który dochodził z wnętrza pracowni. - Czego?! Mam robotę! - zaskrzeczał jeszcze raz stary, pewien już, że jest o krok od odpędzenia natręta.

- Domyślam się, mistrzu nekromancki, skoro tak długo nie otwierałeś. Ale ja też mam swoją robotę. Inaczej nie chodziłbym po ciemku na drugi koniec tego cuchnącego miasta. - Mężczyzna odwinął rękaw, pokazując tatuaż węża na przedramieniu. - Zaprosisz? Noce macie tu chłodne.

Nzalan cofnął się, lampa zadrżała mu w dłoni.

- Nie mógłbyś jednak przyjść rano, panie? - spytał niepewnie. - Ja teraz...

- Na takie sprawy każda pora jest równie niedobra.

Wszedł do środka, a stary cofał się przed nim jak zdrowy przed zarażonym. Tak wąskim korytarzem weszli do półkolistej izby zamkniętej kopułą i zastawionej niedbale wykonanymi sprzętami, z wielkim stołem rzeźnickim na środku. Na nim leżał trup jakiegoś nędzarza, sądząc po wyświechtanych, podartych łąchach. Obnażone, pełne cuchnących ran nogi pokrywały rojące się białe robaki.

Marlo spojrział badawczo na przestraszonego nekromantę. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z żadnym śmierciuchem, choć słyszał o tym fachu wiele dziwacznych opowieści - że gwałcą zwłoki kobiet, że pożerają mózgi, że... Nawet wąż nie był przygotowany na taki widok. Jego zadziwienie trwało wprawdzie nie dłużej niż oddech, ale nim przyszedł do siebie, trup naraz podniósł głowę i spojrział na przybyłego wodnistymi oczami.

- To ja może przyjdę jutro, mistrzu? - zapytał niepewnie.

- Taaa - burknął stary. Pospiesznie zgarnął larwy, zrzucił je na podłogę i owinał rany bandażem. - Jutro po zmroku. Nie wcześniej.

Nędzkarz uklonił się najpierw Nżalanowi, potem Marlowi i wyszedł już bez jednego słowa.

- Słyszałem, że nie tak dawno uratowałeś miasto przed zarazą, a teraz to? - powiedział wąż, siadając na stołku.

Stary stał przed nim zakłopotany, wycierając co chwila spotniałe dłonie w brudny wełniany fartuch narzucony na pocerowaną szatę maga.

- Czego chcesz ode mnie, panie? Panie...

- Jestem Marlo. Wąż Marlo. Powiedzmy, że chcę zostać twym uczniem.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Przeciwnie. Pokornie proszę o radę.

Nekromanta bał się coraz bardziej. Tak, ktoś musiał donieść, że prowadzi eksperymenty bez wiedzy Wszechnicy, tylko dlaczego właśnie teraz, gdy tak blisko... Przysłali węża, nie psa, liczą się więc z nim, to budujące! *O, będziesz się wił, wężu, popamiętasz Nżalana...* - pomyślał, skupiając wzrok na twarzy intruza. Nim jednak myśli starego ugodziły nieproszonego gościa, śmierciuch osunął się na kolana i złapał rękami za głowę.

- Dość! - wycharczał.

- Jesteś silny, mistrzu. - Marlo otarł z czoła krople potu. - Chlu dał ci potężny umysł. Dlaczego więc spotykamy się tu, a nie w Mieście Trzech Słońc?

- Mógłbym zapytać cię o to samo, wężu - odpowiedział nekromanta, pełznąć niezdarnie na czworakach w stronę najbliższego stołka. - Co złego komu zrobiłeś, że jesteś w tym cuchnącym mieście? Zapewniam cię, że ono tak śmierdzi samo z siebie, niewiele w tym mojej zasługi. Przysłali cię po mnie ci nadęci arcymagowie? To lepiej od razu mnie zabij.

- Nie, nie chodzi o ciebie. - Marlo pomógł mu usiąść. Rozejrzał się za naczyniem z wodą, ale jego oczy natrafiały tylko na jakieś mikstury. Spojrział pytająco na starego.

Tam w kącie - odpowiedziała mu jego myśl. Wąż zaczerpnął pełny kubek. Nzalan opróżnił go chciwie, dopiero potem wyjaśnił:

- Uzdrawianie i życie. Druga strona śmierci. Gdy co dzień widzisz trupy, lepiej rozumiesz życie. Czy wiesz, że gdy dać musimy czerwiom świeże mięso i zgniliznę, zawsze wybiorą to, co bardziej śmierdzi? Dlaczego by więc nie obłożyć nimi paprzących się ran? Niech wyżrą z nich śmierć, a zostawią życie. Żebyś widział tamtego człeka jeszcze przed zeszłym świętem! A teraz dzięki mnie i larwom może już sam chodzić. Jedni uzdrowiacze chcieli mu uciąć nogi, drudzy kazali kupować jakieś zamorskie ziela. I kto tu sprowadza śmierć? Ja?!

- Cóż, jestem pełen podziwu, mistrzu. Sam znam tylko pewną sztuczkę z miodem i daturą. Ale nie mam wiele czasu, muszę pomówić z tobą o czymś innym: czy ludzki trup zmieściłby się w końskim?

- Jaki koń? - Nzalan zmarszczył brwi.

- Jabłkowity z pręgą - zaśmiał się Marlo. - Już dobrze, nie karć mnie, mistrzu... Zwykły pociągowy wałach.

- Jeśli pociągowy, to gdyby usunąć wnętrzności, my obaj zmieścilibyśmy się w jego brzuchu.

- A ktoś postawniejszy? Na przykład Borh.

- Borh?! Więc o to chodzi! - Staruch klepnął się w łysinę. - Tylko dlaczego mówisz ze mną tak otwarcie?

- Dlaczego nie? - wzruszył ramionami wąż. - Jesteś nieufnym człowiekiem, więc im mniej będę łągał, tym łatwiej dobijemy targu. A zdradzić mnie nie zdradzisz, bo niby komu? Przecież ciebie wszyscy nienawidzą, ty zaś nie jesteś im dłużny.

- Borh też by się zmieścił, ale sam. Tylko nigdy nie słyszałem, by coś takiego miało miejsce.

- Wkrótce usłyszysz, mistrzu. Jutro o świcie, może nieco później, przyjdą po ciebie strażnicy. Nie bój się. Zawiodą cię na koński smętarz. Wykopiecie trupa konia Tayna, a potem każą ci go zbadać. Gdy rozkroisz skórę, wypadnie Borh.

- Mówisz o tym, jakbyś sam... - zaczął Nzalan i naraz zadrżał, bo myśli nekromanty i węża znów się spotkały.

- Jak to możliwe, że magom nie było żal twojego umysłu? Że wygnali cię aż na Pobrzeże?
- westchnął Marlo.

- Jak to możliwe, że nie zaciekawili się tobą? - odpowiedział pytaniem stary. - A może jednak... - Bezwiednie rozejrzył się wokół.

- Nie, nigdy z żadnym nawet nie mówiłem.

- To nic nie znaczy. Jeśli kiedyś zobaczysz, że koło ciebie się kręca, to znak, że już cię mają. Co będę uczył węża łowów?! Nigdy cię nie podchodzili? Nawet w snach?

Marlo zamyślił się. Przypomniawszy sobie tę noc u Severii, gdy leżał pobity, a ona obmywała mu rany. Tę noc, gdy pierwszy i ostatni raz miał przy sobie matkę, siostrę i żonę - wszystkie trzy w jednej kobiecie. Szczęśliwe chwile przerwała wówczas wizyta czarno odzianego, chudego mężczyzny. *Będzie z niego wyjątkowo jadowity wąż. I jeszcze bardzo nam się przyda* - usłyszał wtedy i niemal zapomniał. Później ta sama Severia i ci sami magowie wyciągnęli go z lochu. Po co?

- Czas na mnie, mistrzu Nzalanie. Bądź gotów o świcie!

*

Po zmroku Marlo wrócił na chwilę do swoich podziemi. Aide czekała w komnacie gotowa na każdy rozkaz, ale tego dnia wąż nie był z tego zadowolony. Nie powiedział złego słowa, jednak gdy wzięła od niego pakunek z przebraniami kupca i żeglarza, by ułożyć je w skrzyni, nie podziękował nawet gestem. Wszystkich dróg wiodących do jego głowy broniły jak mrowiska czujne myśli-strażniczki.

- Musimy koniecznie pomówić, Marlo - powiedziała więc dziewczyna na głos.

- Mam misję do spełnienia, Aide. Wiedziałaś, że tak będzie. Niby żadna to misja, ale jednak powinność. Muszę mieć czysty umysł, skoro mam pomóc szlachetnemu Quotlinowi.

- Szlachetnemu Quotlinowi! - wybuchła. - A może nie tylko on cię potrzebuje? Może też i nieszlachetna Aide?

Wiedziała, że to nie było ani stosowne, ani mądre, ale nie mogła już dłużej czekać. Jeszcze przedwczoraj, nawet wczoraj, gdy namiestnik nie kazał Marlowi szukać zabójcy Borha, a ona sama nie była jeszcze pewna, czy...

- Nie bądź dzieckiem, dziewczyno. Wyjdź, proszę.

Bała się po raz pierwszy, odkąd wąż Marlo pojawił się w podziemiach i odmienił jej życie. Zawsze tak otwarty na to, co miała mu do powiedzenia, teraz odgradził się od niej. Jeśli

będzie mu się naprzykrzać, gotów ją wyrzucić z komnaty i swojego życia. A tego by nie zniosła! Może przedwczoraj, nawet wczoraj, ale już nie dziś... Wyszła tak cicho, jakby jej wcale nie było.

Marlo zbliżył się do ołtarzyka i zamknął oczy. Naprawdę potrzebował tej nocy wiele siły. Musiał wymknąć się na Podgrodzie, pod mury miasta, w pobliże końskiego smętarza, aby niby pajak rozsnuć swe myśli nad wejściem do gospody. Chciał, aby każdy, kto z niej wyjdzie, wpadał w tę pajęczynę i nim zdąży ją zetrzeć z twarzy, w swej rozgrzanej piwem głowie zobaczył końskiego ducha. Wiedział już od Średniego Ano, jak ten koń powinien wyglądać, aby każdy poznał w nim zdechłego wałacha kupca Tayna.

Nie spodziewał się nawet, że wszystko uda się tak dobrze. Bo gdy o północy stał już skryty w cieniu murów, zobaczył, jak w jego sieć wpada nie kto inny, ale niedawno poznany handlarz końmi.

- Tfu, pluje Chlu! - wrzeszczał przestraszony Średni Ano. - Wałach Tayna! Tfu, pluje Chlu!

Gdy okrzyk powtórzyły kolejne i następne usta, gdy zbiegły się nawet dziwki i strażnicy, Marlo wiedział, że może już wracać. Teraz żadna sieć jego myśli nie była już potrzebna. Ludzie sami zaczną zarażać się przerażeniem.

*

- Chciałeś się ze mną widzieć, wężu? - Generał Aru siedział na wprost drzwi z mieczem na kolanach. - Dlaczego nie ze szlachetnym namiestnikiem?

- Bo ty jesteś obrońcą Molku. - Marlo skłonił się i postąpił krok naprzód. - Ty jesteś zbrojnym ramieniem, a są sprawy, które lepiej powierzyć pięści niż sercu. Pomyślałem również, że pod twoją komnatą zwykle jest mniej ciekawskich uszu.

- Tak, prędko bym je odciął. Mów zatem.

- Zrobiłem niemal wszystko, co mogłem zrobić sam. Znam mordercę, znam motywy, wiem, gdzie leży ciało. Teraz potrzebuję twojej rady i pomocy, aby pięść mogła uderzyć możliwie najboleśniej.

- Mów otwarcie, jesteś w Pierwszej Wieży.

- Wybacz, węże zawsze pełzają skrycie. Taka już ich natura. Czy zaprosisz mnie do stołu, czy chcesz dalej napawać się swoją godnością?

General zaciśnął wściekle szczęki, ale ręce mu nawet nie drgnęły. Wstał i wskazał swoje krzesło.

- Więc usiądź. Ja przysunę sobie drugie.

- Nie chciałem cię obrazić, panie - powiedział łagodnie Marlo, kiedy już ich oczy spotkały się nad stołem. - Ale nie przyszedłem też po twoje rozkazy, tylko aby się naradzić. Póki służę Molkowi, twój wróg jest moim wrogiem.

- Moimi wrogami są wrogowie Pobrzeża. Nikt inny.

- Więc to, co miałem powiedzieć, wyrażę w możliwie molkijskim stylu, panie, i ufam, że to docenisz. Krowa ma dwóch wrogów: jednym jest giez, drugim lew. Giez psuje krowie humor, lecz nigdy jej nie zabija. Tego gza już trzymam w garści i mogę ją zaciśnąć. Nie potrzebuję do tego niczyjej pomocy. Ale to nie jest zwykły giez, generale. To taki, który umówił się z lwem, że będzie nie tylko gryzł krowę, ale też bzycał lwu o wszystkich jej tajemnicach. Ty, obrońco Pobrzeża, wiesz lepiej od Serca Molku, jak postępować z gzami. Czy dla jego dobra mam go zgnieść, czy razem wyrwiemy mu skrzydła?

- Wyrwijmy. Napijesz się wina, wężu?

Plan Marla był prosty: skoro na końskim smętarzu widziano ducha, należy co rychlej odkopać truchło, z którego wyszedł. Najlepiej rankiem przy świadkach, a potem poddać badaniom. Musi się to stać, jak nakazuje prawo i zwyczaje - w obecności rady namiestnika i właściciela padłego zwierzęcia. Kiedy jednak nekromanta otworzy koński brzuch, niechybnie ukaze się w nim ciało Borha.

- Trup w trupie? - zdziwił się general.

- Dlaczego nie? Nie słyszałeś nigdy o pokrywaniu złotych monet miedzią, żeby nikt ich nie ukraść? Albo miedzianych złotem?

- Mów dalej.

Wąż kontynuował więc, że gdy straż ujrzy zabitego, nie będzie miała innego wyjścia, jak aresztować kupca Tayna i poddać go badaniom w obecności Quotlina, dowódcy Pierwszej Wieży oraz mistrza bólu - tak jak mówi prawo. Wtedy obwiniony już bez zbędnych świadków przyzna się do tego, że donosi ayatlanckiej Gildii Kupieckiej. Na sam dźwięk słowa *ayatlancka* Aru rozważnie nakaże katu opuścić Komnatę Prawdy i wskaże Taynowi sposób, jak ten mógłby ocalić swe nędzne życie.

- Obiecasz mu w obecności szlachetnego namiestnika, generale, że zostanie starszym

tutejszej Gildii, no i rzecz jasna słowa dotrzymacie. W ten sposób ów człowiek otrzyma to, czego najbardziej pragnął. W zamian będzie musiał tylko donosić najpierw wam, potem Aytlanowi. Częste spotkania staną się tym łatwiejsze, że jako starszy Gildii otrzyma też godność doradcy namiestnika. Zwiążecie go trzema pętłami strachu: że wróci do lochu jako morderca, że aytlanccy kupcy dowiedzą się o jego zdradzie, a już najsilniej tym, że straci pozycję i bogactwa, dla których się skundlił, a które to wy mu dacie. Przed sądem Tayno nie przyzna się do niczego, a sprawiedliwy Quotlin uwolni go od winy morderstwa. *Na smętarczy - powiecie - najwidoczniej walczyły ze sobą demony rozpustnego Borha i przeklętego konia.* Namiestnik wyjdzie może na głupca, za to Aytlanccy będą tym bardziej ślepi, im bardziej uradowani. Tyle można dziś zrobić, generale Aru. Reszta zależy już tylko od ciebie. Ufam jednak, że umiesz trzymać kundla na smyczy.

- O tak, wężu, to zajęcie nie ma dla mnie tajemnic. Ale co, jeśli on przyzna się, że jest mordercą, ale nie powie, że czekał za morze? I co, jeśli kat zdradzi? Ha, widać nawet węże nie są doskonałe! - Aru po raz pierwszy uśmiechnął się zadowolony.

- Doskonali nie są nawet bogowie, obrońco Molku. - Marlo powolnymi łykami opróżnił kielich. - Jednak pragnę rozproszyc twoje obawy. Kat nie zdradzi, bo ja nim będę. A że właśnie ja przesłucham Tayna, kupiec powie wszystko, co trzeba. Byle tylko znalazł się w Komnacie Prawdy nie później niż przed południem.

- Dlaczego właśnie przed południem? - zapytał zdziwiony generał.

- Bo przed południem i w nocy ciało jest najbardziej bezbronne. Człowiek jeszcze się nie skaleczy, a już wyje z bólu. Sądziłem, waleczny Aru, że wojownicy wiedzą takie rzeczy.

*

Wąż miał nadzieję zyskać tej nocy trochę snu. Wszystko było przygotowane, wszystko obmyślane, a chciał mieć wypoczęty umysł, by dobrze wybadać Tayna. Jednak gdy wrócił do swojej komnaty, czekała tam na niego Aide.

- Musimy koniecznie pomówić, Marlo.

Nie odezwał się ani słowem. Przydusił knot w lampie i odwrócony tyłem legł w ubraniu na posłanie. Wyrównał oddech. Dziewczyna niespokojnie przestępowała z nogi na nogę, ale coraz ciszej i ciszej...

- To ja zabiłam Borha! - krzyknęła nagle, a wraz z nią wszystkie jej myśli.

Marlo usiadł. To niby nie było możliwe, jednak czuł, że Aide mówi prawdę.

- Tej samej nocy pierwsza przyniosłam ci wiadomość o tym zdechłym koniu Tayna. Pamiętasz? Już miałam powiedzieć całą resztę, jednak przestraszyłam się, że będziesz niezadowolony. Że mnie odpędzisz, nie będziesz ko... nie będziesz szkolił.

- Zataiłaś? Nie słyszałem fałszu w twoich myślach.

- Bo od dawna mnie nie słuchasz jak kiedyś - wyznała dziewczyna z pretensją w głosie, ale bez złości. - Wiem, jestem głupia i znudziłam ci się. Bardzo się bałam, że będziesz niezadowolony... Ale teraz muszę powiedzieć, bo jeśli nie, wszystko obróci się przeciw tobie.

- Bogowie! Nie ma czasu na rozmowy! Otworzyła umysł, wszedł do jej głowy - gwałtownie, pospiesznie, aż poczuła, jakby coś od środka rozrywało jej czaszkę. Wąż zobaczył gzyms okna, z którego sączyło się brudne światło lampy z tanim olejem. Dwa głosy - jeden proszący, lecz zdesperowany, drugi tak pewny siebie, że aż rozleniwiony.

Dla nas wszystkich starczy tu miejsca, Borh - przemawiał pierwszy. - Napij się, pomówimy...

Nie mamy o czym mówić, Tayno - z pogardą odparł drugi głos. - Tu jest Molk, tu był handel i kultura, kiedy Aytlanccy jeszcze żarli surowe ryby. Wiem, że skum-leś się z tamtejszą Gildią. Za chytry jesteś, by zostawić ślady, ale nie dość chytry, bym ja o tym nie wiedział.

Borh, nie nastawaj na mnie, daj mi głos w radzie naszej Gildii, to i ja odsunę się od aytlanckiej.

Tobie głos w radzie?!

A czemu nie? Mam nie mniej grosza niż wielu takich, co w niej są.

Marlo nie miał czasu wysłuchiwać wszystkiego. Przeskoczył do następnego wspomnienia dziewczyny - oto Borh wychodzi gniewny, ale zamiast w stronę swego domu skręca w ciemny zaułek. Oczy Aide śledzą go, uszy słuchają, jak kupiec mówi:

Podprzeć drzwi, żeby nikt nie umknął. Jak się dobrze sprawicie, dodam po dziesięć groszy.

He, panie, my uczciwi ludzie - odpowiada ktoś skryty w mroku, po złodziejsku cedząc słowa. - I tak byśmy zrobili wszystko jak trza. Ale skoroś hojny, nie wypada odmówić.

Tylko konie otruć, żeby nie narobiły hałasu!

Panie, my nie uczym cię handlu, ty nie ucz nas naszego fachu. Będziesz rad.

Ciche mlaśnięcia bosych stóp na ulicy. Oczy Aide wycofują się ostrożnie, plecy przywierają do muru. Gdy znów jej wzrok sięga za róg, do zaułka, Borh zapala nagle latarnię.

To ty, Kręty?

Za późno. Borh zmierza wielkimi krokami wprost ku Aide. Ta myśli do niego: *Zdawało ci się, zdawało ci się, zdawało ci się...*, ale kupiec jest zbyt przestraszony, głowę ma zamkniętą. Dziewczyna obnaża udo, może weźmie ją za ulicznicę...

Co tu robisz? - pyta Borh.

Czekam na ciebie, panie.

Przygląda jej się, ale zbyt wiele widział prawdziwych prostytuttek!

Z ciebie dziwka jak ze mnie pies. Słyszałaś, ścierwo?

Co słyszałam? Nic nie słyszałam.

Marlo poczuł, jak ciało Aide niemal frunie wciągane do zaułka przez silne męskie ramiona, razem z nią zaczął się dusić, gdy Borh zacisnął dłońie... I razem, on wąż i ona żmija, ukąsili. Kupiec powoli, ze zdziwieniem zabrał ręce i przycisnął do swego serca, objął sterczący z niego nóż. Cofnął się kilka kroków i z łomotem upadł na płot jakiegoś składu.

Nie czekała, aż się osunie. Skoczyła po nim na podwórko i przywarła do desek parkanu. Po drugiej stronie znów klaskały cicho czyjeś stopy.

Cyt, Kręty, chodź tu! - usłyszała ciche wołanie.

Znów kroki... Skuliła się na ziemi, okrywając dokładnie stopy swą szarą spódnicą. Głowę schowała w ramiona. Jak nie nadepną na nią, to nie zauważą.

Tfu, pluje Chlu! Kręty, patrz, ktoś go nadział!

Niech to! Koniom zadałeś?

Jednemu. Co teraz?

Kopnięcie. W ziemię albo w trupa.

Zdechły nam nie zapłaci. Nic nie ma! Nie palimy.

Czemu nie palimy?

Nie zapłaci nam, nie palimy. Chcesz robić za darmo?

Znajdźmy tego, co nadział. Przez niego zarobek w gównu.

Co to, pies jestem, coby kogoś najdywać? Widzisz babę, na nią skikaj, widzisz trupa, to umykaj.

Już gasły gwiazdy, zanim dziewczyna odnalazła obłuzowany kołek w płocie i z wysiłkiem

przeciągnęła trupa na zagracone podwórko, na którym wcześniej się ukryła. Marlo nie patrzył już, jak Borh spada do pustej studni, ale nim wyszedł z umysłu Aide, zobaczył jeszcze samego siebie z zimnym, dumnym spojrzeniem, takim samym, jakie wcześniej widywał u królów Byrd i Addli.

No i co tam w mieście, dziewczyno?

Potrząsnął głową. Był znów w swoim lochu, a ona klęczała przy nim.

- Bałam się, przebac. Już od dawna nie chcesz mnie słuchać. Ja... - zaszlochała.

- Cicho, Aide, już cicho. Będzie dobrze, tylko teraz nic już nie mów.

Wiedział, co zrobić. Tayno zostanie mordercą, namiestnik zyska władzę nad ayatlanckim szpiegiem, byle tylko trup na czas znalazł się w trupie.

- Wołaj ojca, ale prędko! We troje zdążymy do świtu. Nie, sam go zawołam, ty pędź po Nzalana. Powiedz, że ja cię przysyłam. Spotkamy się na końskim smętarnu.



Było już dobrze po północy, kiedy stary Nzalan odstawił musze larwy do chłodniejszej komórki, by zasnęły i nie przeobraziły się zbyt szybko. Dopiero wtedy sam też udał się na spoczynek. Jednak ledwie zzuł sandały, poderwało go na równe nogi wściekłe walenie do drzwi.

Strażnicy? Nie, magowie! - przemknęło mu przez myśl. Lampę już zdmuchnął, więc mógłby udawać, że nie ma go w domu. Gdyby zaś skrył się w piwnicy, kto wie...

- Mistrzu Nzalanie! - usłyszał głos jakiejś dziewczyny.

Cicho, na palcach wszedł do pracowni. Przystawił oko do szpary w okiennicy, która z zewnątrz - dobrze to sprawdził! - nie mogła być widoczna. Hm, tylko jakaś mała, żadnych zbrojnych, nikogo. Choć mogli się skryć w mroku. Patrzył dalej, ale nie zamierzał otwierać.

Nerwowo pokręciła się przy drzwiach, lecz nagle szybkim krokiem podeszła do nekromanty tak blisko, jak tylko pozwalała gruba na palec deska. Wstrzymał oddech, ale nie odsunął oka od dziury. Matka-Księżyc świeciła jeszcze wcale jasno i widział zarys spoconych piersi pod rozchełstaną szatą. Nagle, wspiąwszy się na palce, dziewczyna załomotała z całej siły.

- Otwieraj! Przychodzę od Marla!

Cofnął głowę, żeby nie oberwać rozchybotaną uderzeniami okiennicą. Wtedy jego stare ciało zdradziło go, skrzypiąc i trzeszcząc w stawach niczym łamana gałąź.

- Otwieraj! Marlo kazał! Wiem, że tam jesteś!

- Jesteś sama? - spytał.

- Wreszcie! Jestem sama, mistrzu.

Ledwo uchylił drzwi, wpadła do izby jak wichur, złapała go za szatę i zaczęła ciągnąć na zewnątrz.

- Szybko, mistrzu, wąż Marlo potrzebuje twojej pomocy.

- Wąż Marlo kazał mi czekać, aż przyjdą o świcie, dziewczucho. Idź, bo przeklnę! - zagroził, zapierając się, lecz poczuł nagle, że ciągną go nie tylko jej ręce, ale również myśli. Więc rzeczywiście coś musiało się stać. Jeśli nie kłamała...

Sięgnął jej w głowę i... naraz poczuł się, jakby znów był uczniem Wszechnicy i dostał wtkę po łapach, bo nie słuchał mistrza. Dziewczyna obroniła swój umysł przed wtargnięciem. Nzalan spojrział na nią zdziwiony. Nigdy nie słyszał o żadnej molkijskiej babie, która potrafiłaby myśleć-do. Czyżby węże umiały dzielić swoją moc i wyposażać nią pomocników?

- Co się stało? - spytał wreszcie.

- Nie ma czasu, panie. Pomóż, mistrzu! - I otworzyła przed nim głowę. Ale gdy tylko ujrzał trupa Borha w wyschniętej, płytkiej studni i koński grób pod Zachodnią Bramą, znów zatrasnęła przed nim umysł. Zrozumiał, reszta nie była jego sprawą.

- Wezmę przybory - mruknął nekromanta.

- Tylko pokaż co, panie, ja wezmę. Musimy biec, ty stary jesteś...

- Stary?! - prychnął. - Bym ci pokazał, co może jeszcze Nzalan! Choć istotnie, nie ma na to czasu...

Straż na Zachodniej Bramie otworzyła im wrota, nawet o nic nie pytając. Aide odetchnęła. Zrozumiała, że wąż już był tu wcześniej, dał im rozkazy lub oplątał umysły, obojętne. Każda chwila zwłoki mogła ich drogo kosztować. Ognisko Matki-Księżyc bladło, chłód zbliżającego się świtu coraz mocniej szczypał łydki.

- Gdzie ty tyle łąziłaś?! - zawołał Sebu na widok córki. Razem z wężem zdążyli rozkopać koński grób, ale ścierwa nie było jeszcze widać w mdłym świetle dwóch lamp i jednej pochodni, choć dół był głęboki już prawie do pół uda.

- Dobrze się sprawiła - powiedział Marlo uspokajającym tonem. - Nie krzycz. Nikt by nie zdążył wcześniej. Kop! Mistrzu, Borh czeka tam. - Wskazał Nzalanowi ręczny wózek nakryty brudną derką. Gdy jednak stary zbliżył się, spostrzegł ze zdziwieniem, że była to kosztowna

narzuta ze Smokiem Pobrzeża, dla niepoznaki tylko unurzana w ziemi.

Nekromanta uniósł ją i obejrzał zwłoki.

- Jest dobrze - mruknął. - Studnia była widać ciasna.

- Była - przyznał dozorca. Złościło go, że staruch przemawia, jakby chciał ich strofować. Jeśli dumny śmierciuch nie zamierza być grzecznym dla niego, to niech Puf go dmucha, jednak przynajmniej wężowi należało się trochę szacunku. - Ale pan Marlo gracko się wśliznął. Migiem obwiązał truchło sznurem, żeby wyciągnął. A co?

- A nic. - Nekromanta nie zmienił tonu. - Skulony. Nie trzeba będzie łamać stawów. Nikt nas nie zobaczy?

- Bądź spokojny, przyjacielu - odparł wąż, szybko pracując szpadlem. - Tu po północy szalały duchy. Ludzie siedzą po domach i nie odemkną drzwi do świtu. Jest! - pokazał palcem. - Zad! Sebu, z tamtej strony! Aide, pomóż ojcu!

Nim Ojciec-Słońce napił się wody prosto z oceanu i spojrzął z wysoka na Molk, Nzalan niczym mistrz krawiecki odgryzł zębami nadmiar nici. Szew pokrył cuchnącą sierścią wyrwaną spod końskiego brzucha.

Dziewczyna dwa razy uciekała bliżej bramy, żeby tam zwymiotować. Cuchnący uryną mur i tak wydawał jej się miłszy od końskiego smętarza.

Tymczasem jej ojciec i Marlo wrzucili na wózek narzędzia i własnymi płaszczami zamietli grób.

- Tej nocy spałeś w swoim domu, mistrzu - przypomniał wąż nekromancie.

- Tak było. He, he, nawet śniła mi się ta młódka! - Stary wskazał dziewczynę chudym paluchem i wyszczerzył zęby. Słyszając to, Sebu zacisnął pięści, ale nic nie powiedział.

- Zaś co do zapłaty za twoją dobroć... Nie może być zapłaty za coś, co się nie zdarzyło, sam przyznasz. Ale niedługo na polecenie namiestnika ponownie przyjdiesz tu, by rozpruć, coś zaszył. Wtedy będziesz mógł zażądać, ile chcesz.

- Bądź spokojny, panie Marlo. Nie obrażę szlachetnego Quotlina zbyt niskim rachunkiem - znów zarechotał Nzalan.

*

Tayno drżał z przerażenia obdarty z odzieży i przykuty łańcuchami do lodowatej ściany w

Komnacie Prawdy. Słowa mistrza bólu ledwie do niego docierały.

- Tym można parzyć pięty i obrywać uszy - mówił beznamiętnie oprawca. - Miażdżenie nosa też może być na zimno lub gorąco. Zanim się dobrze nagrzej, zacznę jednak od zwykłego bicia. Najpierw plecy, potem ręce lub nogi. Wrywanie paznokci...

- Dość! - przerwał generał Aru. - Osłabł.

Kupiec ocknął się przerażony, że jego koszmarny sen jeszcze nie dobiegł końca. Śnił podobny już kilka razy, ale nigdy z takim zakończeniem. Tak, nieraz zabijał wtedy Borha, wysłuchawszy wcześniej jego jęków. Jednak we śnie nikt nie zamierzał go karać za tę zbrodnię.

- Dostojny Quotlin, pan Molku, jest dobrym człowiekiem, ty psie, hieno, kurwi synu! - Generał złapał go boleśnie za włosy. - Ja najpierw wbiłbym cię na pał, a dopiero potem pytał. Dalej, kacie!

- Wrywanie paznokci. Paznokcie wrywa się tymi małymi obcęgi. Mają długie ostrza, o! - Mistrz bólu kłapał nimi przed nosem kupca. Tayno szarpnął się do tyłu. - Wrywa się po biczowaniu, aż cęgi do parzenia ciała dojdą na węglach. Chyba że powiesz wszystko, co rozkazują szlachetny Quotlin, nasz pan, Serce Molku, i generał Aru, jego obrońca, dowódca Pierwszej Wieży. Skończyłem.

To formuła, taka sama jak zachwalanie towaru, tego więzień był pewien. A jednak czuł, że w słowach oprawcy jest prawda, być może ratunek. Gdyby ktoś mu powiedział, że właśnie ten człowiek wyda mu się w takiej chwili najlepszym przyjacielem, mądrym doradcą... Przemawiał ciepło. Nie, nie tak, żeby inni się zorientowali. Był sprytny niczym on, kupiec! Jednak... Uwolnił się z tej myśli. Nie będzie dziwką zakochaną w tym, co ją gwałci!

- Zatem co nam powiesz, Tayno? - zapytał generał. - Skąd trup Borha, molkijskiego kupca, znalazł się w brzuchu twojego konia?

Więzień próbował liczyć. Ponoć pięciu ludzi na tuzin przetrzymuje wstępne męki, nie powiedziawszy nic przeciw sobie. Z tych pięciu trzech wyznaje wszystkie przewiny, a nawet więcej, gdy tylko zaczną wydłubywać im pierwsze oko. Z pozostałych dwóch jeden czasem wychodzi na wolność, nie nadając się już jednak do pracy ani nawet płodzenia dzieci. Ile jest szans na sto, żeby wyjść z tego żywym i zdatnym do życia?

Jest jedna - wydawały się mówić oczy kata błyszczące spod kaptura. - *Tylko jedna...*

- Zabiłem go, zabiłem - jęknął Tayno. - Ale nie okradłem! Musiałem się bronić, litości, musiałem, bo ten pies nie pozwalał mi prowadzić handlu. Nakładał procenty niezgodne ze

zwyczajem, z rozumem, z niczym! On chciał mnie zabić swoimi pieniędzmi, to ja zabiłem go nożem.

- Tak, na ciele Borha znaleziono rany - powiedział Aru. - Jak to było?

Właśnie, jak to było? Jak dokonał zbrodni, której nie dokonał? W snach zabijał Borha na różne sposoby, a jak by to zrobił, gdyby naprawdę przyszło co do czego? Nóż - jedna myśl przekrzyczała pozostałe.

- Prosiłem go, błagałem, żeby nie przeszkadzał mi w handlu. On śmiał się tylko i pił moje wino. Pchnąłem go, kiedy przechylał kielich, o, tu... - Tayno poruszył ręką do siebie, ale łańcuch trzymał mocno. Ten ruch mógł równie dobrze wskazywać brzuch, pierś czy szyję. - W serce chyba, nie wiem. Nie jestem zabójcą, jestem kupcem.

- Mylisz się, Tayno. Za chwilę pewnie powiesz: *Nie bluźnięm bogom, nie ukradłem, nie uszkodziłem ciała*. Nie wiem nic o twoich bluźnierstwach i złodziejstwach, ale ciało uszkodziłeś. Słyszał to dostojny namiestnik, słyszałem ja i obecny tu kat. Nóż między żebra, to prawda, nekromanta Nzalan znalazł taką ranę. Zabiłeś więc z chciwości?

- Zabiłem, bo on mnie zabijał! - krzyknął Tayno.

Aru skinął na kata i kupiec zobaczył, że ten podnosi ze stołu starannie złożony krótki bicz. Ledwie się nim zamachnął, a więzień już czuł ból rozrywający mięśnie. Na chwilę stracił oddech.

- Kto jeszcze o tym wiedział?

- Nikt, przysięgam, panie!

- Kacie!

- Gdy zbrodniarz odmawia odpowiedzi na pytania, gdy pragnie ukryć współników swego występku, rozcina mu się rękę lub nogę i ranę zasypuje solą morską. Kiedy nadal trwa w uporze, w imię prawdy należy...

Co powiedzieć? - myślał kupiec. - *Jaka nieprawda będzie najmniej nieprawdziwa?* Zobaczył, że oczy kata śmieją się drwiąco. *Oni wiedzą* - przemknęło mu przez głowę.

- Posłałem wiadomość do ayatlanckiej Gildii! - przyznał się więc. - Panie, umarłem w chwili, gdy to powiedziałem! Zabijają mnie, nawet jeśli wy oszczędzicie.

- Wyjdź, kacie - rzekł Aru.

Zszedłem do podziemi, cały czas ściskając w dłoniach kaptur oprawcy. Niczym dobry bazarz odmalowałem Taynowi wszystkie kolory, smaki i zapachy bólu, jak wprawny sprzedawca narzędzi opisałem ze znanstwem, do czego służą te, a do czego inne szczypce. Ból mieszka w głowie, dzieląc izbę ze strachem. Kupiec nie potrafił targować się z własnym umysłem, więc był bezsilny. Dlatego nie bałem się, że sprawy przyjmą zły obrót, choć czułem dziwny wstyd. Kaptur kata zbyt dobrze pasował na moją głowę.

Miałem jednak i powody do zadowolenia. Namiestnik otrzymał więcej, niżby dostał, jeśli czyn Aide wyszedłby na jaw. Ona uniknęła bolesnej śmierci w imię prawa, ja zaś przekonałem się, że potrafię wykorzystywać swoje talenty dla własnego celu, nie tylko dla władców.

Wtedy pomyślałem też o Lomarze. Czyż nie bronił księcia Uriego z podobną zajadłością, z którą ja starałem się pomóc córce dozorca? Gdyby los potoczył się inaczej, czy to nie ja broniłbym Uriego, Quotlina czy kogo tam, czy nie ja zasłaniałbym mieczem wejście do górskiej grotty? Czy wtedy to nie homar albo inny wąż przyszedłby mnie zabić ufny w prawo i królewski rozkaz? I, na bogów, żalowałem, że tak właśnie nie było, bo wtedy czyniłbym cały czas to, do czego mnie szkolono. A tak stanąłem przed decyzjami, z którymi radzi sobie jakoś byle wieśniak, a do których węży nikt nie przygotowuje...

*

- A może zostaniesz na Pobrzeżu, Marlo? - zapytała po raz kolejny. - Możemy opuścić Molk. Pustynie Pobrzeża to kraj dobry dla węży. Królowie Aytlanu nie mają tam żadnej władzy. Namiestnik pomoże. Też będzie rad mieć cię tutaj i móc po ciebie posłać. Dałeś mi tyle, że nie możesz tak odejść.

- To koniec nauki, którą mogłem ci dać. Każde musi iść własną drogą.

Ale Aide nie widziała żadnej własnej drogi. Marlo niczym wiatr porwał ją i przeniósł przez urwiska i przepaście, a gdy mieli przekroczyć ostatnią, opuścił ją na ziemię i zostawił samą. Tłukła więc myślami w jego głowę, dobijała się do niej jak do zatrzaśniętej bramy. Na nic. Nie chciał jej wpuścić, nic nie rozumiał.

- Marlo, nie możesz odejść.

- Jesteś nieznośna, dziewczyno. Kto inny by cię wyrzucił.

- Do kogo innego bym nie przyszła! - krzyknęła, rzucając się na węża z pięściami i

dobijała się, dobijała, tłukąc go po ramionach i żebrach, aby wreszcie się na nią otworzył.

Marlo stał tak zdziwiony, że nawet się nie bronił. Nigdy nie była gwałtowna, czyżby to krew Borha tak na nią podziałała?

Cicho, Aide, ciiicho - zaczął do niej myśleć, ale była zbyt wściekła, aby cokolwiek słyszeć. Zaraz miał przyjść namiestnik, nie powinien zastać jej tutaj. - *Woda gasi Ogień, umysł chłodzi ducha... Ciiicho, Aide!*

Gdy wreszcie zmęczyła się i z płaczem usiadła na posadzce, mógł wreszcie sięgnąć do jej myśli i poszukać w nich przyczyny tak gwałtownego wybuchu. Ale to nie był umysł takiej Aide, jaką znał. Czuł w nim odwagę i szaleństwo.

- Co się z tobą dzieje, dziewczyno? - zapytał na głos. - Nie jestem twoim wrogiem.

- Nie, ale jesteś moim... mężem.

- Co ty wygadujesz?

- Będiesz ojcem.

Wybiegła, trzaskając drzwiami. Wiedziała, że nie powinna była przyznawać się do tego, gdy i tak postanowił ją opuścić, że właśnie zdarła z siebie resztki dumy niby ostatnią tunikę, że obnażyła się jak tylko mogła najbardziej. Nie miała jednak pojęcia, że przy okazji trafiła w starą, babrzącą się ranę, którą Marlo raz sobie opatrywał, a innym razem rozrywał na nowo.

Pod węzem ugięły się nogi, bezsilny usiadł na łóżku. Sięgnął niemal na dno swego umysłu, znów zobaczył dopalające się domy i poczuł ból pośladków nienawykłych do twardego siodła. Podniósł za włosy odciętą mieczem głowę Lomara. *Chcesz prawdy, zabij mistrza* - powiedziała głowa. *Jesteś moim węzem* - szepnęła Severia, biorąc go za ową rękę. *Jesteś moim mężem* - podbiegła Aide i złapała za prawą.

- Witaj, Serce Molku, szlachetny Quotlinie - usłyszał głos dozorca z korytarza. Marlo wstał i zdjął z krzesła porzucony tam kaptur kata.

*

- Ciekawy masz fach, węzu. - Quotlin uśmiechnął się, pozwalając na chwilę uciec myślom w inne, nieistniejące światy, gdzie nikt nie kazał mu zostać namiestnikiem, gdzie mógłby być kimś innym, na przykład węzem...

- Fach dobry jak każdy, panie - powiedział Marlo, ukrywając zniecierpliwienie tą nikomu

niepotrzebną rozmową. - Jedni sprzedają, inni kupują, jeszcze inni są namiestnikami Molku... Wszystko da się robić dobrze albo źle, wszystko może być ciekawe albo nudne. To zależy od człowieka, szlachetny Quotlinie, nie od fachu. Tak przynajmniej uczą nas, węże. Wierz mi, panie, wielu dałoby się pokrajać, aby być na twoim miejscu, bo to dopiero wydaje im się ciekawym zajęciem.

- Żałuję, Marlo, że zrobiłeś już swoje i nie mogę cię zatrzymać. Może i nie jestem najlepszym namiestnikiem, ale przynajmniej jednym z niewielu, którzy nie wbijają na pal kogoś, kto... - Quotlin domyślił się, że nie musi dalej mówić, że wcale nie musi nic mówić.

- ...kto słyszał twoje myśli, panie - dokończył wąż. - Tak, słyszę je cały czas. Gdybyś wiedział, jakich myśli nasłuchiwałem się od królów Aytlanu! Wbiliby mnie na pal nawet nie ze strachu, ale ze wstydu. Ze zwykłego wstydu, że w środku, w głowie, tak niewiele się różnią od pastuchów.

- A skoro słyszysz myśli, Marlo, to pewnie też umiesz sprawiać, aby ludzie widzieli rzeczy, których nie ma. Na przykład końskie duchy, prawda?

- Prawda. Zwłaszcza gdy jest noc, a oni nie są całkiem trzeźwi. To bardzo pomaga.

Wąż już miał tłumaczyć dalej, w jaki sposób cienie nocy stają się duchami, gdy naraz pomyślał, że oto nadeszła doskonała chwila, by choć na moment zrzucić z siebie ciężar wyboru. Wróżba - jakie to prostackie, jakże nieprzystające do węża, a jednak czyż może być większa ulga, niż choć przez chwilę nie być sobą? Namiestnik też tego pragnął, ciekawe, jak długo wytrwa...

Jeśli choć tyle czasu, ile potrzeba na złożenie czterech... nie, dwóch ofiar, zedrę tatuaż, daruję Omarowi.

Zostanę z Aide. Nauczę się być kimś innym! - postanowił Marlo.

- Ale i teraz jest już noc - powiedział. - Jeśli chcesz, szlachetny Quotlinie, też napij się wina. Wiem, czego pragniesz...

Pan Molku zamknął oczy...

Chwilę później wąż Quotlin z pochyloną głową czekał tego, co mu przyniosą zbliżające się kroki namiestnika.

- A więc tak wygląda mój wąż - usłyszał.

Ujrzał przed sobą człowieka, który nie dość, że nie umiał z godnością dźwigać ciężaru władzy, to jeszcze nie dostrzegął nawet, ile bólu, potu i cierpienia musieli znieść inni, aby on

mógł nazywać się Sercem Molku. *A więc tak wygląda mój wąż* - ten głos rozczarowanego dziecka, które choć dostało wymarzonego drewnianego konika, nie może się jednak pogodzić z tym, że on nie rży i nie przebiera kopytami.

- Czy jesteś niezadowolony, panie? - zapytał Quotlin.

- Nie, jednak inaczej sobie ciebie wyobrażałem... - odpowiedział władcym tonem Marlo.

Ja też wyobrażałem sobie ciebie inaczej - chciał powiedzieć namiestnik, niemal dusząc się z irytacji w skórze węża. Ale nie, nie mógł! Nikogo nie obchodzi, co sobie wyobrażał, nawet jego samego. Całe lata spędził w podziemnych lochach, prawie nie widując Ojca-Słońca, czekając na tę chwilę, gdy władca będzie potrzebował jego usług. Ale pan Molku tylko przyglądał mu się jak dziecko nowej zabawce, jak maudyjski król Kwido swemu uciesznemu karłowi. Obok namiestnika stał generał Aru - jego miecz i podpora. Miecz i jad, na których wspiera się władza, których potrzebuje nie mniej niż każdy człowiek powietrza. Winna im wdzięczność, a jednak...

- Dość, wężu! - Quotlin zerwał się z krzesła, strzepując z siebie myśli Marla z takim obrzydzeniem, jakby to była pajęczyna, która nagle oblepiła mu twarz i szaty, gdy przechodził ciemnym, rzadko używanym korytarzem. - Już dość! Aru wypłaci ci zasługi i odejdz.

Marlo uklonił się w milczeniu, nie oczekując ani słowa więcej. Jednak pan Molku odwrócił się jeszcze w drzwiach i dodał bardziej opanowanym tonem:

- Naprawdę nie nauczyli cię rozmawiać z trzymającymi władzę. Nawet z takimi, co nie wbijają na pal.

*

Quotlin wytrwał w mojej skórze krócej, niż wytrzymałby pod wodą. Wróżba była jasna. Zatem bez radości w sercu, ale ze spokojem w głowie oddałem swoją zapłatę Aide i naszemu nienarodzonemu dziecku. Długo wzbierała się ją przyjąć, rozumiejąc dobrze, że nie jest to ślubny podarek, raczej splata długu.

- Nazwę go Marlo - powiedziała, bardzo chcąc, bym zaciągnął nowy.

- Jeśli to będzie syn, nazwij go Lomar.

- To będzie syn. Obiecuję. Ale dlaczego Lomar?

- Bo to odwrotność Marla - odparłem i chciałem na tym poprzestać. Po chwili uznałem jednak, że dziewczyna zasługuje na odrobinę prawdy. Łączyło nas przecież coś znacznie więcej

niż tylko rozkosz i dziecko. - Nazwij go Lomar po moim bracie, Aide.

- Masz brata?

- Miałem póki go nie zabiłem.

- Dlaczego?

W jej pytaniu nie było krzty zgrozy, po prostu chciała wiedzieć. I to mnie właśnie przeraziło. Pragnąłem, aby mnie znienawidziła i wypuściła wreszcie z Molku.

- Dlaczego?! Dlaczego?! - krzyknąłem. - Bo stał mi na drodze. Z tego powodu zwykle się zabija. Sama wiesz najlepiej.

- Zamknąłeś przede mną umysł, ale ja dobrze znam twoje myśli, Marlo. Nie potrafisz mnie okłamać. Nie w takiej sprawie. Zabiłeś go, ale z pewnością nie dlatego, że stał ci na drodze.

- Nie tylko. Wybacz, Aide.

- Wrócisz?

- Nie jestem jeszcze wolny. Gdy będę... Jeśli będę...

- Nie dla mnie. Dla homara.

Nie powiedziałem już ani słowa, tylko objąłem ją i tej nocy mówiły do siebie tylko nasze ciała.

Rankiem Sebu przysiągł składać bogom ofiary w podzięce za moją dobroć, hojność i szlachetność, zaś Aide... Statek opuszczał już molkijski port, a ona - nieodrodna córka Matki-Księżyc - jeszcze stała na nabrzeżu i słała ciągle tę samą głupią myśl naiwnej dziewczyny: »Wrócisz, Marlo?«.

Rozdział 7

Lubię morze. Tylko tam i na pustyni czuje się, jak czysto i pięknie może przemawiać Bóg-Żywioł, gdy żaden z braci nie wtrąca swoich trzech groszy do jego śpiewu. A siedemnaście dni podróży z Molku do Miasta Trzech Słońc to w sam raz tyle czasu, aby napoić uszy szumem Chlu.

Popłynąłem na pokładzie „Trójwęża”. Dziś mówi się, że ten statek kochają bogowie, bo tylko jego załoga uszła zarazie szalejącej w molkijskim porcie. Ale stało się to dopiero kilka lat później. Mnie zaś „Trójwęż” nie wyglądał na ulubieńca Chlu ani Pufa. Raczej na obiekt ich kpin. Już pierwszego dnia rejsu, kiedy oparty o maszt przypatrywałem się falom, zwróciły moją uwagę trzy węzowe głowy wyrzeźbione na dziobie. Jedna patrzyła w prawo, druga w lewo, tylko środkowa na wprost, ku celowi podróży. Słusznie mówią, że duch okrętu udziela się ludziom na jego pokładzie. Słyszałem rozmowy i myśli żeglarzy, a w żadnym z nich nie było radości z tego, gdzie jest i ku czemu zmierza. Umysły jednych więziły wspomnienia prostackich rozrywek w Molku i pragnęli tylko, aby wypłynięcie ze stolicy Pobrzeża okazało się złym snem. Drudzy - jak większość biednych, prostych ludzi - żyli już przyszłością, gdy będą wydawać te marne grosze zarobione na rejsie. Jedyne kapitan, podobnie jak środkowa głowa na dziobie „Trójwęża”, żył tu i teraz i wrzeszczał na swoich ludzi nawet nie z wściekłości, ale z samotności człowieka, którego pragnień inni nie potrafią pojąć. Żeglarze na chwilę znów wracali do terażniejszości, posłusznie refowali żagle lub zwijali liny, ale gdy szyper odwracał się i wyzywał od psich synów któregoś z ich towarzyszy, niepostrzeżenie odchodzili w stronę wczoraj lub jutra.

Ja także żyłem duchem statku, bo po raz pierwszy zgubiłem coś pomiędzy planami a wspomnieniami i nie miałem pojęcia, gdzie tego szukać. Zbliżała się chwila, na którą czekałem kilka lat - gdy znając już prawdę o swojej przeszłości, stanę przed mistrzem i rzucę mu ją w twarz. Chciałem tego, ale im bardziej się to zbliżało, przestawałem wiedzieć po co. To on odmienił moje życie, choć wcale go o to nie prosiłem. Czy odmienił na lepsze? Pewnie tak, bo inaczej przypominałbym jednego z tych żeglarzy, którzy nie wiedzą, po co żyją, i mimo sprawności w swoim fachu nie czują ani dumy, ani krzty zadowolenia. Ale nie powiedział mi prawdy, a to zawsze boli. Zabrał mi rodziców, których nie znałem i którzy być może byli dobrymi ludźmi... Tak, rzucę mu w twarz prawdę, a on wyciągnie sztylet! Czy może rzucę mu ją, gdy już sam będę go miał na ostrzu? A może wymienimy się prawdami i żalami, a potem każdy pójdzie swoją drogą? To, co się stanie, już było ukryte gdzieś między naszymi umysłami, a ja szukałem śladu jak ślepy żebrak rzuconego mu grosza.

Bogowie - ci sami, którzy kpili sobie z biednych majtków - mnie nadal pomagali zachować spokój i harmonię, choć bezustanny tupot nóg i wrzaski kapitana przeszkadzały mi w ofiarach. I tak było przez siedemnaście dni, nim naszym oczom nie ukazała się Wieża Chlu górująca nad portem stolicy. Wtedy nagle w żeglarzach zaszła dziwna przemiana - ci, którzy

tęsknie wspominali Molk, nagle zaczęli mówić między sobą o uciechach w Trzech Słońcach, a ci, co pragnęli jak najprędzej dopłynąć, teraz myśleli już o następnym rejsie. Zaś kapitan jakby zniknął - wypełniwszy postawiony sobie cel, przycichł i zmałał niczym wojownik, któremu w ogniu bitwy nagle pękła głownia miecza.

Dziś wiem, że to był kolejny w moim życiu znak bogów, którego nie rozumiałem. Bo już kilka dni wcześniej, gdy po raz pierwszy na horyzoncie zamajaczyła ściana gór Wschodniego Muru osłaniającego Aytlan niczym wały obronne, wystąpiłem wszystkie moje myśli za jego szczyty - na poszukiwanie mistrza, Severii i Miasta Trzech Słońc - pięknego i wyniosłego, białego i czystego, ale też zachłannego i pustego, bo wyrosło przecież na krwi i woli wyssanej innym krainom. Gdyby ich nagle zabrakło, również ono musiałoby upaść i żebrać.

*

Stary wąż siedział pochylony nad papierami. Długie siwe włosy spadały mu na czoło. Na przybyłego nawet nie spojrzał.

- I jak tam? Nie próbowali cię okraść przed kantorem, wężu Marlo? - zapytał po chwili, nie podnosząc głowy.

- Znamy się?

- Nie poznajesz, Marlo? - Dopiero teraz uniósł nieco oczy. Jedno było brązowe, drugie zielone jak u kota. Lewy policzek przecinała mu blizna.

- Poznają, mistrzu Asso. Wybacz, ale lata cię zmieniły. - Młody wąż przejechał kciukiem od oka do brody, naśladując drogę sztyletu, który przed laty naznaczył twarz starego. - To ode mnie?

- Od ciebie - usłyszał w odpowiedzi. - Więc nadal żyjesz.

- A ty nadal pomagasz mistrzowi Omarowi sprawdzać jego uczniów?

- Dawno nie było okazji. Ale czuję, że ciągnie cię do mistrza Omara.

- To już moja rzecz! - Marlo szczerzej zagroził umysł. - Chcę zobaczyć się z mistrzem Enlinem. Potrzebuję nieco czasu dla siebie. Kilka należnych świąt już mi się uzbierało.

- Tak, ten czas, który spędziłeś w lochach Aabo, trudno uznać za wypoczynek. Enlin jest w mieście, zabiorę cię do niego. Ale od przeszło dwóch lat to już nie ten sam Enlin, sam zobaczysz.

Marlo ruszył ku drzwiom, jednak Asso wskazał mu wyjście z drugiej strony izby. Zeszli po wąskich, ciemnych schodach. Stary wąż prowadził i choć nie spieszył się, młodszy z trudem za nim nadążał zmuszony badać nogą każdy stopień. Mrok robił się coraz większy, a ściany bardziej wilgotne.

- No, prawie już - powiedział mistrz Asso. Skrzesał ogień i za chwilę w świetle pochodni Marlo ujrzał, że stoją na drewnianym pomoście, a przed nimi rozciąga się podziemne jezioro, którego końca nie mógł dojrzeć. Zupełnie jak nocą na morzu, kiedy patrzył na fale z dziobu statku. Tylko tu nie widział fal, jedynie osłabiony zamknięciem nurt rzeki Der lizał belki przystani. Nad nimi były ulice, domy, pałace i świątynie - miasto, które znał i tak podziwiał. Wydawało mu się zawsze piękne i solidne, osadzone na potężnej skale, którą bogowie wbili w dno rzeki. Tymczasem wyspa wcale nie była tak solidna, należało raczej wyobrazić ją sobie jako odwrócony garnek, pod którym wiją się węże.

Wsiedli do łodzi. Gdy pomost już zniknął, Marlo dostrzegł, że wyspa nie była jednak garnkiem. Podziemne jezioro zwężyło się tak, że widział boki tunelu, którym płynęli. Prąd wody przybrał na sile i wąż musiał wziąć drugie wiosło, żeby pomóc swemu przewodnikowi.

- Jak ci się podoba nasza nora? - zapytał mistrz.

- Odludna - odrzekł z przekąsem Marlo.

- Słusznie! - Asso zaśmiał się. - Trzy Słońca jako jedyne miasto na świecie mają godność namiestnictwa i nikt się temu nie dziwi. Skoro żyje tu trzysta tysięcy ludzi, więcej niż na całym Pobrzeżu, zwykły zarządca nie wystarczy, nie? Wygodny pretekst. Prawdziwa przyczyna leży w tych kanałach, w mieście pod wyspą. Nie może go kontrolować byle kto. Zarządca to za mało i niebezpiecznie, a król - za dużo i podejrzanie. Namiestnik jest w sam raz. O, zdziwiłby się ten, kto odkryłby, czym jest w istocie Nadzór Kanałów Miejskich Namiestnictwa Miasta Trzech Słońc!

- Tajemnice i tak się przedostają. W bibliotece Akademii wpadła mi w ręce pewna księga...

- I cóż tam było napisane, uczonego węzu Marlo? - W oświetlonym pochodnią zielonym oku starego znów pojawił się błysk rozbawienia.

- Prawda. Właściwie mała część prawdy, ale i tak dużo większa niż to, co sam wówczas wiedziałem. Dam ci tytuł, mistrzu Asso, to sam przeczytasz.

- Nie kłopotz się! - machnął ręką Pstrooki. - Znam każde słowo, jakie o nas napisano.

Wielu z nas dbało też bardzo, by każda księga mówiła co innego. Nie ma kłamstwa, a nie dojdiesz prawdy, he, he.

- Taaa, teraz rozumiem. Słyszałem o pewnym złodzieju, który nabywał fanty w ten sposób, że w wąskim zaułku obnażał przed kobietami przyrodzenie, a ręką kradł mieszk. Nie ma to jak pokazać tylko wygodną część prawdy.

- Piękne porównanie, Marlo. Ja dotąd mawiałem, że jak dziewczka ma tyłek w krostach, to daje tylko od przodu. Ale nie studiowałem w Akademii jak ty.

- I może zbyt blisko sięgasz myślą, mistrzu Asso. Ten złodziej z mojej opowieści pewnego dnia stanął przed wyborem: co mają mu uciąć. Wybrał rękę, mimo że w jego fachu od przyrodzenia ważniejsza.

- Minęliśmy połowę drogi, Marlo. Przejdziemy do rzeczy czy dalej będziemy opowiadać sobie przypowieści?

- Co masz na myśli? - Wąż zastygł na chwilę z wiosłem w dłoni. Łódź zakołysała się.

- To samo, ku czemu ty się skradasz, zamiast zwyczajnie zapytać. Omar, czyż nie? Zaledwie jedno chcę wiedzieć: po co go szukasz? Tylko mi nie mów, że podziękować za naukę i wspominać dobre czasy. No, mów, dlaczego chcesz go zabić!

- Jeszcze nie wiem, czy go zabiję. Najpierw chcę poznać prawdę o sobie. Lomar przed śmiercią powiedział mi nader wiele, jednak nie wszystko. Tyle mojego. Co dasz w zamian?

Łódź minęła koło i śruby wodne zasilające fontanny i wodotryski w Dzielnicy Rodów, po czym znów wpłynęła w szeroki tunel, gdzie podziemna rzeka zwolniła. Marlo usiadł na desce i tylko słuchał.

- Omar był najlepszym węzem, jakiego miała nasza gildia, i gdy wypełnił wszystkie misje, długo wzdragał się zostać mistrzem. Wszyscy go zachęcali i tylko ja jeden mówiłem mu, że ma rację. Nie powinni szkolić innych ci, którzy sami wspięli się za wysoko. Nazbyt będzie ich mierzić miałość uczniów, zaczną szukać sposobów, jak szybko, już, natychmiast, ulepić węża ze zwykłej ludzkiej gliny. On też to wiedział, a jednak dał się przekonać. Jednak lepiej by zrobił, odchodząc na wypoczynek. Miał prawo. Tymczasem, szkoląc dzieciaki, myślał tylko o tym, jak jemu samemu brakuje walki. Dlatego też podejmował się bardzo śliskich misji. Nawet jak na węża. Lomar opowiedział ci z pewnością o napadach na wioski, zwłaszcza na tę twoją. Cóż, takie rzeczy też mieszczą się w naszym fachu, choć niewielki to honor. Omara prędko i to znudziło, więc poświęcił się doskonaleniu szkolenia. Ty jeszcze jesteś jednym z nas, Marlo, ale tego, co

wyprawia teraz... Jest ich czterech, czterech naraz! A to, co z nimi robi, to już nie jest szkolenie. To bluźnierstwo!

- Co masz na myśli, mistrzu Asso?

- Pojedź w te same strony, gdzie zawarliśmy znajomość, to się przekonasz. Tyle mojego. Jesteśmy na miejscu. Bywaj, wężu Marlo! - zakończył Pstrooki, wiążąc cumę łodzi obok kamiennych schodów.

- Jeszcze jedno, mistrzu. Dlaczego pomagasz mi przeciw Omarowi?

- Bo szanuję swój fach. Nie potrzeba gmerać przy czymś, co i tak jest dobre. Bywaj!

*

- Witaj, Marlo. Więc nadal żyjesz. Napij się! - Siwowłosa Enlin wskazał mu karafkę z zielonego szkła.

Wąż, który prosto z wilgotnych kanałów znalazł się w ciepłej komnacie, od razu poczuł pragnienie.

- Zasłoń wejście - powiedział starzec, nadal patrząc przed siebie, na ścianę z planem Trzech Słońc.

Przybysz popchnął okazały regał wypełniony rulonami planów miejskiej kanalizacji. Tryby wskoczyły w swoje miejsca i mebel znów stał się tylko meblem, nie drzwiami.

- Pij, pij. Maudyjskie, z Vinki - dodał Enlin. - Usiądź przede mną, już trudno mi ruszać głową.

Ale choć ciało odmawiało mu posłuszeństwa, myśli nadal miał przenikliwe. Marlo czuł, że łążą mu po czasie niczym szczury szukające dziur w ścianie spichrza.

- Dzięki, mistrzu, chętnie odpocznę od molkijskiego wina - odpowiedział, siadając na krześle. - Chętnie odpocznę od wielu rzeczy.

- Po czym chcesz odpoczywać? Trzy misje! Ja nie odpoczywam nawet w święto - burknął stary. - Trzy misje i, o ile wiem, jedną tylko wykonałeś w pełni jak należy. Tę ostatnią. Choć sądząc po tym, jak kryjesz przede mną swój umysł...

- Z całym szacunkiem, mistrzu, ale to mój umysł. Wydasz rozkaz, to go otworzę. Ale wcześniej chciałbym znać powód. - Marlo stanowczym ruchem odsunął od siebie kielich.

- Powód! Wiele jest powodów, dla których dziad może czuć złość do młodego. Nie unos

się! Wkrótce otrzymasz nową misję.

Wąż spodziewał się, że teraz myśli starego uderzą, jednak te nie tknęły nawet jego głowy zajęte własnymi sprawami, własnym kłębowskiem. A usta Enlina zaczęły mówić - najwięcej o namiestniku z Quetli, który choć nadzorował jedyną szkołę węży, dawno nie przysłał żadnego do Aytlanu, o twardej służbie i o niewdzięcznym Marlu. Ten pił wino, słuchał i kiwał głową.

- Zostaniesz tu ze mną w oczekiwaniu na nową misję - rozkazał wreszcie siwowłosy. - A może pali cię już twój tatuaż, co?

- Nie, to ty sprawiasz mi ból, mistrzu - odezwał się wreszcie wąż. - Może jestem zbyt głupi, aby pojąć wszystkie kłopoty, jakie łączą się z twoją godnością zwierzchnika naszej gildii, ale nie jestem niewdzięczny. To raczej ty zapomniałeś, że mój tatuaż oznacza nie tylko powinności, ale i przywileje. Za każdą wykonaną misję należą mi się dwa święta wolnego życia. Dotąd nie korzystałem z tego prawa, co daje razem sześć świąt.

- Sześć? Naznaczyliśmy cię krótko przed tym, jak zabiłeś zdrajcę Lomara - syknął Enlin, a po jego martwej dotąd twarzy przebiegł groźny grymas.

- Mojego brata Lomara - spokojnie sprostował Marlo. - Nie sądziłem, że będziesz targował się ze mną niczym przekupień, mistrzu. Ale nawet gdy z szacunku przyznam ci rację, to i tak zostają cztery święta. Cztery wolne święta. Jeśli zaś dalej będziesz traktował mnie jak psa...

- To co? Nie groź mi! - Myśli starego zakłębiły się między włosami młodego węża, ale nie znalazły drogi w głąb. - Została ci jeszcze Quetla. Tam nikt cię nie widział, nie wymówisz się.

- Tak, została mi Quetla, ale przede wszystkim cztery święta wolnego życia.

- Mój Marlo, nigdy nie będziesz miał wolnego życia, choćbyś się dwoił i troił, choćbyś nawet zdarł sobie skórę razem z tatuażem. Dziw, że tego nie rozumiesz. Ale masz prawo, wszystkie węże mają swoje prawa i na pewno nie ja będę tym, który je pierwszy złamie. Na razie zwalniam cię na trzy święta. I nie zwlekaj! - Enlin przywołał swoje myśli z powrotem i zamknął oczy.

Młody wąż znów sięgnął po wino, dopił je i wstał.

- A dokąd to się wybierasz udawać wolnego Aytlanczyka? - zapytał jeszcze złośliwym tonem starzec. - Jeśli można wiedzieć...

- Można wiedzieć, mistrzu. Chcę zobaczyć z bliska jeden z kłopotów, które tak ciążyą twojej głowie, choć mi o nim nie wspomniałeś.

- Czy ten kłopot, który zwykle obozuje w puszczy nad Addlą?

Marlo kiwnął głową.

- Masz więc sześć świąt. Tylko wróc żywy.

*

Opuściwszy nadzór kanałów, Marlo znalazł się tuż przy Placu Świątyni. Na chwilę ogłuszył go gwar, ale już idąc ulicą Kapłańską, przestał zwracać uwagę na zwykłą miejską krzątanicę. Skręcił w pierwszy zaułek, chcąc jak najszybciej dostać się do domu Severii. Zaskoczyło go, że drzwi otworzyła młoda, jednak nieładna, zbyt koścista dziewczyna w przybrudzonej kuchennym fartuchu. Cóż, jego przyjaciółka mogła przyjąć uczennicę, ale ta wyglądała jak wieśniaczka spod Ozgi.

- Powiedz swojej pani, że przyszedł Marlo - powiedział wąż.

- Której pani? - zapytała z figlarnym uśmiechem. - Młodszej czy starszej?

- Pani Severii.

Dziewczyna zasłoniła rozchichotane usta, a na jej policzki wypłynął lekki rumieniec.

- Dawno nie byłeś w mieście, panie. Teraz mieszka tu kupiec Ilke z rodziną. Na początku przychodzili do nas tacy jak ty. Mój pan był aż zły, że kupił ten dom.

- Gdzie więc znajdę panią Severię?

- Chi, chi, a ja ci się nie podobam? W dzielnicy Rodów. Obok Akademii.

Podziękował służącej i zawrócił. Idąc ulicami miasta, nie widział na nich zmian. Cóż, on też z wyglądu niewiele zmienił się przez te kilka lat, ale w środku... Dopiero teraz pomyślał, że Severia pewnie również się zmieniła, a jej żal z powodu księcia Uriego mógł wyrosnąć podobnie jak nienawiść Marla do mistrza.

A kiedy wąż zastukał do drzwi jej nowego domu, już nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Czego tu? - Miko stanął w wejściu i oparł ręce na framudze, aby nieproszonemu gościowi nawet nie przyszło do głowy, że dałby radę się wśliznąć. - Czego chcesz, tfu, pluje Chlu?!

- Głupie pytanie - odparł Marlo. - Tego samego co wszyscy. Zobaczyć się z twoją siostrą.

- A niby po co?

To pytanie nie było już takie głupie. Sam też je sobie zadawał. Myślał o Severii, zabijając księcia przekłętego, myślał o niej przy Aide... A teraz niewidzialny wąż wysnuł się z jego głowy, owinął szyję Mika...

Przepraszę... Przebaczy... - kasał. - Zapłacę...

- Chodź za próg, Marlo. Spytam.

Weszli do dużej, wysoko wysklepionej sali. Po ścianach pięły się w górę powoje, a na środku tryskała mała fontanna.

- Tam - rozkazał Miko, wskazując jedną z sof rozstawionych wokół marmurowego stołu. Szepnął coś Lukowi, który ledwie się pojawił, zaraz zniknął za drzwiami ukrytymi wśród roślin, nie zaszczycając węża ani słowem. Sam Miko też nic więcej nie powiedział, tylko stał wyprostowany z rękami splecionymi na piersi i patrzył spode łba.

Marlo wiedział już, że Severia wezwie go tak czy siak, choćby po to, by potem wyrzucić. Nie odmówi sobie tej chwili triumfu. Byli przecież podobni do siebie, dwa dzieła tego samego mistrza.

Nie musiał długo czekać na powtórne pojawienie się Luka. Ten bez słowa wskazał mu schody. Wąż skinął głową i wszedł po gładko wylifowanych stopniach, które wyrastały pośród donic, zakręcały ku największej ścianie na wprost wejścia i kończyły się niskim, szerokim korytarzem o ścianach zawieszonych ozdobnymi tkaninami i pełnym aromatu kadzidła. Jedyne otwarte drzwi prowadziły na niewielki, ocieniony taras z kamiennymi ławami. Już samo to miejsce powiedziało Marlowi bardzo dużo: *Nie będzie między nami miłości. Ale słucham. Cztery uszy, cztery oczy, nic ponadto.*

- Jak śmiesz do mnie przychodzić?! - prychnęła na przywitanie Severia, wstając z kamiennej ławki. Wąż zatrzymał się trzy kroki od niej.

- Wybacz - powiedział. - Spodziewałem się, że może cię coś łączyć z Urim, ale nie miałem wyboru.

- Łączyć! - wykrzyknęła. - A skąd ten pomysł, mój przenikliwy Marlo?

- Nie chciałaś wtedy o nim mówić...

- Kupiec też nie pokazuje najlepszych towarów byle gołodupcowi. A jeszcze bardziej nie lubi, jak kradną mu coś ze straganu, kiedy się odwróci. A ty ukradłeś mi część tego, co wtedy wiedziałam, i nie dałeś nic w zamian. Choć muszę ci powinszować, jesteś coraz lepszy. Zrozumiałam swój błąd dopiero po śmierci księcia.

- Dawno o tym wiesz?

- Czy dawno? - Zrobiła krok w stronę węża i skrzyżowała ręce na piersi. - Przez kilka miesięcy po tym, co zrobiłeś, najprzewrotniejsze plotki byrdyjskiego dworu milczały zawstydzone własną błahością. Więc jak mogłabym nie wiedzieć o tym ja?! Tak, tak, Marlo, tak zwykle się kończy wnoszenie do królewskich komnat trupich głów.

- A więc wiesz również to, że były tam dwie głowy. Księcia i węża, mojego brata.

- I co? Czyżbyś chciał, abym ci objaśniła, która wywołała większe zgorzenie, Marlo?

- Nie, przyjaciółko...

- Tylko nie przyjaciółko! - przerwała mu. - Gdyby nie ty, miałabym ten dom o trzy lata wcześniej. Nie było takich wielu, ale paru ludzi odgadło, dzięki komu tak szybko podjąłeś trop. Wiesz, co to jest trzy lata w moim fachu?

- Severio - zaczął proszącym tonem - nie chcę już z tobą walczyć, tylko się wytłumaczyć. Wtedy nie mogłem postąpić inaczej. Nie mów mi o domu. Ja walczyłem o życie.

- Więc wydaje ci się, że mój dom jest mniej ważny niż twoje życie? - Zaciśnęła pięści. - Nie o dom tu zresztą chodzi. Narobiłeś mi kłopotów. Ucierpiała moja reputacja. A brak pieniędzy, na które liczyłam, był tylko skutkiem. To też jest walka o życie, Marlo. Być może nie zauważyłeś, ale co dzień walczą o nie prawie wszyscy. Tylko ci, co nie muszą, przychodzą wieczorami tu, do mnie.

- Wybacz, ale wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogłem postąpić inaczej. Miałem misję.

- Domyślam się! Nie zabijałbyś, gdyby było inaczej. Tylko co mnie do tego?

- Właśnie w tym rzecz, że być może wkrótce będę musiał zabić bez królewskiego rozkazu. Tylko dla siebie. Nie jestem z tych, co powiedzą kiedyś Starym Bogom: *Nie zabiłem, nie ukradłem, nie uszkodziłem ciała...* Więc jeśli możesz, chociaż ty mi wybacz.

Severia odgarnęła włosy, spojrzała na niego badawczo.

- Oszalałeś, Marlo! Jesteś wężem.

- Jestem też człowiekiem. Dlatego przyszedłem, żeby się z tobą pogodzić.

Wtedy coś zmieniło się w powietrzu. Może to powiew znad podmiejskich łąk przegnał morską wilgoć, może Ojciec-Słońce zaciekawiał się tą rozmową... Zagniewana kobieta z wahaniem podeszła do Marla. Dotknęła jego ramienia i razem usiedli na jednej z ław. Kamień nie był aż taki zimny, jak się wydawał.

- No więc słucham. Kogo tym razem chcesz zabić? - zapytała.

- Omara - odparł krótko.

- Jak możesz w ogóle tak myśleć! - Gniew Severii już całkiem ustąpił miejsca przerażeniu. - Co takiego się stało?

- Przyszedłem właśnie po to, żeby już nie musieć niczego ukrywać, przynajmniej nie przed tobą.

I opowiedział wszystko, nawet o Aide i jej dziecku. Kiedy zaś skończył, piękna żmija wezwała Mika, by przeprosił gości, ale ona tej nocy nikogo przyjąć nie może.

II

Potem opuściłem miasto, bo pilno mi było zobaczyć się z moim mistrzem. Twardy, równy gościniec Nowego Traktu prowadził mnie na południowy wschód, ku Addli, tak prosto, że w porównaniu z tą drogą, z tym wielkim dziełem zgody trzech krajów, porozrzucane bezładnie wzgórza, drzewa, zakola rzeki Der czy obłoki na niebie wydawały się wielkim bałaganiarstwem ze strony bogów. Staralem się ułożyć myśli, podobnie jak wiele lat temu czynili to z kamieniami budowniczywie traktu. Choć jechałem nim już nieraz, pierwszy raz dostrzegłem ten ład, który tak przystoi mojemu fachowi, a którego teraz najbardziej mi brakowało. Coś krzyczało mi w głowie, że pierwszy raz jestem wolny i walczę tylko o swoją prawdę. Jednak trzymał ją w garści najlepszy wąż, jakiego znałem. Aby się z nim zmierzyć, musiałem być równie dobry.

Wiele razy obracałem wszystko w umyśle tak, jak zrobiłby to zwykły człowiek - taki jak kupcy, których mijalem lub z którymi nocowałem w przydrożnych karczmach. Nieraz słuchałem ich przemądrzałych wywodów i chytrych podpytywań, ha! nawet brałem w nich udział, bo wyruszyłem w drogę właśnie w kupieckim przebraniu, kilka zaś innych przezornie spakowałem do juków. Podejrzywałem jednak, że przyjdzie mi być raczej zbójcą lub złodziejem, bo choć wiele chciałem otrzymać, nie miałem nic w zamian. To mistrz jak zwykle trzymał wszystko w swoim ręku. Czy zechce dać mi prawdę ot tak? Wprawdzie zbyt wiele już wiedziałem, aby tajemie reszty mogło się staremu wężowi na coś przydać. Ale to nie był człowiek skłonny cokolwiek ofiarować, jeśli nie mieściło się to w jego planach pokrętnych jak boski porządek. Nie to jednak niepokoiło mnie najbardziej. Tyle lat czekałem, by stanąć naprzeciw niego z mieczem, sztyletem czy nawet z gołymi pięściami, wykrzyzczyć mu w twarz, że przychodzę po to, co mi ukradł. Wiele lat spełniałem swój fach, wysługiwałem się mniej lub bardziej podłym władcom,

odkładając na bok jedyną rzecz, która była tylko moja. Mnóstwo razy obmyślałem tę chwilę, gdy zmuszę mistrza do mówienia, i nie wątpiłem, że w końcu ona nadejdzie. Ale kiedy zbliżała się, po raz pierwszy moje myśli przygniótł cień niepokoju. Omar był także moim ojcem, którego kochałem i podziwiałem. Czy więc nie zadrży mi ręka? Czy nie załamie się głos? Czy będę miał siłę, której zabrakło homarowi?

Takie właśnie wątpliwości krążyły mi po głowie, a bogowie milczeli i nie zsyłali ukojenia. Za to każde blahe zdarzenie zdawało mi się złowieszczym znakiem. Nieraz myślałem o kapitanie „Trójwęża”, który ani przez chwilę nie wyglądał na równie przegranego co wtedy, gdy już doprowadził statek do portu. Z pewnej przydrożnej karczmy odjechałem nawet w środku nocy, bo z braku bazarza ktoś zaczął zabawiać gości zwykłą dziecinną piosenką o tym, jak to młody kocur próbował schwytać starego szczura. Inni podróżni zaśmiewali się do łez, widząc, że pije do młodego pomocnika wdowy po karczmarzu. Ale ja widziałem w śpiewce całkiem inne znaczenie...

Jechałem całą noc i świtem trakt wprowadził mnie w las. Tu zaczynała się Puszcza Koniec Świata, za którą pierwsi aytlanczy osadnicy długo nie widzieli potrzeby się zapuszczać, póki myśliwi i złodzieje bydła nie przekroczyli rzeki Addla i nie dali początku ludowi Addlijczyków wraz z dumnym rodem króla Daviego. Pozostał nieco ponad dzień drogi. Wkrótce spodziewałem się poczuć w nozdrzach dym ogniska, przy którym obozował mój mistrz i jego nowi uczniowie. Ojciec-Słońce odgarnął już gałęzie drzew, żeby spojrzeć na poszycie lasu. Wtedy i ja nagle dostrzegłem coś, co kazało mi zatrzymać konia. I wyzbyłem się jadu z mych myśli, bo instynkt węża wsączył go z powrotem do zębów.

*

Marlo zatrzymał swojego wałacha. Na drodze o jakieś dwadzieścia kroków przed nim leżał trup może dziesięcioletniego chłopca. Każdy na ten widok spiąłby konia, by choć o dwa oddechy wcześniej znaleźć się przy tym nieszczęśniku, by sprawdzić, czy może jeszcze żyje. A potem...

Jednak wąż doskonale wiedział, że i lisy czasem udają nieżywe, kiedy chcą zwabić nieostrożnego ptaka. Gdyby ptak był równie mądry jak wąż, spostrzegłby, że nad tym smakowitym trupem nie lata ani jedna mucha. Tak, muchy nieraz bywają mądrzejsze od ptaków i podróżnych.

Jeździec nie przyspieszył, ale i nie zatrzymał konia, aby zbójcy nie zaatakowali, nim

będzie wiedział, ilu ich jest i jak są uzbrojeni. Wyczuł cztery myśli, każdą dziką, nabrzmiałą, ale żadna nie była napięta jak cięciwa. Tylko pałki, może topory czy miecze. Nie mogli mu nic zrobić. Piętnaście kroków...

Wtem poczuł, że i do jego głowy ktoś próbuje zajrzeć, jednak robi to jak złodziej, co pierwszy raz odcina komuś sakiewkę. Wystarczyło trochę się przysłonić: *Czy to możliwe? Toż to tylko dziecko! Nie, nie wierzę... Kto mógł taka zbrodnię...?* - myślał Marlo, nie spuszczając z oczu leżącego. Dziesięć kroków...

Poczuł w czterech głowach radość i żądzę. Chłopak na ziemi ledwo powstrzymywał się, aby nie skoczyć na równe nogi i nie schwycić cugli zbliżającego się konia. Źle panował nad oddechem. Jasne, prawie białe włosy poruszały się, kiedy wypuszczał nosem powietrze. I nie miał dziesięciu lat, najwyżej dziewięć. Pięć kroków...

Wąż zeskoczył z wałacha i ukląkł przy dzieciaku, dokładnie tak, jak sobie tego życzyli zbójcy. Zaszleściły gałęzie, leżący spiał mięśnie, ale zanim zdążył podnieść głowę, sztylet Marla oparł się o jego krtań.

- A niech się który ruszy, zabiję smarka!

Napastnicy stanęli jak wryci na skraju gościńca, jednak to nie mogło potrwać długo. Choć obcy trzymał na sztychu ich kamrata, przecież nie ma oczu z tyłu!

- He, wy dwaj za mną! - usłyszeli jednak. - Ty dwa kroki od tego krzywego dębu i ty, co wyciągasz łapę po mojego konia. Rzućcie na ziemię, co tam trzymacie w łapach. A ciebie, gnojku, widzę, więc chyba tym bardziej wiesz, co masz robić.

Zbójca, który miał zaatakować Marla z przodu, był niewiele starszy od chłopaka na ziemi. Ale wprawnie ścisnął pałkę i pewnie wiedział, jak się nią posługiwać. Taka broń nie pasowała jednak do pocziwej, nieco puciołowatej twarzy. Z nierówno przystrzyżonymi czarnymi lokami, śladami błota na policzkach i w zbyt dużej, workowatej tunice wyglądał niegroźnie, tylko oczy zdradzały, że choć nie jest w tym jeszcze wprawiony, jednak umie zabijać.

- Rzuć pałkę! - warknął wąż.

Chłopak powoli nachylił się i położył ją na ziemi, by zaraz znów chwycić w garść, gdy jego kompan rzucił się zza pleców Marla, chcąc podbić mu rękę i wytrącić sztylet. Jednak on przerzucił ostrze do lewej dłoni, zrobił unik i złapał napastnika za nogę. Ten stracił równowagę i upadł, przewracając czarnowłosego towarzysza. Jego pałka przecięła powietrze, zrobiła kilka młynków i wpadła prosto do ręki węża.

- Leż! - Marlo dalej mierzył sztyletem w szyję jasnowłosego dzieciaka. Pałkę chwycił w pół, by równie łatwo bić nią do przodu i do tyłu. - A teraz powoli wystaw rękę, trupie. O tak! Odwiń mi rękaw! No już, odwijaj!

Chłopiec posłusznie wyciągnął dłoń...

- Zostawcie! - krzyknął zaraz piskliwie. - To wąż! Marlo usłyszał, jak czwarty z chłopców rzuca na ziemię kij i idzie w jego stronę. Też odrzucił pałkę, wstał.

Zobaczył najstarszego zbója - dwunasto-, może trzynastoletniego piegowatego rudzielca.

- Wybacz nam, panie. - Chłopak podniósł swoją broń za sam koniec i podał Marlowi. - Nie wiedzieliśmy. Wybacz i ukarż głupotę - przyklęknął i odsłonił kark.

- Głupota to nie jest najgorsza rzecz na świecie. Wstań. Nie będę bił młodszego brata. Jestem Marlo. Wąż Marlo. Uczeń tego samego mistrza co i wy.

- Marlo?! Najlepszy... Bracie, jak poznałeś, że i nas szkolił mistrz Omar?

- Bo żaden inny nie strzyże chłopcom tak nierówno czupryn.

- Ale mistrza nie ma, starszy bracie - zmartwił się czarnowłosey. - Nie wrócił z wioski. Zabrali go. Były trupy i ziemia zryta kopytami.

*

Marlo nie słyszał jeszcze o podobnym bluźnierstwie, ale jakby nigdy nie ogryzał króliczą nogę. Chłopcy byli radzi, że mogą ugościć starszego brata, więc zaczęli bezładnie opowiadać mu o swoim szkoleniu, wciąż podsuwając to mięso królika, to rybę, to miód dzikich pszczoł. Wąż słał im pełne zachęty myśli, a oni podchwytywali je w lot. Nie musiał więc pytać, wystarczyło dobrze słuchać.

Żadna nowina, że mistrz bierze sobie takich uczniów, jakich sam uważa za wartych nauki, i zmienia ich w takich ludzi, którymi bez niego nigdy by się nie stali. Ale Asso miał rację, teraz Omar robił coś znacznie więcej niż tylko szkolenie. Obrzęd! Z Marla i Lomara uczynił dzień i noc, światło i ciemność, kształt i cień, niczym bóg robiący pierwsze próby przed stworzeniem świata. Nawet imiona dobrał im tak, aby wzajemnie sobie zaprzeczali. Ale ci czterej chłopcy to był plan, który nie tylko kapłanowi postawiłby włosy na głowie. Każdy z nich miał wyrosnąć na żywą modlitwę i przekleństwo zarazem.

- Możesz to powtórzyć? - zapytał Marlo.

- Tak, mój bracie - powiedział najstarszy z chłopców. - Ja jestem Agni, a to moi bracia: Chlu, Erh i Puf.

W nich nie było zaprzeczenia. Tym razem mistrz postanowił zostać treserem sfory, w której każda bestia ma wyznaczoną rolę. Chciał stworzyć nie czwórkę węży, ale drużynę, mały świat, gdzie każdy wąż stanie się innym Żywiołem.

- Mielicie próbę snu i śmierci. A mówił wam ojciec o bogach?

- Nie - odparł Agni. - A niby czemu miałby nam o nich mówić?

- Może nie byliśmy gotowi - wtrącił Chlu. - Uwolnimy ojca, to jeszcze nam opowie.

Marlo przypomniał sobie te dni własnej próby, gdy przy ognisku czuwających chłopców mistrz pojawiał się świtem niczym Ojciec-Słońce. Czy nie w tej roli już wtedy pragnął się widzieć, a teraz postanowił ją urzeczywistnić? Nie wolno mówić o bogach tym, co sami mają być bogami - to proste! Wąż pomyślał też, że miał szczęście, skoro trafił na nich, póki byli mali. Jeszcze dwa-trzy lata...

Chłopców, inaczej niż ich starszego brata, nawet w snach nie nawiedzały wspomnienia z dzieciństwa innego niż to z mistrzem, w lesie. Nie pamiętali go lub nie chcieli pamiętać. Od początku w nauce i zabawach każdy dostawał inną rolę. Agniego Omar chwalił za odwagę, Chlu za mądrość... Tak jak to opisał dawno temu stary Caspo! Tyle że mistrz nie tylko zaprzeczył naturze ludzkiej tych dzieciaków, zaprzeczył też naturze węża. Wąż nie jest wilkiem, nie poluje w stadzie... Tworzył z nich coś, czego nie ma, coś na podobieństwo szarańczy - łagodnej przecież i spokojnej siostry pasikoników, która z siebie tylko wiadomych przyczyn raz w ludzkim pokoleniu zwołuje towarzyszkę na wojnę.

Przez głowę Marla przemknęło, by przerwać to bluźnierstwo, gdy dzieciaki usną... By zostawić za sobą cztery trupy i odjechać, upewniając się tylko, że gdziekolwiek jest Omar, nie wyjdzie stamtąd żywy. Ale nie na tym miała przecież polegać misja, którą sam sobie powierzył. Przybył nie tyle po jego śmierć, co po swoją prawdę.

- Gdzie trzymają mistrza? - zapytał.

- Pewnie w strażnicy w Ozdze, starszy bracie.

- Doskonale. Jutro go przywiozę. Teraz przynieście moje rzeczy. Potrzebna mi też czerwona glina i kawałek brzoźowego drewna. Już!

Agni zaraz pobiegł do zagajnika, a Erh nad rzekę. Tymczasem wąż wyjął z sakwy pióro, inkaust i dwie czyste karty. Wyglądził je wierzchem dłoni na pniaku, który Omarowi i chłopcom

pewnie nieraz służył za stół.

- Co to będzie? - zapytał Chlu.

- List, w którym królewska straż z Maud prosi o wydanie więźnia.

- List? Ty nawet pisać umiesz! - zdziwił się Puf. - Ojciec mówił, że kiedyś i nas ktoś nauczy...

*

Ozga była ostatnim miejscem w całym Aytlanie, gdzie Marlo chciałby się pokazywać. Choć minęło wiele lat, odkąd je opuścił, to jednak nie aż tak wiele, by mieć pewność, że nikt go już nie pamięta. Przejeżdżał przez nie z Bractwem Addli po drodze do Aabo i choć przemierzyli ulice jak wiatr, to i tak zdążył dostrzec zbyt dużo znajomych twarzy. Jednak tym razem - kto wie - to mogło okazać się jego siłą.

Wolno wjechał traktem od maudyjskiej strony. Rozluźnił płaszcz i zwisał on teraz z końskiego zadu, odsłaniając pierś jeźdźca i podrygujący na niej wisior strażnika. Minął tak gospodę „Opodał Mostu”, przy której zawarł niegdyś znajomość z bandą Ihego. Na rynku zsiadł z konia i poprowadził go ku strażnicy. Domy okalające plac postarzały się, tylko ten należący dawniej do kupca Manego dostał nową bramę.

Wąż wszedł w tłum uwijający się wokół kramów. Dostrzegłszy znudzonego młodego strażnika, rzucił mu wodze i pokazał swój wisior.

- Pilnuj - rozkazał. - Jest starszy?

- Nie ma, panie. - Zbrojny wyprężył się. Nie, to nie był szacunek, raczej nadzieja, że coś się wydarzy. Właściwa młodym psom, wykpiwana przez starsze. - Starszy posila się tam naprzeciw, „Pod Sakwami”. Pytaj o Ubego, panie.

- Ubego? Ube jest teraz waszym starszym, przyjacielu? - zapytał Marlo z zachwytem podróżnego, który po latach wraca wreszcie w rodzinne strony. - A Tome? A Fren?

- Ooo, panie! Tomego to ja nawet nie znałem, a Frenowi zmarło się. Będzie dwa lata.

- Szkoda Frena, szkoda. Ale Ube też dobry strażnik. No, konia pilnuj, albo lepiej weź do stajni. Czeka! Zarządcę znajdę?

- Eee, nie, panie! - zaśmiał się zbrojny. - Toż dziś nie święto!

Najlepsza gospoda w mieście powitała węża wonią cielęciny z grzybami. Parowała ona

właśnie z okazałej miski stojącej przed jedynym gościem w izbie. Rozsiadł się on wygodnie na środku, mając widok i na drzwi, i na okno. Nawet jak żarł, warował. Karczmarz, jakiś nowy, bo Marlo go nie pamiętał, niósł właśnie dzbanek i kubek.

- Dwa kubki i dwa dzbanki, gospodarzu! - zawołał wąż. - Ja płacę.

Strażnik spojrział na niego zdziwiony, zmarszczył czoło.

- Czy...

- Nie pamiętasz mnie, panie?! Przed laty byłem tu uczniem kapłana. Marlo. Teraz wywiadowca Marlo ze straży namiestnika Trzech Słońc! - Przysiadł się i plasnął dłonią w stół. - Co by nie mówić, też to dzięki tobie wyszedłem na człowieka.

- Marlo?! No, teraz poznaję! - ucieszył się Ube. - Ten mały, co się poryczał, jak pałką dostał? No, wybacz, panie! Gospodarzu, jeszcze miska! Bo pewnie głodny jesteś z drogi? Nie ma co się śmiać z pałki... Nie miałeś tu szczęścia do nauki fachu. Kapłan zbir! Czegoś podobnego nikt nie widział. Jedno ci powiem na pociechę, że pięć dni zdychał. No a co z tobą było? Opowiadaj, panie Marlo.

- Dla ciebie, panie, po prostu Marlo - powiedział z rozrzewnieniem wąż, rozsiadając się i odpinając płaszcz. - Ty i kompani pokazaliście mi już, żeby się ze złodziejami nie bratać, więc kiedy ojciec mnie zabrał na naukę do Miasta Trzech Słońc, to wyuczyłem się na wywiadowcę. Zawsze to lepiej samemu mieć kij w ręku, niż nim brać po grzebiecie, co?

- He, he, bo już myślałem, żeś może wisior ukradł! - Strażnik nachylił się ku niemu i przyjacielsko trącił łokciem.

- He, he, a tyżeś się zrobił wymowny! - Marlo odwzajemnił ten gest. - Nic dziwnego, co starszy, to starszy. Winszuję, panie Ube.

- Ube, żaden pan. Stygnie!

Więc jedli z ochotą jak dwa psy, które już powąchały się pod ogonami i zawarły przyjaźń. Targając zębami mięso i oblizując palce z sosu, strażnik opowiedział jeszcze, jak różne bywają drogi drobnych złodziejasków - taki Jove Król na przykład zaciągnął się do królewskiego wojska, jak nastąpił bunt Abselego, i ponoć własną ręką ściał kilka łbów pod Aabo, za co zrobili go dziesiętnikiem. A znowu Uje Szczuj, choć niby pałki też go czegoś już nauczyły, nie wytrzymał długo w fachu obwoźnego handlarza, zajął się paserką i za to w Kuźniach paluchy mu połamali. Ano i nowina najlepsza! Jakże mógłby zapomnieć?! Afina i Mane - ci od córki-zdechłaczki, pomarli jakieś trzy lata po nadzianiu na pal tego, tfu, Erh-Ada. Dziewucha zaś naraz od tego

ozdrowiała, wzięła sobie męża niedorajdę i teraz trzęsie całym handlem na Placu pod Fortem.

- A Tome zginął od buntowników - ciągnął Ube. - A Fren...

- O Frenie słyszałem. Wypijmy, niech tam dobrze z Ojcem-Słońcem poluje!

Marlo musiał wysączyć trzy ćwierci garnca, zanim jego kompan przestał dostrzegać, że tylko jemu się dolewa. Dopiero wtedy wąż zaczął mówić to, z czym tak naprawdę przyszedł.

- Szukam niejakiego Omara. Ponoć wreszcie macie tu w lochach tego starego zbója!

- Hep, zbója? - zdziwił się strażnik.

- Jakiś czas temu słyszałem, że napadał tu w pobliżu na trakcie jeden stary zbój, ale bardzo jeszcze sprawny. - Wąż czknął. - No a dziś mi powiedziano, że niedawno wlekli jednego takiego tu do was, do strażnicy, tom uznał, że może ten sam.

- No, zamknęliśmy po prawdzie niedawno jednego starego, ale to nie był zbój, choć wielu ludzi nieźle poharatał, jak go brali.

- Nie zbój?

- Nie. Nawet nie straż go chwytala. Ale rozkaz był od zarządcy, to zamknęliśmy. I nie pytaj, o co idzie, Marlo. Wróżda.

- Wróżda wróżdą, ale chciałbym choć spojrzeć na jego gębę. Po to przybyłem tu aż z Miasta Trzech Słońc.

- A na co on tobie? - Ube spojrzał naraz przytomniej. - Nie macie tam na północy własnych zbirów?

- Niektórzy z nich są lotniejsi od ptaka amato, przyjacielu. Ten stary zbój, Omar, i u nas robił grandę. Wielu zalał za skórę i radzi by go widzieć na palu. Niektórzy z nich to znaczni i bogaci ludzie. Gotowi dobrze zapłacić, byle dostać go w ręce.

- Aaa, więc też chodzi ci o wróżdę! - Strażnik klepnął węża po ramieniu. - To trzeba było tak od razu mówić! Ale nic nie będzie z twojej maudyjskiej zemsty, bo nasz zarządca ma z nim własną sprawę.

- No więc pokaż mi go, to przynajmniej będzie wiadomo, czy to za nim przyjechałem.

- Nie pokażę, bo go tu nie ma.

- Nie słyszałem, aby kogoś w mieście ostatnio wbili na pal ani powiesili. No to gdzie jest?

- Mówiłem, że wróżda. Zarządca wziął go do siebie. Taaa... A skoro się tak dziwisz, to jeszcze ci powiem, Marlo, że mimo przyjaźni robisz mi kłopot twoim gadaniem.

- Ja robię kłopot? - zapytał zdziwiony wąż. - Obaj jesteśmy psy.

- Niby tak, ale nie od jednej suki. Bardzo chciałbym zobaczyć, jak ty byś mi pomagał, gdybym to ja przyjechał do twojej strażnicy w Trzech Słońcach!

- No to zaprowadź mnie chociaż do swojego zarządcy.

- Nie ma go, bo i po co? - Ube wzruszył ramionami. - Dziś nikogo nie wieszamy ani nie wbijamy na pal, jak pewnie sam to dostrzegłeś. Rozkazy dał, to siedzi u siebie w domu.

- Gdzie?

- Żadna tajemnica. Wieś nazywa się Chlewy, na zachód od miasta.

- Ha, nie znam twojego zarządcy, ale do mojego by pasowało - zarechotał wąż, bo strażnik zaczynał patrzeć na niego podejrzliwie. - Pan na Chlewach! Oj, powiem kompanom.

- Ciii, Marlo! - Ube zerknął, czy karczmarz nie słucha. Był on jednak w kuchni i coś tam gderał. - Zarządca Zejann i jego Chlewy. Wart król królestwa. Ale sza! Między psami!

*

- Jestem Marlo, wywiadowca z Miasta Trzech Słońc. Witam cię, panie zarządcu.

- Witaj, panie Marlo. Trzeba było jakoś uprzedzić, że przyjedziesz. Miałbym więcej czasu na rozmowę. Cóż tam w Trzech Słońcach? Ten dziad Vido przewodzi jeszcze straży?

Stary lis! Siedział za stołem w swej wielkiej jadalni i popatrywał przez okno na dziewczki kręcące się po ogrodzie. *Smród snujący się nad polem, Wodą studzona Ziemia* - ocenił go wąż. Niemało było w nim rozumu, skoro uzyskał godność zarządcy, i niemało go wkładał, by korzystać z tej godności, nie przemęczając się nazbyt. Więc i nic dziwnego, że pytał nader sprytnie.

- Nie, panie, i nigdy nie przewodził - odpowiedział Marlo, stojąc pięć kroków przed Zejannem rozpartym na krześle i popijającym wino. - Od sześciu lat zarządcą straży jest u nas dostojny Varrabe, Addlijczyk jak i my. A stary Vido to tylko jego prawa ręka. He, he, taka z niego prawa ręka, która już drugiej głowie służy. A pewnie i tę przeżyje!

- Cóż, widać musiał ktoś ze mnie zakpić i bzdur nagadał. - Zejann znów sobie gołnął. - A Fintann jest jeszcze pierwszym strażnikiem Quetli?

- A to już musisz wsiąść na statek, popłynąć tam i spytać, panie zarządcu. Ja służę w Trzech Słońcach i mało mnie Quetla obchodzi. Czy teraz, gdy i mój wisior, i odpowiedzi upewniły cię, z kim masz do czynienia, pozwolisz, że przedłożę ci moją prośbę?

- To niepotrzebne. Już ją znam - uśmiechnął się po raz pierwszy pan na Chlewach.

- Doprawdy?

- A tak! Wiem wszystko, co dzieje się w mojej strażnicy. Od tego jestem zarządcą, czyż nie? Zanim ty przybyłeś tu traktem, jeden z moich ludzi zdążył ubiec cię skrótem.

- Taaak - westchnął wąż. - Powinszować. Ale ja mam rozkaz na piśmie.

- Wiem, wiem. - Zejann machnął ręką. - Wiem już nawet, co w rozkazie, więc możemy bez żalu tracić czas na pogwarki.

- Zatem?

- Zatem czy niejaka Severia dalej jest najlepszą kurwą w całym kraju Maud?

Marlo wzdrygnął się.

Czy to zmęczenie, czy raczej bliskość celu na chwilę zdarła z niego wężową skórę? Ale zarządca, choć dostrzegł jego gniewny grymas, uznał to tylko za oznakę zniecierpliwienia.

Śluchaj rozkazu - w umysł Zejanna wśliznęła się wtedy myśl. - *Nie zaszkodzi, a pomoc może. Wiele grosza co dzień wpada do psiarni w Trzech Słońcach...* Ale wygodnie rozparty mężczyzna zdusił ją, choć przez kilka oddechów widać było, że coś rozważa. Odwrócił wzrok od wisiora na szyi wywiadowcy i znów spojrzął za okno. Jednak dziewczuch w ogrodzie już nie było.

- A co do więźnia, panie Marlo, nie wydam, bo jest mój. Mój więzień, moja wróżda.

- Panie, tu chodzi o królewskie prawo.

- Które królewskie? - prychnął Zejann. - Bo królów jest trzech. Pewnie chodzi ci o prawo Kwida, władcy Maud. Chylę przed nim czoła, ale tu jest Addli. Czyżby nie powiedzieli ci tego na moście granicznym? Więc schowaj swój wisior pod płaszcz. Nic ci tu po nim.

- Daj chociaż zobaczyć więźnia.

- Trzeba było mnie uprzedzić. On nie jest dziś gotowy.

- Więc skoro dziś nie jest gotów, pewnie jutro nie będzie tym bardziej, co? - zapytał kpiąco Marlo.

- Trafnie odgadłeś - pochwalił zarządca. - Coś jeszcze?

- Piękny masz majątek, panie Zejann - syknął groźnie wąż. - Bogaty. Czy w Addli aż tak dobrze płacą zarządcom straży?

- Nie twoja rzecz! Mój majątek, mój więzień, moja wróżda! Żegnam, panie Marlo. A gdyby ci przyszło na myśl skarżyć się u mojego króla, zapewniam, do Aabo daleka droga. I nie całkiem bezpieczna.

III

Istotnie bezpieczna nie była, bo na południe od miasta obok traktu czaili się na mnie zbrojni Zejanna. O wszystkim pomyślał! Tylko nie o tym, że nie zamierzam jechać do Aabo. Zawróciłem w stronę Trzech Słońc i jechałem droga przez rozgrzany latem las, starając się wypocząć, i cały czas powtarzałem sobie w głowie rozkład domu zarządcy. Przestali mnie śledzić daleko za mostem granicznym. Zdziwiliby się, ale nie nadłożyłem nazbyt wiele drogi. Wystarczyło wrócić kawalek na przelaj i byłem już w zakolu rzeki Addla, gdzie obozowali chłopcy.

Gdyby tylko Omar był uwięziony w mieście, dostałbym się do niego bez niczyjej pomocy i zakończył sprawę. Potem wróciłbym do Trzech Słońc, a starszy nad psiarnią niechby stał stu gońców do zarządcy, chłopcy Omara niechby dalej wprawiali się w rozbójnictwie, lecz wąż Marlo choć raz dostałby kęs jadła bez żadnych grud. Jednak nie było rady - musiałem odbić mistrza ku uciesze jego uczniów. Gdy zaś im powiedziałem, że uczynimy to razem, gotowi byli pójść za mną nawet nie na grandę, ale na wojnę.

Jednak to, co najpierw wydało mi się tylko złośliwością losu, naraz zobaczyłem jako znak bogów, którzy życzyli sobie, abym zmazał bluźnierstwo Omara, niczym syn spłacił długi ojca. Zacząłem od tego, że usiedliśmy razem wokół ogniska i opowiedziałem, kim są Panowie Żywiołów. Chłopcy słuchali tego z wielką ciekawością, czekając, jaka z przypowieści wyniknie nauka. Dmuchnąłem więc w Ogień, pokazując, jak bóg Puf pomaga bogu Agniemu, a potem poląłem płomienie Wodą i posypałem Ziemią. Pokazałem młodszym braciom świat -cieple błoto popiołu i swąd dymu. Chciałem już zacząć mówić o tym, jak moc Żywiołów objawia się w człowieku, lecz wtedy Agni pierwszy nie wytrzymał:

- Starszy bracie, ale na co to wiedzieć wężowi?

Już miałem nakazać im, by milczeli i słuchali dalej, dostrzegłem jednak, że nawet oni nieświadomie oddają hołd swym bogom - Erh, z opuszczoną głową patrząc na ziemię, Puf, gapiąc się w niebo, Chlu - na pobliski strumień. Tylko Agni nie mógł oderwać oczu od resztek ogniska, które przed chwilą uśmierciłem.

- To jest rzeka Addla - powiedział Marlo.

- To tylko Lisi Strumyk, starszy bracie - zdziwił się Erh.

Niełatwo było im też pojąć, że niewielka budowla z patyków wyobraża majątek Zejanna, a kawałek kory łódkę, którą po uwolnieniu Omara uciekną na maudyjską stronę. Nigdy wcześniej tak się nie bawili, byli też za młodzi, by mistrz zaczął ich uczyć planów różnych miast. No i czego można oczekiwać od chłopców, którzy nie rozumieli, że zgaszone ognisko może wyobrażać cały świat?

Wąż musiał więc wiele razy tłumaczyć ich zadania. Erh miał ukryć się w stajni, a gdy dostanie znak, że ojciec jest wolny, podpalić stodołę i z kilkoma końmi uciec za palisadę. Chlu dostał rozkaz czekać w łodzi na rzece i choć oznaczało to, że nie będzie walczył, on jeden szybko pojął, że i ktoś taki jest potrzebny. Agni jako najsilniejszy miał pomagać starszemu bratu - najpierw wejść do majątku od strony pola, znaleźć jakąś kryjówkę w ogrodzie pod murem, a potem wśliznąć się do izby, gdzie śpią dzieci - na piętrze, może poddaszu, i wlać im do gardeł wywaru na głębszy sen. Później wraz z Pufem będzie ich pilnować. Puf, zanim dołączy do Agniego, podobnie jak Erh w przebraniu pastucha wejdzie polną bramą i razem ukryją się w stajni. W nocy, udając, że pali go pragnienie, pójdzie pod studnię i stamtąd będzie baczył, czy nic nie przeszkodzi pozostałym. Póki nikt go nie wezwie, przykucnie gdzieś w cieniu koło kuchni.

- A ty, starszy bracie? - zapytał Puf, gdy kupka patyków stała się już dla niego domem, a nawet gramolący się obok żuk zaczął udawać krowę.

- A mnie nie sposób będzie nie zauważyć...

*

Ojciec-Słońce kończył łowy, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę, by poświecić ludziom schodzącym z pola. Zeszli się tu i z Chlewów, i z Karczowiska, nawet z Ozgi - z Przylesia. Każdy z początku chciał choć grosza zarobić, ale u zarządcy ręka ciężka, mieszek ciasny, więc zmieniali się najemni. Jedni odchodzili, splunawszy za siebie, inni przychodzili, myśląc: *Et, dam radę!* Jeszcze inni przywykli, bo cóż - drugie i tego nie mają.

Tylko gruba Lamika zwróciła uwagę na spoconego chłopaka, którzy trzy razy upuścił snopek, nim go wreszcie wrzucił na wóz. Niewprawy był, oj, niewprawy i z samej litości dobrze byłoby zagadać, zanim kto inny spostrzeże i odliczą mu z zapłaty. Ale gdy już chciała

podejść, zniknął jej wśród innych prowadzących konie znad rzeki. Spieszyli się - i konie, i pastuchy. Dwóch tylko zostało z tyłu, bo jak to zwykle najmłodszym przypadła im najbardziej złośliwa kobyła przezwana Chlastką. Nie, ona nie była z tych szczerych koni, które wierzgną czy kopną. Nigdy się nie spieszyła i nigdy nie chybiała, gdy miała sposobność chlasnąć kogoś chwostem po pysku.

Ale szybko Lamika dała sobie spokój z rozmyślaniami, bo całą jej uwagę zaprzętnął widok rzadko spotykany w Chlewach, wsi leżącej z dala i od bogactw, i sprawiedliwości, i nawet traktu. Nie wiedzieć po co właśnie tu przybłąkał się pomyłony włóczęga i bełkocząc coś niewyraźnie, wkładał brudny paluch do gęby.

- Głodny nierób! - domyślił się rudy Juho.

- Iii, rzygnąć chce - zarżał ktoś inny. Cokolwiek te gesty miały oznaczać, jedno było wiadome - żreć prędko głupek-żebrak nie dostanie, póki inni nie zjedzą i nie ubawią się jak trza jego bełkotem i koślawym dreptaniem. Tak że nim dostał jakiś ochłap do swej wyszczerbionej miski, Ojciec-Słońce dawno zmęczył się łowami. I Chlewy też zasnęły.

*

Zarządca Zejann spał na szerokim łożu między dwoma oknami, z których za dnia widać było ogród, zachodnią palisadę i las. Stąd przebudzony nocnym atakiem mógłby szybko zorientować się, kto i w imię jakiej wróżdy zakłóca mu odpoczynek. Przez północne okno miał widok na łąki i rzekę, przez południowe na drogę do miasta. Jeszcze nim zarzuciłby coś na siebie, zdążyłby wykrzyknąć kilka rozkazów i zmienić swój majątek w małą strażnicę. Jednak tym razem wróżda nie przychodziła zza okna, ale z korytarza. Nawet się nie poruszył, kiedy Marlo wszedł cicho, cisnął w kąt komnaty swoje żebracze łachmany i postawił sobie zydel przy nogach łoża. Tylko żona zarządcy westchnęła coś przez sen, obracając się na brzuch.

- Panie Zejann - powiedział wąż. - Panie Zejann! Ten zamrugnął oczami, żeby strzepnąć sen z powiek, ale ów wywiadowca z Trzech Słońc, który znów go nachodził - tym razem we śnie, ani myślał zniknąć.

- Poznajesz mnie? - zapytał nieproszony gość. - Przyszedłem po twojego więźnia.

- Ty psie! - zawołał całkiem już rozbudzony zarządca. Jego małżonka również poderwała się przestraszona. A Marlo wstał, mierząc w oboje z niewielkich kuszy umocowanych na

skórzanych bransoletach.

- Okłamałem cię, panie. Nie jestem psem, ale królewskim wężem. I nie krzycz, proszę, bo będę musiał cię zabić. Wierz mi - dodał cichym, melodyjnym głosem. - Niedobrze jest przedkładać wróżdę nad prawo. Ale możesz naprawić winę. Oddaj więźnia i znikam jak zły sen.

Jego głos, choć niewiele głośniejszy od szeptu, wpychał się w umysł Zejanna, budząc wszystkie myśli, których zarządca nie myślał nikomu wyjawiać. Spojrzał na żonę. Ta sparaliżowana strachem wpatrywała się w oczy obcego, przyciągając prześcieradło aż pod brodę.

- Wpadłeś do studni, wężu. Możesz syczeć i kąsać, ale z niej nie wypełniesz. Jesteś już martwy - rzekł spokojnie Zejann. Bardzo starał się w to uwierzyć.

- Doprawdy? Jeśli myślisz o tym sztylcie, który chowasz pod zagłówkiem, to lepiej od razu rzuć go na ziemię. Spokojnie, powoli, lewą ręką. O, właśnie tak! A teraz leż sobie wygodnie i opowiadaj o innych złych przygodach, jakie tu na mnie czyhają - powiedział Marlo, kiedy ostrze z cichym brzękiem upadło na drewnianą podłogę obok łóża.

- Wystarczy, że krzyknę... - zagroził zarządca.

- Wtedy umrzesz.

- A ty nie dowiesz się, gdzie więzień!

- Jesteś mądry - powiedział wąż z podziwem udawanym tak dobrze, że gdyby nie kusza wymierzona prosto w oczy, zarządca nawet nie przeczuwałby w tym kpiny. - Wiesz, jak strzec sekretów. Ale i ja, panie, dobrze znam swój fach.

Marlo pisnął przeciągle jak mysz schwyтана przez łasicę, wtedy otworzyły się drzwi sypialni i dwaj kilkunastoletni chłopcy wprowadzili przerażoną trójkę dzieci.

Nie były związane, a jednak poruszały się ciężko i bezwolnie. Tylko usta miały zakneblowane.

- Winszuję ci pięknego syna, panie zarządco - teraz wąż syczał szyderczo. - Ojcowie zawsze są dumni z synów, córkami nieraz zwykli pogardzać gorzej niż służącymi. Czyżby w ten sposób bronili się przed myślą, że w gruncie rzeczy kochają je bardziej niż inne swoje dzieci? A może nawet, że one budzą ich najskrytsze żądze? Im więcej pogardy, tym więcej żądy, jak sądzisz, panie? Spójrz na swoją najstarszą. W tej cienkiej koszuli jest prawie naga...

- Plugawy psie... - Zejann był czerwony na twarzy, zarazem rozwścieczony i bezsilny. Najbardziej bezbronny, jakim tylko może być człowiek. Marlo szedł za jego wijącymi się myślami, widział męki, jakie pragną zadać i jemu samemu, i starcowi przykutemu do ściany w

jakimś ciemnym, wilgotnym lochu. Mistrz, loch... Piwnice. Tak, są w każdym addlijskim domu, bo żaden nie jest przecież bezpieczny przed wróżdą. Tylko gdzie ukryte wejście?

Wąż chwycił w sploty rozpaczliwe myśli żony zarządcy. Ale one tylko kłębiły się wokół dzieci. Nie wiedziała o niczym.

- A może twoja miłość krąży bliżej młodszej córeczki? Jest w tym pięknym wieku, kiedy jeszcze nie rozumie do końca, że płeć jest sprawą przesądzoną. W lupanarach w Mieście Trzech Słońc widziałem prostytutki o kobiecej postaci, jednak z męskim członkiem. Ale to tylko parodia tego stanu. Czy mówię zbyt zawile?

Każde słowo zapadało w pamięć Zejanna jak kamień w pustą studnię, budząc okropne, grzechoczące echo.

Dręczyły tym bardziej, że wąż wypowiadał je bez żadnej emocji, jakby był tylko tnącym żelazem bez duszy, a niewidoczny kat ukrywał się gdzie indziej. W ogniu! Ogień słała każda myśl zarządcy, tak mocno, tak rozpaczliwie, że Marlo mimo woli zaczął się pocić. Przypomniawszy sobie spaloną wieś, z której unosił go koń mistrza, ratując i kradnąc, dając życie i odbierając prawdę. Znowu stanęła mu przed oczami ciemna jama pod podłogą wiejskiego domu, z której słyhać było każdy krok, każdy jęk, każde złorzeczenie na gorze. Do której dochodził śpiew ognia i duszący oddech dymu. Która w końcu rozwarła się... Ale nie zajrzał do niej mistrz, tylko on sam - wąż Marlo, zaś jego przybrany ojciec kulił się w środku. Jakże pragnął z trzaskiem zamknąć tę piwnicę i jeszcze przywalić kamieniem!

- Starszy bracie! - ostrzegł go głos Agniego.

To Zejann spróbował ześliznąć się z łoża i złapać upuszczony sztylet.

- Leż! - Marlo i jego myśli znowu byli razem w komnacie sypialnej zarządcy. Belt wystający z kuszy wskazywał jego oczy jak rozkazująco wystawiony palec. - Kładź się na wznak! Gdzie więzień?!

- Nie jesteś taki sprytny wężu, jak o was mówią - usłyszał zamiast odpowiedzi. - Nic nie możesz nam zrobić. Jeśli zginę, nie dostaniesz tego, po co przyszedłeś. Wiesz, że i ja to dobrze wiem.

- O tak, dobrze wiem, co wiesz, bo stoję nie tylko tu przed tobą, ale i w twoim umyśle. Nie zdołasz niczego długo taić. - Marlo starał się mówić obojętnie, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Pierwsze spotkanie mistrza, które wydarło mu przeszłość, i to, które miało być ostatnie i miało przeszłość przywrócić, nagle znalazły się zbyt blisko siebie. Zmieszały

się w jego głowie jak lekki napar z konwalii i mleko, osobno polecane przez uzdrowiaczy, ale razem zdolne w jednej chwili ścisnąć serce i zatrzymać krew.

- Pilnuj baby! - polecił Agniemu, a gdy ten jednym skokiem znalazł się przy niej, Marlo opuścił prawą rękę i sięgnął po sztylet.

- Małą - syknął do Pufa. Chłopiec posłusznie pchnął ku niemu najmłodszą córkę zarządcy. Wąż objął ją ramieniem, ostrze przyłgnęło do szyi.

- Powiesz?

Zejann milczał.

Jeden ruch, bez litości, ale i bez okrucieństwa. Odepchnął dziewczynkę jak zniecierpliwiony ojciec natrętnego dzieciaka. Poczul, że w tym momencie oprzytomniała, chciała się wyrwać, krzyczeć, ale nie mogła, bo każdy oddech napelniał jej płuca własną krwią. Agni spojrzal z podziwem na starszego brata. Jedna z jego myśli pomknęła gdzieś w przyszłość, gdy być może też będzie umiał zabijać tak zgrabnie, jakby tańczył.

- Pilnuj baby! - Wąż przywołał go do porządku.

- Powiedz im, co chcą! - załkała żona zarządcy. - Powiedz im!

Wtedy wszystkich zabiją - pomyślał Zejann, ale kobieta nie mogła tego usłyszeć.

- Wróć do ojca! - zagroziła, płacząc. - On będzie miał dla ciebie mniej litości niż ten morderca!

Tego zarządca, który znaczną część swego majątku i powodzenia zawdzięczał dobremu ożenkowi, nie mógł zlekceważyć. Ale Marlo czuł, że on dalej nie chce mu zdradzić swojej tajemnicy. Jego myśli płonęły jak palenisko w zimowy wieczór. Wąż widział je - rozgrzewały ten sam kominek, który minął na parterze domu, kiedy składał tu pierwszą wizytę jako wywiadowca straży. *Usmaż się!* - to pewnie chciał mu powiedzieć Zejann.

- Twoja żona ma więcej rozumu niż ty - syknął Marlo. - Ale jak bardzo nie chcesz, nie musisz mi pomagać. Uprzedzam tylko, że ciebie zarżnę na końcu.

Wąż nie spodziewał się, że ten leniwy zarządca tak długo będzie zachowywał zimną krew. W to, że w końcu się złamie, nie wątpił, wołał jednak, aby to nastąpiło jak najszybciej. Zanim któryś z młodych uczniów Omara popełni błąd. I to podsunęło mu nowy pomysł. Marlo zbliżył się do Zejanna. Kuszą na lewym przedramieniu mierzył mu między oczy, a sztyletem trzymany w prawej dłoni zaczął błdzić coraz niżej po brzuchu zarządcy.

- Zimny? - zapytał Marlo. - A może najpierw zrobię z ciebie wałacha, a potem dopiero

wzmę się za resztę dzieciaków? Może teraz za syna dla odmiany?

- Zgoda, dostaniesz starucha.

*

Marlo i Agni zeszli ostrożnie po schodach, prowadząc zakneblowanego zarządcę. Puf został na górze, pilnując związanej żony Zejanna i dzieci, które już z wolna zaczęły dochodzić do siebie po ziołach. Dom był pusty, cichy i nawet kroki bosych stóp jego gospodarza wydawały się zbyt głośne. Agni oświetlał drogę ćmiącą tanim tłuszczem lampką wyniesioną pewnie ze stajni, a Marlo tylko nasłuchiwał, czy z ciszy nie dobiegnie go czyjaś zaniepokojona myśl. Ale przecież sam sprawdził, czy drzwi są dobrze zaryglowane.

Przeszli przez obszerną salę na pierwszym piętrze, minęli stół, na którym leżała drewniana lalka młodszej córki i zaczęta robótka starszej. Agni przodem, za nim zarządca ze sztyletem na gardle, na końcu wąż zeszli na dół, do sieni. Schody kończyły się tuż przy wielkim kominku, który zimą dawał ciepło całemu domowi, a teraz, latem, stał martwy i wygasły. Palenisko było wysypane czystym, starannie wyrównanym piaskiem, a wnęka zdolna pomieścić nadzianą na rożen jałowkę częściowo zastawiona dzbanami domowego piwa.

- Tu - zarządca wskazał otwór kominka.

Wąż spodziewał się wejścia do lochów w rogu sali gościnniej, skąd - jak przypuszczał - biega pod ogród i łączą się ze studnią.

- Gdzie? - zapytał.

- Pod paleniskiem.

Marlo zrozumiał teraz myśli Zejanna stale krążące wokół ognia i płomieni. Kiedy nieznani wrogowie wdarliby się do tego domu, zobaczyliby tylko wesoło trzaskające ognisko, a zaufany człowiek, który je rozpałił po ukryciu rodziny swego pana, byłby już najpewniej martwy. Może przy tym ogniu napastnicy spożyliby jeszcze wieczerzę, żar zaś biłby w górę i nie czynił krzywdy tym, którzy kryliby się tuż niżej. Jeśli zaś piwnica łączyła się ze studnią...

- Otwieraj!

Zarządca wsunął dłoń w piasek. Przez jeden oddech zastanawiał się, czy nie rzucić nim w twarz wężowi, ale ten poczuł tę myśl i mocniej przycisnął mu sztylet do gardła. Zejann odnalazł ukryty uchwyt i zgrzytnęło żelazo.

- Bez hałasu.

Kłapa podniosła się i w środku zobaczyli wąskie schody. Dopiero teraz Marlo poczuł słabe drgnienie myśli mistrza ledwie przebijające się przez zgniły odór lochów. Popchnął zarządcę i pierwsi zaczęli schodzić w głąb. Agni posuwał się za nimi, a drżące światło lampy podskakiwało na ścianach. Młody uczeń ledwie ukrywał podniecenie, w jakie wprawiła go pierwsza krew i pierwsze zbliżające się zwycięstwo.

- Uważaj na niego, starszy bracie - powiedział, chcąc być pewnym, że jego udział zostanie zauważony.

Wąż nie odpowiedział nawet myślą. Sam też znów czuł, jak duch bierze górę nad umysłem. Tymczasem nie wszystko jeszcze było skończone.

Kamienne schody prowadziły do kwadratowej sali szerokiej na dziesięć kroków. Agni omiół ją światłem. W jednym krańcu dostrzegli tunel idący pewnie w stronę studni, z którego napływało wilgotne, świeże powietrze. W drugim zakneblowany i przykuty do ściany siedział brudny, zarośnięty starzec, a raczej to, co z niego zostało.

- Ojczel! - zawołał cicho młody uczeń.

Więzień poruszył się, nie mogąc wydać nawet jęku.

- Na ziemię! - Marlo pchnął Zejanna, pospiesznie owinął mu głowę swoim płaszczem i zdjął pas, żeby związać ręce. Agni był już przy swoim mistrzu i najdelikatniej jak potrafił zdejmował mu z głowy skórzaną uprząż do złudzenia przypominającą końską uzdę.

- Ojczel!

- To ty, synu? - zapytał cicho Omar. - Jak się tu dostałeś?

- Jesteśmy tu wszyscy czterej. Przywiódł nas starszy brat.

- Brat? Jaki brat?

- Marlo.

Mistrz był bardzo słaby, ledwie mówił, nie sięgał myślą dalej, niż w mroku potrafiły to zrobić jego oczy. Jednak widząc Marla, skupił się, aż pot wystąpił mu na czoło. Wąż szedł ku niemu, dalej ściskając sztylet.

- Agni, szukaj klucza! - powiedział, wpatrując się zimno w oczy starca. - Trzeba zdjąć te kajdany.

- Co tu robisz, Marlo? - szepnął Omar, kiedy chłopak oddalił się z lampą.

- Mam wiele pytań, na które tylko ty znasz odpowiedzi.

- Dzięki za ratunek, synu.

- To tylko handel, mistrzu. Potrzebna mi twoja pamięć - szepnął wąż. - Nic więcej.

Agni już wracał z kluczem, który wisiał na haku nie opodał schodów. Po drodze wymierzył jeszcze kopniaka w brzuch Zejanna.

- Będziesz wolny, ojczu. Ucieczka przygotowana. Starszy brat wszystko zaplanował, nic mu nie umknęło. Nic, ojczu.

- Możesz chodzić? - zapytał Marlo, próbując podnieść starca. Chrobot pogruchootanych kości mówił sam za siebie. Omar syknął, kiedy wąż dotknął jego żeber. Był już prawie martwy i pewnie nawet Agni by to w lot zrozumiał, gdyby jego myśli nie zajmował tak bardzo triumf pierwszych łowów. Ale jego starszy brat nie miał co do tego wątpliwości. Przeraził się na samą myśl, że mistrz może nie przeżyć ucieczki, że właśnie ona może mu skrócić życie. Powinien był sam wśliznąć się tutaj i wypytać go, a potem skrócić umęczonemu więźniowi cierpienie. Teraz kto wie czy tajemnica nie uleci do bogów, gdy chłopcy będą poganiać konie lub wiosłować przez Addłę.

Delikatnie położył mistrza na wilgotnej posadzce i zerwał płaszcz z głowy zarządcy.

- Nie jesteś już nam potrzebny, panie - syknął, wbijając sztylet.

Zapomnij o bólu, mistrzu! Ból jest w umyśle, nie w ciele. Niech Chlu schłodzi ciało, niech ból zaschnie w Ziemi - myślał do Omara, zarzucając go sobie na plecy.

- Co teraz, bracie? - zapytał Agni. - Dawać znak?

- Jeszcze nie. Weź mój sztylet. Wszystkich. Zaraz i po cichu. Puf niech ci pomoże.

Kiedy wynurzył się z kominka, dwaj młodszy bracia już na niego czekali. Starszy chłopiec dalej trzymał sztylet. Marlo wiedział - nie z przezorności, raczej w nadziei, że pojawi się jeszcze jakiś wróg. Młodszy zaciskał pięści, tylko by ukryć ich drżenie.

- Puf się porzygał, starszy bracie, ale wypełniliśmy twój rozkaz - oznajmił z dumą Agni.

IV

Leżał u moich stóp tak stary, jak tylko może być mistrz w oczach ucznia, i tak bezradny, jakim tylko dorosły syn może widzieć ojca. Lata, które spędziłem daleko od niego, poznały mu brzdami czoło, a broda i włosy - kiedyś gęste i białe jak złowrogi śnieg na Wilczym Płaskowyżu, teraz przypominały raczej na wpół zgniłe zimowe trzciny w dolinie Der - rzadkie i słabe, zda się,

że rzadsze z każdym spojrzeniem. Loch zarządcy zabrał mu połowę woli, a z wolą uciekała siła. Nawet oczy zachodziły mu mgłą i Omar w niczym nie przypominał już mistrza, którego pamiętałem.

A chłopcy... Oni świętowali zwycięstwo i co chwilę zza zasłony szalasu dochodziły mnie ich głosy. A najgłośniej mówił Agni:

- I wtedy starszy brat poderżnął jej gardło. O tak! Od ucha do ucha. A potem postraszył starego, że go zwałasy. Też kiedyś będę wężem jak Marlo!

Mistrz słuchał tego z uśmiechem, ale gniew nie pozwalał mi zgadnąć, co cieszyło go bardziej - że zabiłem dla niego czy że stałem się taki jak on. Nie mogłem tego znieść, więc kazałem chłopcom pójść nazrywać ziół. Wybrałem możliwie najrzadsze, żeby nie wrócili zbyt szybko. I wtedy po wielu latach nadeszła moja chwila.

*

- Napadli na mnie w dziewięciu, kiedy nocą wracałem z Aabo - opowiadał mistrz. - Chwila słabości, może starość... Nie czułem zasadzki. A może był z nimi jakiś mag, żeby zakłócać myśli? Może wąż? Nie! Chociaż... Dałbym radę się wyrwać, ale oni też to wiedzieli i rzucili sieć. A potem znalazłem się u Zejanna, który postanowił wyciągnąć ze mnie pewną prawdę, a potem zabić. Dzięki tobie, Marlo, nie udało mu się ani jedno, ani drugie.

Wąż patrzył z lękiem na rany starca, na pogruchotane stopy i kolana, które już nigdy nie będą się zginać, choćby zajęli się nimi najlepsi uzdrowiacze. Połamane żebra musiały kłuć boleśnie przy każdym oddechu. *Wyciągnąć pewną prawdę, a potem zabić...* Marlo chciał zrobić to samo, choć nie pragnął dla Omara bólu, tylko kary. Różnił się od zarządcy, to pewne, ale nie aż tak znów wiele...

- No i o czym teraz myślę, Marlo? - zapytał naraz mistrz.

- Nie śmiem sięgać ci w umysł, ojczy. Nie w takiej chwili.

- Błąd! To przecież najlepsza chwila, bo nie mam siły, by dobrze się bronić. W końcu przybyłeś mnie zabić, czyż nie? Możesz to łatwo zrobić. Uduś, a chłopcom powiesz, że sam odszedłem do Matki-Księżyc. Przecież łatwo ci uwierzą.

- Myślałem, że być może będę musiał zabijać - przyznał wąż. - Ale nie spodziewałem się, że będę ratować ci życie.

- Niewiele dałeś radę uratować. Mój umysł jest jednak dość sprawny, by dać ci to, czego pragnąłeś się dowiedzieć. Bo to właśnie moja pamięć była dla ciebie coś warta, czyż nie?

- Tak było, ojczu. Musiałem cię ratować, bo inaczej prawda o moim pochodzeniu zginęłaby wraz z tobą.

- Pochodzeniu... Dobrze, powiem ci, co chcesz, ale daj się najpierw nacieszyć czynami mojego ukochanego ucznia. No, opowiadaj, co się z tobą działo!

Gniew przepłynął już przez węza i uleciał. Marlo opowiedział o synu Daviego i lochu w Aabo, bez dumy mówił o tym, że zabił brata, choć ten już miał go na ostrzu, za to z zadowoleniem o głowie Lomara, która zepsuła wieczerzę panu Byrd... Wreszcie doszedł do swej uczennicy Aide i najłatwiejszej misji, która omal nie skończyła się największą klęską.

- Cóż, nie nauczyłeś mnie, mistrzu, jakimi węzami mogą być z pozoru zwykłe kobiety.

- Nawet górski kryształ zawsze ma jakąś skazę - westchnął Omar. - Ty nie jesteś lepszy. Znasz legendę o Przekłętniku. W dzień wola i siła, nocą mazgaj. Ale i dla ciebie, Marlo, jest rada: zostań mężołożnikiem, he, he... Khe, khe! Mów, mów dalej.

- A na koniec przybyłem tutaj, aby to wszystko zrozumieć.

- No i wiele zrozumiałeś, synu?

- Bardzo wiele. Przede wszystkim to, że tobie zawdzięczam, kim jestem, cokolwiek by to znaczyło. Być może gdyby nie ty i Lomar, w pocie i smrodzie uprawiałbym ziemię, sądząc naiwnie, że jakby mi ktoś dał liczące kamienie na szyję albo włożył na łeb hełm zarządcy, nagle przybyłoby mi po dwakroć rozumu i po trzykroć szczęścia. Ale gdyby nie wy, być może nie zadawałbym sobie takich pytań, płodził dzieci...

- I tak jedno spłodziłeś - znów przerwał mu mistrz. - A przynajmniej o tyłu ci wiadomo.

- Milcz! - syknął gniewnie wąż. - Nie chcę już twoich przewrotnych nauk, tylko prawdy.

- Wybacz, Marlo - sapnął stary. Jego oddech stawał się coraz bardziej świszczący.

- No więc jak? Czy dobrze domyślam się losu, który nie był mi przeznaczony? Czy może znów jest coś, o czym nie wiem?

- Los! To duże słowo, synu. Mój sztylet miał więcej władzy nad ludzkimi losami niż moja wola. Ale pewnie masz rację, bo to była zwykła mała wieś, jakich dużo w Addli. Miała jednak to nieszczęście, że należała do Abila, zarządcy Zimnej Przystani, który ośmielił się skumać z byrdyjskim dworem. Nie szło mu nawet tylko o złoto. Ów Abil był jednym z wielu wysoko urodzonych nędzarzy, którzy nie mają nic prócz jednej wioski, ale czują się równi królom. Serce

Aabo rozkazał mi go sekretnie ukarać, aby wiedział, że władca niczym bogowie może go zniszczyć w każdej chwili. Komu innemu wystarczyłoby uwieść ukochaną żonę, spalić księgi, zwałaszyc czy oślepić. Ale Abil, tak samo zresztą jak i ten Zejann, był Ziemią smaganą Wiatrem, niczego nie kochał i naprawdę przestraszyć mogła go tylko utrata ostatniej sakiewki. Była nią właśnie wioska, w której się urodziłeś.

Zebrałem ludzi chętnych do pomocy przy wrózdach, bo miało to wyglądać na rodową zemstę, które wiszą przecież nad Addli jak pajęczyna na powale i nie znajdziesz nikogo, kto by nikomu nie był niczego winien. Ot, ktoś, a nie wiadomo kto, postanowił ukarać Abila za przewinienia jakichś jego przodków. Przybyliśmy nocą. Rżały konie, kwiczały świny, ogień szybko skakał z chaty na chatę, darły się kobiety. A ja skryty pod kapturem tak przed moimi zbirami, jak i wieśniakami siedziałem na koniu pośrodku placu i patrzyłem, czy zbrojni nikomu nie odpuszczają. Nagle poczułem jakąś dziwnie silną myśl. Rozpacz, lęk, przecucie śmierci i wołanie o pomoc. Wiele podobnych myśli leciało wtedy w niebo, ale ta wydobywała się jakby spod ziemi i była zbyt silna jak na zwykłego wieśniaka. I młoda, bardzo młoda, niby lęk rodzącego się dziecka.

Jak już wiesz, był ze mną mój pierwszy uczeń Lomar. Kiedyś nazywał się po prostu Gail. Przyznasz, że prostacko? Ale wziąłem go na naukę, żeby był podobny do mnie. Ostatni dźwięk jego starego imienia połączyłem z własnym i tak narodził się Lomar. Ha, miał z siedem lat, ale czuł się nie mniej silny niż te draby z mieczami i pochodniami. To niestety zostało mu na całe życie. Zawsze czuł się zbyt silny, jak wilk, a nie wąż. Już wtedy wiedziałem, że nie będzie takim wężem, jakiego pragnę wyszkolić, dlatego twoja myśl, tak silna mimo rozpacz, bardzo mnie zaciekawiła. Kazałem Lomarowi zsiadać, czy nawet zrzuciłem go z konia, tego już sobie nie przypomnę. I wpadliśmy do chaty, którą wskazałem mu mieczem. W środku byli mężczyzna i kobieta, on jeszcze całkiem młody, ale już przygarbiony od roboty. Ona jeszcze parę lat wcześniej pewnie była wiejską pięknoscią, póki nie spuchła od rodzenia dzieci. Ha, pewnie czekasz, aż opiszę ci ich rysy, oczy, to, jak się poruszali... Niestety wcale tego nie pamiętam. Wiesz dobrze, że nie warto pamiętać twarzy tych, których zabijasz, a jedynie tych, których zostawiasz przy życiu. Twój ojciec rzucił się na mnie, chcąc bronić swego domu i matki swoich dzieci. Wystarczyło wystawić ostrze, a on właściwie sam wpadł na miecz. Poprawiłem cięciem w kark, żeby się nie męczył. Ten widok musiał być straszny dla kobiety, która widziała pewnie dotąd tylko gwałtowne śmierci prosiąt i kaczek. I gdyby nie ten krzyk, być może żyłaby do tej

pory. Choć nie, Marlo, niepotrzebnie kłamię. Nie żyłaby z całą pewnością!

Jej krzyk przebił się przez inne i zwabił do chaty dwóch moich zbirów. Jeden zginął wkrótce potem w jakiejś innej wróżdzie, drugim był twój kapłański mistrz, zwany wtedy Adde. Jednak wówczas bardziej poważał własne chucie niż bogów. Dałem znak Lomarowi. Sztych pod źebro. Twoja matka umarła w trzy oddechy. Zbóje spojrzeli na mnie z wyrzutem, więc odwróciłem się szybko, aby nie widzieli mojej twarzy. Ale wtedy zobaczył ją ktoś inny, kogo nie wyczulem nawet myślą. Z kąta, spod jakichś starych derek, spoglądały na mnie wodniste oczy twojej prawie dorastającej siostry. Leżała tam tak cicho, jakby jej wcale nie było i pewnie spałaby się razem z chatą. Chyba że rozum zwyciężyłby jakoś jej strach i pomógł wymknąć się do lasu. Ale jej ruch w kącie dostrzegły też zbiry. Sam wiesz, jakim byłaby dla nich łupem, lepszym niż twoja matka. Lomar był jeszcze taki mały, ale w lot zrozumiał, co się święci. Moi ludzie znów byli bardzo zawiedzeni, mimo to nie śmieli się sprzeciwić.

- Lomar mówił, że tylko je dobił - powiedział Marlo.

- A czyż było inaczej? Wyświadczył im jedyną łaskę, jaką mógł. A skoro wiesz wszystko od Lomara, daj odpocząć. Boli mnie każde słowo.

- Wiem to, mistrzu. Odpocznij, ale potem mów dalej. Jesteś mi winien tę łaskę.

Tymczasem każdą chwilę milczenia wypełniały kłębiące się myśli, których nawet wąż nie potrafił powstrzymać. *Wszystkich. Zaraz i po cichu...* I oto Agni bierze sztylet, jak płomień pędzi z lochu na piętro, a Marlo widzi to schowany pod podłogą. Potem on sam zarzyna własną siostrę, a krew... nie, nie krew! To wymiociny Pufa spływają przez szpary do piwniczki. Dwóch Marlów patrzy sobie w oczy, dzieli się myślami. *Weź mój sztylet* - rozkazuje jeden. Drugi jest tak mały, że potrafi tylko płakać.

- Wygnałem zbirów z chaty i nasłuchiwałem myśli - odezwał się znów mistrz. Mówił coraz wolniej i ciszej. - Szukałem miejsca, skąd wyrastają spod podłogi i rozkładają swoje kłujące pędy. Nie trwało to długo. Było nie opodal paleniska. Aż świeciło, uwierzysz? Nigdy nie czułem czegoś podobnego. Twoje myśli niemal było widać! Razem z Lomarem odwaliliśmy kilka desek i odkryliśmy kryjówkę. Widać rodzice kochali cię bardziej niż swoją siostrę, bo piwniczka przetrwałaby nawet pożar chaty. Nie mieli jednak dość rozumu, by wiedzieć, że i tak udusiłby cię dym. Nas też kręcił już w nosie. Lomar poświecił żagwią i zobaczyłem malca unuranego we łzach i w pyłe. Wyglądałaś jak młode kocię, które można zabić jednym ruchem dłoni, a ono będzie tylko miauczeć i patrzeć. Mój uczeń trzymał nóż, czekał na rozkaz. Ale ja już wiedziałem,

że znalazłem węża, który zawsze będzie czuł się słabszy, niż jest, który będzie zaprzeczeniem Lomara i dzięki temu będzie dłużej żył i polował. Tak narodził się wąż Marlo. I stał się prawie taki, jakim chciałem go wyszkolić. Jesteś doskonałym wężem, uwierz staremu, jednak pierwszy raz widzę gada, który chciałby być człowiekiem.

- Więc to wszystko, mistrzu? - zapytał łagodnie Marlo i podał Omarowi wody. Ten zaśmiał się, a potem długo nie mógł opanować kaszlu.

Wąż pomógł mu usiąść. Umęczony starzec splunął krwią i napił się z ulgą.

- Nie, nie wiesz jeszcze najważniejszego. Otóż ta historia tak naprawdę skończyła się dopiero dziś w nocy.

- Dziś?

- Tak. W chwili, kiedy zabiłeś zarządcę. - Przerwał, bo znów zaniósł się kaszlem.

Mów, na bogów! Choćbyś miał zdechnąć! - pomyślał wąż.

- Sam o tym nie miałem pojęcia - podjął po chwili Omar - ale oprócz ciebie ktoś jeszcze przeżył. Widział wszystko, co wtedy zaszło. A może wystękał to na mękach któryś z moich zbirów? Tak czy owak, ktoś szukał na tyle długo, że znalazł jakąś nić łączącą tamte wydarzenia właśnie ze mną. Musiał dobrze szukać, bo byłem pewien, że wszystkie nici pozrywałem. Jedną nawet twoimi rękoma... I Zejann mnie upolował. Temu, kto mu pomógł, nie wypłaciłby się do końca życia.

- Ale co ten Zejann ma do mojej rodziny? - zapytał zniecierpliwiony Marlo.

- Taaak, już płaczą mi się myśli. Wybacz, synu, istotnie nie powiedziałem. Otóż ten Zejann to jedyny syn Abila, właściciela twojej wioski. To prawda, sam mi powiedział! I jedyny znany mi człowiek, który mógł wiedzieć, kto w niej mieszkał i jak się zwał.

- Teraz kłamiesz! - Uczeń pochylał się tak nisko nad mistrzem, że czuł jego oddech, smród bólu i... trupa.

- Teraz gadasz jak stara baba, nie wąż - zacharczał Omar. - Nie wierzysz, to zajrzyj w moje myśli. Nie mam już siły, żeby je taić. Teraz znasz już całą prawdę. I co? Lepiej ci z nią czy lepiej było bez niej? Czy powiedziałem ci coś, czego byś sam się nie domyślił? I coś jeszcze ci wyznam, abys wiedział, jak bardzo przegrałeś. Co prawda kiedy wszędzie słońce, będziesz pewnie najlepszym żywym wężem, ale nie lepszym, niż byłem ja. Tak, bo to ja wyszkoliłem cię lepiej, niżbym to sobie wymarzył. Jesteś samotny, mój uczniu, i z tej samotności przyszło ci do głowy, że będziesz mniej sam, jeśli dowiesz się imienia ojca i matki. A patrz, nawet ja go nie

znam, choć przeze mnie nie żyją! A gdybym nawet umiał ci powiedzieć, jak się nazywali, to co? I tak nie wybiegną ci na spotkanie, nie zawołają: *Synu, aleś wyrósł!* Nie odnajdziesz ich nawet po śmierci, bo jedyny człowiek, który mógł znać ich imiona, zginął od twojego sztyletu.

- Mniejsza o ich imiona! - syknął wąż. - Nie znam przecież swojego. Co powiem Matce-Księżyc, jak będę zdychać jak ty? Co?!

- Jak to co? - zapytał zdziwiony mistrz. - Marlo, wąż Marlo!

- Wyrwę ci jęzor, starcze, jak dobrzy ludzie wyrwali wężowi Hamrowi. Tak jak on nic nie powiesz bogom. I tak jak ja.

- A to wrywaj! Przywykłem do takich rzeczy przez ostatnie dni, he, he - zaśmiał się chrapliwie Omar. - Synu, czy tak przesiąkłeś kapłaństwem w Ozdze, że naprawdę w to wierzysz? Jesteś Marlo, nawet jeśli przez krótką chwilę byłeś kimś innym. Umieram i choć naprawdę rad byłbym dać ci coś na pożegnanie, daję tylko tyle. W pogoni za tą wiedzą zostawiłeś za morzem dziewczynę, która cię kochała, i dziecko, które mogło być twoje. Mogłeś mieć prawdziwą rodzinę, o jakiej śni każdy dobry człowiek. O jakiej ty sam śniłeś, że śniesz. Ale ty to zostawiłeś i ruszyłeś na łowy jak dobry wąż.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zapytał Marlo już spokojniej.

- Bo przestałeś się bronić. Błąd! Do twojej głowy mogłem sięgać garścią jak do kałuży. Mieszać nie mogłem, to prawda, ale taki stary wąż jak ty powinien być czujniejszy.

- Czy nawet zdychając, musisz pokazywać, że wygrałeś?! - Uczeń złapał go za ramiona, ścisnął boleśnie.

- Ja wygrałem? Ja umieram, a wcale nie zamierzałem tego robić, zanim nie wyszkolę do końca Agniego, Chlu, Erha i Pufa. To ty wygrałeś. Masz swoją prawdę, Marlo, trzymasz ją w zębach, a za chwilę poczujesz w żołądku. Tylko że jak już ją strawisz, będziesz tak samo głodny jak wcześniej. A może nawet bardziej, bo czy tego chcesz czy nie, jedyna twoja rodzina to ja, Lomar i teraz ci czterech chłopcy, którzy tak cię podziwiają.

- Lepiej byłoby dla nich, żeby podziwiali kogo innego. - Wąż odwrócił twarz od ojca, spojrzał ku wyjściu z szałas.

- Może i lepiej, ale stało się. Masz władzę nad ich losem. Skoro mnie nie zabiłeś, nie odmawiaj staremu. Dokończ ich szkolenie.

Marlo czuł, jak myśli umierającego mistrza głaszczą go uspokajająco. Matka stoi przed domem, a on biegnie do niej zdyszany. Ciepłe, miękkie ręce dotykają jego włosów. W drzwiach

pojawia się Aide, robi kilka kroków, a za nią czarnowłosy chłopczyk kurczowo uczepony spódnicy.

Wąż otrząsnął się.

Wyszkoliłeś mnie za dobrze! - pomyślał do Omara. Aide i jej dziecko odwrócili się i weszli do domu. Matka Marla ruszyła za nimi. Dopiero teraz zobaczył, że nie ma ona nawet twarzy. Stary odetchnął z wysiłkiem. Nie próbował już żadnych sztuczek.

- Odmawiam, mistrzu - rzekł wąż, patrząc mu w oczy. - Zbyt dobrze znam swój fach. Gdyby kowale wiedzieli, komu kują sztylety, nie robiliby nic prócz podków i gwoździ.

- Przeceniasz uczciwość kowali, Marlo.

- A ty nie doceniasz mojej! Nie będę ich szkolił.

- Wiesz, że jesteś okrutny? Są za daleko, żeby ot tak zawrócić.

- To już ich los, ich życie i ich kłopot. Zaopiekuję się nimi jak starszy brat. Pomogę znaleźć dach nad głową i wyuczyć się jakiegoś fachu. Ale ich mistrzem nie będę. Nikogo nie będę szkolił. Zwłaszcza węży o tak bluźnierczych imionach!

Widać, że oprócz mnie szkolił cię też kapłan, Marlo - pomyślał Omar, ale nie wyrzekł ani słowa. Nie miał już siły. Leżał, wpatrując się w otwór na szczycie szałasu. Ojciec-Słońce zaglądał tam, wracając już z polowania. - *Najlepszy moment, żeby iść do Starego Łowcy i w sam raz zdążyć na wieczerzę.*

Tak, mistrzu. Lepiej odejść, póki chłopcy nie wrócili - odpowiedziała myśl Marla.

*

Pogrzebaliśmy mistrza Omara w tym samym lesie, gdzie pobierałem od niego nauki, gdzie stałem się wężem, opanowałem Żywioty, umarłem i urodziłem się na nowo. Czy życzył sobie właśnie takiego pogrzebu? Nie zdążyliśmy o tym porozmawiać, ale chłopcom powiedziałem, że wyraźnie o to prosił. Jednak tak naprawdę wolałem nie taszczyć ciała do któregoś z miast, żeby nie rzucać się w oczy strażnikom, no i żal było tracić pieniędzy na nekromantę. Aż trudno uwierzyć - wyszedłem żywy z trzech misji, a w mojej szkatule w lochach pod Miastem Trzech Słońc było ledwie parę groszy. W końcu król Davi nie zapłacił mi wcale, Kai dał ledwie jałmużnę, a jedyną rzetelną zapłatę od namiestnika Quotlina podarowałem przecież Aide. Nie mogłem więc być rozrzutny, żeby potem nie musiał zebrać na starość...

Cha, cha! Wyobrażacie to sobie, panie? »Jestem Marlo, wąż Marlo. Dopraszam się łaski szcudrobliwych panów! Dobrze panie, dajcie grosik, to opowiem jeszcze cosik!« He, he, he!

I znów miałem kogoś, o kogo musiałem się zatroszczyć - mój prawdziwy ojciec rzekłby pewnie: »cztery gęby do wyżywienia«. Ruszyłem razem z chłopcami do Miasta Trzech Słońc, a całą drogę myślałem, jak pokierować ich losem. Dopiero gdy ułożyłem sobie wszystko w głowie, odważyłem się oznajmić, że nie będą wężami.

- Jakże to, starszy bracie?! - wykrzyknął oburzony Agni. - Nie będziesz nas szkolił? Czym cię zawiedliśmy?

Kiedy to mówił, nie czuł jeszcze złości, tylko bezbrzeżne zdumienie. A ja zdziwiłem się, że tylko on był przeciwny temu, co zadecydowałem. Pozostali milczeli, a potem tylko stali i patrzyli, jak wściekły Agni rzuca się na mnie ze sztyletem, a ja odbieram mu ostrze, wiążę ręce i jak tobół zarzucam chłopaka na konia.

Ognisko dogasa, pora kończyć. Ale jeszcze chwilę, trzy oddechy, nie dłużej. Zmilczę o tym, gdzie umieściłem chłopców, bo to już ich, nie moja historia. Dość na tym, że Chlu nazywa się dziś Chlu-Hed i jest kapłanem w Andahannie. Erh został kupcem Orem, ma dwa sklepy i magazyn w Mieście Trzech Słońc. Puf- jako Wilo - zarządza na południu kraju Addli miastem Wil. - Dlaczego zarządca Wil nazywa się Wilo? Coby łatwiej spał? - podśmiewają się jedni, inni zaś mu kadzą, że jego imię to znak bogów i wróżba pomyślności dla całej miejsciny. A Agni, zwany Ag Płomień, chodzi na rozbój w Byrd i jak dotąd straż nie zdołała go chwycić. Mówisz, że wybrałem im dziwne imiona, panie? Jak tych pierwszych ludzi z opowieści o stworzeniu? Cóż, mistrz Omar nie mylił się, rozpoznając w nich niemal czyste Żywioty. Ja też nie chciałem zmieniać prawdy, tylko zmazać bluźnierstwo.

Wiele lat potem jakiś zastrachany strażnik z Aabo opowiadał mi o duchach ludzi niesprawiedliwie powieszonych czy wbitych na pal, które to skrzyknęły się pewnej nocy i dokonały masakry w domostwie Zejanna - zarządcy straży z Ozgi słynącego w całym kraju z przekupności i okrucieństwa.

Z kolei od wozaków na Nowym Trakcie słyszałem o zbójcu Agu Płomieniu, który napadł na kupca Ora z Miasta Trzech Słońc. Ledwie jednak zobaczył jego twarz, powstrzymał bandę i spędził precz z drogi. Wedle prawiących mi o tym ludzi sprawiły to modlitwy dzieci, które rozbójnik podejrzwał wcześniej na rozdrożu. Składały Erhowi ofiary, prosząc o opiekę nad ich podróżującym ojcem. Co prawda Or był jeszcze zbyt młody, aby mieć gromadkę pociech

potrafiących składnie mówić i znać inwokacje do bogów, jednak wozakom tego nie powiedziałem. Szkoda by było uśmiercać w zarodku taką przyjemną bajdę.

Mówisz, panie, że skoro znalazłem się tu z wami wszystkimi, to bez wątpienia moja historia nie mogła się skończyć na tych czterech chłopcach. Ano się nie skończyła! He, he, nikt nie szkolił mnie na bazarza, ale tyle bajd słyszałem, że chcąc nie chcąc nauczyłem się obracać językiem. I drugie tyle zostawiłem jeszcze na następny wieczór.

Koniec tomu 1